ROK XXV. WARSZAWA. Og. zb. Tom XCVIII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE
i
LITERACKIE.

TOM II. — ZESZYT I.

Kwiecień.

1900.



Druk. i Litogr. JANA COTTY w Warszawie.
7. Kapucyńska 7.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 13½.

Druk ukończono d. 19 kwietnia 1900 r.



Kryzys we Francyi*).

Francya przechodzi ciężkie przesilenie, i bilans jej w końcu XIX-go stulecia przedstawia się ujemnie. Taka jest opinia całego współczesnego świata, a zgadza się z nią wiele światłych umysłów w samej Francyi. Zdaniem jednych, choroba ta świadczy o rozkładzie wewnętrznym organizmu społecznego i grozi niechybną śmiercią; drudzy, po przeprowadzeniu ścisłej analizy, nie przeczą bijącemu w oczy zamętowi, ale brakuje im odwagi do wyprowadzenia logicznego wniosku. Słyszymy obok głosów lekarzy *Tant pis* i głosy lekarzy *Tant mieux*, ale, niestety, ci ostatni są to albo umysły drugorzędne, albo obłąkane optymizmem patryotycznym i tą dziecinną zarozumiałością, która już tyle szkody zrządziła Francuzom. Pojawił się cały szereg książek, rozstrząsających to zagadnienie, bądź badając stan Francyi samej w sobie, bądź porównywając jej rozwój z rozwojem innych ras i państw. Surowość wyroku kompetentnych sędziów drażni przyjaciół Francyi mniej zapewne, aniżeli chełpliwe a lekkomyślne panegiryki jej obrońców. Sprawa widocznie źle się zapowiada, skoro tacy tylko za nią przemawiają rzecznicy.

*) J. Edw. Courtenay Bodley: France, 2 vol. 1898 in 8^{0}, London. Edm. Demolins: A quoi tient la superiorité des Anglo-Saxons. Paris. 1897 in 8^{0}, 10 wydanie. Anold: A quoi tient la superiorité des Français. Paris, 1898. Gab. Bouvalot: Sommes-nous en décadence? 4 ed., Paris, 1898. Gast. Deschamps: Les malaises de la democratie, Paris 8^{0}, 1899.

Wbrew nagromadzonym dokumentom, które wzywają do pośpiesznego przygotowania pozgonnego epigrafu Francyi, rodzi się chęć protestowania galileuszowem *e sempre muove*! Dekadentyzm, słowo, na które brakuje na szczęście ścisłego jednoznacznika w naszym języku, mógł się rozkrzewić i usadowić pośród artystów pędzla i pióra o rozstrojonych nerwach, i nawet (o dziwy!) mogli się znaleźć ludzie, którym nazwa dekadentów pochlebiała, ale nie śmie się zastosować tego predykatu do potężnego narodu, który odegrał przodującą rolę wśród nowoczesnego świata i był cywilizacyjnym jego przywódcą. Lecz, jak zauważył jeszcze Prevost-Paradol w swej *France Nouvelle*, napisanej na trzy lata przed wojną francusko-niemiecką, upadek wielkiego narodu rozłożony być może na kilka stuleci. Gdy Francya postradała Indye, ofiarowane jej przez Dupleixa, gdy przez Luizyanę i Kanadę utraciła Amerykę północną, były to już pierwsze oznaki upadku jej wszechświatowej hegemonii. Odtąd mnożyły się te symptomy, a były one polityczne i ekonomiczne, religijne i moralne. Nie tylko przywary, ale nawet zalety charakteru narodowego, obracały się przeciwko Francuzom. Czasem w tym politycznym rozkładzie zachodziły przerwy, a czasem zdawać się mogło, jak np. w szeregu zdobyczy kolonialnych ostatniej ćwierci wieku, że Francya przechowała w sobie jeszcze dawniejszą energię.

Ale sprawiedliwość orzec nakazuje, że, gdy badamy organizm polityczny, społeczny i ekonomiczny Francyi, a przedewszystkiem jej nastrój moralny i umysłowy, jesteśmy zmuszeni zadać sobie pytanie, czy organizm ten zawiera jeszcze dość sił odżywczych, aby przeciwdziałać zgniliźnie. W świetle stłumionej, ale ostatecznie jeszcze nierozwiązanej, sprawy Dreyfusowej ukazała się Francya okolnemu światu nad krawędzią wojny domowej, rewolucyjnych konwulsyi, reakcyi klerykalno-militarnej, anarchii. Prawdy, które podejmowali przedtem jedynie głębsi znawcy psychologii narodów, rzucone zostały, jako pastwa dla gawiedzi międzynarodowej. Ta ostatnia zawyrokowała ochoczo i pośpiesznie, że Francya się przeżyła i że wybiła już godzina jej upadku. Niema zapewne potrzeby brać tego wycia ogarów, obsaczających ranionego jelenia, za nieodwołalny wyrok fatum historycznego, ale można zaczerpnąć w nim pobudkę do przyjrzenia się zblizka najgłośniejszym przynajmniej objawom obecnego rozstroju Francyi.

Wojna 1870 roku z Niemcami, którą uważać trzeba, jako datę przełomową w życiu Francyi nowoczesnej, pociągnęła za sobą wiele niezmiernego znaczenia następstw. Dwa atoli przodują nad

innymi: zmiana formy rządu i zmiana w położeniu międzynarodowem Francyi.

Odrzuciwszy na bok Cesarstwo, tak samo jak w mniej tragicznych okolicznościach obaliła monarchię Karola X-go i Ludwika Filipa, Francya ukonstytuowała się, jako Rzeczpospolita parlamentarna. Historya nie ma drugiego przykładu równie zuchwałego przedsięwzięcia, i nie temu dziwić się trzeba, że nowa forma rządu nie odpowiedziała oczekiwaniom narodu, ale temu, że przetrwała już epokę nowicyatu. Szło istotnie o pogodzenie najbardziej drastycznych przeciwieństw: tradycyi monarchicznej, hierarchicznej i arystokratycznej, pod któremi naród żył od lat tysiąca, z demokracyą, dążącą do równości; sztywnej, martwej, biurokratycznej centralizacyi—z samorządem gminnym i prowincyonalnym, bez którego niema swobody; pół-środków, układów, wzajemnych ustępstw, będących naturą parlamentaryzmu,—z jakobińskim absolutyzmem rozstrzygającym najbardziej zawikłane zagadnienia doraźnie i bezwzględnie.

Nie podołała temu zadaniu Francya. Jej parlamentarna Rzeczpospolita szamocze się w konwulsyjnych podrygach. Władza wykonawcza jest ogołoconą z niezbędnej niezależności; prezydent Rzeczypospolitej stał się figurą dekoracyjną, a ministrowie są pokornymi sługami deputowanych. Ci przedstawiciele władzy prawodawczej uzurpują funkcye administracyjne i sądownicze. Wyzyskując skarb publiczny dla prywaty, nie zaspakajają najgwałtowniejszych potrzeb społeczeństwa i państwa, a trwonią ogromne dochody kraju, powiększając jego dług do sum nieprawdopodobnych. Poziom intelektualny i moralny tych izb republikańskich, które miały tak wysokie zadanie do spełnienia, obniża się z każdą nową kadencyą, i kraj zaczyna widzieć w nich plagę.

Możnaby do tych ogólnych zarzutów dodać długi szereg szczegółowych. Podjął się tego zadania pisarz angielski J. E. Courtenay Bodley, którego wyczerpujące dzieło o instytucyach politycznych Francyi, jak się zdaje, posłuży współczesnemu światu za podręcznik do sądzenia Francyi. Chociaż pisarz ten przeżył we Francyi długie lata i zna gruntownie jej społeczność, wydał o niej sąd surowy. Łatwo pojąć, że w oczach Anglika ten pseudo-parlamentaryzm łaski nie znalazł: karci go też bez miłosierdzia. Jeżeli dodamy, że autor obracał się bez przerwy w kołach monarchiczno-klerykalnych i że mu brakuje duchowej sympatyi do demokracyi, jako takiej, to łatwo sobie będzie wyobrazić, że jego dwa grube tomy stały się aktem oskarżenia przeciwko Rzeczypospolitej. Prze-

wodnią jego doktryną jest, że organizm Francyi jest raz na zawsze urobiony na napoleońskiej modle centralizacyi i potężnej władzy wykonawczej. Rewizya konstytucyi w tym duchu wydaje mu się nieodzowną koniecznością.

Wiadomo, że przekonanie to utorowało sobie drogę i do umysłów wielu Francuzów. Ale łatwiej jest wypowiadać swe krytyczne poglądy cudzoziemcowi, niż wprowadzić w czyn doniosłe reformy obywatelom kraju, podzielonego na nieprzyjacielskie stronnictwa o krzyżujących się interesach i sprzecznych ideałach. Nie można przewidzieć chwili, w której Francya zabierze się do reorganizacyi swej machiny państwowej. Ci, co się rwali do takiego dzieła, jak dawniej Boulanger, a obecnie Deroulède, nie byli na wysokości zadania; więcej im chodziło o osobiste korzyści, niż o dobro publiczne. Brakuje Francyi Washingtona. Nie wiedzieć nawet, czy go życzyć jej należy, bo opatrznościowi ludzie nie wyszli jej na dobre. Z drugiej strony wyobrazić sobie trudno, jakby można przeprowadzić roformę konstytucyjną bez wielkich i wpływowych przywódców. Przeciętna wartość mężów stanu w ostatnim okresie nie była wysoką. Rzeczpospolita wydała zaledwie dwie genialne osobistości: Gambettę i Juliusza Ferry. Niema ich na widnokręgu, i dlatego przewidywać można, że przesilenie polityczne nie zakończy się ani dziś, ani jutro.

Pod względem politycznym stan Francyi jest opłakany i nieledwie bez wyjścia. Restauracya dynastyi Burbonów albo cesarstwa Bonapartów nie jest możliwą: zawładnąćby mogły krajem chyba gwałtem albo być jej narzucone przez wroga; znalazłyby rychły koniec w rewolucyjnym wybuchu. Rzeczpospolita parlamentarna okazała się bezsilną do utrzymania społeczeństwa w karbach, do zapewnienia mu nieposzlakowanej administracyi, kwitnących finansów, a pomiędzy nadgniłą rutyną a anarchiczną swawolą kraj żyje z dnia na dzień, coraz bardziej wykolejony i zniechęcony. Rzeczpospolita o silnie skoncentrowanej władzy wykonawczej jest dotąd tylko marzeniem, a w praktyce doprowadziłaby, według wszelkiego prawdopodobieństwa, do despotyzmu wojennego. Pojąć łatwo, że takie położenie rzeczy doprowadza do rozpaczy patryotów o zimnym umyśle, a gorącem sercu, że drażni i niepokoi masy, skarżące się na zło, a nie widzące ratunku.

Francya nie widzi przed sobą jasno drogi, a ponieważ naród ten, urobiony na modle logiki i słonecznej jasności aksyomatów, nie lubi chaosu i chronicznej niepewności, więc niezadowolenie wzrasta. Punkt krytyczny tkwi w tem, że nie nakreślono żadnego planu, że

nie wytknięto żadnego programu wydobycia rydwanu państwowego, ugrzęzłego w bagnie, na twardy i równy gościniec. Zachcianki reform, ale brak jednej woli; mgłe zarysy ulepszeń konstytucyjnych, ale brak zupełnej organizacyi ducha; mnóstwo samozwańczych wielkich ludzi, ale ani jednego istotnego męża stanu, coby kierować potrafił nawą państwową: oto, jak się przedstawia polityczny całokształt Francyi. Jest to zaklęte koło, którego przekroczyć nie śmie i nie umie. Mądry, kto wie, jak się ten ruch w deptaku ukończy.

Aforyzm, że naród ma zawsze taki rząd, na jaki zasługuje, byłby prawdą chyba, gdyby bezwzględna sprawiedliwość rządziła światem. Wiemy, że tak nie jest, i wiemy, że naród francuski znajdzie formę państwową, odpowiadającą jego charakterowi i interesom zbiorowym. Ale, niestety, chwila ta nie nadeszła jeszcze.

Utrata miejsca przyczółkowego, jakie zajmowała Francya w wiecu międzynarodowym, uwydatniła się dosadnie po wojnie 1870 roku. Jest to fakt olbrzymiej wagi. Od epoki, gdy monarchia francuska skruszyła feodalizm za Ludwika XIII, zaczęła przewodzić Europie. Wiadomo, do jakiej wysokości wzniosła się ta hegemonia za samowładnych królów Ludwika XIV-go i XV-go; cywilizacya francuska narzuciła się światu, jako ucieleśniona doskonałość. Zwycięstwa Napoleona nie potrafiły wprawdzie utrzymać pokonanej przezeń Europy pod jarzmem Francyi, ale nie przestawano nam powtarzać, że orły jego rozniosły na swych skrzydłach idee i zasady rewolucyi, co się stała nowym zakonem świata. Francya uważała się aż do dni naszych za naród wybrany, za pomazańca cywilizacyi, dzierżącego w ręku jej pochodnię i wprowadzającego ludy okolne na świetlane szlaki.

Wszystko, co było przesadzonego i niezasłużonego w tych roszczeniach, runęło, jak gmach karciany, po katastrofie, co zdruzgotała Francyę, i zdawać się nawet mogło czas jakiś, że jednocześnie zniknie i to, co było w jej wpływie użytecznego. Reakcya anti-francuska była zawziętą zrazu, ale stopniowo straciła na gwałtowności, i gdy, po oczyszczeniu atmosfery ze swędu i dymu, powrócił świat europejski do równowagi, uznano powszechnie, że Francya zajmuje jeszcze pokaźne miejsce, pokaźne, ale nie naczelne. Nie jest już obecnie pierwszem mocarstwem, a jeżeli wziąć w rachubę materyalne jedynie czynniki, to jest zaledwie czwartem. Wyprzedziły ją Rosya, Niemcy, Wielka Brytania. Pierwsza, podług historycznego słowa, skupia się i przygotowuje do dziejowej akcyi; olbrzymie jej siły przerabiają się w jej wnętrzu i dojrzewają w słu-

sznem przeświadczeniu, że chwila tryumfu ominąć ich nie może. Niemcy, postawiwszy ciężką swą stopę na Europie środkowej, stały się pierwszem mocarstwem militarnem i usiłują wydrzeć Anglii hegemonię handlu, przemysłu i marynarki. Jest tyle energii w młodym organizmie zjednoczonych Niemiec, tyle sił nagromadzonych i taka dyscyplina, że międzynarodowe ich stanowisko zdaje się spoczywać na niespożytych podwalinach. Wielka Brytania nakoniec, pani i władczyni trzeciej części kuli ziemskiej, przedstawicielka rasy anglo-saksońskiej, znajduje się na takich wyżynach, że zostawia z każdym nowym lat dziesiątkiem coraz dalej Francyę po za sobą, jak gwiazdę, dogasającą wśród kosmosu.

Zapatrzona w siebie samą, niedostrzegająca zmarszczek na swem obliczu, przeceniająca swe międzynarodowe znaczenie, a lekceważąca świat postronny, Francya nie potrafiła zrazu zrozumieć nowej konstelacyi, wśród której się znalazła. Ta niespodziewana detronizacya wydała się arcyniesprawiedliwą niewdzięcznością ludzkości; i protestowała Francya przeciwko drugorzędnemu miejscu, na które zepchniętą została, groziła odwetem, szamotała się. Nie wolno ani tej boleści urągać, ani odmawiać współczucia tej zranionej dumie. Ale przyznać trzeba, że było dla niej wielkiem nieszczęściem, iż nie umiała zdać sobie sprawy z nowego stanu rzeczy i że dotąd ciągle jeszcze głowę sobie rozbija o coraz grubszy mur, co się naokół niej wznosi.

Zamiast wytłómaczyć sobie utratę swego przewodnictwa upadkiem swej żywotności we wszystkich prawie działach akcyi społecznej, Francya przypisała ją wyłącznie klęsce wojennej i wskutek tego doszła do fałszywego wniosku, że uda jej się stracone stanowisko odzyskać, zwyciężywszy Niemców i odebrawszy im dwie wydarte prowincye. Biegunową osią polityki francuskiej w ciągu ostatniej ćwierci wieku była wojna odwetowa i zemsta. Poświęciła wszystkie siły ekonomiczne kraju na utrzymanie wielkiej armii. Będzie mowa później o następstwach, jakie taka działalność pociągnęła za sobą w wewnętrznym ustroju Francyi, ale tutaj już trzeba zaznaczyć, że, pomimo utworzenia armii, i licznej, i doskonałej, nie może osiągnąć pożądanego celu.

Miałaby wprawdzie poparcie Rosyi, gdyby Niemcy rzuciły się na nią zaczepnie. Niema jednak obecnie najmniejszego prawdopodobieństwa takiej napaści. Francya ze swej strony nie posiada sił dostatecznych, aby rozpocząć wojnę zaczepną z Niemcami. Musi tedy żuć wędzidło, które sama sobie nałożyła i zaczyna sama sobie zdawać sprawę, że obrała drogę, z której niema wyjścia.

Czem więcej czas zabliźnia jej rany i studzi gorączkę, tem widoczniej znika ślepa nienawiść do Niemców. Przed kilkunastu, ba, przed kilku laty, nie dozwalała opinia mówić o zaniechaniu wojny odwetowej, obecnie myśl sojuszu z Niemcami jest roztrząsana chłodno, jako ewentualność praktyczna.

Nie da się tedy zaprzeczyć, że polityka ościenna Francyi zbankrutowała, i świadomość tylu zmarnowanych sił przytłacza pierś narodu rozczarowaniem i goryczą. Z zazdrością spoglądają Francuzi na potężniejące z każdym rokiem Niemcy, na kolosalny wzrost Wielkiej Brytanii, ale nie mogą ani pogodzić się ze swem drugorzędnem stanowiskiem, ani znaleźć środków do odzyskania dawniejszego. Niema też potrzeby brać dosłownie skarg francuskich na niewdzięczność świata, który nie dozwala jej nadal być apostołem swobody, światła, humanizmu. Historya nie pozwala nam zapomnieć, że Francya przesadza swą rolę w przeszłości. Nie robimy jej z tego wyrzutu, ale pretensye do chrystusowania światu zdają nam się równie przesadzonemi tutaj, jak gdzie indziej. Normalny rozwój świata nie dozwala już obecnie na monopol pierwiastków cywilizacyjnych· ogniska jego błyszczą na stu naraz punktach. Nie może już imponować światu wyższość organizacyi publicznej francuskiej. Wiemy, co się kryje pod szyldem jej Republiki i „nieśmiertelnych zasad 89-go roku.” Oryentacya współczesnych pokoleń nie tylko, że nie wychcodzi z Francyi, ale w wielu razach odwraca się od jej ideałów. Narody nabierają coraz głębszego przeświadczenia, że nie do niej po natchnienie i po nauki zwracać się winny.

Świat dzisiejszy, zaprzątnięty różnorodnemi troskami, zżył się ze stanowiskiem, jakie zajmuje Francya. Od niej samej zależy odbudować swą własną wielkość.

Bezwzględna pochwała należy się pomysłowi Francyi do osiągnięcia tego celu. Ażeby utrzymać się na wysokości wielkiego mocarstwa, przedsięwzięła zdobycz rozległych kolonii, i obok starej, zamkniętej w zmniejszonych kresach, zamierającej kontynentalnej pragnęła stworzyć drugą, nową, zamorską Francyę, odrośl swego szczepu, córę swej cywilizacyi. Myśl to była patryotyczna i podniosła. Nie chcąc wchodzić zbyt ściśle w genezę początków ruchu kolonialnego, trzeba przyznać, że ów energiczny wysiłek narodu, świeżo pokonanego, złożył niezaprzeczony dowód, iż nie zgnuśniały to jeszcze całkowicie i nie odrętwiały naród.

Dosyć jest porównać świat kolonialny francuski za drugiego cesarstwa z obecnym, ażeby skłonić głowę przed wielkością doko-

nanego dzieła. Zdumiewa ono tem więcej, gdy się przypomni, że społeczność cała, zajęta reorganizacyą wewnętrzną i cała wytężona chęcią wojny z Niemcami, wzięła się do niego ospale i sporadycznie. Trzeba było borykać się z najrozmaitszemi materyalnemi przeszkodami, z brakiem armii kolonialnej, kapitałów. Przedewszystkiem jednak akcya kolonialna francuska znalazła się we współzawodnictwie z innemi mocarstwami, dążącemi do takich samych zdobyczy, a w pierwszej linii z Wielką Brytanią. Pomimo pierwszeństwa, jakie ta ostatnia posiadała, i metody, jaką się posługiwała, powiodło się Francyi wykroić dla siebie wśród afrykańskiego i azyatyckiego świata, chciwie rozrywanego na wsze strony, wspaniałe imperyum; Indo-Chiny, Tunetania, tajemnicze Congo, Senegal i nakoniec Madagaskar—oto główniejsze ogniwa tego łańcucha zdobyczy Francyi. Nie wiedzieć, co wyżej w tem dziele podziwiać, czy waleczność armii, czy wytrwałość i bohaterstwo eksploatatorów, czy inicyatywę mężów stanu i gotowych do ofiar obywateli, czy prace przygotowawcze komitetów i towarzystw geograficznych.

Gdyby zdobycze kolonialne oceniać się miały wyłącznie krwią, za nie przelaną, podjętymi trudami, pokonanemi niebezpieczeństwami, i gdyby ich wartość polegała na ilości kilometrów, na których trójkolorowy sztandar powiewa, to należałoby wyciągnąć z utworzenia imperyum francuskiego najpochlebniejszy wniosek o żywotności Francyi. Niestety, jednak inne jeszcze czynniki w grę tu wchodzą, i one właśnie grają rolę pierwszorzędną. Jest rzeczą odmienną zdobyć obszerne terytorya na barbarzyńskiej dziczy, a uorganizować je, jako dodatkową siłę dla metropolii; pierwsza część zadania jest o wiele łatwiejszą od drugiej. Istnieje powszechne przekonanie, że Francuzi kolonizować nie umieją. Napozór to przesada i niesprawiedliwość wydawać taki wyrok apodyktyczny. Nawet w przeszłości są dowody, że Francya umiała zagadnienia kolonizacyjne rozstrzygać. Ale nie można zapomnieć, że istnieją liczne okazy jej nieudolności. Najstraszniejszym jest Algerya, ten kraj cudowny, leżący w oddaleniu kilkunastu godzin od jej wybrzeży, znajdujący się pod władzą Francyi od 70 lat blizko, a którego dotąd ani osiedlić, ani administracyjnie uorganizować, ani ekonomicznie wyzyskać nie umiano. Ciągłe zmiany, brak systematu, niepewność jutra, egoistyczne wyzyskiwanie bogactw przez jednostki a zaniedbywanie interesów najżywotniejszych kolonii uczyniły z Algeryi typ ujemny i wskazówkę, jak kolonizować nie należy.

Zrozumieć łatwo, że kolonizacya nie jest popularną we Francyi

zamiast bowiem przynieść ekonomiczne korzyści, kosztuje ona co rok setki milionów. Ale nie przedsiębrane są środki do osiągnięcia pożądanych rezultatów albo przedsiębrane są częściowo i ospale. Centralizacya, która zamraża żywotność Francyi, rozciąga swą martwą rękę na kolonie. Chmary urzędników, co się rzucają tam, jak szarańcza, powstrzymują samodzielny ich rozwój. System protekcyi celnej staje, jak mur forteczny, przeciwko postępowi ekonomicznemu. Zatrzymuje dla siebie Francya monopol dowozu towarów, a na artykuły, wprowadzane z kolonii, nakłada cła wysokie. Ten potworny egoizm mści się na Francuzach: za miliard franków rocznie kupują u obcych narodów przedmioty, które z własnych posiadłości otrzymywaćby mogli. Inicyatywa mieszkańców kolonii jest tamowana i krępowana na każdym kroku, a osadnicy francuscy, którzy, jak słynny Dupuy w Tonkinie, stwarzają wielkie przedsiębiorstwa, nie znajdują podpory u rządu. Demokracya ścierpieć nie może wielkich towarzystw uprzywilejowanych na wzór angielskich, gdyż wytwarzają olbrzymie fortuny, i wszelkie koncesye udzielane są opornie. Zdaje się, że w obawie plutokracyi wolą marnować i zostawiać ugorem wielkie naturalne zasoby zdobytych krajów. Roboty publiczne, które mogłyby odrazu tchnąć nowe życie w świat kolonialny, zostają przez lata całe w projekcie. Wystarczy wymienić drogę żelazną trans-saharyjską, która, zaprojektowana przed 19 laty, nie wyszła dotąd z powijaków. Nie odrazu Rzym zbudowany, to prawda. A Francuzi mogą na obronę swą powiedzieć, że dokonali wielkich prac publicznych w Tunetanii i że zaczynają się zagospodarowywać w Tonkinie.

Są symptomy, wskazujące, że organizacya kolonialna wejdzie na lepszą drogę. Jest to nieodzownem, gdyż inaczej bankructwo Francyi w tej sferze byłoby haniebnem. Nie trzeba też zapominać, że cały gmach kolonialny francuski jest gmachem w powietrzu. Przy pierwszej wielkiej wojnie europejskiej, w której wzięłaby udział, postradać może swe zamorskie osady raz dla tego, że nie posiada armii kolonialnej, a powtóre, że nigdzie żywioł narodowy francuski nie jest dość silny, aby stawić opór potężnemu wrogowi. W zeszłym roku sama Francya pojęła niebezpieczeństwo, jakie ściągnęłaby na siebie, upierając się przy utrzymaniu się na wybrzeżech górnego Nilu, gdy straciła i dolny i średni. W jaskrawem świetle ekspedycyi Marchand'a ukazały się światu wszystkie usterki kolonizacyjnej polityki francuskiej. Konwulsyjne podrygi i spazmatyczne ruchy, chaos i rutyna muszą bez straty czasu ustąpić miejsca jasno wytkniętej me-

todzie, uporządkowanej organizacyi i postępowym reformom. Tak, jak dzisiaj całe to zagadnienie przedstawia się oczom badacza, nie przemawia ono na korzyść Francyi i zmusza do stwierdzenia, że na tem polu, tak samo jak na wyżej wzmiankowanych, istnieje rozdźwięk i brak harmonii pomiędzy celem a środkami.

Jeżeli niepowodzenie osad kolonialnych jest pożałowania godne pod względem ekonomicznym, to przybiera dla Francyi znaczenie tragiczne pod względem narodowym. Naród francuski wymiera; rodzajność jego nie tylko nie zwiększa się, jak w Niemczech i Wielkiej Brytanii, ale upada. Jeżeli w miarę postępu cywilizacyi poziom jej się ujednostajnia i różnice dawniej jaskrawe pomiędzy narodami zacierają się, to oczywista, że pierwsze miejsce pomiędzy jednakowego poziomu państwami przypadnie tym z nich, które będą miały największą liczbę obywateli.

Francya nie może współubiegać się pod tym względem ani z Wielką Brytanią, ani z Niemcami, ani z Rosyą. Pierwsza posiadała tak samo, jak Francya, 38 milionów mieszkańców w 1891 r., ale w ciągu ostatnich lat dziewięciu powiększyły ją o 3 miliony i liczy już teraz 41 mil.; Niemcy, które w 1890 r. miały 49 mil., mają obecnie 54 mil.; Rosya liczyła w 1897 r. 129 mil. w samej tylko Europie. Prześcignięta już obecnie coraz bardziej pozostawać będzie w tyle, gdyż ludność jej nie tylko, że się nie zwiększa w tym samym stosunku, ale nie okazuje dążności do powiększania się. W 1886 r. posiadała 37,886,596 mieszkańców; w 1891 — 38,133,385; w 1896—38,342,948. W ciągu lat pięciu powiększyła się ludność Francyi tylko o 209,000, czyli o 40,000 rocznie.

Na każdych 1000 mieszkańców rodzajność wynosi we Francyi tylko 22,4. Jest to fakt zastraszający. Dobrobyt wzrasta, długość przeciętna życia idzie w górę, ale procent rodzajności, który przed dziesięciu laty była jeszcze 22,7, wynosi obecnie 22,4. Jeżeli taki stan rzeczy trwać będzie przez lata następne, Francya straci swe obecne międzynarodowe stanowisko. Już niedawno Freycinet, minister wojny, oznajmił, że Francya nie może myśleć o dalszem zwiększaniu swej armii w tym samym stosunku, w jakim zwiększają ją Niemcy: nie pozwala na to ludność. W innych sferach działalności państwowej ten zastój rodzajności będzie manifestował się wolniej i pozwoli jeszcze Francuzom łudzić się co do swej potęgi. Ale oddawna już wszystkie bystrzejsze umysły pokazują Francyi, że tam leży największe jej narodowe niebezpieczeństwo.

Niema potrzeby szukania powodów tej upadającej rodzajności. Jest rzeczą niezawodną, że żadne reformy prawodawcze, nawet

zmiana prawa spadkowego, nie potrafiłyby zaradzić złemu. Jest to kwestya moralna, kwestya obyczajów. Raz postawiwszy ją na tym cokole, jest się przygniecionym wielkością zadania. Jak zreformować obyczaje społeczności? Trzebaby postawić przed nią wysoki ideał zaparcia się swych indywidualnych zamiłowań i interesów w imię pomyślności ojczyzny nie dzisiejszej, ale oddalonej, abstrakcyjnej; trzebaby stłumić cyniczny egoizm, powstrzymać rozpustę, przeciwstawić sybarytyzmowi życie jędrne, o niestrudzonej działalności; trzebaby wpoić przeświadczenie w rodziców, że, zamiast mieć dwoje dzieci zamożnych, ale zamkniętych w ślimaczej skorupie, lepiej jest wychować ich tuzin i puścić ich w świat o własnych skrzydłach. Trzebaby... ale poco wyliczać tę akcyę reformatorską, którą należałoby prowadzić w każdem domowem ognisku. Przy najwyższym optymizmie niepodobna przypuścić, aby odrodziła radykalnie społeczeństwo francuskie. Co najwyżej marzyć można, że ludność Francyi nie będzie upadać, lecz utrzyma się na poziomie obecnym.

Skoro Francuzi na swej ziemi zagospodarowanej, mlekiem i miodem płynącej, nie chcą płodzić większej liczby dzieci, to do zachowania narodowi jego stanowiska dwa tylko ukazują się środki zaradcze. Jednym z nich jest osiedlanie się po koloniach, a przy łatwych środkach materyalnego bytu—stwarzanie tam licznych rodzin, mnożenie ilości obywateli przez stopniowe przypuszczanie autochtonów do uczestnictwa w cywilizacyi francuskiej. Widzieliśmy, że Francuzi nie śpieszą się do zaludniania swych kolonii, które są osadami urzędniczemi, które mogą się stać rynkami handlowymi, ale nie staną się nigdy rozsadnikami rasy. Pozostawałby zatem tylko środek drugi: nadawanie szerokie i szczodrobliwe indygenatu obywatelstwa cudzoziemcom, osiadającym we Francyi. Wiadomo, że Paryż staje się przez napływ przybyszów obconarodowych coraz bardziej kosmopolitycznem miastem; i wiadomo także, że departamenty pograniczne przyciągają do siebie coraz większą ilość Belgów na północy, Niemców na wschodzie, Włochów na południu. Ale nie należy zapominać, że robotnik francuski patrzy z niechęcią na tych przybyszów, obniżających stopę zarobku, i że wszystkie warstwy społeczeństwa mają względem cudzoziemców uprzedzenia, żeby niepowiedzieć—wstręt. Oburza ich myśl wciągnięcia do organizmu narodowego tych przedstawicieli innych ras i zakłócenia raz na zawsze czystości krwi francuskiej, geniuszu francuskiego. Opinia nie sprzyja takiej naturalizacyi, i prawodawstwo, zamiast ułatwiać, najeża ją trudnościami bez liku.

Skoro na starym pniu narodowym coraz mniej świeżych wystrzela gałązek i skoro obcych soków wprowadzić doń się nie śpieszą, to staje się coraz trudniejszą do rozwiązania zagadką, jak zmniejszająca się rasa francuska wytrzymać potrafi konkurencyę życiową z energiczniejszym współzawodnikiem.

Szukając przyczyn bezpłodności rasy francuskiej oraz innych oznak jej rozkładu wewnętrznego i upadku moralnego, natrafimy nieodzownie na alkoholizm. Oto jedna z plag najokrutniejszych, jaka rozsrożyła się nad tym narodem, niwecząc jego zdrowie fizyczne, zaćmiewając duchowe, wykolejając umysłowe. Francya, ten kraj, ongi słynny ze wstrzemięźliwości, łagodnych obyczajów i towarzyskiego poloru, rozpija się, dziczeje, posępnieje. Zastępując używanie wina, napoju stosunkowo nieszkodliwego, przez alkohol w rozmaitych jego trujących formach, Francya schwyciła, rzec można, za broń samobójczą.

Podczas, gdy społeczności, osiadłe w klimacie zimnym, umożliwiającym i poniekąd usprawiedliwiającym używanie gorących trunków, jak Anglia, Szwecya, Rosya, dokładają wszelkich starań, aby zmazać ciążącą na sobie skazę opilstwa i bądź drogą stowarzyszeń wstrzemięźliwości, bądź drogą monopolu państwowego osiągają dodatnie rezultaty, Francya, przeciwnie, coraz głębiej brnie w otchłań pijaństwa.

W Niemczech w ciągu ostatnich lat siedmiu konsumcya alkoholu spadła z 8 litrów na mieszkańca na 4; w Szwajcaryi z 5 litrów na 3; w Danii z 10 litrów na 7; w Kanadzie z 3 litr. na 1; w Norwegii z 8 litrów na 1; w Szwecyi w ciągu lat sześćdziesięciu z 23 litrów na 3; w Anglii z 3 litr. na 2; we Włoszech z 0,85 na 0,35. O Rosyi mówić jeszcze zawcześnie, ale wprowadzenie monopolu wódczanego oddźwięknie pomyślnie w tym samym kierunku. Francya jest jedynym narodem, idącym w odwrotnym kierunku. W 1830 r. przypadał na osobnika 1 litr alkoholu, w 1898—5 litrów! W 1830 roku było we Francyi 280,000 szynków; w 1890 r. 413,000; w 1897 — 500,000. W Paryżu jest jeden szynk na trzy domy; w departamencie Nord na 15 dorosłych ludzi jest jeden szynkarz. Przy swobodzie wypalania okowity liczba gorzelników, wynosząca przed dwudziestu laty 150,000, wzrosła do 900,000. Są fabrykanci, koczujący z przenośnym alembikiem; w 1872 r. było ich 800; obecnie jest ich przeszło 2,000. Dwa miliony hektolitrów zadeklarowanych przedstawiają 5 milionów hektolitrów gorzałki czyli 50 mil. konsumcyi. Gdy dodamy do tej urzędowej cyfry alkohol niezadeklarowany i wprowadzany bez cła, wówczas zdamy sobie sprawę z postępów pijaństwa we Francyi.

Napróżno twierdzą Francuzi, że olbrzymia konsumcya alkoholu jest następstwem filoksery i ruiny winnic krajowych. Wiemy już, że epidemia ta należy do przeszłości, i że produkcya wina nie tylko powróciła do dawnej skali, ale ją przeszła. Przyznając, że społeczność nie potrafi odrazu wyrzec się zastarzałego nałogu, pragnęlibyśmy widzieć choć częściowe oznaki powrotu na dobrą drogę. Ale go nie widać. Robotnicy, których zarobek się podniósł, spędzają coraz więcej godzin w szynkach; warstwy niższego mieszczaństwa, które stanowiły zdrowy i czerstwy rdzeń narodu, zdradzają już to samo upodlenie. Przesiadywanie w kawiarni i zalewanie się absyntem oddziaływa nieprodukcyjnie na ich zajęcia, a zabójczo na trzeźwość i równowagę umysłu. Coraz większa liczba chorych po szpitalach z nadużycia gorących trunków, coraz więcej dzieci, spłodzonych w stanie opilstwa i przynoszących z sobą na świat jadowity zarodek, coraz więcej przestępstw i zbrodni, popełnionych pod wpływem alkoholu, coraz więcej ludzi, niezdolnych do pracy, wykolejonych, wzmagająca się ilość waryatów i szkodliwszych jeszcze dla społeczeństwa pół-waryatów, na pozór za czyny swe odpowiedzialnych, ale działających, jak szaleńcy, pod wódczanymi oparami: oto co wskazuje statystyka lekarska i kryminalna.

Istotnie rozpacz ogarnia na myśl, że Francya nie podejmuje żadnego energicznego usiłowania do podniesienia się z upadku, że nie czuje swego pohańbienia. Istnieją wprawdzie towarzystwa wstrzemięźliwości, ale gdy się ich działalność porówna do tej, którą takie towarzystwa rozwijają w innych krajach, a przedewszystkiem w Wielkiej Brytanii, wówczas luźność ich organizacyi i nieudolność propagandy uprzedzają z góry, że rezultatów dodatnich nie osiągną.

Władze publiczne nie stanęły do walki z pijaństwem; przeciwnie, uczyniły, co mogły, aby je rozszerzyć. Cały szereg dowodów poprzeć może to nieprawdopodobne twierdzenie. Dość będzie przypomnieć, że prof. Alglave, wynalazca systemu monopolu państwowego na alkohol, jest Francuzem i rozpoczął był agitacyę, aby wprowadzić go w ojczyźnie, której oddałby podwójne usługi, skarbowe i moralne. Ale zmuszony był wyrzec się nadziei urzeczywistnienia swego planu. Przyjęły go i przyjmują jedne narody po drugich, ale nie troszczy się oń Francya dlatego poprostu, że interesy prywatne są przez swą koalicyę silniejszymi od publicznego. Izba poselska na każdej swej kadencyi podejmuje kwestyę swobody gorzelnictwa, zdejmuje z niego pęta i społeczność rozpija,

ale ich wyborcy, pędzący okowitę, robią fortuny. Bezprzykładne powiększanie liczby szynków także tę samą ma przyczynę. Szynkarz jest wpływowym ajentem wyborczym; nie tylko, że go nie krępują, ale powiększają szeregi tych użytecznych działaczy. Władza wykonawcza zbyt słaba, aby się oprzeć izbie poselskiej i w zależności służebniczej od niej nie ośmiela się stawić czoła. Ilekroć ukaże się częściowy jaki projekt reformatorski, znika, zmiażdżony w powijakach.

Mówiliśmy wyżej w ogólnych zarysach o przesileniu politycznem Francyi. Widzimy, jak się szamoce konwulsyjnie i jak przypartą jest do drogi bez wyjścia. Są różne przyczyny tego chorobliwego fermentu. Podnieść tu wystarczy dwa czynniki społeczne pierwszej wagi, które stanęły w zatargu z tym abstrakcyjnym typem Rzeczypospolitej demokratycznej, który Francya urzeczywistnić zamierzyła. Mam na myśli militaryzm i klerykalizm.

Organizm republikański zadawalniać się powinien gwardyą narodową do przestrzegania wewnętrznego porządku. Ale doktryna ta, nieposzlakowana w teoryi, z trudnością da się zastosować w praktyce. W każdym razie rzeczpospolita francuska nie kusiła się o jej zachowanie. Przyszła na świat wśród strasznej wojny, i armia jej okazała się niedostateczną do zabezpieczenia kresów ojczystych. Pierwszem, instyktownem nieledwie staraniem jej było utworzenie nowej, potężnej armii. Wiadomo, że wywiązała się z tego patryotycznego zadania znakomicie. Przez blizko trzy dziesiątki lat naród bez przerwy sypał miliardy po miliardach na udoskonalenie służby wojskowej. Czem cięższe były ofiary, które ponosił, tem droższą stawała się armia jego sercu. Stronnictwa polityczne darły się jedne z drugiemi zaciekle, ale na tym jednym punkcie działały po bratersku. Opozycya milkła, gdy o nią chodziło.

I przyszło, jako naturalne następstwo działalności, systematycznie wytężonej w jednym i tym samym kierunku, że armia stała się dla Francuzów rodzajem bożyszcza. Ona jedna ukazywała się czysta, niewzruszona, stoiczna, wśród bezustannej fluktuacyi, wśród szalonego miotania się stronnictw, wśród skandalów i brudów, co upadlały inne zawody. W oczach narodu członkowie armii byli wyższymi od reszty obywateli, byli pierwszymi sługami ojczyzny, jej zbawcami.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że we Francyi powinność wojskowa jest obowiązkową, to możemy patrzeć na ten kult, emfatycznie jej składany, jako na zbiorowe uwielbienie siebie samego. Ale wyjątkami byli ci, którzy poważyli się robić zastrzeżenia i wy-

tykać przesadę w tem ubóstwianiu armii: potępiano ich natychmiastowo za brak patryotyzmu i karcono, jako zdrajców. Było też rzeczą nieuniknioną, że w łonie tej armii, której palono kadzidła, wyrobiło się poczucie swej wysokiej moralnej wartości. Odsunięta od walk politycznych nie stała się wprawdzie pretoryańską, nie występowała przeciwko swobodom publicznym, ale nie czuła się jednolitą w duchu z narodem. W łonie tej potężnej instytucyi wyrabiać się musiał nieodzownie nastrój odrębny, zawodowy, militarny. Przeciwieństwa, jakie istnieją między dążnościami i zasadami społeczności cywilnej a organizmu wojskowego, nie podejrzewano aż do ostatnich czasów. Uderzyć musiało oczy wszystkich dopiero z powodu sprawy Dreyfusa; jej potężne znaczenie polegało na tem właśnie, że tu po raz pierwszy ujawniła się sprzeczność umysłowego i etycznego nastroju ducha pomiędzy społecznością demokratyczną a armią, stojącą na hierarchii i dyscyplinie ślepej i niemej.

Starcie było szorstkie, i zdumionym oczom ukazały się ponure, groźne figury wojskowe, które zatrzymały się nad krawędzią buntowniczej akcyi. Spadła naraz zasłona nad niedogranym dramatem, i społeczność stanęła przed tajemniczym znakiem zapytania. Jedna rzecz jest pewną, że skończyły się miodowe miesiące pożycia pomiędzy żywiołem militarnym a Rzecząpospolitą. Konflikt interesów ukazywać się będzie w przyszłości coraz wybitniej. Armia rwie się do działalności, do wojny. Żyła nadzieją wojny odwetowej przeciwko Niemcom. Nie tylko, że widoki tej wojny zmniejszają się z każdym rokiem, ale oryentacya polityczna Francyi staje się coraz bardziej zwróconą w innym kierunku. Armia, stworzona dla tego celu, okazuje się nieużyteczną, gdy cel znika.

Jedna jeszcze strona zagadnienia winna być wziętą w rachunek. Budżet francuski wynosi trzy i pół miliarda rocznie. Przy tak niewielkich dochodach najważniejsze potrzeby narodu nie mogą być zaspokojone z braku funduszów. Jeden miliard pochłania armia, a drugi idzie na opłacenie procentów od długów, zaciągniętych dla jej organizacyi. Zbliża się chwila, gdy społeczność nie zechce wyniszczać się dłużej na utrzymanie sił wojskowych, które przewyższają jej potrzeby. Dla obrony kresów narodowych, dla zabezpieczenia posiadłości kolonialnych wystarczyłaby połowa obecnej armii.

Prawda ta narzuci się coraz jaskrawiej przekonaniom Francyi. Kwestya oszczędności w wydatkach na armię i kwestya liczebnego jej zmniejszenia są zbyt drażliwe, aby się śpieszono z ich podniesieniem. Ale i dla nich wybije godzina. To, co obecnie mówi się

pocichu, w poufnych kołach, rozbrzmi na mównicach publicznych. I wtedy problemat tragiczny stanie przed Rzecząpospolitą. Ażali armia, jej ukochane i zepsute pochlebstwami dziecko, zechce postradać swe dominujące stanowisko i dobrowolnie poddać się amputacyi? Ażali nie oskaży republiki, że wyrzeka się roli wielkiego mocarstwa i nie odda się na usługi Cezarowi, coby Francyi jej straconą hegemonię powrócił? Ażali swym osobistym interesem nie przesłoni istotnych potrzeb ojczyzny? Przyszłość rozwiąże ten problemat tak lub owak. Ale dzisiaj już, w samem przewidywaniu takiej katastrofy, zasępia się oblicze światłych obywateli.

Obok militaryzmu wymieniliśmy klerykalizm. Niebezpieczeństwa i rozstrój społeczny, jaki on z sobą przynosi, są tem delikatniejszej i draźliwszej natury, że wkracza się tutaj w świętą, niedostępną sferę religijną. Religia a klerykalizm to nie jedno i to samo, ale nieszczęście mieć chce, że we Francyi tak się one z sobą splotły i poplątały, że, występując przeciwko jednemu, uchodzi się za przeciwnika drugiej. Istotą religii jest stosunek człowieka do Boga, wyjaśnienie tego stosunku, utwierdzenie w wierze i zapewnienie przez nią szczęścia na tej ziemi, a zbawienia po za grobem. Odwołuje się ona do sumienia, do duchowych natury ludzkiej czynników, oczyszcza i podnosi poziom moralności indywidualnej i społecznej. Nie wkracza ona bynajmniej w sferę polityki i interesów materyalnych; jej królestwo nie jest królestwem tego świata. A właśnie o ten idzie stronnictwu klerykalnemu. Nie troszczy się ono o władzę nad duszami, ale o władzę nad społeczeństwem, nad państwem. Religia służy mu za parawan i narzędzie. Głęboko przeświadczone, że posiadło bezwzględną prawdę, stronnictwo klerykalne uważa się, jako uprawnione do narzucenia swego ideału społeczności. Rządy teokratyczne nie są już w naszych czasach możliwe, ale stronnictwo klerykalne nie wyrzekło się nadziei narzucenia narodom swej klauzuli. Za środki uważa przedewszystkiem oświatę i wychowanie publiczne. Gdyby potrafiło przez kilka pokoleń z rzędu wychowywać społeczność w swych zasadach, ani wątpić, iż urobiłoby duch narowy na swoją własną modłę. Instytucye socyalne, dobroczynne, polityczne, forma rządowa nakoniec są popierane lub zwalczane w miarę, jak odpowiadają widokom stronnictwa klerykalnego lub jak im się sprzeciwiają.'

Łatwo zrozumieć, że sympatyzuje ono żywiej z monarchią, niż z Rzecząpospolitą. We Francyi samo pojęcie Republiki rodziło obawę prześladowania religii. Niechęć, jaką duchowieństwo okazywało jej, daje się pojąć, i historya ostatniej ćwierci wieku zapisała tę

walkę na każdej swej stronicy. Rzeczpospolita podjęła ciśniętą sobie rękawicę i zagrodziła drogę akcyi zaczepnej klerykalizmu. Nie potrzeba przypominać rozwiązywania zgromadzeń zakonnych, odjęcia Kościołowi wielu uświęconych tradycyą przywilejów, pozbawienia go honorów i dochodów, utrudnienia istnienia szkół i zakładów wychowawczych, prowadzonych przez duchownych, faworyzowania systematycznego szkół państwowych, laicyzacyi szpitalów i instytucyi dobroczynnych.

Taki stan rzeczy przez samą swą trwałość musiał spotęgować rozdrażnienie zobopólne i rzucić w łono społeczeństwa zatrute pierwiastki fanatyzmu i tyranii. Najpowierzchowniejszy spostrzegacz zdać sobie musi sprawę ze żniwa, jakie one spłodziły. Na pozór panuje spokój. Na rozkaz Stolicy apostolskiej duchowieństwo wyrzekło się swego nieprzyjacielskiego usposobienia przeciwko Rzeczypospolitej i zaprzestało otwartej przeciwko niej wojny. Ale nie tylko, że duchowieństwo, w naturalnej swej obronie interesów Kościoła, w gruncie rzeczy usposobienia swego nie zmieniło, lecz obok niego wytworzyło się stronnictwo klerykalne cywilne, walczące rzekomo w obronie religii i Kościoła, w istocie zaś dążące do pochwycenia całej organizacyi narodowej w swe ręce i do położenia na nim piętna anti-rewolucyjnej reakcyi.

Niema na całym obrębie cywilizowanym świata kraju, gdzieby przeciwieństwo doktryn, zasad i taktyki było tak wybitne i tak jaskrawe, jak to jest we Francyi. Z jednej strony stoi społeczność, nie tylko pozbawiona żywej religijnej wiary, ale na wskroś sceptyczna, nie uznająca roli przewodniczącej Kościoła, harda i butna, gotowa do poskramiania każdej organizacyi, która zagraża zwierzchnictwu państwa cywilnego. Z drugiej strony — stronnictwo, usiłujące podkopać jego wszechwładzę, prowadzące żarliwą propagandę na rzecz instytucyi kościelnych. Walka pomiędzy tymi dwoma kierunkami jest nieprzerwaną; niema gminy, gdzieby nie dzieliła mieszkańców, niema rodziny, gdzieby nie zatykała swego sztandaru. Ze wszystkich namiętności, jakie się w duszy człowieczej wyłądz mogą, najpotężniejszą jest religijna. Morze krwi rozlała za nią ludzkość. Francya szarpie nią swe własne łono. Nie dziwota, że to pochłania i paraliżuje jej działalność, jej soki życiowe.

Można przewidywać, stosownie do swych przekonań i nawet do swych sympatyi, odmienne zakończenie tego boju pomiędzy dwoma sprzecznymi pierwiastkami, ale jeden tylko nie zapowiada się, jako możliwy, a byłby on właśnie najużyteczniejszym chwilowo — mianowicie zawieszenie broni pomiędzy przeciwnikami.

Nie pozwala na to krewkość temperamentu francuskiego i fanatyzm czarny lub czerwony, który się rozkrzewił ogólnie. Widzieliśmy niedawno rozigraną, rozbestwioną, niesforną tłuszczę, rzucającą się w Paryżu na jedną ze świątyń Bożych i niszczącą ją sromotnie. Przewidywać to pozwala, w razie potężnego rewolucyjnego wybuchu, ohydne napaści i zbrodnie, popełniane na członkach Kościoła. Nie można także pominąć milczeniem fanatyzmu religijnego, który się rozwija przez propagandę agitatorów klerykalnych. Protestanci są wytykani, jako nieprzyjaciele ojczyzny, Żydzi prześladowani i lżeni. Antysemityzm, nieznany uprzednio na ziemi francuskiej pasorzyt, jest już dzisiaj czynnikiem, z którym rachować się trzeba. Sama przyzwoitość nie dozwala wzmiankować o haniebnych wybrykach krańcowej prasy klerykalnej, która się zamanifestowała w piśmie *Croix*.

Symptomaty, które uderzają swem gorączkowem rozdraźnieniem, mogą chwilowo osłabnąć, zbladnieć, ale nie znikną. Nagromadzona lawa znaleźć sobie będzie musiała ujście. Oparta na odwiecznej, niewzruszonej opoce akcya Kościoła spogląda z litością na nietrwałe instytucye polityczne i wie, że będzie mogła ich koniec przyśpieszyć. Nie brakuje jej do tego środków, a dość przyjrzeć się szybkiemu przeobrażaniu się ducha francuskiego pod wpływem systemu wychowawczego i wpływu duchowieństwa, aby zrozumieć, że obecny ustrój polityczny i społeczny Francyi wystawiany będzie na coraz silniejsze pociski. Gdy się porówna usposobienie religijne narodu w końcu XVIII i w końcu naszego stulecia, wówczas zmiana sytuacyi wywołać musi zdumienie. Tryumf całkowity reakcyi kościelnej wywoła wprawdzie jakobiński odwet z biegiem czasu, ale właśnie te konwulsyjne podrygi zachmurzają widnokrąg najbliższy i odsuwają harmonijną, promienną syntezę do dalekiej, bardzo dalekiej przyszłości.

Niema sfery działalności publicznej we Francyi, gdzieby nas nie uderzał brak energii i żywotności reformatorskiej. Jak trzeba było ćwierci wieku, ażeby znieść ruiny gmachów, obróconych w perzynę przez Komunę, albo do wybudowania drogi żelaznej metropolitalnej w Paryżu, tak samo wszędzie uderza przewaga rutyny i obracanie się w zaklętem kole. Nic nie jest dalszem od prawdy, jak oskarżanie społeczeństwa francuskiego o skłonność do przewrotów rewolucyjnych: Chińczycy są chyba bardziej skamieniali w jałowych formach przeszłości. Nie jeden, ale setki przykładów, przytoczyćby można, wykazujących, że Francya nie może dźwignąć się do energicznego męskiego wysiłku. Armia kolonialna jest niezbę-

dnie potrzebną po utworzeniu olbrzymich posiadłości kolonialnych. Siedemnaście projektów prawodawczych przedłożono z kolei Izbom: żaden dotąd nie został urzeczywistniony. Od ćwierci wieku ustrój szkolny ma być zreformowany, i ten egzamin na bakałarza, który ogłupia młodzież i paraliżuje jej rozwój intelektualny, ma być zniesiony: wszystko skończyło się na skargach. Przy długu narodowym, wynoszącym 36 miliardów, i rocznym etacie 3 miliardów 500 milionów reforma systemu podatkowego i zaprowadzenie podatku od dochodu narzuciły się przekonaniom finansistów, jako nieodzowne: odkładane są z roku na rok. Marynarka kupiecka została zrujnowaną przez zacofany system protekcyi ekonomicznej: nie zabierają się do jej odbudowania. Wielkie roboty publiczne, jak kanał pomiędzy Atlantykiem a morzem Śródziemnem, jak uczynienie Paryża miastem portowem przez uspławienie Sekwany, jak kanalizacya Rodanu, jak droga żelazna trans-saharyjska, są na porządku dziennym, podnoszone są raz po raz, roztrząsane wszechstronnie i... składane *ad acta*.

Państwo nie może podołać wszystkiemu, a społeczność nie chce przedsięwziąć niczego. Jednostki, spętane przez regulaminy administracyi, zmrożone przez centralizacyę władz, nie biorą się do dzieła. Na każdym kroku uderza zastój. Niema produkcyjnej akcyi; wszędzie widać bezładną agitacyę. Żyć kosztem etatu państwa, gnuśnieć w ciasnej sferze przy małych, ale zabezpieczonych dochodach, stało się ideałem społeczeństwa. Heroiczne wysiłki, wielkie przedsięwzięcia, szeroka propaganda o celach humanitarnych stają się coraz rzadszymi i piętnują biorące się do nich jednostki znamieniem ośmieszonego donkiszotyzmu. Zimny scepcytyzm nietoperzem skrzydłem zawisł nad społeczeństwem. Gruby materyalizm i używanie dostatków: oto dominujące zasady. Piśmiennictwo i teatr o wyuzdanej niemoralności przyczyniają się do obniżenia duchowego poziomu. Sztuki piękne o rozwalniającym swym wpływie nabrały przesadzonego znaczenia. Zabawy i rozrywki, nawet pospolite i wstrętne, ogniskują około siebie wszystkie warstwy towarzyskie. Walki byków, niedawno jeszcze nieznane we Francyi widowiska, zdobyły sobie prawo obywatelstwa. Zabrania je wprawdzie prawo, ale, ulegając wrzawie rozpasanej tłuszczy, rząd abdykuje i zamyka oczy na bezprawia. Możnaby jeszcze wymienić brak poszanowania dla prawa, faworytyzm i nepotyzm, osłaniający wybryki i nadużycia, swawolę wyuzdanych jednostek, żywy popęd do otrzymania synekur i uprzywilejowanych stanowisk, a uchylanie się od obowiązku i t. d.

Jeżeli istnienie tego rozstroju nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, to jasną jest rzeczą, że nie jedna i nie doraźna przyczyna, ale skomplikowane i długotrwałe współdziałanie mnogich pierwiastków taki stan patologiczny wywołało. Samo z siebie wynika, że różnie różni radzą lekarze. Jedni dopatrują się źródła choroby w republikańskiej formie rządu i głosowaniu powszechnem, które, wyzwoliwszy ryczałtowo masę niewykształconą, wprowadziły rydwan państwowy na bezdroża. Ich zdaniem, monarchia mniej lub więcej despotyczna, i prawo do udziału w sprawach publicznych, ograniczone do drobniejszej ilości podnioślejszych osobników, wyratuje Francye z otchłani. Inni marzą o zastąpieniu centralizacyi przez samorząd, ale ten ostatni pojmują jedynie, jako przeniesienie atrybucyi urzędniczych ze stolicy na prowincyę. Tym się zdaje, że szeroki rozwój oświaty, oświaty *integralnej*, wytworzy nowe pokolenia, zagrzane duchem obywatelskim. Stronnictwo klerykalne, ubolewając nad upadkiem wiary religijnej, chce ją narzucić narodowi i ciska rękawicę objektywnej wiedzy, wyrzucając jej bankructwo i zaprowadzenie obłąkanego przez siebie społeczeństwa na bezdroża bez wyjścia. *Caetera censeo.*

Łatwiej jest o wiele stwierdzić chorobę organizmu francuskiego, aniżeli znaleźć na nią lekarstwo. Nawet tak znakomici i bystrzy pisarze, jak Anatole France i Gaston Deschamps, nie są w stanie, po przeprowadzeniu nieubłaganej analizy społeczeństwa i po sformułowaniu istotnego aktu oskarżenia, wystąpić z jakąkolwiek radą praktyczną. Nie można, zaprawdę, uważać za takową recepty, podanej przez ostatniego z wymienionych dwu pisarzy: Francya ma się zagłębić w studyowanie swej przeszłości i w cnotach swych przodków czerpać zachętę do ich naśladowania. Jest to sentymentalny ogólnik — nic więcej.

Z tej niemożliwości zakreślenia przed narodem drogi, którąby doszedł do zdrowia moralnego, wyciągnąć można wniosek, że nie dostrzegła jeszcze Francya całego niebezpieczeństwa, które jej zagraża. Po trzykroć w swym historycznym rozwoju, po upadku za czasów Karola VI, po panowaniu Henryka III-go i po bankructwie absolutyzmu w XVIII-ym stuleciu, potrafiła się Francya podnieść i odmłodnieć. Miejmy więc nadzieję, że uczyni to i teraz, zadając kłam tym, co zapowiadają jej podział albo wskazują jej taką przyszłość, jaką miały urocze Ateny wobec dźwigającego się olbrzyma mocarstwa rzymskiego.

M. E. Trepka.

PONAD SIŁY.*)

POWIEŚĆ.

ROŻDZIAŁ XV.

Wielki bal u marszałka sejmu....

Wszystkie świetności miasta i cały nazwany przez Koczalską „lepszy” świat stanął w salonach przedstawiciela autonomicznej władzy, mianowanego przez cesarza z miejscowej arystokracyi.

Przejście przez salon marszałkowski dawało list żelazny do wszystkich salonów Lwowa.

Nie brakowało nikogo.

Zajechali przed bramę i razem weszli uśmiechnięty, pełen animuszu i swobody, dyrektor i młody przemysłowiec, nerwowy w ruchach, pełen naturalności i zadumy melancholijnej w ciemno niebieskich o powłóczystem spojrzeniu oczach, w których paliła się energia i miękkość, — siła ukrytych namiętności i poezya.

Otoczenie robiło im miejsce, przedewszystkiem dyrektorowi, trzymającemu kredyt w swych rękach, a również dla wschodzącej

*) Ob. „Ateneum“, styczeń — marzec, 1900 r.

gwiazdy, dla przyszłego milionera, któremu prasa torowała i gładziła ścieżki do sławy, a ludność witała, jako przyszłego księcia Lubeckiego dla Galicyi. Na jego widok wszystkie się twarze uśmiechały.

— Moćdzieju, jesteś dziś królem tego salonu, my w kąt przy tobie, rzekł radośnie dyrektor. Cieszy to mnie, szczęście do ludzi — połowa zwycięstwa.

Marszałek z wyciągniętemi rękoma szedł od połowy salonu do Tadeusza.

— Jesteś pan, jakże ci jestem wdzięczny. Wszystkie kobiety pragną cię poznać i niecierpliwią się, a jak pewno wiesz, nie lubią czekać.

Uściskał go, wsunął mu rękę pod ramię i wprowadził w gromadkę młodych dam, otoczoną młodzieżą. Wśród nich stała Marya, wytwornie, a nawet z wdziękiem zalotności ubrana. Widocznie chciała być dziś piękną i, jeżeli nie biła w oczy urodą, to wdziękiem serdeczności, rozumem na prostem czole, a głębiami nieśmiertelności w oczach ciągnęła szlachetnych i wybranych — ciągnęła ludzi....

Marszałek wszedł w koło, przezentując głośno Tadeusza.

— Resztę zdobywaj sam, powiedział wesoło, jak zdobywasz bogactwa naszej ziemi, ja muszę wrócić do obowiązków. Jeśli lubisz tańczyć i odświeżyć myśl w towarzystwie kobiet, zostań po jedenastej....

Tadeusz zwrócił się do Maryi, przywitali się, jak starzy znajomi, serdecznie i szczerze.

— Czy jesteśmy na pustyni? zapytał po angielsku przyciszonym głosem.

— Nie, nie, odpowiedziała cicho, połowa moich towarzyszek mówi tym językiem wybornie. Wszak wiesz, że to cała nasza mądrość i odróżnienie się z tłumu... Gdy wzrok przesuwam po zebranych, a potem spojrzę na ciebie, czuję się dumną z wyboru. Jesteś jeden niezależny wśród tego tłumu niewolników. Napisane masz to na białem czole, w głębiach twych oczu i uśmiechu ludzkim, uśmiechu człowieka.

— Uprzedziłaś mnie, rzekł serdecznie, bo to ja powinienem złożyć u twych stóp mój zachwyt.

— Podobam ci się, przerwała, postarałam się oto, aby dziś zwyciężyć węgiel i dystylarnię w twem sercu. A ponieważ my u mężczyzn idziemy do serca przez wzrok, — wystroiłam się. Zostaniesz z nami po raucie?....

— Marszałek mnie zaprosił.

— Zostawiłam ci pierwszego kadryla. Chcę, aby nas widziano ciągle razem. Nie odstępuj mnie. Pragnę w tym kierunku plotek, a może ludzie zostawią mnie w spokoju.

Panie powoli zbliżały się do Maryi. Jedna z nich, młoda o silnie narysowanych ustach mężatka, należąca do rodowej arystokracyi, z domu porozbiorowa hrabina, bogata, o palącem spojrzeniu, przysunęła się do Maryi i główkę pochyliła o jej ramię, patrząc na Tadeusza z przymileniem kokietującej gołębicy.

— Tak pan ładnie mówisz po angielsku, że męczący ten język staje się muzyką w pańskich ustach. Nie słyszałam słów, zapewniam cię, Maryniu, tylko samą muzykę.

— My Polacy, odparł Tadeusz, ładniej mówimy od Anglików ich językiem. Pani, naprzykład, mówisz miękko, jak Irlandka. Język angielski w ustach Irlandek nabiera rytmu, w ustach Polek melodyi.

— Stajemy się melodyjne, gdy mówimy po angielsku.

— Melodya, jaka w pani mieszka, ujawnia się przez język angielski.

— Bardzo zręcznie, odpowiedziała, świdrując Tadeusza wzrokiem.

Zwróciła się do Maryni.

— Twój dawny znajomy? — — —

— Przyjaciel od lat dziecinnych, poświadczyło dziewczę.

— Tem lepiej, przyjaciel dzieciństwa. W moich oczach przyjaciele od dzieciństwa mają wiele uroku, gdy z chłopczyków wyrosną na ludzi sławy i wielkiego rozgłosu.

— Zrozumiałem, odpowiedział Tadeusz, pochylając głowę.

— Hrabina Izabela nigdy nie zostaje dłużną, rzekła Marynia.

— Długi płaci odrazu, bez namysłu...

— Tak, jak pan odrazu zdobywa miliony.

Tadeusz przeczuł, że dla domniemanych milionów staje się zajmującym, i uśmiechnął się. Spostrzegła to młoda dama i mówiła bez przerwy dalej:

— Lecz mnie miliony nic nie obchodzą. Miliony dla mnie to zera, dla których człowiek jest dopiero jednostką, postawioną po lewej ich stronie.

— To prawda, odezwała się Marynia wesoło, wdzięczna za uznanie dla Tadeusza, bo ileż to razy posiadacz milionów jest jednostką, postawioną po prawej ich stronie.

— I wtedy zajmuje nas tyle, co ostatni gulden z jego milionów, dodała hrabina.

Zaśmiały się obie serdecznie i szczerze.

Wszystkie damy, mówiące po angielsku, zbliżyły się, chcąc należeć do rozmowy. Tadeusz ujrzał się otoczony najdystyngowniejszemi i najponętniejszemi. Z młodych ludzi stanął przy Maryni kuzyn księżny, wysoki blondyn o niebieskich zamyślonych oczach, zbyt wysokim kołnierzu koszuli i wydatnych ustach. Trzymał się prosto, wydatne usta układał do drwiącego uśmiechu, w przekonaniu, że mu to nadaje dystynkcyi. Do ludzi zbliżał się z łaski i Marynię traktował z pewnym odcieniem łaskawości, za co go serdecznie nienawidziła.

Na to wszystko do połowy schowany za portyerą u wejścia do salonu patrzał pan Edward i rozkoszował się.

— Oficyalistę mego otacza śmietanka towarzystwa, jako milionera. Co to będzie ze mną i Marynią, gdy się dowiedzą, że miliony te są nasze!

Uśmiechnął się serdecznie, chociaż cichutko.

— Zbyt wielkiej familiarności oficyalisty z moją córką przeszkodził hrabia. Jakże przy nim wygląda mój opalony wspólnik? Jakiż to pan ten hrabia!.. Jego uśmiech, z jakim traktuje ludzi, jest niedościgniony. Dobrze, że stoi przy Maryni i strzeże jej przed poufałością fabrykanta. Jeżeli do dziś moja córka nie przejrzała, to, zanim się wieczór skończy, — przejrzy. Kochany hrabio, masz szaloną zręczność, że tak blizko niej stoisz i patrzysz jej w oczy ... Kochany hrabio, albo lepiej — kochany zięciu...

Twarda natura szlachcica z wschodniej Galicyi nie odczuła, że hrabia z tym samym uśmiechem traktował jego córkę i jego samego.

Skończył się raut, zaczął się bal w dwadzieścia kilka par. Do pierwszego kadryla stanął Tadeusz z Maryą, vis-à-vis kuzyn księżny z piękną Izabelą. Pan Edward zobaczył to, zakłuło go w sercu, lecz się pocieszał, że Marynia będzie miała czas do porównań.

— Przecież nie jest ślepa? Lecz kto nafciarzowi wyrobił pierwszego kadryla?.. Niezawodnie kochana Urszula. Czekaj, panienko, porachujemy się!...

— Jeżeli wszystkich, którzy trafem zdobywają pieniądze, będziemy przypuszczać do naszego towarzystwa, to salony nasze niedługo zamienią się w restauracyę, rzekł kuzyn księżny do hrabiny Izabeli.

— W tym wypadku robią wyjątek, odparła hrabina, ze względu na inteligencyę, dobre maniery i wyborną angielszczyznę.

— To wszystko jeszcze nie daje prawa bratania się z nami....

— Czy pozwolisz, kuzynku, na jedną uwagę?...

— Ależ, hrabino, z twoich ust dziesięć.

— Obawiam się, czy zazdrość nie wpływa na twój sąd.

— Mógłbym zazdrościć....

— Możesz wybornie, przerwała, — przyjaciele od dzieciństwa.

— I mogę stracić dwa miesiące czasu?.. Chociaż to przecie powinno być nieprawdopodobne....

— A jednak prawdziwe, bo szlachcianeczki nasze wolą opalonych szlachetków, tak samo, jak wiejskie dziewczęta parobków....

— O, to prawda, nie wzięliśmy w rachubę rasy i dziedziczności...

— I otoczenia, przyzwyczajeń, wszystkiego...

— Bogate szlachcianki często mają poprzewracane w głowach.

— Prawda, więc cóż robić? zejść ze stanowiska?

— Ależ nie, czekać, patrzeć.

— Przychodzi mi świetna myśl. Pomóż mi, hrabino, i zabierz go sobie, chociaż na tydzień... Przedsiębiorcy czy kopaczowi łatwo zrabować serce swą pięknością, sprytem i wprawą, a mnie wyświadczysz przysługę....

— Boję się niebezpieczeństwa! Jest to młodzieniec bardzo przystojny, ma jakiś dziwny ogień i rozmarzenie w oczach, po angielsku mówi lepiej od Anglika i często dowcipny....

— Tem przyjemniejsze zwycięstwo.

— A potem ból z zawodu i zdrady. Tylu mnie już zdradziło!...

— Zawsze mniej, niż zostało poległych na placu.

— Boję się, mówiła figlarnie...

— Szlachcianki są naiwne i zazdrosne; gdy zobaczy kopacza, przykutego, choćby na dziś, obrazi się — jestem pewny. Tymczasem my skorzystamy.

— Ależ, może to są tylko moje przypuszczenia.

— Patrz, hrabino, jak się w swego dansera wpatruje, jak się do niego uśmiecha — przypuszczenia zmieniają się w prawdopodobieństwo, a...

— A — dokończ kuzynie...

— Nie będziesz się śmiała?

— Co za idea?...

— Szlachcianeczka ma dla mnie urok i może wyrobić się na damę.

— Ma za co! Mówią, że papa dobrodziej składa na miesiąc po trzydzieści tysięcy do kasy.

— To prawda, gdy mnie na rok, jako skromnemu, wystarczy trzechmiesięczny dochód papy.... Proszę więc — błagam!...

— Nie jestem pewna swych sił, bo kopacze, czytałam we francuskich romansach, kochają namiętnie i wytrwale.

— Właśnie, zdobyć kopacza, jak twierdzę, to przecie sport nielada i zwycięstwo nielada!

— Sprobuję, lecz nie zaręczam.

— Dziękuję, a z czasu i usposobienia postaram się skorzystać.

— Szlachcianeczkę przywieść do rozpaczy, a potem, aby na złość z zemsty rzuciła ci się w objęcia.

— Niech się rzuca, z czego chce, byleby się rzuciła...

— A jak się nie uda?...

— Jeśli zechcesz, hrabino, udać się musi.

— Zaczyna mnie bawić ta nowość. Jeszcze nie bałamuciłam kopacza.

— Nowość zawsze pociąga.

— To prawda, wy już jesteście za... uśmiechnęła się.

— Za banalni.

— Ależ nie, tylko nadto podobni jedni do drugich. Z góry wiem, co na dane pytanie odpowiecie.

— A co kopacze?

— Właśnie to jest ciekawe, a sama osobistość pociąga...

— A więc, kuzynko, kartel, przymierze zawarte.

— Na dziś.

Podali sobie ręce, hrabina się rozśmiała szczerze, bo miała wielką ochotę posiąść kopacza, a rozkosz w odbiciu go młodej, ładnej, inteligentnej dziewczynie. Przecież to wielki tryumf!...

Kadryl się skończył, i po staroświecku jeszcze dziękowano sobie. Gdy Tadeusz kłaniał się hrabinie, wsunęła mu rękę pod ramię i z wytrawnością mistrzyni, a zręcznością kotki, ocierała nieznacznie pełne, okrągłe, ramię o rękaw jego ręki. Delikatne te muśnięcia przechodziły prądem galwanicznym po ciele młodego człowieka. Ramię mu drżało i mimowoli, chcąc drżenie to zatamować, przyciskał pulchną rękę hrabiny. Pozwalała, zachęcając słodkim uśmiechem i powłóczystem spojrzeniem.

— Dużo rzeczy pragnę się od pana dowiedzieć. Nie jesteś pan banalny, jak przeważnie otoczenie nasze, jak młodzież nasza, dusząca nas swoją nudą. Pragnę dużo rzeczy wiedzieć, lecz pan pewno tęskni za towarzystwem Maryni?...

— Tak dawno i tak się dobrze znamy, odparł Tadeusz, i nowe dreszcze przebiegły jego ciało.

— Zresztą, trzeba coś poświęcić i ludziom, jeśli, jak słyszałam, wszystko pan oddajesz krajowi i idei... Trudno żyć wiecznie w idei

Trzeba być czasem i „zjadaczem chleba” — toś pan pewno pomyślał i towarzystwo nasze wraz ze mną w ten sposób traktujesz.

Umyślnie użyła tekstu Słowackiego, aby nim wywołać w młodzieńcu opozycyę, lecz Tadeusz odpowiedział:

— To los nasz.

— I trzeba mu się poddać, odparła, udając, że nie rozumie. Siadajmy, kozetka wśród krzewów rzucona, jakby przytulisko dla zakochanych. Czy miłość, jako przedmiot, zajmuje pana?

— Kocham, odpowiedział naiwnie, to dosyć dla mnie. Analizujemy miłość wtedy, gdy przestajemy kochać.

— To prawda, nie lubię w ogóle analizy — zabija uczucie.

W tej chwili hrabia Rudolf zbliżył się do Maryni i starał się być dla niej ujmująco grzecznym, wytwornym i romantycznym. Dziewczę z początku odpowiadało z widocznem roztargnieniem, lecz, gdy zobaczyło Tadeusza, pochłoniętego rozmową z hrabiną, zaczęła się uśmiechać, być swobodną i wesołą. Okazało się, że ma dowcip, zręczność i przytomność, że mogłaby, jako mężatka, błyszczeć na salonach stolic świata w Wiedniu i Paryżu... Kuzyn księżny coraz więcej zaczynał smakować w jej towarzystwie, piękność jej zaczynała na niego działać, nawet chwilami zdawało mu się, że może jest troszkę w niej zakochany.

Szlachcianeczka odrazu urosła na damę. Obrażona miłość własna podrażniła jej dumę, objawiającą się wyniosłością.

— Mój narzeczony, którego chciałam pokazać ludziom, być dumną z niego, siedzi całą godzinę z kobietą „znaną”, to śmieszne, to głupie, to nawet nędzne... Cały świat dla niego nie istnieje, nie tańczy, nie bawi się... niema go. To jest dzikie. Przecież ładnie tańczę walca!... Drugiego kadryla nie tańczył!... Ośmiesza się!...

— Domyślam się, rozważał od drzwi pan Edward, że to kartel mego Rudolfka z hrabiną. Nafciarz w sieciach, Rudolf łaskawie traktowany przez Marynię, bardzo łaskawie, tańczą razem walca... Co to znaczy dyplomacya, jakaż ona, szelmuta, zręczna! Ależ ta hrabina jak się musi nudzić w towarzystwie nafciarza, kiedy ja po za interesami nie mam z nim nic do gadania, ale to literalnie nic!... A nawet biedaczka z przyjaźni kompromituje się, siedząc tak długo na osobności z młodym chłopcem. To nic, bo oni wszyscy trzymają się za ręce, u nich, jak w rodzinie, jedno za drugie w ogień. A bałem się dzisiejszego wieczoru ze względu na Marynię. Ale to złote dziecko raz mnie ratuje, wymuszając kontrakt — i tym sposobem mnie i sobie daje majątek, drugi raz na balu u marszałka marzenia moje urzeczywistnia!... Rudolf i Marya — R. i M., dwie

cyfry spalone będą na wielkich fajerwerkach w Otocku, majątku, który im oddam.

Tadeusz, zmuszony do opowiadania o swych projektach wielkiego przemysłu, nareszcie skończył i zerwał się.

— Dalszy ciąg u mnie, zawsze w południe jestem sama, mówiła omdlewająco hrabina. Nie zapomnisz pan?

— Niepodobna zapomnieć, bo to rozkaz, powiedział, niespokojnie szukając wzrokiem Maryni.

Wychodziła, pobiegł za nią aż do przedpokoju w chwili, gdy hrabia Rudolf podawał jej okrycie. Popatrzała na niego, jak na rzecz. Chciał podać jej rękę, odwróciła się, prosząc hrabiego, aby ją odprowadził do karety. Pan Edward ledwo kiwnął mu głową. Tadeusz został sam wśród służby, zarzucił palto i również wyszedł.

Roztargniony, oszołomiony, smutny nie wiedział, co się stało, za co Marynia odwróciła się od niego... Przygnębiony szedł z pochyloną głową. Ulice, oświecone długiemi liniami lamp, stały puste, obumarłe, ponure. Żywej duszy na całej przestrzeni, odgłos kroków odbijał się o nagie ściany domów...

— Czemu zawiniłem!?... Więc cała moja przeszłość zmazana jest jedną rozmową może za długą z obcą kobietą, przecie zamężną!.. Nie pojmuję i nie rozumiem się na tych wszystkich kombinacyach. I skąd u Maryni obraza?... skąd Marynia może się czegoś domyślać, aby się aż obrażać mogła?...

Stanął i patrzał przed siebie, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Naiwność jego w tym kierunku była, jak u dziecka. Młodość przepędzał w domach angielskich, w których panna ma wielką swobodę i wolność, kobieta żadnej... i niczego się nie domyślał...

— Mogła być dla mnie ponętną, szepnął, lecz tylko ja jeden mogłem to czuć i wiedzieć, i nikt na całym świecie — nikt! Co znaczy chwilowe podrażnienie zmysłów wobec głębi uczucia, jakie noszę dla Maryni?!

Oburzył się i pełen żalu wrócił do hotelu. Zapalił lampę; na stole leżał papier, zapisany cyframi; usiadł, wziął w rękę ołówek i zaczął pracować.

Kolumny cyfr wyskakiwały, jak armie, idące na zdobycie świata. W cyfrach tych krystalizowały się jego myśli, jego wielkie idee odrodzenia biednej prowincyi. Cyfry to również czary poezyi, jak abstrakcyjna matematyka jest poezyą harmonii świata. W nich utonął—i co mogły w tej chwili obchodzić go lubieżne uśmiechy hrabiny, a nawet niesprawiedliwy gniew Maryi! Tworzył, był ty-

tanem swej twórczości, wysnuwał z niej projekta i te widział przeradzające się w czyny, w fakta.

— Dyrektorze, szeptał, pomnik ci postawię. Bez ciebie te wszystkie potężne plany rozwiałyby się w ciche westchnienia życzeń, ty je zamieniasz w czyny, w energię społeczeństwa...

Dniało!...

Snop światła rzucił się do pokoju i padł na twarz i biały papier, zasiany kolumnami cyfr.

— Światła! słońca! zawołał, w jego promieniach dojrzewa wszystko: ziarno zboża, a myśli ludzkie tężeją w czyny. Więc po co tajność kredytu? Myśi ta ścisnęła mu serce, zerwał się, po co!?! pytał siebie!... Światła, jak najwięcej światła!...

Nogi mu ociężały, ręce zwisły, powieki opadały, myśl tępiała... Zrzucił z siebie frak, rozebrał się, położył i zaledwo głowę przytknął do poduszki — zasnął...

Śniło mu się, że piękna i o białem ciele hrabina grozi mu, pytał się jej: Czego ty ode mnie chcesz?... Po za groźbą hrabiny zobaczył Marynię płaczącą... Wyciągnął do niej ręce.

ROŻDZIAŁ XVI.

Spał parę godzin, zbudził się rzeźki i silny, młodość w nim grała. Popatrzał na papier, zasiany szeregami cyfr, i nadzieja w nim zagrała. Ubrał się szybko, spojrzał na zegarek, dziesiąta rano — zapóźno iść do dyrektora....

— Lecz w sam czas do kochanej cioci Urszuli, zawołał, i skoczył do jednokonki. Muszę się poskarżyć na Marynię. Nie wierzę, aby mnie miała porzucać dla typowego hrabiego galicyjskiego. Lecz za co mi dokucza? — co jej złego zrobiłem? Czyż jej nie kocham więcej, niż siebie? I, gdyby życie moje nie było potrzebne do dokonania paru dzieł, oddałbym je jej z rozkoszą. Lecz cóżby zrobił dyrektor z milionem mego długu, za tydzień zmieniony w półtora? Jestem ważny na półtora miliona długu, a w sperandzie na dwadzieścia milionów własnych — i muszę się oszczędzać....

Roześmiał się wesoło; nowe pomysły, sprawdzone cyframi, nurtowały w nim, rozgrzewały mu fantazyę, paliły krew, podsycały do pracy mózg. Rwał się do życia z całą namiętnością energii młodej, świeżej, nie zużytej żadnemi namiętnościami prócz jednej — służenia idei... Na dnie serca, a pewno i mózgu, siedziała i powoli rosła — ambicya! Lecz czyż młodość może bez niej istnieć?! Ona wychowuje wielkich ludzi, daje im szaloną wytrwałość i niezmordowaną pracę.

— Ambicya miała się czem w nim dźwigać, zdolności miał wielkie, fantazyę wielką i siły wielkie, a zdrowie potężne.

— Ambicya mogła w tym organizmie grać! Lecz był to organizm, w którym miłość idei obejmowała olbrzymie horyzonty — i dlatego ambicya przybierała kształty dokonywania wielkich dzieł... A że pragnęła uznania, — któraż młodość go nie pragnie!? A że ambicya jego żądała sławy? któraż młodość o niej nie marzy?.. Marzenia te bywają często jedynemi nagrodami i jedynym pokarmem ambicyi...

Wpadł do saloniku Urszuli i stanął przy drzwiach, zatrzymany rozkazującym ruchem starej panny.

— Co to znaczy? zapytał, a minę miał tak pokorną i żdziwioną, że Urszula, na punkcie zbrodni miłosnych nieprzejednana, mimowoli zmiękła.

— Zdradzasz, rzekła surowo.

— Kogo?

— Kogóż?... Mnie nie możesz zdradzać, tylko narzeczoną!...

Zaśmiał się, rzucił kapelusz i usiadł w fotelu.

— Ciotko, spojrzyj mi w oczy i powiedz, czy ja mogę wogóle zdradzać, a tem więcej pierwszą i jedyną kobietę, którą ukochałem?...

— To ją kompromitujesz lekceważeniem.

— Nie rozumiem.

— Bałamucisz się! pod bokiem narzeczonej spędzasz cały wieczór z kobietą, która zmienia kochanków, jak rękawiczki...

— To mężatka! zawołał.

— Idyoto, skąd ty się bierzesz?...

— Z Anglii, odparł naiwnie z wystraszoną miną.

Urszula nie mogła wytrzymać i roześmiała się. W tej chwili odgłos dzwonka zadźwięczał w saloniku.

— Zaczekaj, szepnęła i wybiegła.

We drzwiach przedpokoju ukazała się Marynia. Urszula położyła palec na ustach i cicho wprowadziła ją do swej sypialni.

— Ależ to dziecko, mówiła cicho, pokazując oczyma na salonik. My jesteśmy więcej od niego zepsute. Nie przypuszcza nawet, aby mężatki mogły romansować i mieć kochanków.

— A przeszło godzina, spędzona z nią przy mym boku?

— Uczył ją górnictwa!

Roześmiały się obie.|

— Lecz ona mogła go uczyć tego, czego on nie umie.

— Niepojętny uczeń, nawet się nie domyślił, czego go pragnie uczyć!

— Jeżeli tak wytrawny mistrz nic nie mógł zrobić, to już uczeń bez żadnych zdolności.

— Powiedziałam mu, że idyota.

— I cóż?

— Przyjął to z uśmiechem i poddaniem się.

— Gniewam się na siebie, szepnęła Marynia, ukarał mnie swoją nieświadomością.

— Tem silniej go teraz będziesz kochać.

— Cóż mu powiem?... Nie śmiem mu w oczy spojrzeć.

— Powiedz, że mu przebaczasz. .

— To raczej ja go powinnam prosić o przebaczenie.

— Dacie sobie radę — chodź!

Otworzyła drzwi do saloniku, wprowadzając Marynię. Dziewczę wyciągnęło do niego rękę.

— Na zgodę — szepnęła.

Tadeusz podaną uścisnął z tą serdecznością prawdy uczucia, która zawsze rozbraja, — i pocałował.

— Już nigdy, mówiła cicho, nie będę się gniewać, choćbyś dziesięć godzin wykładał o nafciarstwie pięknym hrabinom.

— Więc ona, mimo że ma męża, pragnie się podobać innym? zapytał Tadeusz zdziwiony.

— Kobiety spojrzały na siebie, nie mogąc uwierzyć tak potężnej naiwności.

— Twoja wierność, rzekła Urszula, nie jest zasługą twoją, lecz twej naiwności.

— Nie naiwności, odparł, lecz tego, że się nie zajmuję tym przedmiotem. Nigdy nie miałem na to czasu i nigdy się temu zajęciu nie oddawałem, tem więcej teraz, gdy pierwszy raz w życiu kocham. A tylko mogę kochać kobietę, zasługującą na moją cześć. Ludzi biorę za takich, za jakich chcą, aby ich brać. Hrabina zdradzała ochotę dowiedzenia się odemnie wielu rzeczy — mówiłem. Nie rozmawialiśmy o miłości.

— Nie widziałeś, zapytała rozdrażniona Marynia, jak cię prażyła wzrokiem, a ciągnęła uśmiechem?

— Nie, — patrzała na mnie z ciekawością, a uśmiechała się na dowód, że rozumie.

Urszula znów się roześmiała, a Marynia do tego stopnia była, rozbrojona, że pocałowała go w czoło.

— Widocznie jestem więcej zepsuta od ciebie, przebacz mi I z pewnem zaufaniem siostry głaskała jego ciemne, krótkie włosy.

zaczesane w górę, a połamane w wielkie karby. Patrzał jej w oczy ze szczerością i serdecznnścią miłości i bezgranicznej wiary.

— Na zgodę, rzekło dziewczę, zabieram was oboje na spacer, pojedziemy za miasto.

— Maryniu, świetna myśl! Jedźcie sami, będzie to przepyszna manifestacya waszych uczuć.

Tadeusz spojrzał na zegarek.

— Muszę rzucić hrabinie kartę wizytową.

— Wybornie, pojedziemy razem, zawiozę cię przed jej mieszkanie. Jeśli cię przyjmie, powiesz, że czekam w amerykance na ciebie. To będzie pewne zadośćuczynienie i zemsta nad nią i Rudolfem, jeśli przymierze, jak się domyślam, na naszą szkodę zawarli. Potem rzucisz kartę marszałkowi, i również zaczekam.

— To mi się podoba, zawołała Urszula, i kocham cię za to. A potem wolno ulicą Karola Ludwika wokoło placu Maryackiego obwieź go i pokaż światu, jako swego! Ciekawa jestem, jak się znajdzie wobec tej manifestacyi pan ojciec, który, gdyby mógł, na własnych plecach przyniósłby kuzyna księżny do swego domu.

— Biedny ojczulek, szepnęła Marynia, lecz mam prawo zgotowania sobie własnej przyszłości...

— Masz, pod grozą zdrady tego, kogo kochasz, pod grozą własnej nędzy i upadku, pod grozą śmierci moralnej.

— A więc jedziemy, zawołała gorączkowo. Ciociu, popraw mi kapelusz, chcę w tej chwili być ładną, czarującą.

Zwróciła się do Tadeusza.

— Czy ty to rozumiesz?

Tadeusz patrzał i nic nie rozumiał. Młodość przepędził zagranicą bez rodziny, bez towarzystwa kobiet, sam, pochłaniany własnemi myślami. Umysł jego nieustannie pracował, uczucia rozlewały się na idee i pragnienia dokonywania wielkich dzieł. Kobietę kochał jak towarzyszkę jak tę, co: „lecąc naprzód, rzucała niedbale perły, jaśminy i maki korale", jak tę, „co kładzie ręce na jedyną ranę". Znał kobiety, jako idee, lecz nie znał ich, jako kobiet, nie odczuwał ich czarów w ich delikatnych odcieniach uczuć, z podkładem kokieteryi, zazdrości, nienawiści, zemsty. Te wszystkie ludzkie namiętności nie istniały dla niego, nie mógł więc zrozumieć, dlaczego Marynia chce być w tej chwili piękną, za co i na kim chce się mścić?... Nie odczuł, że go odbiera hrabinie, bo nie był przez nią wzięty... Nie miał nawet jasnego pojęcia, dlaczego go obwozi w swym powozie po Lwowie. Przecież on jej jest i będzie jej, ona o tem wie, wierzy w to i pragnie tego. Więc cóż się stało?... Komu ma go pokazy-

wać?... Ludziom? jakim?... Nie rozumiał, nie miał czasu się zastanawiać, pochłonięty w jednym kierunku. Wierzył bezgranicznie Maryni i w sprawach światowych pozwolił się przez nią prowadzić. Cieszył się, jak dziecko, że z nią razem pojedzie, że obok niej będzie siedział i patrzał, jak swemi małemi rękoma zręcznie powozi.

Pochwycił kapelusz.

Przebaczyła mu, nie wiedział, za co, lecz mu to wystarczało.

— Otworzę okno i patrzeć będę za wami, mówiła Urszula. Potem pójdę na ulicę Karola Ludwika badać opinię. Kłaniajcie mi się wesoło!

Pojechali! — mężczyzni z towarzystwa stawali, oglądając się, potem przyśpieszali kroku, aby plotkę tę jak najszybciej puścić w świat. Marynia, jako świetna partya, a osobistość śmiała i samodzielna, dlatego nazwana oryginałem, znaną była w szerokich kołach miasta. Świat inteligencyi pochwalał ten związek dwojga młodych i pełnych przyszłości, a świat, nazwany przez Koczalską „lepszym”, jeszcze nie wiedział.

Marynia zatrzymała konie na małym placyku w górze przed zgrabnym pałacykiem obok politechniki. Tadeusz wyskoczył, przebiegł ogródek, pełen krzewów i róż, ginąc za arkadami. Rzucił bilet, hrabina go przyjęła.

Spodziewała się, była nawet pewna, że przyjdzie, i dlatego negliż jej był czarujący i o tyle tylko odsłonięty, o ile mógł nęcić przy skromności. Wyciągnęła do niego obie ręce.

— Nie kazałeś pan na siebie długo czekać, nie dając mi nawet czasu na tęsknotę.

— Lecz przyszedłem na tak kruciutko....

— Dlaczego?...

— Panna Marya czeka na mnie w amerykanie, jedziemy dalej...

— A więc dalszego ciągu wykładu dziś nie będzie?...

— Przebacz pani.

— Ta podróż we dwoje to prawdziwie po angielsku.

— Panna Marya, jako panna i wedle obyczajów angielskich ma wszelką swobodę...

— A gdyby była mężatką i chciała jeździć nie sama?

— Byłaby potępioną. Rola mężatki w Anglii, podług opinii uczciwych ludzi, pilnować dzieci i męża.

Hrabina oniemiała, uważała to za umyślnie zrobioną sobie impertynencyę. Tadeusz skorzystał z oniemienia, skłonił się i wyszedł. Pobiegła na balkon, aby się naocznie z za oleandrów przekonać.

Marynia stępo objeżdżała plac przed pałacykiem; gdy zobaczyła Tadeusza, zajechała—wskoczył i, rozmawiając wesoło, pojechali szparko na dół.

— To ona nauczyła tego angielskiego filozofa odgrywać głupią rolę moralisty! Tylko kobieta może się tak ordynarnie mścić!.. To ty, kochanko, i tobie tego nie daruję!...

Tilbury znikło jej z oczu, zadzwoniła gwałtownie.

— Konie, kareta, panna służąca do buduaru. Ciekawa jestem, co na to powie księżna, a co wspólny nasz kuzynek Rudolf. Warga mu się wygnie, już nie do śmiechu, lecz do wstrętu, jak, gdy się żabę zobaczy... Mamy poraz setny naukę, co to przypuszczać do swego towarzystwa zbieraninę, której się udało na liczbowej loteryi terno wygrać.

Siadła do karety, każąc jechać do pałacu księżny.

— Ten głupi filozof, co ośmielił się dawać mi nauki, a raczej powtarzać, jak papuga, wyuczone frazesy tej źle wychowanej szlachcianki, marząco patrzy, a siłę czuć w żelaznych jego muskułach. Z tobą, kawalerze, kopaczu czy górniku, jeszcze nie skończone....

Rozbawieni, weseli, Tadeusz i Marynia, uszczęśliwiona z odwagi swej, pędzili z animuszem młodości, mijając karety, wiozące panie... Zdumienie i podziw z karet rosły w równej mierze z wesołością siedzącej przy sobie pary.

Przed gmachem sejmowym również czekała, objeżdżając stępo wspaniały plac. Przechodnie z Jezuickiego ogrodu wpatrywali się w nią ciekawie.

Mimo zbliżającej się sesyi marszałek przyjął Tadeusza. Rozmawiał z nim o przemyśle, o wielkich projektach młodzieńca, o wydobytej już nafcie, o mającej się budować dystylarni i zakończył oświadczeniem, że takich ludzi nam koniecznie potrzeba w sejmie, i radził, aby korzystał z pierwszego opróżnionego miejsca i stanął, jako kandydat, ofiarując mu ze swej strony poparcie...

Tadeusz zbiegał ze schodów rozpromieniony.

Inwestycye, wielka nakładowa gospodarka w kraju, popierana przez sejm, piętrzyła się w jego głowie. Jedne projekta przerastały drugie. Dopadł zdyszany, skoczył do amerykanki i zdyszany powtórzył Maryni rozmowę z marszałkiem.

— Nie wyobrażam sobie sejmu bez ciebie, rzekło dziewczę poważnie. A teraz po dobrze spędzonym ranku, na ukoronowanie dzieła—na lody do Kosteckiego!

Na rogu ulicy Trzeciego Maja minęli powóz księżny, w którym jechał hrabia Rudolf, schwycił się ręką za kozieł, powstał i patrzał.

U Macieja Kosteckiego usiedli obok wielkiego okna, rozmawiali wesoło, śmieli się serdecznie, jak dwoje dzieci na wolności lub dwoje narzeczonych, którym pozwolono w wigilię ich ślubu jeździć samym. Po lodach Marynia odwiozła towarzysza przed hotel: miał dziś odczyt w towarzystwie techników i pragnął się przygotować.

Wracała sama rozradowana, zwycięska, z wiarą w siebie i swą przyszłość. Oczy jej błyszczały, na uśmiechu szczęścia siadała uczciwa duma. Zobaczył ją ojciec, przeleciała obok niego. Chciał ją zatrzymać, lecz nie usłyszała wołania. Stał z drugimi i patrzał.

— Księżniczka, słowo daję, księżniczka Gotha lub Koburg, albo jaka inna.... Co za pewność siebie i jaka zręczność! Co za szczęśliwą miałem myśl sprowadzenia dla niej koni. Pod wpływem szalonej jazdy i powożenia oprzytomniała... Wczorajszy wieczór otrzeźwił ją!... Kochany Rudolfku, będziesz mi całe życie wdzięczny za taką żonę!... Gdy dostaniesz trzydzieści tysięcy rocznej renty, padniesz mi do nóg. Tak interesy prowadzić to przecie znaczy być rozumnym człowiekiem... A potem, jako należący do rodziny, weźmiemy się z księżną za ręce — i dalej do dzieła....

Spokrewnienie z księżną wprowadzało go w pewien szał, znany objaw u szlachty wschodniej Galicyi, lecz dotąd w medycynie nie nazwany.

Wyjął zegarek.

— Godzina pierwsza, właśnie księżna przyjmuje najzaufańszych, malutkie kółko, — mówiła mi to wczoraj Skorzystam, muszę skorzystać, obowiązkiem moim korzystać i głupcembym był, gdybym nie skorzystał i nie poszedł...

Siadł do dorożki.

W przedpokoju długo kazano mu czekać, zanim wpuszczono. Księżna przyjęła go i traktowała, jak oficyalistę, a zwracając się do hrabiny Izabeli, opowiadała jej o złem wychowaniu córek małej szlachty, spanoszonej niespodziewanie bogactwem...

Pan Edward siedział, jak na rozżarzonych węglach. Księżna, gdy zła, była zwykle niepohamowana, jeśli mogła mieć tylko cichą ofiarę swej tyranii.

Biedny drobny szlachcic, spanoszony niespodziewanem bogactwem, ojciec źle wychowanej córki, wybiegł na ulicę, zdjął kapelusz i obcierał chustką pot z czoła.

— Co się stało, co to jest? — powtarzał.

Do księżny nie miał żalu ani pretensyi, nie śmiał poprostu mieć. Księżna w jego oczach nie ulegała krytyce, mimo swej nieokiełznanej brutalności i wrodzonego pomiatania ludźmi, którzy już byli jej niepotrzebni. Siadł do czekającej na niego dorożki, pojechał na miasto.

Przez drogę powtarzał nieustannie:

— Spanoszony szlachetka, ojciec źle wychowanej córki. I to mówiła wobec tej kobiety, która dzięki tylko swemu urodzeniu i wielkiemu stanowisku męża zawdzięczała swą bezkarność i podniesione czoło w towarzystwie... Muszę się dowiedzieć, co się stało, muszę, muszę!.. Dyplomacya każe wiedzieć...

Wargi mu drżały, oddech stał się krótki, nerwy go kłuły, jak szpilki, serce ściskało się. Uczuł ból i przestraszył się...

— Cicho, cicho, daj pokój, zdrowie stracisz i tyle zyskasz. Tu działać trzeba.

Obok hotelu francuskiego zobaczył starego członka wydziału krajowego, chorującego na to, aby najpierw wiedzieć, co się w mieście dzieje. Kłaniał mu się ostentacyjnie.

— On pewno wie, pomyślał pan Edward i wyskoczył z dorożki.

— Nie pochwaliłeś się wczoraj u marszałka, co?! a ja się i tak pierwszy domyślałem!...

— Czego? bój się Boga, czego?...

— Czego? dla ciebie to fakt pierwszej wagi. Wydajesz córkę za Tadeusza, winszuję ci! Jak się we dwu weźmiecie... naprawdę zrobicie miliony! Tylko się na oczy nie pokazuj kilka miesięcy księżnie, bo ci nagada takich impertynencyi... Rudolfka mi żal, był u nas wczoraj w biurze i trząsł się, jak w febrze.

— Skąd to wiesz?... krzyknął Edward.

— Oszalałeś — skąd?... chowasz tajemnicę, a córce każesz obwozić narzeczonego w jej amerykanie i czekać na niego na placu, gdy jest z wizytą u marszałka...

— Kłamiesz!...

— Czy czasem, Edziu, nie jesteś chory? Widziałem na własne oczy, ślepy nie jestem, a potem widziałem ich u Kosteckiego na lodach, kłaniałem się...

— Widziałeś? szepnął pan Edward, dziękuję ci! Myślałem, że mi coś ciekawszego powiesz?!...

— Wiem, że dla ciebie to wcale nie nowina, ale dla nas, dla miasta! Ostrzegam cię przed księżną i z Rudolfkiem nie radzę zaczynać...

— Dziękuję ci, — bądź zdrów.

— Do widzenia! — wesele, rozumie się, we Lwowie, i jestem proszony.

Pan Edward odjechał.

— A więc to tak, a ja wlazłem w oczy księżnie!? Gdybym był na jej miejscu, to samobym zrobił. Kto mnie tak urządził? Marynia sama nie odważyłaby się nigdy. I jeżeli kto, to ją tylko namówiła Urszula — nikt, tylko ona!

— Ruszaj na Kopernika! krzyknął. Raz z nią skończę, raz, raz, powtarzał nieustannie. Nie będzie mi więcej wchodziła w drogę. Stój!

Dorożkarz zatrzymał konie, pan Edward wyskoczył, wpadł na schody i w połowie pierwszego piętra — stanął.

— I co? walkę otworzę, zrobię ją jawną – znam upór Maryni, przegram, fatalnie przegram, córka moja zostanie żoną kopacza i fabrykanta!...

Oparł się plecami o ścianę i cicho, a głęboko, oddychał.

— Dyplomacyo, szepnął, przychodź i ratuj mnie, ratuj biednego ojca, nieszczęśliwego szlachcica, człowieka, który ma jaką taką ambicyę i uczciwe zamiary!... Coby można dla kraju dobrego zrobić, mając poparcie u arystokracyi rodowej?!...

Zaszedł pocichu ze schodów, kazał się zawieźć do domu. W drodze zawrócił na pocztę. Woźnemu wsunąwszy pięć guldenów, podyktował telegram i kazał go sobie przysłać za godzinę.

— Mam plan, monologował, byle go tylko zręcznie przeprowadzić! Boże, dopomóż, widzisz, że ja przecie nic nie chcę dla siebie. A jeśli coś robię, to tylko kraj będzie z tego korzystał, tylko w ostatecznym rezultacie on jeden, biedny nasz kraj...

W domu czekano na niego z obiadem. Marynia w wybornym humorze, chodząc po salonie, śpiewała cavatinę włoską z brawurą młodzieńczej wesołości. Ojcu, gdy wszedł, rzuciła się w objęcia.

— Cóż w córeczce mojej wytworzyło tyle radości?...

— Później ci powiem, odparła, całując go w czoło.

— Widziałem cię pędzącą, kłaniałem się, nie skinęłaś mi nawet głową...

— Widziałeś, oczy rozwarła, i cóż?

— Powozisz znakomicie, siedzisz na koźle, jak królowa. Co za mina, co za uśmiech. Dziękowałem Bogu, że mi właśnie taką dał córkę...

— I nic więcej nie widziałeś?

— Cóż chcesz? Z tyłu Antka, wyprostowanego, z założonemi po napoleońsku rękoma. Głupi Antek! na kogo on wyszedł! Wiesz, Maryniu, masz wielką fantazyę i siłę w powożeniu. Wierzę, że i uździenicę mężowską dobrze...

— Nie chcę, drogi ojcze, przerwała, nie chcę. Mam głęboki wstręt do tego rodzaju sportu...

— A mnieby to bawiło, gdybym był na twojem miejscu.

— Jakżeż to może bawić?... Przecież męża mego muszę kochać, muszę czuć dla niego cześć, wiarę.

— Mówiłem żartobliwie, a ty zaraz... Wiesz, dziecko, głowa mnie boli.

— Z głodu niezawodnie.

Zadzwoniła, wbiegł służący, za nim ukazała się Koczalska. Pan Edward przeszył ją wzrokiem grzechotnika, że aż biedna kobieta zmartwiała, lecz się zaraz uśmiechnął.

— Kochana pani Koczalsiu, będziesz znowu mieć kłopot, chorego w domu, wielkiego grymaśnika, despotę...

— O to najmniejsza, odrzekła Koczalska, bylebyś pan z łóżka nie wstawał...

Na tę szczerość Koczalskiej rozśmiali się córka i ojciec.

— Największy spokój ze mną, kiedy leżę? zapytał.

— Bo pewno, odparła szczerze.

Podczas obiadu przyniesiono umówiony telegram. Pan Edward przeczytał i smutny rzekł:

— Muszę jechać do Otocka, mimo że głowa mi pęka.

— Nie pojedziesz, zawołała Marynia.

— Muszę, dziecko, muszę koniecznie; wstał od stołu. Do odjazdu pociągu trzy godziny, przeleżę się troszeczkę. Koczalsia dopilnuje, aby mi spakowano rzeczy — papiery sam ułożę i pojadę.

— Choćby cię głowa nie przestała boleć?

— Choćby jeszcze więcej bolała. Obowiązek — jestem gotów paść na posterunku.

— W takim razie nie zostawię cię samego, pojadę z tobą!..

— Poczciwe moje dziecko, skazuje się dla ojca na piekielne nudy na wsi. Wiem, że, chociażbym ci rozkazał, abyś została, nie usłuchasz.

— Z pewnością. Zresztą, i ja potrzebuję ciszy, zmęczona jestem.

— Spodziewam się, po tylu awanturach, pomyślał pan Edward.

— Zabieram książki, kupię prezenta na egzamin dla dzieci i dla nauczycielek. Dużo mam w Otocku do roboty. Do ogrodu nowe zamówiłam krzewy, trzeba obrać dla nich miejsce...

— Inteligencya w każdem miejscu, wygłosił pan Edward, znajdzie dla siebie ujście, a ja będę spokojny, że mam przy sobie kochającą duszę.

Kazał rozebrać łóżko w swoim pokoju. Marynia cicho wyszła z domu i pojechała do Urszuli.

— Zwycięstwo! zawołała uradowana ciotka do wchodzącej Maryni. Pomysł był genialny, całe miasto już wie o tem. Miałam trzy wizyty, dwu starych panien, żyjących w świecie, i jedną z naszego kółka. Dwie pierwsze, okrutnie zgorszone, pytały się, czy to prawda, trzecia mi winszowała! Tadeusz *héros du jour* we Lwowie, podwójnie, jako człowiek, przysparzający miliony dla kraju, i szczęśliwy zdobywca serca najsympatyczniejszej dziewczyny w stolicy.

— I, gdy jestem, przerwała Marynia, u szczytu powodzenia, uciekać muszę!...

— Gdzie?... z kim?... dokąd?...

Urszula stanęła, zakładając ręce za siebie.

— Ojciec zasłabł na głowę, położył się, a przy obiedzie odebrał telegram, musi jechać do Otocka. Powiedziałam, że go samego nie puszczę...

— Nic ci więcej nie mówił?...

— Że mnie widział samą, powożącą się w amerykanie.

— Skłamał, biedaczek, wie wybornie, a domyślając się, że to moje dzieło, zajechał tu, wpadł na schody, wystał się na połowie pierwszego piętra, wrócił do powozu i odjechał. Widziała go z okienka stróżki moja Frania. Na schodach widocznie strzeliła mu myśl, aby udawał, że nie wie, a ciebie pragnie wywieźć ze Lwowa, jako skompromitowaną.

Marynia się zamyśliła.

— Jak na chorego, rzekła, miał wyborny apetyt. Lecz powiedział, że to tak zawsze bywa przed ciężką chorobą. Powiem cioci szczerze, że i ja rada jadę z mem szczęściem i wezbranem uczuciem na wieś... Ta dobroć Tadeusza, skromność w nim dziecka, szczerość zachwycają mnie.

— Był pewny, że Izabelcia chce brać od niego lekcye górnictwa i że on ją będzie pouczał. To już po cudach nie trzeba chodzić, dodała Urszula.

— A ona chciała, aby on ją nauczył tego, czego sam nie umiał, dodała Marynia.

— Daj pokój, on kochać umie, tylko nie ją. Wyobrażam sobie po wizycie dwu dewotek, co się dzieje w świecie.

— Przeczuwam, że jestem uwolniona od konkurentów.

— Odrazu, jakby nożyczkami przeciął, i dlatego ojciec cię wywozi przerażony.

— Jedźmy po prezenta dla dzieci wiejskich. Chciałabym cały wagon zakupić.

— Dodaję z mej strony pięćdziesiąt guldenów. Bo to i moja rodzinna wioska! Gdy ojciec wyjedzie do Wiednia, zatelegrafuj — przyjadę... Tęskno mi będzie za tobą, a za wsią zawsze.

Wyjechały. Znajomi ciotki Urszuli, spotykający ją na drodze, kłaniali się z oznakami radości. W obozie jej cieszono się z zaręczenia Maryni z Tadeuszem, który od niedawna stawał się ulubieńcem i nadzieją lepszych ludzi w mieście...

— Widzisz, mówiła ciotka, składają nam życzenia. Te uśmiechy to dla ciebie. Cały Lwów otacza nas sympatyą.

— Ach, jakbym chciała życiem całem na nią zasłużyć! Ciociu, dziś jest mi tak ciepło na sercu! Czuję, że i ojciec niedługo da się przebłagać, przekonać.

— Musi!... Bo z czemże będzie walczył? z wiatrakami własnych fantazyi?!. Tu już przecie za Rudolfa cię nie wyda, księżny nie przeprosi. We Lwowie jesteś możliwa tylko, jako narzeczona Tadeusza.

— I to mnie uszczęśliwia. Nie uwierzysz, jak mnie cały ten świat, w którym żyłam, przygniatał formami i czczością. Zdaje mu się, że, jeżeli, słońce świeci, to z jego łaski, jeżeli coś umiem, to z jego przyzwolenia, jestem ładna, to dlatego, że on pozwala...

— Znam go, znam i dlatego od niego uciekłam. Czułam, że mnie dusi, i, gdybym w nim wytrwała jeszcze parę lat...

— Ja roku wytrwać nie mogłam. Jak różne i wspaniałe widnokręgi czekają mnie z Tadeuszem!

— Całe nowe światy — zawołała Urszula.

Konie się zatrzymały! wysiadły, idąc do sklepu. Z przeciwnej strony pędził powozem Tadeusz. Urszula dała mu znać parasolką— stanął, przybiegł, ubrany we frak i białą krawatę.

— Na odczyt, rzekł uradowany. Mam materyału na dwa dni, a wszystko muszę w jednej godzinie powiedzieć. Młodzieniec uczy się, uczy i uczy, sam nie wie, po co i na co, a gdy potrzeba, wszystko zdobyte tłumem wraca do mózgu.

— Dobrze, dobrze! Czy wiesz, że całe miasto uważa cię za narzeczonego?

— Przecież nim jestem, rzekł zdziwiony... Marynia uśmiechnęła się czarująco.

— Gdy ci będą winszować, przyjmuj, rzekła Urszula.

— Nie mogę przecie zaprzeczać.

— Obraziłeś na siebie hrabinę Izabelę.

— Jakim sposobem? o niczem nie wiem. Zresztą nie mam czasu tem się zajmować.

Zwrócił się do Maryni.

— Węgiel pewny, w nocy wyjeżdżam. Stamtąd będę musiał jechać prosto do Belgii i Anglii. Może w Wiedniu znajdę wspólnika. Mam tam jeden dom dobrych przyjaciół... Lubię ruch, życie, energię czynu, zmianę miejsca. Radbym sprostać nawałowi mych myśli i tworzących się nowych projektów. Zdaje mi się, że jestem w wirze, a nieraz, że jestem samym wirem.

— A ja dziś jadę, rzekła Marynia, do rodzinnej mej wioski i mej matki, tam jest nasza letnia siedziba.

— A ja nie do letniej siedziby, lecz do przyszłych skarbów Galicyi, do węgla.

— I nie będziesz za mną tęsknił?

— Jeżeli mu czas pozwoli, rzekła ciotka.

— Co? co? pochwycił Tadeusz.

— Jeżeli czas znajdziesz na tęsknotę. Teraz nie będziesz miał ciszy, jaką miałeś w Swobodzie.

— Prawda, odparł naiwnie. Lecz nie tęsknić nie potrafię! Wszystkie moje czyny i myśli, wszystko, co mam w sobie najlepszego, krystalizuje się w czterech wyrazach: „wszystko dla niej jednej"...

— Wierzę ci i takiego kocham! Niema w tobie cienia gry i cienia roboty. Gdzie się tylko obrócisz, telegrafuj do ciotki. Może cię wezwę, abyś przyjechał. Teraz śpiesz na odczyt, uczeni nie lubią czekać. Oczaruj wszystkich! Jutro dowiem się z dzienników o oklaskach i zachwytach. Jesteś nie tylko wielki technik i przemysłowiec, ale i wielkie dziecko, wielki idealista życia, i martwię się, że i w tem nie mogę być do ciebie podobną. Kocham w tobie twoje dzieciństwo i twój idealizm.

— Jedź, pisz, telegrafuj — dodała Urszula.

Tadeusz ucałował ręce Maryni, pobiegł do powozu.

— Oto ideał męża, co nigdy w życiu nie spojrzy na inną kobietę, rzekła surowo Urszula, podobna w tej chwili do wyroczni.

— Ciociu, szepnęła Marynia, od dziś kocham go znowu jakoś inaczej. Wczoraj mogłam zazdrościć i gniewać się na niego. Dziś jest mi on czemś lepszem od tego, na którego można się gniewać lub zazdrościć o niego...

— Naprzykład? spytała Urszula.

— Jakby to cioci wytłómaczyć?... Naprzykład, my nie jesteśmy zazdrosne o kochanych świętych, którzy dobrze czynią innym, a ci kochają ich. On ma naiwność, dzieciń䰀stwo i szczerość świętych. W jego dobroci dla innych niema nic ziemskiego. Tak sobie go wyobrażam...

— Trafnie. Całą ziemskość swoją i cały żar uczucia oddał tobie.

Na dziewczynę buchnęły ognie, odwróciła się i, wchodząc do sklepu, zaczęła gwałtownie kupować prezenta.

ROŻDZIAŁ XVII.

W wagonie pierwszej klasy u wyjścia przy oknie stała młoda kobieta o rasowo wyrazistej twarzy. Brunetka, kształtna i zgrabna, przypominała podobieństwem rysów znaną w kraju rodzinę. Dystyngowana w każdym ruchu, wielka pani w uśmiechu i spojrzeniu. Właśnie patrzała, gdy z drugiego przedziału po przespanej nocy, umyciu się i odświeżeniu wyszedł na malutki korytarzyk — Tadeusz.

Spojrzeli na siebie, młody człowiek skłonił się, dama odkłoniła, odsunęła drzwi, wyszła.

— Ach, to pan! nie dawniej, jak miesiąc temu, poznałam pana u marszałka. Z początku byłeś przy boku córki swego wspólnika, a później pochwycony w różowe pazurki, nie miałeś sił wydobyć się z matni, a nawet zaniedbałeś sympatyczne dziewczę, które się w stronę pańską czarująco patrzało. Czy to się godzi?

Tadeusz czuł ciepło rumieńców na swej twarzy, lecz nie stracił przytomności.

— To były uroki, które szybko przyszły i szybko odleciały, odparł wesoło. My, ludzie czynu, mamy na uroki lekarstwa.

— Nie macie czasu zajmować się sprawami miłości, to nie wasz przedmiot... Jeżeli kochacie, to raz i na zawsze.

Tadeusz się skłonił.

— Dziewczę przebaczyło? spytała.

— Prawie, że się nie gniewało.

— Bardzoś to dobrze pan określił. Miała żal bez gniewu.

— Dlatego żal minął.

— I jedziesz pan wesoły — gdzie? jeśli nie tajemnica?...

— Do Wiednia, Liège, Brukselli, oprę się i o Londyn.

— Zazdroszczę panu. Wszędzie będziesz rozkazywał, żądał, o nic nie prosił, nie szukał.

— Księżna do tej roli powinnaś być oddawna przyzwyczajona.

— Rozkazuję swojej garderobianie lub kamerdynerowi, nareszcie udaję, że rozkazuję swemu rządcy i nadleśniczemu. Gdy pan rozkazywać będziesz w stolicach świata i przemysłu. Czy co nowego przedsiębierzesz?...

— Zakładam pod Kołomyją wielką dystylarnię, a zdaje mi się, że znalazłem węgiel. Muszę się przypatrzeć wielkim maszynom do odpompowywania wody.

— Powiedz pan otwarcie: czy kopalnie ropy w naszym kraju to wielki interes?

— Dziś jeszcze należą do najświetniejszych w Galicyi.

— A jutro?

— Jutro los ich w rękach Niemców i Węgrów. Jedni i drudzy, zdaje się, już zazdroszczą.

— Wyobraź sobie pan, mówiąc to, weszła do wagonu, za nią Tadeusz, że i ja w lasach obok Borysławia, w jednym z mych majątków kopię naftę, lecz po staroświecku rękami.

Usiedli obok siebie.

— Księżna kopie naftę? nie wiedziałem. To druga kopalnia we wschodniej Galicyi.

— Ale to dziś zabawka. Dawniej, gdy Wyżnica była w rękach księcia Schwarcenberg Rudolfstadt...

— Książę kupił ten majątek dla eksploatacyi?

— Niedźwiedzi!... dla polowania. Lasy Wyżnicy prawie dziewicze obfitowały w zwierzynę. Sławne rykowiska jeleni... Niedźwiedzie nie były rzadkością. Książę zjeżdżał z przyjaciółmi co rok na jesień. Polowali całymi tygodniami. Leśniczy księcia, Kre-

mer, zobaczył kurki żydowskie dla wydobywania ropy z powierzchni ziemi na maź i zaczął kopać na rachunek swego pana. Wybili pokaźną liczbę szybów, które im przyniosły kilkakroć sto tysięcy guldenów.

— Historya dla nafciarza bardzo ciekawa.

— Lecz dalsze wiercenia wypadły niepomyślnie, uznano tereny w Wyżnicy za wyczerpane. Do tego zwierzynę wytrzebiono, polowania się już nie udawały, i ojciec mój kupił Wyżnicę od księcia za trzykroć pięćdziesiąt tysięcy, a książe nabył ją za sześćdziesiąt tysięcy. Niemcy u nas robią interesa.

— To zwykłe, lecz jak się stało, że księżna znowu kopiesz?

— Mnie namówił mój pełnomocnik, utrzymuje, że w całej Wyżnicy jest nafta. Pozwoliłam robić próbę — a że się opłaca, kopię dalej. Oto cała historya. Chciałam to wszystko powiedzieć panu na raucie u marszałka, lecz się docisnąć nie mogłam, a znowu nie chciałam pana zabierać Maryni. W tej chwili mamy czas i swobodę rozmowy, proszę więc o radę, co dalej robić.

— Kopać maszynami. Masz księżna sposobność rozkazywania.

— Nie znam się na tem! Jako polka, mam wstręt do kontroli, jako księżna, boję się nadużyć, a jako kobieta, boję się ryzykować... Weź pan tę kopalnię na siebie.

— Czy kopać na rachunek księżny?

— Broń Boże — na własny, zgodzę się na procenta. Jak pan wiesz, jestem wdową, mam dzieci, i moim obowiązkiem dbać o ich majątek, a nawet go powiększać. Osobiście znam pana mało, lecz zato dobrze z opinii, ufam panu, pracujmy razem.

— Za zaufanie dziękuję. Powiększając majątek księżny i jej dzieci, jednocześnie powiększa się majątek kraju. Myślmy przedewszystkiem o kraju, a tem samem i byt rodzin się wzmoże.

— Niech pan myśli o kraju, ja—o rodzinie, spotkamy się i wybornie zrozumiemy. Jestem wychowaną w sferze, dla której rodzina jest wszystkiem.

— Czy studnie ropodajne, przerwał Tadeusz, specyalnie na gruntach księżny się znajdują?

— Dotąd na moich, lecz blizko grunta włościańskie i gminny las.

— Na jakiej głębokości znaleziono u księżny ropę?

— Jeśli się nie mylę, nie można głębiej ręcznie nad sto metrów kopać.

— Pozwól, księżno, zobaczę na mapie geologicznej miejscowość. Nie ulega wątpliwości, że jest ropa, lecz w jakiej głębokości i jaka jej obfitość?!

Wyszedł z przedziału i po chwili przyniósł mapę Galicyi, rozwinął ją, znalazł Borysław, zaczęli szukać Wyżnicy. Gdy ją znaleźli, Tadeusz podkreślił ołówkiem, naznaczając mocniej drogę przez górę, należącą do wschodniego Podkarpacia.

— Być bardzo może, że Wyżnica, oprócz wyeksploatowanej cząstki przez leśniczego księcia, ma jeszcze źródła naftowe.

— Myślałam o panu od chwili wyprawy do Kołomyi techników lwowskich na otwarcie pańskich rurociągów. Dzisiejsze spotkanie uważam za dobry omen. A teraz decyduj pan.

— Najprzód dowiemy się, co mówi nauka i garść zdobytego doświadczenia w Kanadzie i zachodniej Galicyi.

— Znasz pan tamtejsze kopalnie?

— Z młotkiem górniczym w ręku obszedłem prawie całą Galicyę.

— A tu od pana żądają, abyś uprawiał flirt i manewrował na terenach serca?... Tadeusz cicho, a serdecznie się zaśmiał, dodając:

— A życie jedno i jeszcze tak krótkie, tak krótkie, że strach zbiera, aby w setnej choć części sprostać swemu zadaniu... Ludzkość ma serce, a nie zna miłości i jej praw, powiedział, nie pamiętam już, który z pisarzy.

— I wielką prawdę powiedział, lecz dla młodych walka z miłością trudna.

— Praca i ukochanie ideału w jednej kobiecie na całe życie.

— Jeżeli ta kobieta wystarczy za ideał.

— Od nas zależy taką znaleźć.

— I dużo od szczęścia. My, kobiety, jesteśmy artystki, umiemy wybornie grać swe role.

— Niezawodnie, szepnął Tadeusz.

— Marynia, zapewniam pana, nie ma w sobie nic z gry, jest szczerą. Ale wracajmy do świata i jego spraw. Jestem, jak Niemcy mówią, gescheftsmanka. Cóż pan mówisz o moim projekcie?

— Biorę go w idei na swe barki.

— Wyżnica leży zaledwie dwie mile od kolei, droga pierwotna przez las przecina jedno pasmo gór i spada w dolinę mego lasu, gruntów chłopskich i lasu gminnego. Kopalnia znajduje się w moim lesie. Sześć ręcznych studzien nie wiele, lecz wszystkie razem dają ropę. Kazałem kopać siódmą w znacznej odległości, chcąc się przekonać, jak daleko ciągną się pokłady ropy.

— Gdy tylko wrócę, stawię się we Lwowie u księżny po rozkazy.

— To ja je od pana powinnam odbierać i czekać będę na nie. Widzisz pan, o ile jesteś szczęśliwszy odemnie. Wyobraź sobie, że czekam na pana oddawna i nieraz myślałam w duchu: dlaczego my nie mamy wielkiego przemysłu, mając skarby w ziemi i na ziemi. Pan się uśmiecha. Powiem panu. Dlatego, że nie mamy ludzi o szerokich instynktach i wielkich pragnieniach, którzyby umieli otworzyć drogę do tych skarbów.

— Ale za to umieją otwierać drzwi rozkoszy.

— Niezawodnie, poświadczyła, dodając: w moich sferach przemysł źle jest widziany, nie lubią go nasi panowie. Są tacy, którzy nawet mają do niego wstręt.

— Księżna się domyśla, dlaczego...

— Wiem z pewnością. Dlatego, że społeczeństwa przemysłowe demokracieją.

— To znaczy, że wyrabia się w nich samodzielność i energia. Indywidualizm znajduje środki do dźwignięcia się, do wzrostu, bo ma się na czem oprzeć: — na sile i kapitale.

— Nie chcą i boją się naśladować Anglików, dodała księżna.

— Chociaż mają się za lepszych rodami od tych ostatnich.

— To już trudno, bo ci muszą mieć rodowody od setek lat, a u nas rodowody się robią, jak we Francyi. I dlatego to, kochany panie, nikczemniejemy...

Księżna wybornie odczuwała upadek rodów w arystokracyi, do której należała. Milczeli chwilę oboje.

— O ile lordowie są rozumniejsi i lepsi od naszych panów, rzekła smutno.

— Pojedyńczo nie, pochwycił Tadeusz. Lecz lordowie, jako ciało zbiorowe, mają za sobą wielką wyższość rozumu państwowego, tradycyi rządzenia—i tego, co nazywamy wpatrzonym wzrokiem, w Anglię. Ten wiekami wpatrzony wzrok w wielkość Anglii daje im przewagę nad arystokracyą całego świata.

— Wielkie słowo, —nasza umiała tylko siebie kochać i patrzeć na siebie, a nie umiała patrzeć, szeroko nie patrzała nigdy, a teraz od tego spojrzenia oślepłaby.

— Więc woli, jak kret, uciekać od światła społecznego, dokończył Tadeusz.

— Lub może powoli do niego się przyzwyczajać, bardzo powoli. Jako kobieta, zawsze szukam pojednania. Pan pierwszy jesteś, co uchylasz wrota bogactwu narodowemu i pierwsze jego pro-

mienie przepuszczasz. Straciłam męża, będąc młodziutką, i odziedziczyłam po nim wielkie interesa.. Dopiero teraz uczę się widzieć braki w naszej rodowej organizacyi i cenić ludzi, którzy się do nas zbliżają z pomocą.

Wyciągnęła rękę do Tadeusza, którą uścisnął i pocałował.

Księżna była bardzo zręczna, pragnęła pozyskać dzielnego i uczciwego człowieka dla swych interesów, a przytem natura szczera, wierzyła w to, co mówiła. Nadto własnemi rękoma dotykała się spraw i znała z praktyki życie i ludzi, tak, że odrazu oceniła Tadeusza i jego intencye.

— Kraj może zyskać miliony, myślała, a dla mnie powinien zostać choćby milion, — może dwa, po milionie więcej dla każdej z mych córeczek!... Jesteśmy, jako kasta, naprawdę niedołężni i dlatego, aby się utrzymać na stanowiskach, potrzebujemy dużo, o wiele więcej od tych dzielnych, którzy zdobywać umieją! My się cofamy, oni idą naprzód. Przyszłość do nich należy.

Spojrzała na Tadeusza, zapatrzonego w mapę geologiczną Galicyi.

— Muszę go zdobyć *coute que coute*, pomyślała.

— Cóż pan powiesz o Wyżnicy?...

— Że, zdaje się, będzie można znaleźć w niej obfite tereny naftowe.

— Pocieszasz mnie pan, a nie domyślałam się tego. Pewno wiele rzeczy jest na świecie, dodała, o których nie wiem.

— Księżna nie potrzebujesz wszystkiego wiedzieć. Znać tylko ludzi i z ich rad wybrać najlepszą.

— Najtrudniejsze zadanie.

— W interesach konieczne.

— W takim razie początek, zdaje mi się, zrobiłam dobry.

— Księżno, czy komplement, jako sposób, już się nie zestarzał?

— Prawda — nawet bardzo, a zatem przepraszam. Czy pannę Maryę znasz pan oddawna? To niedyskrecya, lecz ponieważ od dwu dni stało się to głośną tajemnicą... Ta przejażdżka była *chef d'oeuvre* w swoim rodzaju. Odrazu zadany szach ojcu, a nawet księżnie Aleksandrowej i jej protegowanemu do ręki panny Maryi hrabiemu Rudolfowi. Uśmiech, przylepiony do jego ust, odpadł na tę chwilę, gdy się dowiedział...

Tadeusz uśmiechał się naiwnie, jak dziecko.

— Nie tryumfujecie jeszcze oboje. Ojciec Maryni za to, aby mu księżna w salonie powiedziała: „mój kuzynie", gotów oddać poło-

wę życia. Z drugiej strony, księżna lubi się mścić nawet za wymarzone urazy...

— Nie tryumfujemy, lecz stosunek nasz, stosunek mój do panny Maryi jest tego rodzaju, że, gdy mi tylko moje sprawy pozwolą, pójdziemy do kościoła, weźmiemy ślub i wrócimy oboje do siebie...

— Pan jesteś wspólnikiem pana Edwarda?

— I mocno zaangażowany w tej kopalni kredytem. Wszystko w niej zbudowałem własnym kosztem.

— Ach, jakby to było ślicznie, gdybyś to samo zrobił w Wyżnicy mojej, pomyślała, a dodała głośno. I musisz się naprzód wycofać, zanim..

— Muszę, szepnął.

— Życzę panu podwójnie, raz dla niego i panny Maryi, a następnie dla siebie samej. Wyżnica, mówisz pan, leży na pasie ropnym?

— To znaczy, że w Wyżnicy można znaleźć bogate tereny ropy.

— Jak długo pan bawisz w podróży?...

— Czyż podobna oznaczyć?

— A więc powiem panu. Jadąc z powrotem, zatelegrafuj z Wiednia do mego pałacu we Lwowie i czekaj na odpowiedź. Bo, jeśli będę na wsi u siebie w Przemyskiem, przyjechałbyś wprost do mnie. Zgoda?...

— Z rozkoszą.

— Może Wyżnica pozwoli panu połączyć się z narzeczoną.

— Bardzobym rad.

Księżna spojrzała na zegarek.

— Za godzinę Wiedeń! Może wspólna podróż nie jest dla nas obojga stracona, a zleciała, jak błyskawica...

— Ośmielasz mnie księżna grzecznością.

— Do widzenia więc we Lwowie, w Przemyskiem, a może w Wiedniu. Gdzie pan stajesz?...

— Na Kärtnerstrasse u Müllera.

— Zatelegrafuj, jeśli się pan dłużej w Wiedniu zatrzymasz.

— Z przyjemnością stawię się wezwany.

Pożegnali się. Tadeusz wrócił do swego oddziału, był sam, rzucił się na siedzenie i zawołał wesoło:

— A więc Wyżnica odkryta na drodze z Krakowa do Wiednia... Tam odrazu zbuduję dom, abym przy pierwszym uśmiechu losu mógł wprowadzić do niego moją żonę! A teraz do pracy!

Pochwycił mapę geologiczną, wpatrywał się uważnie w okolice Borysławia i Wyżnicy, kreślił, liczył, przeciągał delikatnie linie ołówkiem, szepcząc:

— Zdaje się, że to nowe wielkie bogactwo. Są naznaczone szyby, robione przez Szwarcenberga, lecz, zdaje się, chwała Bogu, nie natrafili na prawdziwe tereny.

Patrzał, uśmiechał się, rozkoszował nadzieją. Po chwili bezsenne noce i ciągła jazda zmogły go — oczy zamknął, karta wypadła mu z rąk.

Myśli jego, a za niemi dusza, uwolniona z pod władzy ciała, pognała wprost przez połowę Europy i Atlantyk, do dziewiczych lasów Argentyny. Szła śmiało, przeciskając się przez tajemnicze puszcze, olbrzymie drzewa i liany zasłaniające świat, szła przez ciszę wielką i tajemniczy zmrok, chociaż w górze słońce paliło, — aż stanęła na pochyłości wzgórza przed szałasem, zbitym z desek.

Była już noc, wisząca na drucie lampa oświecała wnętrze pierwotnego mieszkania. Trzech młodych ludzi krzyżowało izbę; chodząc nerwowo, palili papierosy. Twarze ich miedziane, oczy błyszczące. Na stole leżał telegram. Dusza Tadeusza odgadła, że od niego.

— Nareszcie wracamy: — rozkaz — i do apelu stawić się trzeba. Dosyć tu mamy zwrotnikowego gorąca, łakomych na naszą krew: pum, jaguarów, węży, skorpionów, jaszczurek i muskitów — dosyć udręczenia, nocy bezsennych, duszących dni deszczów, lejących miesiącami!!.... Dosyć tego klimatu, który denerwuje, ssie, dusi i kładzie.

— Nim się położymy, trzeba wracać — widocznie — potrzebni tam jesteśmy.

— Zaczyna się życie w kraju, kiedy nas wzywają....

— Gdyby było inaczej, pocóż wracać?

— Jest nareszcie robota! Co to za rozkosz pracować u siebie, dla swoich! Tu mnie muskity i gorąco ssały, tęsknota zjadała.

— Ale trzeba było zdać egzamin, że umiemy pracować i uciułać sobie troszeczkę grosza, choćby tylko na zaczęcie.

— Egzamin zdaliśmy, a teraz odwrót. My jedni rozumiemy, co to znaczy wracać do kraju, my jedni rozumiemy miłość do niego i tęsknotę za nim... „Ojczyzno, ty jesteś, jak zdrowie".

— Niech żyje Tadeusz, nasz drogi, kochany Tadeusz! Ciągnie nas do siebie, bo czuje nasze siły, naszą energię i umiejętność pracy.

— Jesteśmy wezwani, to daje nam pewną satysfakcyę. Argentyńczycy nauczyli się od nas tyle, że sami dalej dadzą sobie radę.

— Do pierwszej stacyi będzie dwadzieścia mil angielskich, do Bueno-Ayros koleją dwanaście godzin, i na okręt do Genui!....

— Za dwa miesiące jesteśmy na łonie ojczyzny. Stary Wawel nas zobaczy, a my Kraków, i dalej w góry w nasze, pełne bogactwa góry.

— Jesteśmy wezwani, to cała nasza duma.

— Poczciwy Tadzio nie zapomniał o nas!..

Tadeusz poruszył się w wagonie, dusza jego z pod uchylonych drzwi szałasu błyskawicą wróciła i wsunęła się cicho, jak mgnienie oczu, w jego organizm.

Otworzył oczy, przetarł czoło.

— Czuję jeszcze zapach dziewiczego lasu.

Zerwał się.

— Cóż za widzenie przyjemne! Gdzie teraz mogą być? Mam przeczucie, że ich w Wiedniu zastanę. Dzielni — są mi wdzięczni, że ich wezwałem. Wspominają mnie serdecznie!.. Gdy ich zastanę, wyszlę zaraz do Wyżnicy....

— Wiedeń — Wiedeń — wołali konduktorzy. Dzwonki elektryczne brzęczały, ruch na stacyi ożywiony. Wybiegł na peron, skoczył do dorożki, rzeczy złożono mu na wierzchu. Kazał się wieść na Kärtnerstrasse, do hotelu Müllera. Był to hotel, do którego zajeżdżali przemysłowcy polscy. Punkt ich zborny nad Dunajem.

Po przyjeździe Tadeusz kazał sobie podać listę osób, zamieszkujących hotel. Gdy ją czytał, oczy mu świeciły radością, wargi drżały.

— Sen — dobre przeczucia, są, już są, moi kochani, są w tak ważnej, wielkiej chwili!

Zadzwonił gwałtownie, wpadł służący.

— Panowie z pod 44-go i 45-go numeru są u siebie?

— Są, odpowiedział, przyszli przed chwilą.

— Na którem piętrze te numery?

— Na drugiem, na prawo.

Wypadł, przebiegł schody zadyszany, zastukał i, nie czekając na odpowiedź, wszedł.

Trzech młodych ludzi, zbitych w gromadkę, rozprawiało ze sobą tajemniczo.

— Pierwszy was witam, pierwszy was odkryłem i pierwszy jestem u was. Widziałem was dziś we śnie w argentyńskim lesie.

Nastąpiły przywitania, serdeczne uściski, wykrzykniki, pytania bez odpowiedzi, radość młodości, której świta jutrzenka...

— Jedziecie prosto do kraju — do nas!

— A gdzieżby? Z Argentyny tylko do kraju mogą wracać nafciarze na twe wezwanie!

— Dziękuję wam. Byłem pewny, że mnie usłuchacie. Zresztą nie ja was wzywam, lecz sprawa — nadzieje....

— Rozumiemy!

— Wielki przemysł się rozwija, a niema ludzi.

— Kiedy go nie było, nie mieliśmy co w kraju robić.

— Dziś się tworzy, jesteśmy i my.

— Rozumiemy się! podajcie mi ręce. Moja dewiza — wszystko dla naszej sprawy.

— A nasza z tobą do końca, zawołał blondyn o niebieskich oczach, szczerze i poczciwie uśmiechnięty.

— Przemysł to indywidualizm, siła, hart duszy, niezależność, walka, mówił, zapalając się, Tadeusz.

— Nie chcieliśmy być urzędnikami, a nie mieliśmy za co zostać niezależnymi, pojechaliśmy po środki do Argentyny.

— To było dzielne! Dziś jest możność!...

— Mamy troszkę grosza, malutko, ale i to coś znaczy, dodał silny brunet o melancholijnym wyrazie twarzy, a głębokiem spojrzeniu czarnych oczu.

— Ta troszka stworzy kredyt! Jakże się cieszę, że was widzę. W serce moje wstępuje otucha i ciepło nadziei... Razem, młodzi przyjaciele! Dużo do roboty, byle chcieć i wytrwać.

— Cóż Swoboda? rzucił pytanie serdeczny blondyn.

— Fatalizm!.. Obfitość pierwszej studni była mojem nieszczęściem. Myślałem, że wszystkie szyby będą podobne, zawiodłem się. Skutkiem dziwnych zajść i braku kapitału mam zaledwo pięćdziesiąt procentów dla siebie, do tego wszystkie koszta i nakłady, drugie pięćdziesiąt brutto biorą mi spólnicy. Sprawiłem rurociągi, żelazny zbiornik na sto wagonów, maszyny, domy, mieszkania dla robotników... Wszystko pochłonęło na wiele naprzód dochody z Swobody. Tymczasem Swoboda cofa się, obfitość ropy mniejsza, posuwać się daleko nie można. Dwa nowe szyby, jako forpoczty drugiej finii naftowej, zawiodły. Niema wielkich nadziei, jak we wszystkich kopalniach, w których płytko znajduje się ropa. Zostawiłem w Swobodzie Feliksa, niech liże z ran

kopalnię, zadaną jej wielkim kredytem, niech ciągnie, co się da, i płaci długi.

Odetchnął ciężko. Nie przerywano mu, z twarzy towarzyszów wyglądało oczekiwanie i pewien niepokój.

— Mam węgiel, rzekł, ten pierwszy i jedyny warunek przemysłu! I, gdy nafta trwa od roku do dwudziestu, węgiel sto, jeśli dobre pokłady, a łatwo je mierzyć. Znalazłem to bogactwo we wschodniej Galicyi, lecz wy nie jesteście górnikami węglowymi.

— Nie — szepnęli.

— A więc znalazłem i ropę! — nowe, prawie jestem pewny, bogate pokłady. Właścicielką Wyżnicy jest księżna, a zdaje się, że w pasie naftowym znajdują się grunta chłopskie i gminne... Dwie mile od Borysławia, droga przez jedną górę dosyć przykra. Na wiosnę i jesień pewno wielkie błota.

— Ropa jest, zapytał brunet.

— Jest, kochany Józiu, i była. Schwarcenberg zebrał za nią z półmiliona, lecz w złem miejscu kopał i prędko ropę wyczerpał. Księżna kopie w dobrem ręczne, otwarte studnie i te jej się opłacają. Inaczejby nie kopała. Kobieta sprytna, sama administruje swymi majątkami.

— Z taką łatwiej trafić.

— Mój Władziu, ty ze wszystkiemi kobietami łatwo dajesz sobie radę — przerwał Józef.

Roześmiali się, a Tadeusz zapytał.

— Cóż myślicie?

— Jutro jechać do Wyżnicy.

— We trzech?

— Razem!

— To świetne, to po angielsku, po amerykańsku, a powinno być po naszemu!...

— Czas — pieniądz, — stare, dobre przysłowie zachodu, dodał Józef.

— Jedźcie, drodzy, rozpatrzcie wszystko zręcznie i pocichu. Witold wytknie linię naftową po odkrywkach, które naturalnie w górach zawsze się znajdą. Poproście kolegę Zubera, pomoże wam. Na to nie trzeba żałować trochę czasu i trochę pieniędzy. Mając wytkniętą linię, możemy się oryentować, przez czyje grunta przechodzi, i zacząć nabywać grunta...

— Dobra rada, odrzekł Józef spokojnie. Nazajutrz po przybyciu robimy odkrywki.

— Sprowadźcie Zubera!

— Weźmiemy go z sobą, musi pomódz w tak ważnej sprawie, a dla nas jedynej....

— Tem lepiej!.. Tak — to wybornie!....

— Gdy tylko wrócę do kraju, jestem u was trzeciego dnia. Być może, że z księżną skończę, a wtedy utworzymy spółkę, jeżeli dla was okaże się dogodna.

— Będziemy z utęsknieniem czekać twego przybycia, kochany panie Tadeuszu, zawołał Władysław.

— Moi drodzy, po co ten pan?.. Jesteśmy wszyscy ludźmi jednego fachu, żołnierzami jednej armii, zdobywamy świat młotkiem górniczym i świdrem.

— Dziękuję, rzekł Władysław, ściskając serdecznie rękę Tadeusza.

— Idziemy z młotkiem w ręku do zdobycia, jeżeli nie świata, to przynajmniej naszej biednej Galicyi...

— Jak długo bawisz, Tadziu, zagranicą, spytał Józef.

— Czyż ja wiem?. Najprzód dystylarnia nafty, złączona z wielką fabryką parafiny pod Kołomyją. Miejsce mam obrane, szukam wspólników. Dalej dwie kopalnie węgla. My nie mamy kapitałów, a na Zachodzie nie wiedzą, co z kapitałami robić. Należy je przenieść stamtąd do nas i z ich pomocą stworzyć nasze bogactwa, nasze kapitały, naszymi ludźmi. Zagranica niech daje pieniądze, czeka, patrzy — i nic więcej.....

— Obca interwencya, szepnął Józef, zawsze ciąży.

— Mój drogi, jak nie można inaczej? Kapitał to nie armia....

— Czasem w skutkach gorszy od armii.

— Wskaż lepszy środek.

— Wytrwałość i czas.

— I zestarzejemy się przy jednym szybie, jednej fabryce, jednej kopalni, mówił Tadeusz. Czas, mówisz? — Cóż znaczy dziesięć lat dla przemysłu bez kapitałów? niewiele, lecz — dla nas zmarszczki i siwe włosy.

— Prawda, zawołał Władysław, zapatrzony w Tadeusza.

— Zawsze to lepsze, odparł Józef, jak iść w niewolę obcych kapitałów.

— My przy nich musimy stworzyć własne, inaczej nie jesteśmy warci nazwy dzielnych przemysłowców. Przemysł to twórczość, to siła wytwarzania bogactwa jakimikolwiek pieniędzmi.

— Prawda, prawda — szeptał porwany wymową Władysław.

— Będziemy jeszcze mieli sposobność rozprawiać w tym kierunku, dziś nie mam czasu. Jutro jedziecie?

— Raniutko.

— A więc o godzinie jedenastej lub o północy przychodzę do was na pogawędkę. Szybkość waszej decyzyi wzięła mnie — do widzenia!

Po odejściu Tadeusza nastała w gromadce trzech cisza, jak przed burzą, póki Władysław nie zawołał.

— Dzielny!..

— Nie przeczę — dzielny — lecz — rzekł spokojnie Józef.

— Oto zawsze to nasze „lecz", przerwał rozgorączkowany Władysław. U mnie niema żadnego „lecz". Tadeusz wypowiedział głośno to, co oddawna tkwiło niesformułowane w mym mózgu, i dlatego czuję pociąg do niego, jak do swego sobowtóra...

— Bezwątpienia. Twój zapał, gorączka, optymizm, przypadają zupełnie do usposobienia Tadeusza. Jednak w matematyce i przemyśle one często zawodzą.

— W matematyce i przemyśle twórczość jest zawsze siłą twórczą.

— Tu nie o twórczości mowa, tylko o zastosowaniu!.. Zbyteczna fantazya szkodzi matematyce i przemysłowi. Tadeusz niezawodnie weźmie kopalnie księżny, a my na linii naftowej, którą wyszukamy, założymy nową kopalnię. Będziemy się wzajemnie wspierać, pomagać sobie. Będziemy żyć, jak bracia, i kochać się, tylko nie mieszkać w jednem domostwie. Cenię prawość, rzutkość, genialną pomysłowość Tadeusza, ale się boję jego rozbujałej fantazyi. Jesteśmy związami i dlatego projekt mój poddaję pod głosowanie.

— W takim razie tylko Witold rozstrzyga, rzekł Władysław.

— Podzielam zdanie Józefa, bo, jeżeli Tadeuszowi noga się powinie, to my go wesprzemy, a jeżeli nam, to nas Tadeusz.

— A jak nam i jemu, kończył Józef, to razem padniemy i razem będziemy się dźwigać lub do Argentyny wracać!...

— Zostałem przegłosowany, jutro jedziemy i do roboty. A może się i dobrze stało?!..

— Zawsze kopalnię się rozszerzy, kończył Józef, nie zabiorą nam terenów obcy. Dziś łatwo je zdobyć, a gdy ropa buchnie, grunt w Wyżnicy podniesie się dziesięćkroć lub więcej!

— Zgoda, zostałem zwyciężony! Chodźmy na kawę do Puchera przejrzeć dzienniki i pogapić się po Kärtnerstrasse.

Nadzieja rwała im serca, gorączka do pracy rozpalała krew... Wyszli z fantazyą młodości, podbijającej świat, radzi, że się wydobyli z tropikalnego gorąca Argentyny, dziewiczych lasów, złośliwych owadów i strachu przed żółtą febrą.

ROZDZIAŁ XVIII.

Dnia tego u bankierów Ludwigów było tygodniowe zebranie. Kilku kolegów pana Ernesta, głowy rodziny, i parę rówieśniczek panny Ketti Ludwig, jedynaczki w domu. Syn Karol praktykował w Antwerpii, zamężna córka mieszkała w Tryeście, Ketti królowała w domu.

Panowie grali w winta w kancelaryi pana, paląc wyborne cygara, młode dziewczęta, ubrane balowo a wykwintnie, chodziły cicho, jak duchy, po salonie, wysłanym dywanem, rozmawiały szeptem i śmiały się robionym śmiechem, podobnym do westchnień.

Jedna Ketti była ożywiona, jakieś ognie szczęścia świeciły w jej oczach, uśmiechała się rozkosznie, opowiadając przyjaciółkom: że, oprócz trzech znanych młodych ludzi, oczekuje na swego nauczyciela języka angielskiego, młodego Polaka.

— Polaka? — powtórzyły dziewczęta.

— Polacy są dżentelmeni, rzekła jedna.

— Mają cześć dla kobiet, dodała Ketti.

— Zapał twój dziwny dla biednego nauczyciela języków?!...

— Ależ to milioner, przerwało dziewczę, a jeżeli był moim nauczycielem, to tylko dlatego, że chciał mnie uczyć. Przyjaciel mego brata w Anglii, a teraz przyjaciel naszego domu.

— Wyszłabyś za cudzoziemca?...

— Za Polaka — to honor! Jest on przecie *von*.

— Przedewszystkiem milioner.

— Do tego młody, piękny, dobry, poważny i bardzo rozumny...

Elektryczny dzwonek dał znać.

— Milioner, szepnęły razem Niemeczki, znające wartość pieniędzy.

Później głosy się rozdzieliły. Jedna szepnęła: młody, druga piękny, trzecia „von".

Drzwi się otworzyły, wszedł Tadeusz, Ketti pobiegła do niego.

— Dziękuję panu za telegram z drogi i za to że wezwany przychodzisz. Rodzice moi ucieszą się.

Przedstawiła Tadeusza koleżankom.

— A to są moje towarzyszki i przyjaciółki.

Tadeusz ściskał podane przez Niemeczki ręce, uśmiechając się uprzejmie. Czuł wpływ niemieckiej atmosfery i niemieckiej „Gemüthlichkeit”, cichego dobrobytu, niewyszukanego komfortu, mogących się co chwila ziścić małych pożądań i pragnień. Dobrze mu było i spokojnie. Umysł jego szukał chwilowego wypoczynku, zapomnienia, rozrywki. Zapragnął być dzieckiem wśród tych dzieci niemieckich, mających jedną dojrzałość—umiejętność rachunku, jedną cnotę — praktyczność życia.. Nie były to orlęta, lecz wesołe kurki. Bawił się z niemi, jak z dziećmi, opowiadał ciekawe historye, deklamował Schillera, mówił o dyamentach i perłach. Oczarował Niemeczki do tego stopnia, że aż mało zwracały uwagi na przybyłych młodych ludzi z arystokracyi pieniężnej Wiednia... Z tego sobie jednak ci panowie niewiele robili, traktując swe towarzyszki łaskawie z uśmiechem buty i wyższości, jak tylko co wyzwolone niewolnice. Zwykły atawizm. Niemki za długo były niewolnicami dawnych Germanów, jak dziś są z przyzwyczajenia niewolnicami Niemców.

Ketti poprosiła jedną z koleżanek o walca — i tony jego wypełniły salon. Dygnęła przed Tadeuszem. Objął ramieniem jej kibić i w takt suwał się cicho po dywanie. Młodzi panowie poszli za dobrym przykładem.

Ketti doznawała rozkosznych dreszczyków w objęciach Tadeusza. Gdy ją chciał puścić, szeptała cichutko — jeszcze, jeszcze, muzyka naszego walca upaja mnie.... Ciało jej białe, jak sinawy alabaster, oróżowiło się na odkrytych ramionach i szyi łabędziej. Zmęczona usiadła na kozetce, pociągnęła za sobą Tadeusza i, oddychając głęboko, patrzała, pytając się wzrokiem.

— Widziałeś piękniejsze ciało, czy nie czujesz świeżości mego oddechu i w moich oczach nie czujesz spokojnego nieba? Wszystko to może być twoje i jeszcze pół miliona guldenów gotówki... Twoje, twoje, mówiła do niego wzrokiem i czarownym uśmiechem, dającym szczęście i rozkosz. Powiedz tylko jeden wyraz „chcę” i jedno słowo „kocham”. Mówże!.... Szlachcicu polski, nie bądź dumnym! A możeś ty nieśmiały i pragniesz mnie milczeniem zmusić do powiedzenia pierwszej i zawstydzenia się odwagą?

Przysunęła się do niego.

— Walc rozmarza, zamyśliłeś się, mój nauczycielu, o czem? jeśli to nie tajemnica twego serca lub nie tajemnica twoich tajemnic...

— Że Straus to król Wiednia, odpowiedział, a walc bóg Wiednia... Któż tu jest silniejszym od Straussa, a więcej wszechmocnym od walca?

Roześmiała się serdecznie, pokazując szereg małych, białych ząbków.

— Prawda, giniemy za walcem!.. Nie widziałeś mnie pół roku, powiedz, czym nie zbrzydła?...

— Wypiękniałaś, śliczna Ketti, w dwa miesiące z dziecka zmieniłaś się w kobietę!...

— I nie zczerniałam? — zapytała filuternie.

Spojrzał na biały biust dziewczęcia, jak gdyby dziś rozwinięty pączek białej róży.

— Posągi z alabastru nie czernieją. Gdyby cię Fidyasz ujrzał, jużby nie patrzał na innych dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć dziewic z Miletu, jeśli trzysta stanęło do wzięcia z nich wzoru na boginię piękności.

— Pochlebco, przebaczam ci, jednocześnie rozbrajasz.

Spojrzał raz jeszcze na śnieżne, delikatne, pełne ramiona i powiedział.

— Porównanie sprawiedliwe, i zamilkł.

— Dalej, jeszcze dwa wyrazy śmiało! zachęcało go wzrokiem i uśmiechem dziewczę...

Rozkoszne sam na sam przerwał młodzieniec, zapraszający dziewczę do tańca. Poszła zła, z nadąsaną minką..

Tadeusz siedział, patrząc bez myśli przed siebie. Dobrze mu było, ciepło, muzyka walca kołysała mu myśli, piękne dziewczyny tańczyły przed nim, nurzając się w elektrycznem świetle. Odkryte ich biusty i ramiona, białe, pełne, delikatne, podobne do kwiatów.

„Jak biała róża, kiedy się rozwija,
Róż pokazuje z piersi odemkniętej“...

deklamował zapatrzony, rozmarzony młodością swą i świeżością alabastrowych, wychuchanych w zbytku ciał dziewczęcych.

Raptownie, niespodzianie objawiła się przed oczami duszy jego Marynia z uśmiechem królowej, z mądrością na czole, z głębiami w oczach, stając w przycienionym rogu salonu.

Błyskawica oświeciła mu mózg.

Często takie złudzenia i takie błyskawice padają na podniecony wrażeniami umysł.

Mimowoli rzucił wzrokiem po postaciach pięknych Niemeczek i znowu spojrzał w szarawy róg — wyciągnął radośnie ręce.

Nadbiegła Ketti.

— Do kogo? spytała ciekawie.

— Do marzeń. Zobaczyłem postać i do niej wyciągam ramiona.

— Kobiecą?...

— Prawdziwej kobiety, myślał w duchu, patrząc na Niemeczkę. Kobiety, która potrafi kochać, lecz i cierpieć umie—i walczyć, i wytrwać, i zwyciężać miłością!... U was takich kobiet mało, a w waszej sferze niema ich zupełnie.

Po twarzy dziewczęcia przemknęły blado różowe płomyki, na błękitach oczu zaświeciły gwiazdki przeczuć i radości.

Tadeusz powstał.

— Tańczmy, szepnęła. Chcę się upoić muzyką mego króla i mym bogiem - walcem. Lubisz ze mną tańczyć?...

— Wpadasz cudownie w takt, jakaś rozkoszna woń cię otacza, że można paść...

Dziewczę ze wzruszenia nie mogło mówić i oddychać. Szybko jednak zapanowało nad sobą i, chcąc zrobić ujście radości swej, zaczęło nucić radośnie melodyę walca. Pomagał jej Tadeusz. Za nimi poszły inne pary.

Przyjemny szmer śpiewu zagłuszał często fortepian. Ogólne panowało rozmarzenie pod czarem króla tonów i boga Wiedeńczyków...

Głosy się podnosiły coraz śmielej, coraz głośniej, zmieniając się w ogólny chór.

Z po za portyery ukazały się postacie ojców, z drugiej strony weszła matka, uśmiechnięta i szczęśliwa. Oklaski zagłuszyły śpiew, lecz w tej chwili powtórnie zapanował śpiew z wzrastającą siłą. Fortepian zmienił się w akompaniament.

— Prześlicznie, dzieci, a teraz proszę was na wieczerzę, odezwała się głośno matka, odsuwając portyerę. Fortepian zamilkł, pary stanęły i, podawszy sobie ręce, przeszły do sali jadalnej, urządzonej bogato z komfortem mieszczańskim.

Tadeusz, siedząc obok Ketti, miał po lewej stronie bankiera o marmurowo zastygłych rysach. Zaledwo błyskawicami twarz ta przelotnie się ożywiała, gdy oczy zobaczyły coś dobrego do pochwycenia. Mówił spokojnie, wyraźnie i dobrze, lecz tylko wtedy, gdy go własna przyjemność lub konieczność do tego zmuszały.

Bawiącego się Tadeusza z Ketti zręcznie odciągał, zadając mu pytania, które go zaciekawiły. Tadeusz odpowiadał na nie tak zajmująco, że zaczęto go słuchać z natężoną uwagą.

Rozmowa toczyła się o wewnętrznych stosunkach austryackiej produkcyi.

Tadeusz raptownie rzucił pytanie, dlaczego dotąd Austrya, mimo że ma wyrównany budżet, prawie o pół wieku cofnięta jest w sprawach handlu, przemysłu i targu pieniężnego od reszty zachodniej Europy.

Zrobiła się cisza, bankierzy pytali się siebie wzrokiem: czego ten naiwny Polaczek chce?

— Prosimy o wyjaśnienia, odezwała się spokojnie kamienna twarz.

— Na zachodzie, a nawet w Niemczech, moneta jest złota, u nas papier. Dopóki Austrya nie będzie mieć również monety złotej, dopóty musi pozostać po za temi państwami, których moneta jest złotą. Obce kapitały dopóty nie będą wchodzić do Austryi, dopóki, dając złoto, nie uwierzą, że złoto odbiorą, i dlatego u nas pieniądz jest drogi.

— Prawda, ale ta kwestya dla Austryi jest jeszcze w dziedzinie marzeń, pochwycił gospodarz domu.

— Austrya, chcąc żyć i wzmagać się, musi zmienić marzenie w ciało. W interesie panów leży, aby się to jak najprędzej stało. Jesteście pośrednikami pieniędzy między państwami i sami szukacie po całym świecie interesów, a wasze pieniądze zależą od gry giełdowej i traktowane są, jak papiery.

— Przeprowadź to pan!

— Z ochotą, we własnym interesie szukam kapitalistów dla Galicyi...

— Dużo?

— Milionów i pragnę je dostać tanio.

Miliony podziałały łaskotliwie po skórach młodych Wiedenek i Niemców. Kamienna twarz uśmiechnęła się.

— Musiałbyś pan najprzód przeprowadzić sprawę w parlamencie, a znasz go. Jeśli Niemcy będą chciały, to Czechy nie, i naodwrót.

— Zgodzą się wszyscy we wspólnym interesie. Cesarza podejmuję się przekonać i podejmuję się obronić system monety złotej w parlamencie, lecz cóż, nie mogę tam wejść, aż za dwa lata.

— Wiek, szepnęły sympatyczne Niemeczki.

— Jeżeli o wiek idzie, to najmniejsza, nikt sprawy lat przy sprawdzeniu wyboru nie będzie podnosił, odezwał się ojciec Ketti.

— Tylko wejdź z hasłem złotej monety, my cię poprzemy! A jednak pamiętaj pan, że upór i głupota to najstraszniejsze wrogi,

a w zbiorowych ciałach stanowią najsilniejszą potęgę i podstawę parlamentaryzmu.

— Można z nimi głośno walczyć, pokonywać, to wielka nasza wygrana.

Służba rozlała szampana.

— A więc na cześć złota, rzekł gospodarz, podnosząc kieliszek, na cześć siły, streszczającej w sobie rozum i bogactwo narodów!..

Wyciągnął rękę, dotykając kieliszkiem swym kieliszek Tadeusza. Niemeczki trącały się z nim z rozkoszą, szkło mile brzęczało. Za dziewczętami poszli bankierzy.

— Już czas, rzekła kamienna twarz, stanąć obiema nogami — obok wielkich Niemiec.

— Oby błogosławiony dla Austryi czas szerokiej pracy jak najprędzej nadszedł, wygłosił Tadeusz.

Wszyscy powstali, szkło dźwięczało, oczy Niemeczek świeciły fosforem, buzie ich oróżowiły się. Z kamiennej twarzy wychylała się błogość nasyconego. Oczy mrużył, nozdrza rozszerzał, rysy jego przybierały wyraz sennej drapieżności...

— Tylko przekonaj pan najprzód cesarza, wlej odwagę w rząd, naucz rozumu parlament, a zasłużysz na wdzięczność całej ludności państwa.

— Która mnie przy pierwszej niepewności powodzenia kamieniami obrzuci, zaśmiał się Tadeusz.

— To może w ojczyźnie pańskiej, u nas nie.

— Najprzód nie będziesz pan miał jaskrawego niepowodzenia, rzekł drugi bankier, usiłujący w całej swej powierzchowności wykazać wytworność wielkiego pana. A dalej jestem zdania, że tłum więcej, jak człowiek umie być wdzięczny — chociaż tego nie będziesz wymagał...

— Nigdy, lecz tłum jest tłumem, wiecznie prowadzonym przez wytrawnych demagogów lub namiętnych krzykaczy.

— Najprzód miejmy w obiegu złoto, potem pomówimy o wdzięczności, rzekła kamienna twarz, trawiąc z widoczną rozkoszą zjedzoną dobrą wieczerzę.

— Najprzód miejmy złoto, powtórzono chórem.

— Kiedy pan rozpoczynasz kampanię?...

— Nazajutrz po wejściu do parlamentu, lecz jeszcze nie zostałem wybrany, odparł wesoło Tadeusz.

— Możesz z wielkiej własności być w nim za miesiąc, a wielka własność, chowając kapitały swe zagranicą, pragnie mieć monetę złotą w Austryi.

— Wstańmy, szepnęła do Tadeusza Ketti. Swobodniej w salonie. Dała znak oczami matce. Zrobił się ogólny ruch, dziewczę podało rękę Tadeuszowi.

— Gdy będziesz pan w parlamencie, musisz u nas co dzień bywać. Będziesz mnie dalej uczył.

— O ile tylko czas mi pozwoli.

— Niewdzięczniku, nie domyślasz się, że będę tęsknić.

Z drażliwej sytuacyi wyrwała go kamienna twarz, zadając mu pytanie.

— Wszak całe Podkarpacie podminowane ropą naftową?

— Liczmy czwartą część, to i tak na eksploatacyę potrzeba stówki lat.

— Miły okres czasu. A dotąd dużo terenów wziętych?

— To względne — przypuszczam, że jedna setna.

Odciągnął Tadeusza pod okno.

— Jeżeli będzie co godnego, a sam nie dasz rady, przyjdź do nas, do naszego banku. Interesa zaczynamy od miliona, ze sperandą na dziesięć.

— Dlaczegóżby nie na sto?

— Zaczynamy, gdy mamy nadzieję zarobku dziesięciu.

— Bardzo skromnie.

Obydwaj się uśmiechnęli, kamienna twarz pokazała szereg silnie osadzonych żółtych zębów w szczęce szerokiej i mocnej.

— Pan stoisz na czele londyńsko-wiedeńskiego banku?!...

— Ja, rzekł, i jestem w znacznej mierze jego akcyonaryuszem— proszę wprost do mnie; podał mu kartę wizytową, na której było wydrukowane dużemi literami: Otto Bayer.

Tadeusz schował kartę.

— Może się znajdzie węgiel, cynk, miedź, ołów...

— Złoto, dokończył Tadeusz.

— Jeśli będzie czyste, nie przyjdziecie do nas. Nie zapominaj pan dla siebie i dla nas o złotej walucie i wracaj do młodych. Ketti pachnie wiosną i może kiedyś, gdy szczęście do jej starego będzie się ciągle śmiać całą gębą, wniesie posagu milionik... W Bogu nadzieja. Odszedł, nie czekając na odpowiedź.

O północy towarzystwo się rozeszło. Tadeusz pojechał do argentyńskich przyjaciół, a dwaj wielcy bankierzy, kazawszy powozom swym czekać przed Sacherem, ująwszy się pod rękę, poszli piechotą.

— Cóż myślisz, kolego, o młodym Polaku? odezwał się „robiący” wielkiego pana bankier Ernest Schneider.

— Dobra do zjedzenia gąska. Niech się tymczasem tuczy, potem piecze. Wierzę, że może nam swoją inteligencyą i szczęściem, jeśli je ma, napędzić miliony.

— O ile mam wiadomości z Kołomyi, kopalnia jego już się stacza.

— Jedna, lecz może mieć ich dziesięć, a te zawsze stoczą się w nasze ręce, tylko idźmy za nim i pilnujmy.

— Prawda — wiedzieć to znaczy przy wytrwałości tyle, co posiadać, tem więcej, gdy za marne pieniądze mamy dobrze zorganizowaną policyę.

— Pierwszy to warunek, bo wtedy przychodzi się do gotowego.

— Skąd on teraz czerpie gotówkę? spytał Schneider.

— Ma na początek swoją, jako dochód z kopalni. Nie puścimy tego ptaszka. Inteligencya silna, natura marzycielska, fantazya wielka, no, i ta dobra do oskubania szlachetność wygląda mu z za kołnierza... Prawdziwy Słowianin z tych, co się udają.

Zdaje się, że niema tej naszej moralnej siły!

— Nie posiada on ani przebiegłością wyostrzonych zębów, ani naszej przenikliwości, węszącej zwierzynę na tysiąc kroków, i dlatego w naszych rękach da się wyłuskać!

— Łagodny i potulny i dlatego padnie.

— Jak i cała słowiańszczyzna kona w naszych żelaznych uściskach. Ściskać umiemy — ha, ha! Jeżeli daliśmy radę Rzymianom, to przecie i Słowianom damy... Po tysiącletniej nad nimi robocie są owoce: Dunaj, Elba, Odra, Warta, połowa Wisły, ujście Niemna, już w naszych rękach!...

— U nas na południu bronią się dzielnie, szepnął Ernest.

— Bośmy tu w mniejszości, a nie możemy się doczekać wsiąknięcia w wielką ojczyznę! Gdy się to stanie, wtedy zapalimy wielki ogień, a tymczasem zaprosiliśmy do wspólnej roboty dzicz węgierską, posławszy im na cywilizatorów legion żydów! Dzicz ta tymczasem, zanim my przyjdziemy, morduje Słowian nie na żarty... Tą samą dziczą tysiąc lat temu rozbijaliśmy Wielko-morawskie państwo i tym sposobem sankcyonowaliśmy dzicz w Europie!... Ale i na nią przyjdzie kolej! Dzikusy ci mają najpiękniejsze ziemie w środkowej Europie i trzecią część Dunaju w swych łapach.

— I sami ze zbytku krwi i chuci padają, gdy mordowani Słowianie, jak feniks, z popiołów dźwigają się. Czyżby to był los młodszej od naszej rasy?.. Czyśmy do licha już przeżyci, wyczerpani, — piwem przepici?...

— Kpię sobie z młodych ras i ich żywotności, przerwała kamienna twarz. Podcinaj winnice, a latorośle lepsze i więcej wina wydają. Niewolników się nie tępi, lecz rozmnaża... Niema nad nas lepiej przystosowanych w walce do natury naszego globusu. Nasz narodowy egoizm, wzmocniony drapieżnością Rzymian, naszych wychowawców, najlepiej się nadaje do warunków przyrody— i dlatego jesteśmy i będziemy panami świata! Te młode rasy, nim urosną, nim się wzmogą, muszą paść w naszych uściskach. W walce z nami tem są słabsze, im są więcej uczuciowe... Natura Słowian miękka, łatwo więc w nią wchodzą nasze pazury. Słowianie są łagodni, łatwiej więc pożerać się dają; są słodcy i dlatego w jedzeniu przyjemniejsi!.. *Ja*—to Niemiec, *my* tylko Niemcy.. Ten wspaniały egoizm i do tego nasza wytrwałość daje nam panowanie nad światem. My, spadkobiercy Rzymian, ich karności armii, ich bezwzględności administracyi, dalej rozwijamy państwo rzymskie. Bismarck był wielki, bo gadał naszemi myślami i działał naszą wolą!... On pokazał nagą duszę Niemca...

— Ale czy Słowianie nie będą naszymi spadkobiercami, jak my Rzymian?...

— Ha, ha, ha! zaśmiała się kamienna twarz. Na dzikie hordy, ciągnące ze wschodu, są nasze armaty i bataliony, zakute w stal. Zobaczysz, co się stanie ze Słowianami w Austryi, gdy nasz sztandar niemiecko-pruski powieje w Wiedniu!... Lecz za dalekośmy zaszli od Polaczka, którego, gdy znajdzie milionowy interes, — wyłuskamy?!..

— Lubisz, kolego, łuskać...

— To przecie nasz fach, a najlepiej się dają wyłuskiwnć idealiści i ideoniści. Wszystko mogą mieć do świetnych interesów, tylko im zawsze będzie jednego brak — duszy interesu, — egoizmu — i dlatego my te interesy bierzemy z ich rąk.

— Nie uważasz, kolego, czy my czasem nie przesadzamy w bezwzględności?...

— To pewna, że, podług Darwina, mamy najlepsze pazury i nimi panujemy w Europie. Do ich ostrzenia posiadamy twarde brusy, a tymi są: kultura nasza i organizacya rzymska w naszej krwi... Gdzie Niemiec, tam żołnierz i organizator. Kolego, my się wybornie rozumiemy. Lubię najbliższym wydobywać na jaw z głębi ich mózgów nasz rozum stanu i naszą mądrość panowania nad światem.

Zaśmiali się, wchodząc w wybornych humorach do Sachera napić się mrożonego grogu i dowiedzieć o ostatnich plotkach wiedeńskich.

Nazajutrz rano w biurze bankiera Ludwiga Tadeusz przekładał wykończony projekt, pełen zebranych cyfr i dokumentów, założenia pod Kołomyją wielkiej dystylarni nafty, olejów, smarowideł, parafiny. Mówił jasno i źwięźle. Rodzaj jego wymowy był przekonywający szczerością i obrazowością...

— Jak wielką możesz pan ofiarować ze swej strony na ten interes gotówkę? zapytał ojciec Ketti.

— Składam trzecią część sumy, potrzebnej do puszczenia w ruch fabryki.

— Gdy się fabryka rozwinie, możemy ją wziąć na akcye, zdwoiwszy w akcyach wydany kapitał...

— Jeżeli jego wartość podwójnie się podniesie, a również procenta, dodał Tadeusz.

— Tak, tak, mówił zdziwiony nieznaną w kupiectwie uczciwością, którą uważał za objawy wygórowanej w młodości rycerskości. Lecz te rzeczy musisz nam drogi pan zostawić, specyalistom w obrotach pieniężnych. I my mamy naszą uczciwość...

— Uczciwość jest jedna i bezwzględna...

— Trudno ją oszacować, zauważył bankier.

— Nie czyń bliźniemu twemu, co tobie nie miło, i nic więcej— rzekł Tadeusz. Trzymam się tej zasady w interesach i wytrwam do końca... Z wyjątkiem, gdy jestem napadnięty — i bronić się muszę...

— Prawda, zgoda! wołał wesoło bankier, lecz dodam jedną tylko uwagę! Jako dobrzy strategicy, musimy nieraz uprzedzać napad, abyśmy sami nie byli zaskoczeni i pobici... I oto, drogi panie, nieprzerwany łańcuch życia!... Żyjemy w społeczeństwie, i ono nas swą falą niesie naprzód w obranym kierunku mimo naszej woli...

— Stawiać opór!... Walczyć to obowiązek silnych...

— I być zalanym, utonąć w oceanie...

Do gabinetu ojca wsunęła się Ketti, ubrana w świeżutki powiewny negliż...

— Usłyszałam głos mego nauczyciela i jestem. Ojczulek przebaczy, a nauczyciel, pochlebiam sobie, nic nie będzie miał przeciw temu...

— To do nauczyciela ta świeżość—bławaty i róże?..

— Przedewszystkiem młodość moja, zakochana w wiośnie!...

Zwróciła się do Tadeusza.

— Występuję, jako poseł mamy. Masz pan rozkaz stawić się o godzinie czwartej u nas i poprowadzić stojącą przed panem osóbkę do jadalnej sali na obiad...

— Uczyniłbym to z wielką gotowością, gdyby nie telegram księżny, odebrany rano, wzywający mnie również na czwartą i również na obiad do „Impérial"... Odtelegrafowałem, że się stawię.

— Cóż mnie obchodzi jakaś polska księżna, gdy przyrzekłeś w Wiedniu być zawsze z nami?

— Dziecko, nie teroryzuj naszego gościa. Księżne polskie są wielkie damy...

— Czy młoda i ładna? rzuciła pytanie Ketti.

— Młoda i, zdaje mi się, nie przypatrzyłem się dobrze—ładna!..

— Nie miałeś czasu przyjrzeć się znajomej.

— Nie zwracałem na jej piękność uwagi. Łączą nas wspólne interesy.

— Naftowe, pochwycił bankier...

— Jak dotąd, naftowe...

— Od księżny przyjeżdżaj pan do opery, masz miejsce za mem krzesłem. Lubisz „Lohengrina"...

— Bardzo!

— Gdybyś miał dłuższe włosy, byłbyś podobny do niego. Oczy twoje są lohengrinowskie.

— I jego głos, dorzucił Tadeusz!

— Nie o śpiewaku myślałam, lecz o Lohengrinie...

Zarumieniła się i dumnie wyszła.

— Nie dziwię ci się, panie Tadeuszu, że przekładasz obiad z księżną. Arystokracya polska jest czarująca, jeśli chce nas zjednać.

— Jechałem z księżną do Wiednia, —jako wdowa, sama rządzi swym majątkiem... Młoda, ładna!.. Matka dwu córeczek.

— Przyjemnie ci czas zejdzie, lecz nie zapominaj i o starych przyjaciołach... Miejsce w loży czeka na ciebie. A jeśli interesu z księżną nie będziesz sam mógł udźwignąć, jestem zawsze na twoje rozkazy, wraz z twoją dewizą: nie czyń bliźniemu twemu...

Rozstali się.

— Ten Polak mógłby być niezłą partyą dla Ketti. Ma oparcie finansowe, wielkie stosunki, jest „von" — przyszły członek parlamentu, wprowadzi niedługo „złoto" do Austryi — młody, silny, zdrów!... Nie można grymasić, Ketti nim zajęta, Polacy w Austryi

górą, Galicya—kopalnia wielkich interesów... nie grymaś!... Karol powinien postawić w tym kraju nogę... Fabryka ma racyę bytu i może być doskonałym interesem... Zięć w Radzie państwa może napędzać interesa... Jakiś zimny dla Ketti, bo dziewczę nadto idzie do niego... Muszę porozmawiać z żoną, aby Ketti nauczyła dobrze swej roli — a przy tem wystroję ją dziś, jak arcyksiężniczkę. Ketti ma ciało, że jej pozazdrościć może nie jedna hrabianka węgierska. Karty rozdane — zatarł ręce... Co za wyborny pomysł Karola z tym nauczycielem języka angielskiego, mogącym mieć milionowe interesa w swych rękach!..

Ketti w loży na Lohengrinie ściągała na siebie lornetki mężczyzn pięknością, a dam—świetną toaletą. Tadeusz mógł podziwiać w blasku świateł elektrycznych jej marmurowy biust i delikatnie, jak u Fra-Angelika, pulchnie zaokrąglone ramiona...

— Moja uczennica dziś króluje, szepnął Tadeusz.

Dziewczę przeszyło go dumnie wzrokiem, lecz mu nie odpowiedziało. Podczas całego przedstawienia była zimna, dumna, zamknięta w sobie — nie zwracała się do niego, nie zajmowała się nim...

— Niezawodnie ktoś się Ketti z możnych podobał — i dlatego mnie traktuje z góry, pomyślał Tadeusz... Za cóż mnie?!... Inaczej nie byłaby córką bankiera.

Zobaczył księżnę samą w loży i po drugiej odsłonie poszedł do niej, przyjęty serdecznie. Za nim zjawił się Schwarcenberg — razem przesiedzieli do podniesienia kurtyny. Zatrzymany przez księżnę Tadeusz został i przed skończeniem przedstawienia wyszedł z nią.

— Mamo, odezwała się żałośnie Ketti, rola dobrze była odegrana, lecz, zdaje mi się, źle napisana.

— Czekajmy rozwiązania. Niech on nie będzie dumny, że razem ze Schwarcenbergiem siedział w loży, bo i od nas Schwarcenberg pożycza.

— Cóż to ma wspólnego z jego miłością? Ta wielka dama, przyjmująca Schwarcenberga, jak królowa...

— To księżna, przerwała matka.

— Wyszedł z nią i pewno już do nas nie wróci. Widocznie, ramiona moje, mimo że je mama tak długo wycierała pudrem, nie mają dla niego magnesu. Wracam do poprzedniej roli.

— Rób, co chcesz, bylebyś była zdrowa i wesoła, bo wtedy znajdziesz lepszych dziesięciu od jakiegoś tam zwyczajnego Polaka.

— Żaden z tych dziesięciu nie będzie siedział w loży z księżną polską i Schwarcenbergiem!... A ja właśnie takiego chcę.

— Rób, jak ci się zdaje, na to już jestem za głupia.

— Dobrze, mamo, będę sama prowadzić me interesa.

Kamienna twarz bankiera Ottona Bayera lornetowała z pierwszych rzędów krzeseł Tadeusza i księżnę w loży, zdradzając zaciekawienie.

— Kto jest ta dama? zadawał sobie pytanie. Wykwintna, to niezawodnie Polka... O, o! Schwarcenberg w jej loży, jakiż uprzejmy, tańczy na dwóch łapkach.

Zwrócił się do towarzysza w krzesłach.

— U kogo w loży Schwarcenberg?

— U księżny — Polki...

— A ten młody człowiek?

— Jej krewny...

— Schwarcenberg, polska księżna i nasz młody bohater razem — dobrze! Trzeba to sobie zanotować w pamięci i zażądać wyjaśnień z Galicyi. Tam pewno znajdę klucz. Bo, że u księżny polskiej Schwarcenberg, to naturalne. Ale że w loży księżny siedzi, jak u siebie, młody polski przedsiębiorca, który nie jest jeszcze an w parlamencie, ani złotej monety nie przeprowadził, to mnie zaczyna intrygować, i na to pytanie muszę mieć odpowiedź. Gdyby był kuzynem księżny, Ludwig w tej chwili pochwaliłby się, jeśli opowiada, kto chce słuchać lub nie, że domniemamy konkurent jego córki jest szlachcicem.

Wiedeń.

Dobra moja Maryniu!...

„Czy przez twoje szczere pragnienia, czy siłą rozkazu twych myśli!?... Wszystko to jeszcze wielka tajemnica, o ile myśli nasze są ciałem i o ile oddziaływają na bliźnich, gdy jednych pchają do męczeństwa, drugich do zbrodni... dość, że mi się wiedzie w mojej podróży! Do Wiednia jechałem z księżną i od niej dowiedziałem się o nowych skarbach naftowych w Wyżnicy. W Wiedniu miałem serdeczną niespodziankę, zastałem przyjaciół z Argentyny.

Dzielni, już są w Wyżnicy. Może mi się uda wycofać po spłaceniu długów ze Swobody — i będę wolny! Z księżną zrobię układ i w tej chwili wybuduję dom, założę ogród. Wyżnica tuż pod Borysławiem, u podnóża Karpat, okolica prześliczna, klimat ostry, lecz czyż nie jesteśmy zdrowi? Przeczuwam wielką obfitość nafty i przez nią jasną przyszłość!... Dzielnych mam teraz towarzyszów i zdobyte doświadczenie. Wydanie drugie powinno być lepsze od pierwszego, procenta twego ojca nie będą nas gniotły, i on sam przestaje być dla mnie strasznym!...

„Po nad tem wszystkiem góruje jednak w mych myślach węgiel i staje się mojem pragnieniem... Czyżby na obszarze stu pięćdziesięciu mil tylko w jednem miejscu węgiel mógł się znajdować?!? Przecież to nieprawdopodobne... Szukajmy więc!

„Czemuż nie mam wielkich przeczuć, któreby zaprowadziły mnie do wielkich pokładów! Podobne przeczucia musiały żyć wśród pierwotnych Słowian, jeśli znajdowali bez świadomości nauki wielkie pokłady soli?... Przeczuciem najprzód odgadł Galileusz, że ziemia się porusza, zanim go Kopernik przekonał i nauczył. Dlaczegoż dziś one w nas zamarły? Jeżeli siłą mej woli w mych snach sprowadzam cię do siebie?! Przychodzisz i szepczesz mi zaklęcia, czuję twój oddech, widzę twój dobry uśmiech i słyszę twe wyrazy, łagodne i dźwięczne... Wiatr gdy gra na strunach, tak i twój głos na strunach mej duszy wygrywa melodye, nigdy potem nie słyszane na jawie. Dlaczegóż więc tą samą siłą mej woli nie mogę odkryć pokładów węgla, jeśli tak gorąco pragnę?... Siły pewno za słabe i duchowość moja zbyt jeszcze we mnie uboga, i dlatego muszę iść w pokorze do wiedzy, do geologii i razem z nią szukać!.. Wiedza to mistrzyni, która również prowadzi człowieka do wydobycia go z niewoli — natury. Wszyscy na wszystkich polach podajemy sobie ręce do wyjarzmienia ducha ludzkiego...

„Tymczasem jestem jeszcze w Wiedniu i rozpatruję się w nim z nowego mego stanowiska, nie tylko przemysłowca, lecz i przedsiębiorcy, człowieka i Polaka.

„Miasteczko wesołe, lecz jakoś dziecinne, rozbawione, bez jutra, bez idei, głupkowato uśmiechnięte, coś na małą skalę podobne Rzymowi za Cezarów. Na ulicach gwar, w kawiarniach tłok, jedni na drugich patrzą bezmyślnie, czytają jałowe dzienniki i znów szukają wzrokiem, stęsknieni za rozrywkami, sprowadzanemi nowinką, skandalem, nawet zbrodnią! Bawić się za każdą cenę — to tłum..."

„W salonach nie jest lepiej. Byłem na wieczorze u mych przyjaciół bankierów. Córkę ich, ładną Ketti, uczyłem dawniej po angiel-

sku. Po dziesięciu minutach, spędzonych razem, nie mieliśmy o czem mówić, z konieczności — tańczono.

„Powiedziałem dziewczętom: królem waszych uczuć Strauss, a bogiem waszym — walc!... I zgodziły się na to młode milionerki.

„Lecz i całego Wiednia z przedmieściami królem jest Strauss, a bogiem walc, mimo że w łonie jego wre cicha, jak praca robaków, — walka... Wiedeń jest zalewany!... Niemiecką tę wyspę nieustannie szturmują ludy słowiańskie i biorą w posiadanie... Fale ich biją ze wszystkich stron. Ze wschodu Polacy, Rusini i Słowacy, z północy Czesi i Morawianie, z zachodu i południa Słowieńcy, Chorwaci i Serbowie. Dziś ludność słowiańska już przewyższa niemiecką. Co będzie za lat dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt?!...

„Tak samo fale barbarzyńców powoli zalewały Rzym. Tu w Wiedniu, patrząc uważnie, można z łatwością dojrzeć postępy rozwoju świata słowiańskiego i ciche, a nieustanne jego podboje. Czuje się, że świat ten idzie, czuje się, że już przychodzi na niego kolej, i że przynieść z sobą musi nowe wielkie idee, jeżeli chce żyć i władać. Jak formę chrześcijaństwa zaszczepił świat germański na pniu organizacyi rzymskiej, tak świat słowiański musi z sobą przynieść wcielenie ducha chrześcijańskiego. Wielcy poeci polscy i słowiańszczyzny skrystalizowali idee, które Słowianie dadzą w darze ludzkości.

„Dla tego Wiedeń, jako wielka arena walk dwu światów, jest dla umysłu spostrzegawczego bogatą kopalnią zjawisk. Niemcy jeszcze śpią lub tańczą walca, nie widzą i nie czują wroga, lecz on już przeszedł bramy. Sadowi się ten autochton na swych starych śmieciach i zjada Niemców małem zaspakajaniem potrzeb, wielką wytrwałością i ciepłem serdeczności słowiańskiej.

„Słowianie, gnieceni przez Niemców, walczą w imię sprawiedliwości i prawa, — prześladowani, cierpią, cierpienie wyradza w nich szlachetność, współczucie na niedolę i siłę oporu, a z tych powoli rodzi się miłość ogólna.

„Takie pierwiastki wyhodowywują Słowianie u siebie, z których stworzona idea odrodzi znowu świat.

„Niemcy tańczą, bawią się, śmieją, zjadając łatwo zarobiony chleb. Wszystkie siły wytężają dla zdobycia jak największej ilości chleba i jak najwięcej napojów do rozweselenia życia.

„Niemcy się cofają mimo Sedanu, mimo swej żarłoczności i drapieżności w tępieniu. Rozumni z nich to widzą, i włos im się jeży ze strachu i gniewu. Widzi to i Bismarck. Wypędze-

niem z Prus robotników słowiańskich, rugami Polaków — chce sypać groble przeciw zalewowi — biedak!...

„A jednak Niemcy zostawią nam w spadku wiele pięknych rzeczy. Przedewszystkiem ich „Erkenntniss”, usiłowanie poznania wszechrzeczy. Wychowuje ono w swej treści naukę, w formie— sztukę. To wiekowe w nich dążenie do poznania wiedzy i piękna rozwinęli i postawili wysoko ich wielcy poeci, Goethe i Schiller — jako ich narodową wartość i misyę...

„Lecz ci sami wielcy poeci wychodowali tkwiący w nich egoizm rasowy, dając mu podstawę racyi w konieczności i formę naukową. Zniszczyli wiarę panteizmem, który w mózgach Niemców od wieków tlał, a od istnienia, od życia Niemców oddzielili ideał. Oderwanym ideałem zalecali Niemcom bawić się, a jako treść i cel życia, dawali im „zaspakajanie głodu i miłości!”...

„Tymczasem idzie nowy świat, który niesie w swem sercu wyidealizowaną rzeczywistość i podbój ducha... Wycierpiana sprawiedliwość — i przez cierpienie odczuta miłość”...

„Takie myśli wytwarza w mym mózgu Wiedeń! Zapalają one w sercu ognie nadziei i wiarę w przyszłość, nieraz zdaje mi się, że duch mój szepcze mi: „Idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej, choćbyś miał o Mnie samym rozpaczać!!”..

„Dziecino moja, rozpacz nigdy nie zagości w mem sercu, choćby dlatego, że wierzę w ciebie i młodość moją. Duch mój i myśli moje, gdy tylko mają czas, uciekają do ciebie.

Dziś jadę do Londynu, pisz Caring—cross hotel. Pragnę twych listów, jak zbawienia.

Tadeusz.

(*D. c. n.*) *Sewer.*



Biblioteki pisarzów polskich.

Zabytki piśmienne odzwierciedlają najwszechstronniej dawną cywilizacyę: pomniki sztuki i przemysłu dopełniają tylko tego jej obrazu. Wobec takiego zadania dawnego piśmiennictwa nie wolno nam zbyt zacieśniać granic literatury; należy do niej wszystko: i literatura teologiczna, i historyczna, i ekonomiczna, i tradycyjna; nie wyczerpuje jej bynajmniej literatura „nadobna", o jakiej głównie, a jednostronnie, myślimy. Przeciętną tej literatury, tak szeroko pojmowanej, stanowią też nie wyborowe dzieła pisarzy wyborowych, lecz te, które się najszerzej rozchodziły; dla trafnej oceny czasów i ludzi badajmyż treść, którą się wszyscy codziennie karmili, choćby była licha, nie oryginalna, nie zaś wyłącznie to, co tylko wybranych dochodziło.

Historya literatury polskiej grzeszy dotąd zupełnem pomijaniem właśnie tego wszystkiego, co niegdyś było najpoczytniejszem; rozwodzi się nieraz szeroko nad dziełami, rzadko lub nigdy nie odczytywanemi, które nie wpływały na tłumy, nie bawiły ich ani pouczały; ignoruje zaś zupełnie to, co stanowiło codzienną strawę umysłową całych wieków. W tym samym, najfałszywszym „tonie" stawały nieraz i biblioteki nasze: przechowywały starannie foliały, go-

dne chyba tego tylko, aby je mole strzygły, a pozbywały się nielicznych egzemplarzy książeczek, rozchodzących się niegdyś w tysiącach egzemplarzy, a mimo to dziś najrzadszych. I rzeczywiście: nie zaginęło niemal nic z owych wielkich foliałów i grubych kwartantów; zato z owych książeczek, pomimo licznych ich wydań, przepadło niezmiernie wiele na zawsze.

Podobny stosunek zachodzi i w przedrukach dawnej literatury: drukują, co nieznane, rzadkie, najchętniej unikaty, a nie drukują tego, co popłacało najwięcej, co najważniejsze, co najlepiej charakteryzuje.

Przedruki dawnych dzieł zaczęły się u nas wcale rychło; nadzwyczajna rzadkość starych książek polskich, która już w siedemnastym wieku Wacława Potockiego raziła, a na którą w osiemnastym wieku uskarżał się Kopczyński mimo książnicy Załuskich, stworzyła tę potrzebę. Jeśli praca wiekowa owoce wydawać miała, jeżeli na dawnych pisarzach miano wzorować język, wzbogacać i pokrzepiać myśl, podtrzymywać tradycyę cywilizacyjną, należało je przedewszystkiem powydobywać i uprzystępniać. Więc już biblioteka, wydawana na początku stulecia przez senatora - wojewodę *Mostowskiego*, obejmowała, prócz rzeczy historycznych (Naruszewicza, Orzechowskiego), Kochanowskiego Jana i sielankopisarzy. Ze skarbów Działyńskiego zamierzał najciekawsze dzieła poetyckie XVI i XVII wieku ogłaszać *Muczkowski*, lecz zakończył na tomiku pierwszym, na wierszach Sępa Szarzyńskiego.

Po latach podjął znowu *Wójcicki* wydawnictwo biblioteki starożytnej; lecz ostatnie jej tomy schodzą na zbiór pamiętników, listów, aktów, na materyały historyczne, nie są już biblioteką pisarzów dawnych. Równocześnie *Kraszewski* zaczął rzecz podobną, lecz przerwał ją po pierwszym tomiku, zestawionym z dziełek bardzo ciekawych (Peregrynacya Dziadowska; Albertus; Światowa rozkosz i t. d.). Na najobszerniejszą skalę, najwięcej systematycznie podjęto znane *Turowskiego* wydawnictwo, z którego różnobarwnymi poszytami dziś się jeszcze często spotykamy; w ciągu lat ośmiu (1855 — 1862), w kilku seryach, a kilkuset zeszytach, odtworzyło ono nam znaczną część dawnej literatury, od rzeczy najobszerniejszych, jak Herby Paprockiego lub Kronika Świata M. Bielskiego, do świstków ulotnych. Nadzwyczajną, niezapomnianą nigdy zasługę Turowskiego uszczupla jednak nieco brak staranności w przedruku tekstu, wystarczającego chyba przeciętnemu czytelnikowi, lecz nie zastępującego badaczowi nigdy tekstu oryginalnego. Dalej, wybór był jednostronny, nie ogarniał wszystkich działów dawnej literatury; co

gorsza, wykluczał literaturę lżejszą, nowelityczną, ludową. Na Turowskim zakończyły się niestety wydawnictwa zbiorowe dzieł dawnych na długie lata.

Obok tych wydawnictw na większą skalę ukazywały się przedruki poszczególnych rzeczy; biblioteki nowszych pisarzy sięgały czasem do dzieł dawnych, do Paska, Klonowicza, Kitowicza i t. d.; niektóre przedruki, np. *Wisłockiego*, były bardzo staranne; inne opatrywano nawet w komentarze (np. Szymonowica); inne znowu były niżej wszelkiej krytyki, np. przedruk polskiego *Trinumma* (r. 1873). Przedruki takie wychodziły i po specyalnych czasopismach, np. w „Pracach Filologicznych“ (przedruk „Sądu Parysa” z r. 1541, to jest najdawniejszej zachowanej komedyi szkolnej polskiej; „Lac spirituale” z r. 1557; „Powieść o papieżu Urbanie“ z r. 1514 i t. d.), i w publikacyach akademickich (kilka legend i t. d.).

Lecz wszystko to nie wystarczało. Główne dzieła głównych pisarzy (Kochanowskiego Jana, Górnickiego, W. Potockiego, A. Morsztyna i t. d. aż do Naruszewicza, Krasickiego i Zabłockiego) znano, ceniono i opracowywano, lecz po za nie nie wychodzono wcale albo tylko dorywczo, jak przypadek chciał; całych działów literatury nie tykano, np. teologicznej, ludowej; z satyr np. znano „Satyra” Kochanowskiego i satyry Opalińskiego; o setkach innych nie wspominano wcale albo tylko półsłówkami. Dla pogłębienia i rozszerzenia badań literackich i kulturalnych należało koniecznie przekroczyć zaklęte koło kilku dzieł i autorów, uwydatnić różnorodność i obfitość dawnej literatury, należało już nietylko z druków, ale i z rękopisów, powydobywać to, co, zapomniane, nietykane nieraz od wieków, rzuca światło na umysłowość dawną, rozszerza nasze pojęcia o niej, budzi dla niej poszanowanie i uznanie.

Zjazd imienia Kochanowskiego (1885 r.) zainicyował na tem polu nowy ruch, którym teraz zaopiekował się osobny komitet, złożony z pięciu członków komisyi literackiej Akademii Umiejętności. Postanowiono pomijać rzeczy, wydane już u Turowskiego; drukować dzieła polskie i łacińskie, głównie XVI wieku, z druków i rękopisów. Dopiero w r. 1889 ukazał się pierwszy zeszyt nowej „*Biblioteki pisarzów polskich*”; dziś, po ukończonych jedenastu latach, liczy ta Biblioteka 36 numerów, a 46 dziełek.

Jest to stanowczo za mało; w pierwszych trzech latach zachowywano tempo żywsze; wychodziło rocznie po siedem zeszytów; od, roku 1892 zaś do dziś dnia wyszło ich tylko szesnaście: w tym samym przeciągu czasu wydrukował Turowski więcej, niż dwadzieścia razy tyle! — brak środków, czy brak ludzi, czy może jedno i drugie,

wywołało ten rezultat wcale niepomyślny. Programu nie wypełniono ściśle; rzeczy łacińskich niema, prócz zbioru pisemek i listów Orzechowskiego, — lecz mniejsza z tem, gdyż rzeczy łacińskie bywają mniej cenne i dostępniejsze; nadto Akademia wydaje równocześnie komplety dzieł starszych poetów polsko-łacińskich Krosieńczyka, Wiślicczyka, Krzyckiego, Husowczyka, Janicyusza, Rojzyusza, tak, że moglibyśmy zapytać, czy nie zawiele tego dobrego. Z rękopisów nie ogłoszono nic (prócz listów i t. p. Orzechowskiego). Chwali się Bibliotece staranność w przedrukach tekstu, której rzeczywiście oryginały — z wyjątkiem ich ortografii — zastąpić może; słowniczki (zbyt obszerne, a mimo to nie ścisłe ani dokładne w objaśnianiu, bez wskazówek stronic, tak, że odnośnego słowa po całym zeszycie szukać trzeba) i objaśnienia wstępne, nieraz nadto szczupłe i ogólnikowe, ułatwiają zrozumienie; chwali się również urozmaicenie treści — każdy niemal dział literatury jest tu uwzględniony. Przypatrzmyż się poszczególnym numerom, zestawiając je systematycznie, wedle treści, nie według ich porządku kolejnego, omawiając króciutko znaczenie ich i miejsce w dziejach literatury czy kultury.

Wykluczamy tłómaczenia z łaciny, ciekawe chyba przez swój język lub wybór jedynie, bo na stosunki polskie wyjątkowo tylko—przez niektóre szczegóły—rzucają nieco światła. Tu należą rzeczy pedagogiczne („O poczciwem wychowaniu dziatek" starego Wergeryusza z XIV wieku), moralizujące („O cnocie abo żywocie, człowiekowi przystojnym" Schottena; dziełko to nabrało w Polsce większego znaczenia, niźli we własnej ojczyźnie autora), dydaktyczne („O szlachetności a zacności płci niewieściej" Agryppy, ciekawy protest wobec systematycznego jej obniżania, jakie XVI wiek, a jeszcze więcej XVII, praktykował, dyskutując z lubością pytanie, czy kobiety do ludzi zaliczać należy). „Potrójny z Plauta" jest wolną przeróbką Cieklińskiego, przenoszącego akcyę (nieprawdopodobnie) i ludzi (udatniej) na grunt polski, lwowski; pomijamy i łacińskie „Orichoviana," najobszerniejszy tom z całej Biblioteki (760 str.). Tłómaczeniem z czeskiego jest i pierwszy numer: „Fortuny i cnoty różność," z r. 1524, — alegorya o służeniu doczesnemu szczęściu, źle hołdownikom swym odpłacającemu: jeden z najstarszych druków wietorowskich, dlatego na czele wydawnictwa umieszczony. Tłómaczeniami są też „Castus Joseph" Gosławskiego (z łacińskiego dramatu Szymonowica); Jakóba Górskiego „Rada pańska", okaz owej literatury hiszpańskiej polityczno-moralnej, zażywającej największej sławy w ówczesnej Europie, tłómaczonej w zawody na wszystkie ję-

zyki i Marcina Błażewskiego „Setnik przypowieści ucieszných,” trzeci zbiór bajek polski (po Ezopie i Paprockim), tłómaczony udatnie przez Lubomirskiego(?), a wydany przez Błażewskiego z „Cento favole” Verdizottiego.

Przechodzimy do rzeczy polskich, bądźto oryginalnych, bądźto czerpiących ze skarbnicy kosmopolitycznej, uniwersalnej, nieraz w osobliwszym układzie, nie powtarzającym się zagranicą.

Z literatury *nowelistycznej* najważniejszy dział tak zwanych książeczek ludowych reprezentują dotąd dwa okazy: „Historye Rzymskie” i „Historya Trojańska”. Ostatnia nie cieszyła się zbytnim sukcesem; temat jej nie nadawał się ani dla moralizacyi, ani dla fantazyi, gdyż był zbyt określony, – więc rozeszła się tylko w trzech wydaniach (z r. 1563, 1597 i bez daty). „Historye Rzymskie” istniały już w pierwszej połowie XVI wieku, i odtąd ciągną się ich wydania aż do r. 1773 (wydanie krakowskie); z wydania r. 1663 pochodzi przekład ruski „Rimskija diejanija”, który rozszedł się w licznych odpisach. Niestety, biblioteki polskie nie przechowały starszych egzemplarzy, posiadają tylko wydania z końca XVII wieku i z XVIII, tak, że dosłowny ruski przekład zastępuje nam dawniejsze polskie. „Historye Rzymskie” nie mają nic z Rzymem wspólnego: jest to zbiór nowel i anegdot ze świata wschodniego i zachodniego, starego i średniowiecznego, używany przez kaznodziejów dla urozmaicania wykładu, pomnożony więc wcześnie alegorycznym, moralizującym komentarzem, dodawanym do każdej noweli; zbiór cały powstał w wieku trzynastym w Anglii i rozszedł się rychło po całym zachodzie w rozmaitych redakcyach, w odmiennej objętości.

Polskie tłómaczenie uwzględnia ze 181 rożdziałów jego tylko 39 (późniejsze wydania jeszcze dalsze dziesięć opuszczają); znaczenie tych historyi wykaże najkrócej i najlepiej fakt, że fantazya ludu naszego po dziś dzień okruchami „Historyi Rzymskich” się żywi, że jego zagadki stąd są zaczerpnięte; ileżto razy można się spotkać, np. z rożdziałem VI (o pysznym Jowinianie i upokorzeniu jego) i XVIII (o pustelniku i niezbadanych sądach Bożych) w ustach naszego ludu; odnajdziemy je w zbiorach Kolberga, Ciszewskiego i t. d., albo rękopisach małoruskich, krążących do dziś między ludem.

Tuż obok nowel ludowych postawić trzeba ze względu na treść i formę *apokryfy*, opowiadania biblijne nie kanoniczne; tu należą „Historya bardzo cudna o stworzeniu nieba i ziemi“ w przeróbce Krzystofa Pussmana, „Postępek prawa czartowskiego przeciw narodowi ludzkiemu” i częstochowska „Historya o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim” (w formie dramatycznej i wierszowanej).

Przeróbka Pussmana rozchodziła się w wydaniach od r. 1543; gdy ją krakowscy drukarze w XVIII wieku ponownie odbijali, zabraniał im urząd duchowny tej książki, jako heretyckiej: tak się zmieniły czasy; nie jest to historya stworzenia, lecz apokryf o „Jadamie" i „Jewie", o ich pokucie w Jordanie, o powtórnem nawiedzeniu Jewy przez dyabła i t. d., — rzecz prastara, sięgająca pierwszych wieków chrześcijaństwa, zabroniona już w dekrecie papieża Gelazyusza (od roku 492 — 496). Główne częstochowskiej źródło historyi, ewangelia Nikodemowa, jest jeszcze starsze; opowiada szczegóły zejścia Chrystusa do otchłani. „Postępek prawa czartowskiego" (z r. 1570) przetłómaczono również w wieku XVII na język ruski; przekład ruski dosłowny może nam zastąpić brak kilku pierwszych kart w jedynym znanym egzemplarzu polskim; polega i na apokryfach Adamowych, i na średniowiecznych „romansach" duchownych, Solfernie i Belialu, w których proces dyabła z Bogiem o człowieka toczy się wedle wszelkich instancyi i formuł przewodu kanonicznego; w końcu schodzi na sejm piekielny i satyryczne wycieczki przeciw złym obyczajom spółczesnym.

Nowele wierszowane reprezentuje (nadzwyczajnie lichy, niestety) przekład „Historyi o Euryalu i Lukrecyi" Eneasza Silwiusza (papieża Piusa II), słynnego na cały świat arcyniemoralnego romansu mężatki (oryginał humanisty włoskiego pisany prozą); dalej, nowele Wąchocczyka (przeróbka Bokacyuszowej noweli), Pudłowskiego (Dydona), J. A. Kmity (Eneasza księga XIII, Spitamegeranomachia, Penelopa, cudem z rąk kata uratowana); najciekawsza z nich owa walka żórawi z karlikami, utwór oryginalny, pseudohomerową wojnę żabomyszą naśladujący, z bardzo zajmującymi szczegółami, wyjętymi z baśni starożytnych, z podań ludowych, z dziejów spółczesnych; całość jednak jest żartobliwa, bynajmniej nie alegoryczna, jak mylnie twierdzono; jestto utwór, najstaranniej wykonany ze wszystkiego, co ów wierszokleta bocheński, utalentowany, dowcipny, ale mało okrzesany (estetycznie), kiedykolwiek napisał.

Właściwe *satyry* mamy w wierszach Marcina Bielskiego, nie tak w pierwszym „Śnie majowym", alegoryi politycznej o progresie tureckim, jarzmie węgierskiem i niemocy polskiej, jak w drugim i trzecim. „Rozmowa dwu baranów" (krakowskich) dotyka wszelkich stanów, lecz obrusza się głównie na rzemieślników i przekupniów, pełna rysów obyczajowych, bogata w obrazki rodzajowe. „Syem niewieści" parodyuje odwieczny temat o niezaradności i niezdarności męskiej, zmuszającej kobiety do energiczniejszego, mądrzejszego i patryotyczniejszego wystąpienia, lecz schodzi w końcu

na ulubiony wtedy temat staruszka Bielskiego, na przestrogi, reguły, kunszty wojenne. „Proteus abo Odmieniec“, wywołany przez Satyra Kochanowskiego, napada na zmienność animuszu polskiego w rzeczach stroju i wiary, rygoru i ładu, i kończy wysławianiem słowika czarnoleskiego; autor nie nazwany, domyślamy się w nim Wolana, późniejszego wodza kalwinów litewskich. Satyrą nazwiemy i „Krótką rozprawę między panem, wójtem a plebanem” Reja, w formie niby dramatycznej, żywą, barwną, ciętą, pisaną owym krótkim wierszem, który rozpływaniu się dykcyi i gadatliwości, owym pierworodnym grzechom Rejowym, zgóry mniej sprzyjał.

Z innych dzieł Reja przedrukowano „Żywot Józefa,” misteryum całego żywota patryarchy, chociaż nie przeznaczone do wystawienia scenicznego, i „Zwierzyniec”, niestety, bez najciekawszej jego części, dodatkowej, obejmującej anegdoty, głównie obce, w wysłowieniu zwięzłem, które rozgadanemu nadobre jowialiście niezwykle ciężyć musiało, i „Historyę prawdziwą w Landzie” (Londynie), o niewdzięczności dzieci, słusznie ukaranej fortelem zawiedzionego w swych nadziejaeh ojca: „Historya“ tak dalece przypomina styl Rejowy, że wydawca Reja, jako autora, wskazał, na co się nie zgadzamy: mógł Kochanowski stworzyć szkołę, dla czegoż nie mianoby i Reja naśladować?

Z poetów wydano jeszcze arcyrzadkie „Epithalamium na wesele Zygmunta III” Andrzeja Zbylitowskiego, i „Rymy duchowne” Sebastyana Grabowieckiego, naśladowane po części z włoskiego, poprawne językiem i staranne formą.

Najbogatszy, a najwięcej zapomniany dział literatury polskiej XVI wieku, teologiczno-polemiczny, reprezentują tylko Wita Korczewskiego „Rozmowy polskie” z r. 1553, odpierające w formie niby dramatycznej zarzuty protestanckie, skierowane przeciw obrzędom i ustawom katolickim, z Królewca, od Seklucyana, Reja i innych.

Do dzieł historycznych, politycznych i prawniczych należą: „Rozmowa Polaka z Litwinem”, odpowiedź wójta wileńskiego (Rotunda?) na zaczepkę Litwy, jakiej się klerykał-szowinista Orzechowski dopuścił; „Historya o przygodzie książęcia finlandzkiego Jana i królewny Katarzyny” (Jagiellonki, więzionych przez Eryka i świeżo wyswobodzonych), napisana spółcześnie przez Kromera (?); „Liflanckiej ziemi opisanie” Kwiatkowskiego, spowodowane spółczesnemi o nią walkami; wreszcie cztery krótkie broszury prawnicze z początku XVII wieku, z których najciekawszą jest ostatnia, Jakóba Zawiszy „Wskrócenie procesu koronnego,” pełna zdrowych zapatrywań na obie maksymy kardynalne ustroju szlacheckiego: *nil nobis sine nobis nemine contradicente*; autor tłómaczy je rozumnie tak, że żądanie

jednomyślności odnosić należy nie do pojedyńczych posłów, lecz do całych stanów, w których obrębie większość rozstrzyga, gdyż inaczej ta reguła „śmiechowiskiem byćby musiała.”

Dział ekonomiczny, nauk przyrodniczych i matematycznych o wiele obficiej się przedstawia. Należą tu rzeczy ogólne, moralizujące raczej i teologiczne, mianowicie protestanckie, Seklucyana „Oekonomia albo Gospodarstwo” 1545 r.; Jana Mrowińskiego, „Stadło małżeńskie, katolickie” z r. 1561 i wierszowane „Zabawy Orackie” studenta krakowskiego, Stanisława Słupskiego (wraz z ich przeróbką późniejszą „Oekonomia” St. Jeżowskiego), zabarwione satyrycznie; całkiem specyalnemi są Teodora Zawackiego „Memoryale oeconomicum abo pamięć robót i dozoru gospodarskiego”, niższe znacznie od dzieł wcześniejszych (Gostomskiego) i późniejszych (Haura); i Strumieńskiego „O sprawie stawów” (1573 r.), ciekawe przez język i szczegóły o zawołanem niegdyś gospodarstwie stawowem, dostarczającem wielkiego bogactwa, później zupełnie zaniedbanem. Wreszcie — Andrzeja Glabera „Gadki (pytania) o składności członków człowieczych”, przeróbka z Pseudoarystotelesa, którą w 90 lat później i Sakowicz o wiele ciekawiej powtórzył; pytania, nieraz arcynaiwne, o przyczynach kompleksyi naszej i zwierząt, np. czemu człowiek ma dwie uszy, oce, a jedne usta? czemu człowiek ziewa? czemu osieł, gdy często uszy wznosi, tedy deszcz znamionuje? i t. d., rozwiązywane najczęściej czystem rozumowaniem, mędrkowaniem, są bardzo charakterystyczne dla dawnej nauki przyrodniczej i lekarskiej, kiedyto „humorystyka” (t. j. nauka o humorach, nie o humorze, jakiej już Genueńczycy w Kijowie średniowiecznym uczyli) jeszcze popłacała. Dodajmy do tego ks. Kłosa „Algoritmus t. j. nauka liczby”, najdawniejszy podręcznik szkolny polski z r. 1538, a będziemy mieli cały dorobek Biblioteki Akademii. Nie wymienialiśmy umyślnie wydawców, nie krytykowaliśmy ich pracy, wdzięczni za użyczone nam materyały, uprzystępnione dyskusyi naukowej.

Lecz Biblioteka Akademii nie była jedyną: znalazła ona naśladowców w Warszawie, Poznaniu i Petersburgu.

Profesor *Teodor Wierzbowski*, pracując nad spuścizną literacką Krzysztofa Warszewickiego, umyślił przedrukować najciekawsze jej okazy, a stąd urósł plan i większego przedsiębiorstwa „Biblioteki za pomnianych poetów i prozaików polskich XVI — XVIII wieku”. Pierwsze dwa numery, dzieła Warszewickiego: „Wenecya” (poemat historyczno-polityczny, nakłaniający przez usta Wenecyi do aliansu antitureckiego, został mylnie przez wydawcę autorowi właści-

wemu odsądzony) i mowy jego niektóre, okolicznościowe i inne, wyszły r. 1885 i 1886. Po przerwie ukazał się numer następny roku 1893, dalej inne, do r. 1899 dwanaście. Pilności i zabiegliwości wydawcy należy się najszersze i najgorętsze uznanie; na objaśnienia, komentarze i słowniczki, jakimi przedruki swe opatrza, nie zawsze się godzimy, ale mniejsza o to; programu osobliwszego wydawca sobie nie wytknął, ogłasza głównie unikaty, na jakie w zasobnych bibliotekach hr. Czarneckiego i Czapskiego trafiał. Wartość też pojedyńczych numerów jest bardzo nierównomierna: obok rzeczy najcenniejszych dał nam i zupełnie niepotrzebne, np. „Anny Memoraty, dziewicy polskiej, łacińskie wiersze" (z lat 1640 — 1644), godne wzmianki bibliograficznej, lecz nie przedruku; St. Orzechowskiego „Książki o ruszeniu ziemi polskiej przeciw Turkowi", niezdarne tłómaczenie polskie złotej łaciny autora (nazwiska tłómacza nie znamy), mogły również spoczywać snem zapomnienia. I „Pieśni duchowne a nabożne" Seklucyana z r. 1557 nie celują ani formą, ani językiem; licho sklecone psują nawet poprawny układ dawniejszych tekstów. Dwie książeczki lekarskie, „Dobrego zdrowia rządzenie" z r. 1532 i „Nauka o ustrzeżeniu morowego powietrza" z r. 1543 są ciekawe przez swą rzadkość nadzwyczajną oraz charakterystykę dawnej dyety, przepisów i przesądów lekarskich.

Najcenniejszem, prawdziwem odkryciem dla literatury jest zeszyt X, „Melchior Pudłowski i jego pisma". Dawno znany tylko z nazwiska, i po przedrukowaniu „Dydony" pozostawał w cieniu, z którego go dopiero przedruk „Fraszek" (1586 r.) na jaw wydobył. Poznajemy w nim pisarza myślącego, nie zadawalającego się kleceniem rymów na — owač i — emu, poważnego, doświadczonego i korzystającego z swobody i weny, aby w ulotnych wierszach torem Kochanowskiego składać wrażenia, nauki, przestrogi, żarty; odbija się w nich umysł pogodny, równowaga, zamiłowanie pracy duchowej; nie kazi ich swawola i rubaszność; tylko w ostatnim wierszu, „Testamencie Kumelskiego", którybyśmy „Puścizną Mazowiecką" również przezwać mogli, puścił wodze staroszlacheckiej jowialności, dobrodusznej, nie przebierającej w wyrazach i zwrotach.

Marcina Bielskiego „Komedya Justyna i Konstancyej" (moralitet) r. 1557 jest równie cennym nabytkiem, chociaż nie taką niespodzianką, bośmy już dawniej kilka prób, mianowicie z przepięknej przedmowy wierszowanej, znali. Jest to dalekie naśladowanie Psychomahii Prudencyusza, poety starochrześcijańskiego, przedstawiające walkę zdrożności i cnót o młodzieńca i pannę, wychodzących

obronną ręką z tego turnieju: myśl bardzo piękna, przyświecająca wielu dawniejszym moralitetom, mianowicie angielskim i francuskim, lecz u Bielskiego zupełnie niedramatycznie wykonana.

„Wieśniak" Andrzeja Zbylitowskiegc, zapomniany od czasów Euzebiusza Słowackiego, odżył również: wychwalanie przyjemności i piękności żywota ziemiańskiego, temat ulubiony poezyi staroszlacheckiej, połączono tu z historyą królów polskich w zarysie.

Nakoniec wymieniamy krótkie „Napomnienie polskie ku zgodzie, do wszech krześcijanów wobec uczynione" r. 1544, od „proporcznika" wojska cesarskiego „w Brukselles", poświęcone A. Łaskiemu, prawdziwie marsową powagą i wymową tchnące, nawołujące do zjednoczenia sił wobec nawały tureckiej przez usta Zgody, i „Zwrócenie Matyasza z Podola", z dwudziestych lat XVII wieku, naśladowanie Albertusów z wojny i Wypraw Matyasza na Podole, lecz już przeciw protestantom zwrócone, wyśmiewające ich ministrów, wiarę i żywot, okaz rosnącej przeciw nim animozyi, obcej jeszcze owym dyalogom satyrycznym XVI wieku [1]).

Tak więc zebrał jeden wydawca w ciągu lat niewielu kilkanaście dziełek, przeważnie ciekawych, a nieraz nadzwyczaj cennych; wdzięczni za rzeczy już otrzymane prosimy i o dalsze.

„*Pomników piśmiennictwa polskiego*", wydawanych przez Józefa Zakrzewskiego, ukazał się, niestety, tylko jeden zeszyt (1895 r.) obejmujący „Historyę bardzo ucieszną" z r. 1665, przekład noweli francuskiej Belleforesta (z włoskiej Bandella, opracowanej i przez Szekspira); inne jej wydania polskie pochodzą z lat 1642 i 1676; przerobiono ją później i wierszem. „Pomniki" miały ogłaszać wybrane zabytki, drukowane i rękopiśmienne, z nieprzebranej książnicy petersburskiej.

Najświeższej daty jest wydawnictwo poznańskie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, p. t. „*Nieznane zabytki piśmiennictwa polskiego*" (wyd. Dr. *Bol. Erzepki*). Dotąd wyszedł jeden zeszyt: „Kazania niedzielne i świąteczne nieznanego autora", spisane około r. 1555 (Poznań, 1899); drugi zeszyt w druku—tłómaczenie Apokalipsy z pierwszej połowy XVI wieku, również z rękopisu. Kazania, pi-

---

[1]) Świeże wyszedł zeszyt XII biblioteki prof. Wierzbowskiego; zawiera „Pamiętnik kardynała Jerzego księcia Radziwiłła z lat 1556–1575", wydany z rękopismu muzeum Czartoryskich, poświęcony niemal wyłącznie sprawom inflanckim, w związku z nominacyą Radziwiłła na namiestnika królewskiego w Inflantach; zaczyna się od poglądu na stosunki i położenie Inflant, a kończy się na zdobyciu Parnawy przez Iwana Groźnego d. 8 lipca, 1575. — (Przyp. Red.).

sane płynną i czystą polszczyzną, dowodzą, jak mylnie datujemy prozę polską dopiero od Reja (a podobnie i wiersze polskie dopiero od Kochanowskiego); zaleca je wykład spokojny, etyczny, nie wchodzący w subtelności dogmatyczne, ani nadużywający dykteryjek kaznodziejskich, szpecących i kazania średniowieczne, i kazania z czasu od 1650—1750 r.; lecz przedruk całkowitego rękopisu jest może zbyteczny, próby byłyby wystarczyły; są przecież spółczesne kazania polskie rękopiśmienne ciekawsze.

Zdawszy sprawę z wydawnictw dotychczasowych, przechodzimy do wypowiedzenia własnych uwag i życzeń.

Jak na okres piętnastoletni i pracę zbiorową, wysiłki na tem polu wobec ogromu zadania są małe: sześćdziesiąt dziełek, przeważnie drobnych, oto cały plon tej pracy, odkładającej coraz dalej wyczerpanie zadania. Stoi widocznie na przeszkodzie brak funduszów, lecz dziwić musi bardzo upośledzenie literatury; niema śmiecia historycznego, któregoby nie drukowano: materyały najwątpliwszej wartości znajdą najhojniejsze wyposażenie; tak samo ma się rzecz z materyałem etnograficznym: bajki i pieśni, drukowane już sto razy, wyjdą pewnie i po raz sto pierwszy i sto drugi. Zaprzepaszczono tyle pieniędzy w wydawnictwach etnograficznych, ale czyż nie jest ciekawszy, i ważniejszy, niż całe tomy pieśni, taki kilkućwiartkowy „Kiermasz na Zawiślu", gdzie odnachodzimy krakowiaki i kolędy w tekstach o trzysta lat starszych? Zbierają ciągle przesądy i zabobony ludu polskiego ze stron najrozmaitszych, ale stokroć ciekawszy i więcej zajmujący i ważniejszy jest taki „Sejm piekielny" (roku 1622), z pyszną werwą zabobony i nałogi strofujący, poezya nie estetyczna, nie z literatury „nadobnej", ale żywa, dramatyczna, jak jaki Ostade albo inny obrazek rodzajowy tej szkoły. Relacye ambasadorów, prawiących ni w pięć, ni w dziewięć o ludziach i rzeczach, których zupełnie nie znają, wydają się nam mniej ważnemi, niż pierwsza lepsza satyra czy pamflet; zjadliwe to, gorszące, stronnicze, lecz swojskie i trafne. Nad wyczerpujące kreślenia intryg dyplomatycznych, skazanych zgóry na bankructwo, wydaje się nam więcej pouczającem uprzytomnienie dawnej umysłowości wyborem tych rzeczy, z których głównie soki swe czerpała. Jeżeli są więc zasoby na wydawanie cennych rzeczy historycznych i etnograficznych, powinny się znaleźć, choćby kosztem owych, i środki na przedruki z dawnego piśmiennictwa.

Cóż powinnoby takie wydawnictwo najpierw uwzględniać? Dotychczasowemi wydawnictwami kieruje bowiem zupełnie przypadek; planu niema żadnego, chyba jeden: gromadzeniem rzeczy nudnych odstraszać najcierpliwszego czytelnika; wmówić niby w niego, że ta literatura nie może nikogo zająć; że więc nie dziw, jeśli się tego tak mało drukuje.

Należy się nam przedewszystkiem komplet *Książeczek ludowych*, a więc: Meluzyna, Magelona, Marchołt, Fortunat, Sowizdrzał, Aleksander (Macedoński), Poncyan (historya o siedmiu mędrcach), Gryzelda, Ezop i t. d. — wydania tego wszystkiego wymaga po prostu przyzwoitość literacka. Ileż to razy przychodzi się rumienić ze wstydu, gdy np. Niemiec zapyta o którekolwiek z tych świadectw wymiany kosmopolitycznej i wzajemności literackiej między najdalszymi ludami. Odsyła go się z poważną miną do biblioteki gdańskiej po jeden defektowy i późny egzemplarzyk, a do petersburskiej po drugi; najczęściej jednak kończy się jedynie na powołaniu się na katalogi księgarskie, krakowskie i lwowskie z XVI wieku; a mieliśmy to, Mocium panie, naturalnie, jakżeżby! tylko chwilowo służyć niczem nie możemy, chyba tłómaczeniem ruskiem ..

Zadziwi się może kto, jak podobne „brednie" dla przedruku polecać się ważymy, tem bardziej, że to przecież nic oryginalnego, żeć to podłe podłych wzorów przekłady. I rzeczywiście, nawet najznakomitszy i najzasłużeńszy z badaczy naszych dziejów i literatury, wspominając przygodnie historyę o Aleksandrze, nie mógł powstrzymać się od uwagi: dla kogo to właściwie takie nonsensa pisano i drukowano? Lecz cóż zrobimy z faktem, że „brednie" te znalazły więcej i gorliwszych czytelników, niż Faust i Hamlet kiedykolwiek ich znajdą; że, prócz ewangelii, nie rozeszła się żadna księga na świecie tak szeroko, jak te brednie od najdalszego wschodu i od Sahary aż do lodowców islandzkich i do ujścia Dźwiny. Moglibyśmy się zresztą spierać i co do samego terminu „brednie", bo co miliony czytelników i słuchaczów przez liczne wieki wzruszało, chyba brednią nie było. I w „Aleksandrze", mimo wszystkie baśni, jakie go przepełniają, jest sens głęboki; jest idealizacya króla i bohatera, choć nie chrześcijańskiego, ale przeczuwającego i chrześcijaństwo, i rycerskość, i awanturniczość średniowieczną; jest przeciwstawienie niezrównanego wybicia się ponad śmiertelników i najgłębszego upadku w nicość: nad trumną Aleksandra marność rzeczy ziemskich wystawiona naiwnie wprawdzie, ale bardzo dobitnie. Żadnego nacisku nie kładziemy na to, że z tych pogardzonych książeczek wyszedł w końcu cały nasz romans europejski. Drukują też Rosyanie

owe książeczki w dawnych przekładach, dokonywanych niegdyś z polskiego, i my się dopiero od nich o istnieniu naszych tekstów uczymy! Zarzuciłby kto w końcu, że książeczki te posiadamy w egzemplarzach późnych; że należy więc czekać, aż się odnajdą najdawniejsze. Ależ kilku posiadamy najdawniejsze teksty w całości lub fragmentach (Aleksander, Marchołt, Poncyan); dalej, i późne przedruki trzymały się zwykle dosłownie tekstów dawnych, usuwały chyba wyrazy przestarzałe i robiły nowe błędy drukarskie, nazywając to „poprawą"; a wreszcie, gdzież pewność, że odnajdziemy tekst dawny? łatwo odszukać foliant z kazaniami, ale książeczek takich i na wagę złota upolować nie można.

Powtóre, należą się dziejom dawnej umysłowości polskiej *apokryfy*. Gdy niedawno prof. Jagicz w Wiedniu, o apokryfach słowiańskich traktując, księgi Adamowe opracowywał, mieliśmy na szczęście już wydrukowane w bibliotece akademickiej i „Historyę" Pussmana, i „Postępek prawa czartowskiego", tak, że nie potrzebowaliśmy się wstydzić, że Polacy o swoich apokryfach, tłómaczonych i na ruskie, nic nie wiedzą; ale gdy zeszłego roku p. Istrin obszerne dzieło „Objawieniom Metodyusza Patarskiego" (eschatologicznym) poświęcał, musiał na miejscu tekstu polskiego tylko znak zapytania postawić, chociaż mamy i druk stary, i odpis stary. Uboga literatura małoruska wyprzedziła naszą: w dwu sporych tomach wydano we Lwowie komplet apokryfów starego i nowego testamentu, o jakim my na razie ani marzyć nie możemy. Teksty polskie apokryficzne odgrywały w XVI wieku znaczną rolę; ewangelię Nikodemową polską wspomina książę Kurbski; wizyę Tundala mamy we współczesnem tłómaczeniu białoruskiem: toż legendę Trzech Króli, Pasyę Pańską i t. d. I „brednie" apokryficzne są niezmiernej wagi w dziejach umysłowości; lud się niemi do dzisiejszego dnia karmi; w XV i XVI wieku rozpowszechniało je samo duchowieństwo z kazalnic; wpływały one na sztukę i poezyę, z legendy Trzech Królów czerpano wiadomości geograficzne i etnograficzne o Wschodzie, wyczekiwano posiłków popa Jana przeciw Turkom.

Lecz to są działy obce, wspólne nam z innymi ludami cywilizowanymi. Przechodzimy do rzeczy swojskich. Najwalniejszą lukę stanowi dział *satyryczny*. O bogactwie i rozmaitości satyry polskiej nie mamy dotąd żadnego wyobrażenia; jest ona po prostu niewyczerpaną, czy to polityczna, czy wyznaniowa, czy obyczajowa; czy dramatyczna, czy dydaktyczna; prozą czy wierszem; paszkwil czy parodya (tekstów ewangelicznych, pacierzy, litanii, mszy) czy inwektywa; nakamienna, nagrobkowa, czy alegoryczna; łacińska, polska, czy

makaroniczna i t. d. Odsłania ona wszystko: nieład w wojsku, w trybunale, w radzie i sejmie; obyczaje duchowieństwa; życie szlacheckie; nieporządki miejskie; nadużycia po wsiach; nędzę chłopów, klechów, bakułów (bakałarzy), fortele żydowskie i włoskie; skargi i utyskiwania płci pięknej; podłe wychowanie; pijaństwo i nieuctwo, pieniactwo i zbytki, skąpstwo i stroje, alamody i t. d. Opisy przewag chocimskich r. 1621 podnoszą myśl i serce, ale nie zawadzi przeczytać i „Gęsią Wojnę pospolitaków", ciągnących niby pod ów Chocim, aby poznać i stronę odwrotną medalu. Wymysły na inowierców rażą nas może prostotą pomysłu i niewybrednością dykcyi, ale są między nimi i okazy znamienite, np. owo w siedmiu językach na przemiany pisane witanie (Jezuitów wileńskich) nowego ministra „saskiego predykanta" 1642 r., w pysznem białoruskiem narzeczu z litewskimi, hebrajskimi i t. d. wyrazami [1]); z wielu innych konceptów można się nieraz uśmiać „do zdechu", a jak malują one czasy i ludzi!

Właśnie we wszystkich omówionych „bibliotekach", począwszy od Turowskiego, element humorystyczny nadto mało uwzględniano; wykluczano go raczej. Tymczasem jest on bardzo ważny. Dziś np. badamy gwarę na podstawie byle jakich tekstów; wiek XVII tylko w celach komicznych jej używał; kto chce więc poznać przeszłość gwar polskich, musi sięgnąć do intermedyów, do peregrynacyi maćkowych, fraszek Balcera z powiatu kaliskiego, uniwersałów mazowieckich, listów i t. p. Od intermedyów przechodzimy do dramatów czy komedyi: jest ich niewiele, ale właśnie najciekawsze: Polski Scylurus, Z chłopa król i t. d., dotąd nie przedrukowane, także fraszki, dworzanki Jagodyńskiego, Gawińskiego i in. koniecznie wydać należy.

Literatury polemicznej nasze Biblioteki zupełnie nie znają. Że dziś cała ta polemika nam się bezcelową wydaje, z tego nie wy-

---

[1]) Przytaczamy choć parę wierszów, witających Ixa her Lutermachra:
Od galgen przyszoł, lecz ἐνθάδε sidera weizdi (tu na gwiazdy patrzy).
Su (z) dich przyniosłeś hreckoje gamma (szubienicę) tibi.
Du kanst greckie logos kadu tua burna (usta) hłaholi i t. d. i t. d. Ciekawsze jeszcze, niż wiersze wyznaniowe, są wiersze o kobietach i dzieła prozą, od Sejmów panieńskiego i białogłowskiego począwszy — jeśli pominiemy dawniejsze Paprockiego — aż do „Złotego jarzma małżeńskiego," „Gorzkiej wolności młodzieńskiej", „Baby abo starego inwentarza", „Adwizów z koła panieńskiego", „Wierszu o fortelach Białogłowskich", „Zwierciadła" Łącznowolskiego i t. d., ze szczegółami nadzwyczaj drastycznymi.

nika, by i ten ją mijał, kto dzieje dawnej umysłowości traktuje. I między traktatami polemicznymi, szczególniej krótszymi, znajdują się po obu stronach, katolickiej i różnowierczej, znakomite rzeczy, jędrnym, przysłowiowym stylem, bogactwem szczegółów zaciekawiające i dzisiejszego czytelnika. Inne z dzieł teologicznych należałoby koniecznie choć w wyciągach drukować; np. taki katechizm Seklucyana; całości nie warto ogłaszać, ale przedmowa i wiersz wstępny są pierwszorzędnej wagi. Uchodzą np. zawsze Radziwiłłowie za pierwszych krzewicieli różnowierstwa na Litwie, — z owych przedmów dowiadujemy się o całkiem innych ludziach i o dawnej szkole; cóż za nieocenione przysługi byłoby tych kilka kartek oddało panu Charłampowiczowi, poświęcającemu sumienną, wyczerpującą pracę szkolnym stosunkom polskim XVI wieku! Naszem zdaniem, należałoby dodawać do Biblioteki zeszyt dodatkowy, rocznie lub co lat kilka wychodzący, mieszczący spis bibliograficzny rzeczy, nie zasługujących w całości na przedruk, lecz z których podobne wyjątki ważniejsze koniecznie przytaczać należy. Na szczęście wydała petersburska komisya archeograficzna trzy spore tomy, mieszczące polską literaturę polemiczną prawosławną i katolicką, tak, że przynajmniej ten dział stał się dla badań przystępnym, pisma Skargi, Herbesta, Pocieja, Smotryckiego, Filaleta, Sakowicza i innych.

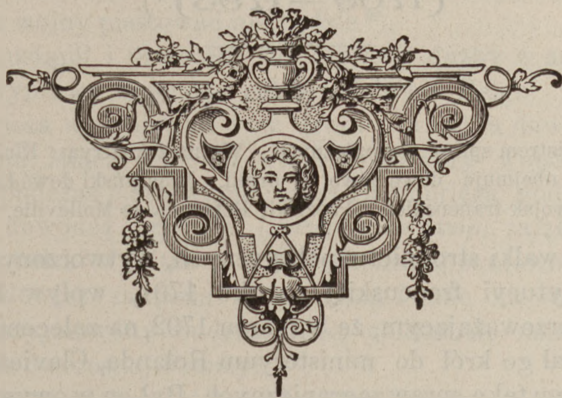
Oto działy, zaniedbywane z reguły w naszych wydawnictwach zbiorowych, które koniecznie uwzględniać należy. Wiersze okolicznościowe cenimy mało, rzadkie z nich zasługują na uwagę; okolicznościowemi nazwiemy i kazania nadgrobne i inne, lecz tu prędzej odnajdziemy ciekawe zabytki; taka „Kokosz" księdza Mijakowskiego koniecznie się przedruku domaga; o kazaniach Skargi, Birkowskiego i innych i wspominać nie potrzebujemy, oddzielne z nich drukował już Turowski i inni. Poezye historyczne kredytu nie zażywają, lecz są wiersze Paprockiego i Żabczyca, Krajewskiego, Śliznia i innych, zasługujące ze wszech miar na ogłoszenie, szczególnie, jeśli z pod pióra uczestnika, świadka naocznego, wychodziły. Braki i luki są tu bardzo znaczne, nieraz nawet u poetów znanych; np. posiadamy zbiorowe wydania wierszy ks. St. Grochowskiego, lecz najciekawszych jego dziełek, o błaźnie ks. Maciejowskiego i na przyjazd posłów od Samozwańca, próżno byśmy w nich szukali. W prozie politycznej i historycznej luki są mniejsze, lecz wystarczy przebiedz artykuł Tarnowskiego o literaturze politycznej XVII wieku, aby się przekonać, że niejedno bardzo ciekawe i sympatyczne pismo jest nieznane.

Wypowiedzieliśmy kilka *pia desideria*; kładliśmy nacisk nie na nadzwyczajne rzadkości, unikaty, których jedyna zasługa nieraz ta, że reszta egzemplarzy zniszczała; ich opis staranny do dzieła p. Estrejchera należy, lecz przedrukowywać ich nie warto; nie wymagamy również komentarzy i słowniczków; wystarczałby nam staranny przedruk tekstu, choćby z jego błędami, i kilka objaśnień słów nieznanych, nieodzownych przy niektórych pomnikach; większość się bez nich obejdzie; cena niech będzie umiarkowana, jak biblioteki p. Wierzbowskiego (ceny krakowskie są zbyt wysokie); format krakowski dobry, tylko należy zeszyty numerować i dawać trwalsze okładki; wreszcie treść przeplatać.

Dawna literatura polska poniosła w księgach i rękopisach nadzwyczajne ubytki; wystarczy przejrzeć choćby inwentarze po Unglerowej, po Hübnerze i innych „biblio-polach" albo trzy krótkie indeksy polskie książek zakazanych (wydane przez biskupów roku 1603, 1604 i 1617, przedrukowane świeżo przez Dr. Celichowskiego), aby się przekonać, ilu dzieł, a nawet pisarzów nieznamy (np. Kosicki, Kościelski, Kownacki i t. d. ze spisu roku 1603). Jezuici, jak i Polski nie zgubili, tak i literatury jej nie nadniszczyli, dawali nawet pokój jawnym księgom heretyckim, naprzykład w Nieświeżu i Białej, przechowywanym dotąd w bibliotece akademii petersburskiej, opatrywanym tylko zastrzeżeniami co do ich czytania; i po klasztorach ksiąg nie palono, pisano chyba na grzbiecie *prohibitus*. Niszczały one głównie nieposzanowaniem, pożarami dworów drewnianych i miast, w częstych rabunkach i inkursyach; inne tępili stronnicy i przeciwnicy naprzykład ministra ewangielickiego Rosentretera, Examen już w rok po wyjściu znikło, gdyż sami ewangelicy, wstydząc się i języka, i treści, je zniszczyli. Skargi o jedności kościoła wykupywali prawosławni; całe biblioteki inowiercze skazywał właściciel nowy na autodafe; inne, rzeczy aryańskie, ale i pisma antyjezuickie i t. d. palił kat. I przerzedziły się nadzwyczaj szeregi ksiąg polskich; nawet najbogatsze biblioteki przedstawiają luki rażące; koniecznie należy przedrukami ułatwić pracę postawienia historyi literatury i umysłowości na szerszych, niż dotąd, podstawach; brak nam przecież rzeczy najzwyklejszych, codziennych, przeciętnych; nadto wyłącznie obracamy się w kółku kilku wyborowych dzieł i pisarzy. Historya literatury nie jest zbiorem biografii, (te należą tylko do słownika pisarzów polskich) i dzieł (te opisuje i wylicza bi-

bliografia polska); jest historyą umysłowości, którą stanowią myśli i dążności oraz kształty, w jakie się one oblekały; nie jest zlepkiem szkiców o pojedyńczych pisarzach, z krótkiemi uwagami ogólnemi, jakie się chyba dla podręcznika szkolnego nadają, lecz ma przedstawić ciągłość rozwoju, powolne zagłębianie się i rozrost myślowy, okoliczności, hamujące lub przyspieszające je; — ażebyśmy zaś cel ten rychlej osiągnęli, musimy poznać całe jej bogactwo, a do tego trzeba nam koniecznie przedruków obfitszych, systematyczniejszych, niż dotąd; nowego Turowskiego wyglądamy z niecierpliwością.

A. Brückner.



Miączyński i Dumouriez.

Wizerunki i sceny historyczne z dziejów Polski i Francyi.

(1769—1793) *).

X.

Dumouriez ministrem spraw zagranicznych. Wojna z Austryą. Klub Jakobinów. Dumouriez obejmuje dowództwo w armii. Miączyński dowódcą brygady wojsk francuskich. Paszkwil Betranda de Molleville.

Wśród walki stronnictw politycznych, wytworzonych po ogłoszeniu konstytucyi francuskiej z roku 1791, wpływ Dumourieza stał się tak przeważającym, że w marcu 1792, na zalecenie Żyrondystów, powołał go król do ministeryum Rolanda, Claviera i Servana i powierzył mu tekę spraw zagranicznych. Był on w owym czasie rzekomym obrońcą praw monarchy, lecz marzył o roli Cromvella dyktatora i niweczył wszelkie środki, jakie rada przyboczna królewska, w której wpływowe stanowisko zajmował b. minister marynarki, Bertrand de Molleville, projektowała królowi, celem zażegnania niebezpieczeństw interwencyi Europy w sprawy Francyi.

Ten to gabinet za radą Dumourieza skłonił bezwładnego Ludwika XVI do wypowiedzenia w dniu 20 kwietnia 1792 r. wojny „królowi Węgier i Czech“. Francya z zapałem powitała ów krok

*) Ob. „Ateneum“ styczeń, luty i marzec, 1900 r.

stanowczy. Ogłoszono powszechny pobór rekruta, zaczęto zbierać ofiary, kuć włócznie i przygotowywać się nie tyle do obrony, ile do napadu na granice sąsiadów.

Zapał ów udzielił się i ministrom, których za sankiulotów uważano. W poczuciu potęgi Francyi przybrali oni postawę zaczepną i zażądali, by król przedewszystkiem podpisał dwa dekreta: skazujący na wygnanie księży, wzbraniających się wykonać przysięgę konstytucyjną, i ustanawiający obóz dwudziestopięciotysięcznej armii ochotniczej, która miała otoczyć Paryż, pozornie dla obrony króla, w gruncie rzeczy zaś w celu uniemożliwienia rodzinie królewskiej wszelkich z Europą konszachtów.

Król, pozbawiony pomocy, już zdawał się być skłonnym do podpisania owych dekretów, gdy napotkał na silny w tej mierze opór ze strony Dumourieza. Ministeryum Rolanda, Claviera i Servana podało się do dymisyi, Dumouriez natomiast objął tekę ministra wojny. Klub Jakobinów podniósł okrzyk zgrozy, uważając taktykę Dumourieza za podstępną i przeciwną woli ludu. Chcąc przejednać owe stronnictwo, Dumouriez, wbrew poprzednim swoim radom, zaczął nastawać na króla, by dekrety pomienione podpisał, a gdy Ludwik XVI sprzeciwił się temu, oświadczył, że dłużej teki ministeryum wojny piastować nie będzie *).

Jakoż ustąpił i przeszedł do czynnej służby w armii, by zorganizować wyprawę wojenną, celem zdobycia Belgii. Wpływowa rola Dumourieza w gabinecie i w armii otworzyła dawnemu towarzyszowi broni, Miączyńskiemu, wrota do karyery wojskowej. Zamianowany podczas piastowania przez Dumourieza godności ministra wojny dowódcą brygady (*marechal de camp*), zajął niebawem b. marszałek bełski wybitne w armii francuskiej stanowisko. Prócz tego, jako człowiek zaufania Dumourieza i mile na dworze Maryi Antoniny przyjmowany cudzoziemiec, zbliżył się nanowo do sfer wpływowych ówczesnej Francyi.

Dzięki tym właśnie stosunkom, znajdujemy w pamiętnikach Bertranda de Molleville szczegół tajemniczy o Miączyńskim, którego w tem miejscu pominąć niepodobna, a który rzucałby niekorzystne światło na charakter starosty łosickiego, gdyby nie okoliczność, że pamiętnikarz de Molleville ustalił swoją renomę, jako osobistość zjadliwa, obrzucająca błotem potwarzy wszystkich współczesnych

*) Król pisał w owym czasie do Bertranda de Molleville'a „Concevez, je vous prie, l'étrange conduite de cet homme (Dumouriez). Après m'avoir invité à renvoyer les trois ministres, parcequ'ils insistoient sur la sanction des deux décrets, il m'abandonne, parce que je persiste dans la mesure qu'il m'a recommandée: *Mem. polit*, T. I. 96.

i z tego względu nie mogąca budzić zaufania do wynurzeń, jakie potomności przekazała.

Działo się to właśnie w epoce pierwszych przygotowań do wojny zaczepnej przeciw Austryi, gdy Dumouriez, ustąpiwszy ze stanowiska ministra wojny, przeszedł do służby czynnej, jako wódz zamierzonej przeciw Belgii wyprawy, i miał pod swymi rozkazami oddział, dowodzony przez Miączyńskiego „Miałem właśnie — pisze Molleville (Tom. II, str. 234 — 239 ed. 1797)—niezwykłą rozmowę z pewnym szlachcicem polskim, kwatermistrzem wojskowym w służbie Francyi, zaufanym przyjacielem Dumourieza. Nazywał się Miączyński. Człowiek ten, którego przedtem zupełnie nie znałem, zażądał za pośrednictwem pewnej osobistości posłuchania między godziną 11-tą a północą, ponieważ, jak twierdził, pragnie się ze mną porozumieć w sprawach doniosłości niezmiernej.

„Jakoż około północy, gdy się u mnie zjawił, rozpoczął od usprawiedliwienia, że mi pozwolił czekać na siebie, lecz uczynił to, jak oświadczył, dla tego, że dom mój czujnie jest śledzonym, tak, że dopiero po trzech kwadransach krążenia po ulicach mógł niespostrzeżony dostać się do mego mieszkania.

„Zapytał następnie, oglądając się trwożliwie wokoło, czyli gabinet mój nie dotyka innych pokojów, z którychby można było usłyszeć to, co mi zakomunikować zamierza, a gdym go uspokoił, że może być bezpiecznym, zwierzył mi się ze swą tajemnicą.

„Wysłuchałem go do końca, nie przerywając jego mowy, gdyż dopatrzyłem się w jego obliczu czegoś, co mi nakazało mieć się na baczności. Nasunęło mi się podejrzenie, iż ów człowiek jest albo szpiegiem Dumourieza, lub też emisaryuszem komitetu wywiadowczego...

„Prawił mi tedy o swem wysokiem urodzeniu, o swych bogactwach, o pobudkach, które go skłoniły do wstąpienia do służby Francyi, i o sporze rozgłośnym z p. de Vergennes. Ogłosił on w tej mierze referat szczegółowy, którego egzemplarz złożył na mem biórku, i odczytał zeń parę ustępów, celem przekonania mnie, że nie jest awanturnikiem, ani też człowiekiem dwuznacznego charakteru.

„Mam zaszczyt—oświadczył mi—być krewnym królowej, której zawdzięczam awans w służbie. (*J'ai l'honneur d'être parent de la Reine, à qui je suis redevable de mon avancement dans le service).* Ich Królewskie Mości nie mają istotnie sługi nademnie wierniejszego. Otóż, jedynie w zamiarze świadczenia im usług, pozostałem we Francyi i postarałem się o służbę w armii. Zwiodłem podstępnie

Dumourieza, udając, że jestem jego przyjacielem. Tem zyskałem nieograniczone jego zaufanie. Był to jedyny środek przeniknienia jego zamiarów. Jest on stokroć niebezpieczniejszym, aniżeli mogą o tem sądzić ci, którzy nie znają ani jego ambicyi, ani też braku jakichkolwiek bądź zasad.

„Spędzam z nim codziennie kilka godzin sam na sam. Lubi bardzo rozmawiać ze mną i niczego przedemną nie tai. Tym sposobem, jeśli to Pana obchodzi, mógłbym donosić o wszelkich jego projektach, planach i sekretach...

„— Tego rodzaju doniesienia, odrzekłem, na nicby mi się nie przydały. Nie jestem zupełnie ich ciekawy. Lecz czyż Pan wkrótce nie połączy się z armią?

„— Tak jest, i właśnie w tym przedmiocie radbym porozumieć się z Panem, gdyż mam środek niezawodny wyświadczenia królowi usługi ważnej... Mam dowodzić armią przednią, a ponieważ znam kraj lepiej, niż inni oficerowie, przeto korzystam z ich zaufania bezgranicznego. Jestem pewny, że nie zawahają się obrać dla armii stanowiska, które uznam za najodpowiedniejsze... Jest mianowicie punkt jeden, bardzo ważny i korzystny, lecz w którym, o ile się o nim uprzedzi dowódcę wojsk nieprzyjacielskich, awangarda ta mogłaby być łatwo i skutecznie napadniętą, skutkiem czego i pozostała armia byłaby niechybnie rozbitą lub wziętą w niewolę...

„— Zapewne urządziłbyś się Pan w taki sposób, by się znaleźć w tej ostatniej ewentualności?

„— Niewątpliwie — odrzekł.

„— A nie masz też Pan żadnych wątpliwości co do udania się operacyi tak niebezpiecznej?

„— Najmniejszych... Wyobraź Pan tedy sobie przerażenie, jakieby klęska tego rodzaju wywołała w Paryżu! Sprowadziłaby ona doszczętny pogrom i rozbicie stronnictwa jakobinów i zgromadzenia narodowego, obudziłaby niechęć do nowej konstytucyi i przywróciłaby niechybnie powagę władzy królewskiej. Lecz—dodał — zachodzi tu pewna przeszkoda. Wiesz zapewne, że w armii niema już karności i posłuszeństwa, że trudno utrzymać na wodzy żołnierzy, bez zjednania ich sobie winem lub wódką... Stosowałem zawsze ów środek, o ile nań pozwalały moje fundusze, lecz kieska moja wyczerpała się, i niepodobna mi już liczyć na zaufanie żołnierza w stopniu, koniecznym dla udania się mojego planu... Kwota dwukroć stu tysięcy liwrów byłaby mogła zaradzić złemu, a jestem przekonany, że król chętnie zgodziłby się na jej wyasygnowanie,

gdybyś tylko Pan zechciał przedstawić mu mój projekt i poprzeć go skutecznie...

„— Z trudnością przyszłoby mi zaproponować królowi projekt Pański — odrzekłem — gdyż straciłbym odrazu jego zaufanie. Jakże możesz sądzić, znając charakter króla, iż, propozycyę tę mógłby przyjąć? Pozwól przytem wyrazić zdziwienie, iż nie będąc Pańskim zaufanym, obrany zostałem za powiernika tego rodzaju wynurzeń?..

„— Zwróciłem się do Pana, — odrzekł na to -- jako do dawnego ministra, uważanego za najszczerzej do króla przywiązanego i najbardziej zdolnego do ocenienia doniosłości przysługi, z jaką tu się wynurzam... Racz się Pan głębiej nad nią zastanowić, a ocenisz niewątpliwie jej pobudki.

„— Zastanowienie się, mój Panie, jest tu zbytecznem. Posłużyłoby tylko do tem silniejszego utwierdzenia poglądu mego na tego rodzaju sprawę. Wierzę w oświadczenia Pańskie o przywiązaniu do osoby króla, i możesz Pan liczyć na moją dyskrecyę. Postaram się zapomnieć o Pańskim projekcie. Radzę Panu uczynić toż samo, a przedewszystkiem nie zwierzać się z nim przed nikim!"

„Nazajutrz — nadmienia Molleville — zdałem królowi sprawę z owej tajemniczej sceny.

Pochwalił odpowiedź, daną przezemnie Miączyńskiemu, i rzekł, że zna go, jako osobistość dwuznacznego charakteru, której jedynym celem mogłaby być chęć obłowienia się pieniędzmi...

Dla obalenia potwarzy pamiętnikarza dostateczna jest stwierdzić, że stosunek Miączyńskiego do Dumourieza, oparty na wzajemnej życzliwości, przetrwał niezmiennie do końca karyery życiowej Miączyńskiego, co już tem samem wyłącza możliwość przypuszczeń o zasadności zarzutów, uczynionych uczciwości i dobrej wierze marszałka bełskiego.

Daje to tylko miarę niechęci, jaką w pewnych kołach podówczas do osoby Miączyńskiego żywiono, gdyż, usuwając na stronę wszelkie idealne pobudki, dopatrywano się w jego przywiązaniu do nowej ojczyzny jedynie widoków materyalnych poziomego waloru.

Potomność wytworzyła sobie opinię sprawiedliwą o wartości inwektyw Mollevill'a, a w tej właśnie sprawie, obchodzącej dobrą sławę Miączyńskiego, zasłużony pisarz Vieihl de Boisjolin takie wynurza zdanie: „*Il faudrait plus que de simples paroles, pour rendre probables de pareilles assertions. Ce qui le combat surtout, c'est la con-*

fiance, que Dumouriez ne cessa d'accorder à son ancien ami, jusqu'à la fin de leur carrière." [1])

XI.

Koalicya przeciw Francyi. Verdun. Niepokój w Paryżu. Miączyński w sztabie Dillona. W Stenay. Zamiary Dumourieza. Wyprawa na Belgię. Utarczki z Clayrfaitem. Miączyński dowódcą garnizonu w Sedanie. Rabunki w Orval. Proklamacya Miączyńskiego.

Koalicya Prus, Austryi, książąt niemieckich i dworu turyńskiego, zawiązana manifestem brunświckim w 1792 roku, zagroziła całości i bezpieczeństwu Francyi.

Pierwsze jej kroki wojenne zaznaczyły się szeregiem klęsk niewyćwiczonego jeszcze żołnierza francuskiego. Armia najezdnicza wstępnym bojem zdobyła 23 sierpnia fortecę Longwy.

Austryacy pod wodzą Clairfayta skierowali się ku Stenay, nieopodal od Sedanu; Prusacy rozpoczęli oblężenie Verdun, które się poddało 2 września. Szampania stanęła przed najezdnikami otworem. Zatrwożył się Paryż na widok padających w gruzy forteczek granicy wschodniej.

Europa, gotowa do boju z rewolucyjną Francyą, bacznie śledziła postępy oręża koalicyi i już widziała bitne i karne jej zastępy pod murami Paryża...

---

[1]) Biogr. histor. III. 606. Oprócz tego w *Enc. Larousse'a* (II. 627) znajdujemy o Mollevillu następujące szczegóły: Bertrand de Molleville (Antoine François, marquis, magistrat et historien français, né'à Toulouse en 1744 mort en 1818.

Appelé par Louis XVI en 1790 prendre le portefeuille de la marine, il montra qu'incapacité et fut accusé d'avoir par ses fausses mesures causé la perte de S. Domingue.

Obligé de donner sa démission il fut mis par le roi à la tête de la police secrète, se rendit ridicule par les impuissantes mesures avec lesquelles il prétendit enrayer la Revolution. Il fut decrets d'accusation le 15 Aout 1792. Il se refugia en Angeterre où il composa divers écrits politiques et d'où il fit passer en France de faux assignats; qui compromirent et firent monter sur l'échanfaud un habitant de Boulogne.

Son Hist. de la Revol. de France est pleine d'erreurs, de mensonges et de calomnies. Il denature tous les evénenements, se montre toujours guidé par l'ésprit de vengeance, ainsi que par ses préjuges et y donne des preuves surabondantes de sa nullité comme ministre.

Ses Mémoires sont écrits dans le même ésprit, que sa pretendue Hist. de la Revol. mais curieux néanmoins à consulter à cause des aveux indiscrets qu'ils contiennent.

Ale zaskoczona znienacka Rzplita miała jeszcze nietknięte dwie armie, złożone z regimentów liniowych i ochotniczych z 1791 roku. Jedna, Ardeńska, rozłożona obozem pod Sedanem, pozostawała pod rozkazami Lafayetta, drugą, środkową, dowodził pod Metzem Luckner.

Głos ogólny domagał się zmiany owych dowódców i zastąpienia ich przez żołnierzy doświadczonego męstwa i patryotyzmu.

Zamiast Lucknera wybrano generała Kellermana, znanego z nieustraszonej odwagi. Z pomiędzy innych kandydatów na miejsce Lafayetta, wybór padł na Dumourieza, który, jakkolwiek popularność swoją wtedy był utracił, jednakże siłą niezaprzeczonych talentów wojskowych i energii, rokował Francyi pomyślniejsze na przyszłość widoki.

Pierwszym krokiem Dumourieza było skierowanie armii Dillona ku Sedanowi celem powstrzymania pochodu Prusaków. W sztabie tego ostatniego znajdował się nasz Miączyński [1]).

W chwili jednak, gdy Dumouriez z Valenciennes dążył ku Belgii, przybył do jego obozu Westermann z wiadomością, iż Prusacy, Austryacy i emigranci francuscy kierują się w stronę Paryża, że więc bez zwłoki należy porzucić plan wkroczenia do Belgii i cofnąć się ku Sedanowi.

Z niechęcią opuścił Dumouriez Flandryę, a zamianowawszy Ruault'a dowódzcą Lille, przybył do Sedanu 28 sierpnia i, celem zabezpieczenia magazynów w Stenay, odkomenderował tam Miączyńskiego z oddziałem tysiąca ochotników [2]).

Zanim rozpoczął się marsz oddziałów na punkta wyznaczone, Dumouriez, nękany ciągle myślą podboju Belgii, dla zrobienia dywersyi na tyłach, następujących zwolna, lecz niepowstrzymanie, wojsk koalicyi, zwołał radę wojenną, złożoną z generałów: Dillona i Chazota, oraz dowódców brygady, Anglika Moneya i Miączyńskiego, by wyjednać od niej zatwierdzenie swego planu.

Wszyscy uznali zasadność projektu naczelnego wodza i oświadczyli się za koniecznością prowadzenia wojny zaczepnej, a nie odpornej jedynie.

Napróżno minister wojny Servan wzywał Dumourieza, by dla zbawienia ojczyzny porzucił swój plan awanturniczy i zjednoczył siły obronne między Marną a Mozellą. Dumouriez, pozostawiwszy

---

1) A. Chuquet: *Valmy*, str. 26.
2) loc. cit. str. 31.

to wezwanie bez odpowiedzi, już dnia 2 września 1792 r. był w drodze do Mouzon i do Grandpré, by tam na granicy Szampanii podjąć bój zaczepny przeciwko Prusakom.

W celu zamaskowania swego pochodu i ściągnięcia Prusaków w inną stronę, polecił Dumouriez Dillonowi, stojącemu obozem pod Mouzon, by wykonał ruch w kierunku Stenay.

Dillon wysłał na ten punkt Miączyńskiego z kompanią grenadyerów i ochotników z Ransonnets oraz z oddziałem dragonów i strzelców; Miączyński przebył Mozellę i rozłożył się obozem pod Stenay, w wiosce Baloon.

Tam 31 sierpnia połączyli się z nim Dillon i Gobert, lcz napadnięci przez wojska Clayrfaita cofnęli się do Mouzon, dokąd za nimi podążyli Austryacy, i tym sposobem Dumouriez mógł bezpiecznie usadowić się w Grandpré [1]).

Zadowolony ze sprawności Miączyńskiego powierzył mu Dumouriez dowództwo garnizonu w Sedanie.

Na posiedzeniu Zgromadzenia narodowego, odbytem w dniu 10 września 1792 r. pod prezydencyą Hérault'a, odczytano proklamacyę Dumourieza, wystosowaną do obywateli, załogi Sędanu i do Miączyńskiego („*ci devant général polonais*" [2]).

Zaleciwszy mu, by czuwał bacznie nad komunikacyą z Montmedy i nie dopuszczał prowiantowania wojsk najezdniczych z Luxemburga i Longwy, wezwał go jednocześnie do zorganizowania oddziału wolnych strzelców ardeńskich [3]).

Plan ten, obliczony na odciągnięcie wojsk koalicyi od pochodu na Paryż, pokrzyżowała wiadomość o marszu oddziałów: Hohenlohe'go, Kalkreutha i Clayrfaita w kierunku Grandpré.

Wkrótce też dowiedział się Dumouriez, że Austryacy zawładnęli jednym z obronnych punktów La Croix aux Bois. Katastrofa osaczenia wojsk Dumourieza zdawała się nieuchronną, gdy nagle deszcz ulewny, ani na chwilę nie ustający, powstrzymał (jak świadczy Goethe, biorący udział w tej kampanii) sprzymierzeńców od dalszego pochodu.

Nastąpił nieprzewidziany, a stanowczy zwrot w akcyi sprzymierzonych, zwróconej przeważnie ku zdobyciu Paryża. Dalsza kampania rozstrzeliła się na drobniejsze, ze zmiennem szczęściem prowadzone utarczki, zanim sięześrodkowała w kilku, tym razem stanowczo niepomyślnych dla najezdników, bitwach walnych.

---

[1]) Chuquet: loc. cit. str. 60.

[2]) *Moniteur univ.* z 1792 r. № 285.

[3]) Chuquet 98; *Arch. Nation.* IV. 271, doss. 31 p. 4.

Zdobyte przez Austryaków Croix aux Bois odebrali ochotnicy francuscy 13 września, lecz znowu musieli ustąpić przed liczebną siłą. Rozpoczął się szereg niepowodzeń Francuzów, które wywołały szemranie między ludnością wiejską, niekarność w wojsku i liczne zbiegostwa z szeregów.

Gdy Prusacy odcięli Francuzom komunikacyę z Lotaryngią i z rzeką Aisne, dał się uczuć dotkliwy brak żywności. Chleb stał się rzadkością, a żołnierze karmić się musieli jarzynami.

Miączyński, okazawszy energię i waleczność w utarczkach podjazdowych z Prusakami, posunięty został w końcu 1792 r. do rangi generała i głównego komendanta Sedanu [1]).

Z jego to rozkazu podjętą została wyprawa celem zdobycia magazynów opactwa d'Orval. Oddział pięciuset ludzi gwardyi narodowej z batalionami z Lille i Vilaine, Sekwany niższej i Mozelli wyznaczony został do tej wyprawy, lecz niekarność wojsk dała powód do napadu na mieszkańców Carignan i do rabunku ich mienia. Proklamacya, wydana przez Miączyńskiego do legii Ardeńskiej, położyła kres owym nadużyciom.

Oto jej osnowa:

„*W głównej kwaterze Sedanu, dnia 25 Września, 1792 roku.*"

„Dotknięty boleśnie wiadomością o rabunkach i ohydnych czynach, których się dopuścili wczoraj ochotnicy w Carignan, nie mogąc się powstrzymać od głosu oburzenia, wypowiadam go tutaj, powtórzę przed Radą wojenną, napiszę o tem do Konwentu i obwieszczę wszystkim.

„Jakimże to sposobem stać się mogło, by ludzie, którzy podnieśli oręż w obronie ojczyzny, ludzie, mianujący się Francuzami, istotami wolnemi i chcącemi za takowe uchodzić, dopuszczali się nadużyć przeciw własności, z obrazą honoru, ludzkości i dobrego przykładu, danego im przez gwardyę narodową Sedanu i oddziały liniowe? Czyż widziano kiedykolwiek tyle nikczemności i upodlenia? Tego rodzaju zamachy muszą ustać, w przeciwnym bowiem razie wolność i równość przepadną! Owe drogocenne skarby, zdobyte kosztem tylu ofiar, miałyżby przejść bez śladu w tym pięknym kraju? O nie! One świecić będą wiekuiście! Przysiągłem i przysięgam ponownie,

---

[1]) *Monitor* z r. 1792, № 276.

Wobec tego odznaczenia złośliwemi wydają się zarzuty współczesnego autora *Mémoires politiques etc.* z r. 1797 (T. I str. 117), który nie tylko, że odmawia Miączyńskiemu zasług dzielności rycerskiej, lecz wprost pomawia go o działania podstępne. Nieufność do cudzoziemców, która stała się następnie dla Miączyńskiego

że wierny swemu zadaniu, walczyć będę bez wytchnienia, nie tylko przeciw wrogom zewnętrznym, lecz i wewnętrznym. Nie darmo przyrzekłem dzielnemu Dumouriezowi, iż będę szanować osoby i własność. Dał on już straszliwy przykład kary na nikczemnikach, którzy zbiegli z pod sztandaru. Jak on, nie lękam się buntów, jak on, wyślę wichrzycieli przed dostojnych reprezentantów naszych, którzy będą umieli oczyścić społeczeństwo z owych zdrajców ojczyzny! Tak jest! Jest to zdrada ubliżać prawu, a ubliżać prawu znaczy to: chcieć wykreślić z rzędu narodów ucywilizowanych najpierwszy naród na świecie! Głównodowodzący okręgu Ardeńskiego, *Miączyński* [1])

---

zgubną, dowodzi, że służba obcemu krajowi, choćby nawet najusilniejsza, nigdy należycie ocenianą nie bywa.

„Le colonel du X régiment — pisze powołany pamflecista - fut invité à céder son commandement à Miączyński. C'est ici, que la conduite de ce dernier *n'est pas exempte de soupçons* (!) malgré, que le colonel n'y trouve, *qu'une fanfarronade...* De grand matin Miączyński se propose d'aller faire une reconnoissance et prend six chasseurs avec lui; bientôt il en renvoie quatre et quelques minutes après, les deux autres; s'en va seul, on ne sait où, et ne revient, que vers les onze heures du matin; il assure, qu'il n'a rien vu, qu'on peut être fort tranquille. On commande le diner pour midi. Auparavant le colonel se rend à la municipalité, dont il connaissait le maire, nommé Beffroi, ancien oficier dans le régiment de Condé, homme brave, mais dissimulé; il lui fait différentes questions, relatives à leur position dans cette ville. — „Elle est très périlleuse, lui dit Beffroi, vous serez certainement attaqués, mais ce ne sera que dans trois, ou quatre jours" A peine il achevait ces mots, que des chasseurs viennent donner avis, qu'ils ont vu s'avancer vers Stenay une colonne formidable de l'armée ennemie. Nous n'avions à lui opposer, que cinq escadrons et un régiment de hussards. Il était midi. Dillon sans prendre aucune nourriture, monte à cheval, va se mettre à la tête des troupes. L'action commence, la cannonade est très vive de part et d'autre, mais la grande superiorité des forces ennemies et les avis des officiers engagent Dillon à se replier et à rentrer dans Stenay. Ou crie hautement à la trahison. Il faut qu'il subisse le même sort que son cousin (Zmasakrowany poprzednio przez własnych żołnierzy pod Lille). Cependant Dillon avait deployé ses troupes sur la rive gauche de la rivière position d'autant plus dangereuse qu'on était exposé au feu de l'ennemi, placé sur la hauteur... On engage Dillon à se réplier. Non, dit il, on me prend pour un traître, j'aime mieux mourir à ce poste. Mais il se replia dans le bois de la Neuville et l'ennemi n'osa point sortir de la prairie pour l'attaquer. *Miączyński, à qui certains écrivains ont attribué la gloire des opération de cette journée, ne fit que paroitre un moment!*"

[1]) Monitor z 1792 r. 2 października str. 102 (*Reimpression*).

XII.

Pod Valmy. Odwrót Prusaków. Ataki Miączyńskiego pod Argonne. Przesmyki w Grandpré i Islettes. Pod Stenay. Porażka Clayrfaita. Odwrót. Losy dynastyi. Walna bitwa pod Jemappes.

Wśród dymu palących się wiosek, który jedynie estetyczne wrażenie obudził w poetyckiej fantazyi Goethego [1]), armia pruska podążyła pod Valmy, gdzie wojska Dumourieza i Kellermana powitały ją tak rzęsistym ogniem, że kanonada pod Valmy stała się przysłowioną i przeważyła szalę powodzenia kampanii 1792 roku ostatecznie na stronę młodej armii republikańskiej.

W szeregach, w których przy boku Dumourieza walczyli synowie księcia Orleańskiego: ks. de Chartres i Montpensier, oraz romantyczne siostry, panny Fernig [2]), obudziło się poczucie siły i nadzieja pokonania zwycięskich dotąd przeciwników.

Dzień 20 września 1792 r. zadał cios dotkliwy bucie Prusaków, którzy, odcięci od Verdun, pozbawieni furażu i amunicyi, cofnęli się bezładnie w kierunku Renu, ścigani przez zwycięzkie hufce Dumourieza, zaciągi posiłkowe z Chalons, garnizony Miączyńskiego, z Mezières, Sedanu i Montmédy.

„*Furia francese*”, z jaką wojska republikańskie rzuciły się w pogoń za pierzchającym nieprzyjacielem, stanowiła świetny epilog pogromu najezdników pod Valmy.

W rzeczy samej, ponowne zwycięstwo, odniesione przez armię francuską nad sprzymierzonymi, a noszące w dziejach kampanii 1792 roku nieśmiertelną nazwę *bitwy pod Argonne*, w znacznej mierze przypisać należy energicznemu atakowi szeregów Miączyńskiego na ważny punkt strategiczny Stenay.

Przyznaje to nawet niezbyt chętny w wymierzaniu sprawiedliwości Polakom w służbie francuskiej, Thiers [3]).

---

[1]) „Einige Dörfer brannten vor uns auf, *allein der Rauch thut in einem Kriegsbilde auch nicht übel...*“ (Campagne in Frankreich).

[2]) Teofila i Felicyta panny Fernig, córki kapitana guidów Dumourieza, urodzone w wiosce Mortagne, nad granicą belgijską, wstąpiły do szeregow, przebrane po męsku, i odznaczały się niezwykłą dzielnością. Jedna z nich, Felicyta, ocaliła życie ochotnikowi belgijskiemu, Vandervellen, który, powodowany wdzięcznością, po wyleczeniu się z ran, puścił się na wędrówkę po Niemczech, celem odszukania swojej wybawicielki. Odnalazłszy ją, pojął następnie za żonę i zamieszkał w Brukselli. Teofila zamieszkała przy siostrze i zmarła w młodym wieku.

[3]) *Hist. de la revol.* wyd. 1861. T. II. 338.

Na przestrzeni między Sedanem a Passavent roztacza się słynny bór Argoński („*dont le nom doit être à jamais fameux dans nos annales*"), obejmujący rozległości od 13 do 15 mil kwadratowych. Skutkiem nierówności terenu, przerzniętego lasem i wodami, był on i jest zupełnie niedostępny dla pochodu armii, z wyjątkiem kilku głównych przesmyków.

Tym to właśnie lasem mógł nieprzyjaciel wtargnąć do Chalons, a następnie dotrzeć do Paryża, zwłaszcza we wrześniu 1792, gdy główne siły gen. Dumourieza znajdowały się w znacznem oddaleniu od Argonne, w Sedanie.

Na odbytej radzie wojennej Dumouriez, mając przed sobą plan miejscowości, wskazał dowódcy oddziału Thouvenotowi las Argoński i przerzynające go przesmyki.

— „Tutaj, zawołał, znajdują się Termopyle Francyi. Jeśli mi się uda wyprzedzić tam Prusaków, zwycięstwo nam się dostanie!"

Projekt ten zapalił do działania wodzów pojedyńczych oddziałów. Z pięciu przesmyków, najważniejszymi były dwa: Grandpré i Islettes, lecz odległość ich od Sedanu była znaczna. Dumouriez bez względu na tę przeszkodę postanowił ruszyć w ich kierunku ze wszystkimi oddziałami.

By dotrzeć do pierwszego przesmyku, należało obejść Stenay, gdzie obozował generał austryacki, Clayrfait, który, według obrachowania Dumourieza, na widok posuwających się kolumn francuskich, cofnąłby się niewątpliwie do Brouenne i tym sposobem oczyściłby drogę Francuzom do Grandpré i Islettes.

30 września 1792 wyruszył najprzód Dillon ku Stenay, z pięciotysięcznym oddziałem, gdy tymczasem generał Miączyński z mniejszym oddziałem tysiąca pięciuset ludzi rzucił się na posterunki austryackie Clayrfaita z taką siłą, że te ostatnie, nie wytrzymawszy naporu, cofnęły się istotnie do Brouenne i otworzyły drogę Dillonowi do dalszego pochodu ku Argonne.

Tak zabezpieczony mógł Dumouriez z armią piętnastotysięczną owładnąć upragnionymi przesmykami i, zmusiwszy nieprzyjaciela do odwrotu, ocalić na razie Francyę od najazdu [1]).

Z dniem też 1 października 1792 r. rozpoczął się bezładny odwrót Prusaków w kierunku Renu.

---

[1]) „C'efut par cette marche audacieuse et au moins aussi méritoire que l'idée d'occuper l'Argonne, que Dumouriez se mit en état de résister à l'invasion." Thiers. T. II. 339.

Zdziesiątkowani chorobami, nieustającą dysenteryą, której ślady po sobie zostawiali najezdnicy, do niedawna tak zuchwali i pewni siebie, że ową zbieraninę robotników, wieśniaków i mieszczan, z których się przeważnie składały kadry wojsk ochotniczych francuskich, zmuszą do porzucenia oręża i do zdania się na łaskę i niełaskę zwycięzców, przemykali się przez las Argoński potomkowie kawalerów mieczowych, dosyć jeszcze szczęśliwi, że brak jedności w działaniu armii ochotniczej zapobiegł doszczętnemu ich wytępieniu.

Przedostanie się do Lotaryngii i Luxemburga stało się odtąd jedynym planem strategicznym najezdników. Prawda, że w tak pośpiesznem cofaniu się Prusaków z Francyi leżała ukryta myśl zwrócenia wszystkich sił rozporządzalnych w stronę Polski, gdzie właśnie, dzięki zdradzieckiemu aliantowi Fryderykowi Wilhelmowi II, dokonywała się akcya drugiego podziału Rzplitej.

Tak więc, gdy z jednej strony Polak, Miączyński, nadstawiał własną pierś w obronie przybranej ojczyzny i sprawnością swoją ułatwiał naczelnemu wodzowi Dumouriezowi zadanie odparcia najazdu, rodacy Miączyńskiego ofiarą bytu swego państwowego ratowali Francyę, bezwiednie wprawdzie, od przemocy koalicyi—osłabieniem jej sił orężnych...

Takim był epilog kampanii francuskiej 1792 roku.

Pozostawało już tylko zwycięzcy z pod Valmy i Argonne dokonać reszty zadania i odkomenderowaniem najbitniejszych dowódców na punkta, przez które cofały się wojska najezdników, odcinać im odwrót i zadawać szereg dotkliwych klęsk.

Zajęty myślą podboju Belgii wysłał Dumouriez generała d'Harvilla pod Chêne Populeuse, Miączyńskiego zaś pod Stenay, by pilnowali przesmyków Argońskich; reszta zaś armii pod wodzą generałów Boernonvilla, Stengela i Valençe'a (w oddziale tego ostatniego walczył następnie, jako ochotnik, Wojciech Turski, (*Albert le Sarmate* [1]) następować miała na tyły cofających się Prusaków [2]).

Gdyby te rozporządzenia wykonanemi były energicznie, podbój Belgii mógłby być dokonanym bez trudności.

Lecz Dumouriez snuł jednocześnie i dyplomatyczne plany; zwracał się myślą ku Paryżowi, gdzie w owej chwili ważyły się nie tylko losy dynastyi Bourbonów, lecz i przyszłość Rzplitej.

---

1) Archiw. Minist. Spr. Zagr. w Paryżu. Vol. 321 str. 130.

2) Thiers, T. II. 365.

Wobec tego rozdwojenia planów brakło w działaniach Francuzów jednolitości, i to ocaliło Prusaków przed nieuchronną klęską.

Znajdowali się oni jeszcze na terytoryum francuskiem, gdy dnia 22 września 1792 r. ogłoszono w konwencie upadek Bourbonów i ustanowienie Rzplitej, tak, że od tej chwili rok 1792 stał się nie tylko już rokiem czwartym wolności, lecz *rokiem pierwszym* Rzplitej— jednej, wolnej i niepodległej.

Uwieńczeniem porażek sprzymierzonych była walna batalia, stoczona dnia 6 listopada 1792 r. pod Jemappes.

Opuściwszy armię północną, przybył zwycięzca z pod Argonne i Jemappes do Paryża, powitany okrzykami zapału przez wszystkie stronnictwa republikańskie

Komitet wykonawczy zatwierdził tym razem plan wyprawy na Belgię i wydał odezwę, nakazującą od taktyki obronnej przejść do działań zaczepnych, na wschodnich i południowych granicach Francyi.

XIII.

Dekreta konwentu narodowego. Nowa koalicya. Plany Dumourieza. Wyprawa na Holandyę. Klęska Miączyńskiego w Akwisgranie. Raport jego złożony komisarzom konwentu.

Ścięcie Ludwika XVI w dniu 21 stycznia 1793 roku powiększyło liczbę nieprzyjaciół rewolucyi i ściągnęło na Francyę konieczność wystąpienia do walki z całą prawie Europą.

Podczas gdy śpiesznie organizowane bataliony nowozaciężnych bronić miały zagrożonych jej granic, konwent nakazał pobór trzechkroć stu tysięcy rekruta, stronnictwo Góry zaś wymogło zaopatrzenie komitetu bezpieczeństwa publicznego w środki wyjątkowe, któreby podtrzymywały ducha republikanizmu w narodzie.

Usiłowania koalicyi, do której przystąpiły: Anglia, Holandya, Hiszpania, Cesarstwo niemieckłe, Bawarya i Neapol, mające pod swymi sztandarami wyćwiczone wojska regularne, dążyły do zaatakowania Francyi ze wszech stron, by takim sposobem, roździeliwszy jej siły obronne, tem łatwiej dokonać pogromu. Stojący na czele Austryaków książę koburski miał napaść na armię francuską w Belgii; Prusacy, ożywieni nadzieją powetowania dawnych klęsk, zamierzyli odzyskać utracony teren, Austro-sardowie w Alpach, Hiszpanie w Pireneach, Anglo-batawowie w Holandyi zmierzali ku odcięciu armii rewolucyjnych od granic Francyi.

W tej właśnie chwili w umyśle Dumourieza wznosił się dawno już żywiony plan wskrzeszenia władzy królewskiej i pokonania stronnictw republikańskich w Belgii i Holandyi, by, jako nowy Cromvell, przywłaszczyć sobie godność protektora, ruszyć na Paryż i zniweczyć władzę konwencyi.

Dla dokonania owego awanturniczego planu należało przedewszystkiem zwycięsko przeprowadzić wyprawę na Holandyę. Pomimo przestróg generała Mirandy nie cofnął się Dumouriez przed następstwami wydania walki potężnym siłom księcia koburskiego. Dał tedy rozkaz generałowi La Noue, by objął dowództwo oddziałów między rzekami Roër i Mozą i wspólnie z generałami Stengelem, Dampierrem i Miączyńskim nie dopuścił wkroczenia Austryaków do Maestrichtu.

Plan ten nie powiódł się. Wojska republikańskie, nie mając należytej amunicyi, pozbawione odzieży i obuwia, dążyły jedynie do zdobycia ich drogą rabunków w podbitych prowincyach. Dowódcy ich, zamiast czuwać nad zaspokojeniem najnaglejszych potrzeb żołnierzy, odbywali hulanki po miastach, rozjeżdżali się po Liège i po Akwisgranie, i tu właśnie spotkała Francuzów pierwsza dotkliwa porażka, która zaważyła na losach kampanii zaczepnej w pierwszych miesiącach 1793 roku.

Przebieg klęski, poniesionej przez oddział Miączyńskiego w dn. 2 marca 1793 r. pod Akwisgranem, opisuje Miączyński w raporcie, przesłanym komisarzom konwencyi.

„Po przybyciu mojem z Namur do Liège z generałem Valence, głównodowodzący generał Dumouriez powierzył mi oddział harcowników (*des flanquers*) na lewem skrzydle armii belgijskiej.

„Generał Stengel, dowódca awangardy, zająwszy stanowisko nad brzegami rzeki Roër z 22 tysiącami żołnierza, dominował nad przestrzenią czternastomilową.

„Obóz mój, rozłożony w opactwie Rolduc i w miejscowościach przyległych, w pozycyi korzystnej dla tych, którzyby jej bronić musieli, był osłoniętym szańcami i czterema redutami.

„Pomimo wszelkich środków ostrożności, leże te z łatwością mogły były być osaczonemi, gdyby nieprzyjaciel, mając zamiar pośpieszyć z odsieczą do Maestrichtu,ześrodkował swe siły w dwu punktach, słabo zabezpieczonych, z uwagi na niewielką liczbę żołnierza na tak rozległej przestrzeni. Tak też uczynił.

„Nie będąc uprzedzonym o konieczności komunikowania się z Maestrichtem i nie będąc zawiadomionym przez generała Le Veneur o stanowisku, jakie zajął pod tem miastem, dowiedziałem się

o jego tam postoju dopiero z powodu sporów, jakie wynikły między wojskami naszemi w przedmiocie furażu.

„Zwróciłem się do niego w dniu 26 lutego nie bezpośrednio, lecz przez pewnego obywatela, który miał stosunki z generałem La Moricierem w Ruremonde.

„28 lutego udałem się do Akwisgranu do generała La Noue, by załatwić zażalenia mieszczan, którym bez zapłaty zabrano furaż.

„Nad wieczorem, obywatel Montjoie, adjutant sztabu generała Stengla, okazał mi dwa raporty, uprzedzające, że leże nasze będą zaatakowane przez nieprzyjaciela. Bezzwłocznie powróciłem na swe stanowisko, ściągnąwszy straż, przydaną dla bezpieczeństwa mieszczan, i rozkazałem, by wszystkie moje oddziały stanęły pod bronią.

„1 Marca, o 7 nad ranem, kilku zbiegów i rannych, sprowadzonych do Rolduc, doniosło mi, że część obozu naszego zaatakowaną została.

„Wysłałem bezzwłocznie ordynansa nad Fauquemont; drugiego zaś do Heylen i Hirchen, by na pomoc odkomenderowano do mnie regiment 56.

„Wręczyłem jednocześnie ordynansowi list generała La Noue, tylko co otrzymany. Nie dziwię się, że generał Le Veneur nie otrzymał odemnie zawiadomienia, gdyż konnica nieprzyjacielska ruszyła z taką chyżością, iż przebyła Heylen i Hirchen, zanim wiadomość o tem mnie doszła.

„Regiment, tam obozujący, zetknął sie z moimi ordynansami w drodze. Wysłany jeden z nich do Fauquemont przepadł gdzieś bez wieści.

„Trzymałem się opornie przez całą dobę, oczekując ciągle posiłków. Gdyby nie ta wytrzymałość, wiele batalionów zostałoby odciętych i straconych.

„Dnia 2 nad ranem dokonałem odwrotu w kierunku Akwisgranu, w tem przeświadczeniu, że garnizon nasz ciągle się tam jeszcze znajduje. W drodze otrzymałem załączający się tutaj list od generała Stengla, który się znajdował w odległości strzału od miasta. Obywatel Grandmaison, jego adjutant, przybiegł do mnie z wiadomością, że nieprzyjaciel już do miasta wkroczył. Nie pozostało mi nic innego, tylko go zaatakować. Jakoż poleciłem dać dwa strzały armatnie do zamkniętej bramy miejskiej.

„Widząc, że na strzały te nie odpowiadają, sądziłem, że to sami mieszczanie bramę zawarli, z obawy rabunków. Okrążywszy tedy

miasto z moją awangardą, znalazłem się przy bramie miejskiej, wiodącej na drogę ku Liège.

„Wysłałem do miasta obywatela S. Germain, pułkownika regimentu huzarów ardeńskich, z kilkoma huzarami i rozkazałem wyważyć bramę miejską, przez którą wtargnął mój oddział. Zaledwie jednak dotarł do rynku, gdy rozległy się z okien strzały, i nieprzyjaciel, rozpocząwszy atak od strony bramy kolońskiej, położył trupem huzara, towarzyszącego obywatelowi S. Germain.

„Zająłem wtedy stanowisko na wyżynie, celem zabezpieczenia sobie odwrotu. Konnica opanowała bramę, podczas gdy kolumna moja ostrzeliwała miasto. Rozkazałem obywatelowi S. Germain, by przypuścił szarżę.

„Wykonano to tak pomyślnie, że mogłem dokonać odwrotu i ocalić tym sposobem resztę batalionu. Straciłem dużo żołnierza, lecz upewniam, że więcej stracił nieprzyjaciel, i, gdyby nie strzały, dokonane z okien przez mieszczan, klęska moja byłaby mniejszą.

„Porażkę tę pomścimy. Domagają się tego żołnierze, lecz wy, obywatele, jako ojcowie i opiekunowie wojsk, starajcie się, by nie zabrakło ojczyźnie obrońców.

„Jedną wam polecam sprawę. Regiment huzarów ardeńskich, będący w służbie, który już trzykrotnie się odznaczył podczas nieszczęsnego odwrotu, nie ma w armii ustalonego bytu. Numer jego nie został zadekretowany, podczas gdy inne regimenty, formujące się dopiero, takowy otrzymały, np. ten, który się tworzy w Nancy i ma być przyłączony do harcowników. Ardeński zaś, który się już bił i poniósł wiele strat, numeru nie posiada.

„Bądźcie sprawiedliwi, obywatele, reprezentanci ludu, a armia nasza zawsze będzie gotową przelewać krew w obronie Rzplitej!..

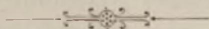
„Generał dowodzący harcownikami na lewem skrzydle armii belgijskiej. *Miączyński* [1])

d. c. n. *Alexander Kraushar.*

[1]) Autogr. w *Arch. Nation.* paryskiem IV. 271. № 30. *Sprawa Mirandy.*

Starożytności przedhistoryczne

na XI zjeździe archeologicznym w Kijowie.



Zamknięty w d. 2 września (20 sierpnia) roku zeszłego zjazd archeologiczny w Kijowie był jedenastym z rzędu tych, które od r. 1868 odbyły się w państwie rosyjskiem, a drugim w tem mieście. Dzielił się na 11 sekcyi, z których przeważnie pierwsza: „starożytności pierwotnych" dostarcza treści do niniejszego sprawozdania.

Ścisły węzeł łączył ją z wystawą archeologiczną, mieszczącą się zarówno w gmachu uniwersytetu — gdzie się odbywały posiedzenia—, jak i w muzeum miejskiem i w muzeach właścicieli prywatnych. — Całość była nie tylko ciekawą, lecz z wielu względów imponującą, gdyż z takich zbiorów, jakie wystawiano w muzeum miejskiem,—zwłaszcza dotyczących okresu kamienia, byłoby dumne każde muzeum pierwszorzędne. Wszakże nie same tylko wykopaliska były reprezentowane w ten sposób. W liczbie innych dział kartograficzny, urządzony staraniem p. Kordta, młodego bibliotekarza uniwersytetu Św. Włodzimierza, przedstawiał się okazale, a nadewszystko umożliwił ułożenie dzieła, składającego się z map starodawnych, które niezadługo zostanie wydane. Przedmiot ten jednak nie wchodzi w zakres sprawozdania naszego, i dlatego tylko

uczyniliśmy o nim wzmiankę, by oddać należną pochwałę zasługom p. Kordta.

Dział starożytności przedhistorycznych ze względu na liczbę prac przygotowawczych i poszukiwań, jakie miały miejsce ostatnimi czasy w promieniu, zakreślonym przez zjazdy dawniejsze, oraz ze względu na powagę naukową autorów i poszukiwaczy obiecywał zawczasu świetne rezultaty. Członkowie zjazdu kijowskiego nie zawiedli się w oczekiwaniach, jak tego dowodzi treść odczytów, których zjazd wysłuchał. Dotyczące działu starożytności pierwotnych i niektóre inne musimy podzielić na kategorye następujące: poszukiwania w ziemi kijowskiej i prowincyach sąsiednich, czyli Wołynia, Podola i Zadnieprza, których było kilkanaście, wykopaliska kaukaskie i w okolicach Akkermanu nad morzem Czarnem, referaty o poszukiwaniach na półwyspie Bałkańskim, wreszcie kilka o charakterze bardziej ogólnym, lecz zastosowanym do materyału archeologicznego, jaki się mniej więcej wszędzie, zarówno na południu państwa rosyjskiego, jak i po za jego granicami zdobywać daje. Wnioski te ogólne dotyczyły kwestyi, niejednokrotnie już traktowanych na zjazdach wszech-europejskich, i mogą dorzucić niejedno do dawniejszych zdobyczy naukowych.

W streszczeniu obecnem trzymamy się porządku nie samych odczytów, nawet nie odkryć kolejnych, lecz możliwej chronologii materyału naukowego czyli okresów archeologicznych, właściwie okresów rozwoju kultury, kolejno po sobie następujących. Takie wzięcie się do rzeczy byłoby trudniejszem, gdybyśmy próbowali zastosować je do wielkich obszarów, do kilku państw naprzykład, gdyż początki i końce okresów tych nie wypadały wszędzie jednakowo. Różnice bywały kilkowiekowe, a może i większe. W wypadku obecnym możemy być spokojniejsi, że wielkich omyłek nie popełnimy, zwłaszcza w pierwszej części naszego opracowania, w której rozpatrujemy rzeczy, dotyczące tylko ziemi kijowskiej i sąsiednich.

I.

Pragnąc mówić o nadzwyczj ważnem wykopalisku na gruncie samego Kijowa, musimy się cofnąć o ćwierć wieku, t. j. do czasu, gdy w r. 1873 nad Udajem, dopływem rzeki Suły, wpadającej do Dniepru z lewej strony, a zatem w gub. Połtawskiej, natrafiono na „stacyę” okresu starokamiennego, która została uznana za najdawniejszą z tych, jakie do owej pory znaleziono w obrębie posia-

dłości europejskich państwa rosyjskiego. Na znacznej głębokości leżały tam kości mamutów, a przy nich okrzoski krzemienne, które nie pozwalały wątpić, że je zostawiła ręka ludzka. Warstwa geologiczna, w której wykopalisko to przeleżało Bóg wie ile tysięcy lat, nie pozwalała również powątpiewać, że miano do czynienia z okresem przedpotopowym.

Mniej więcej w tymże czasie pod Kamieńcem trafiono na słabe wprawdzie, lecz niezbite ślady, dowodzące, że w tymże okresie mieszkał człowiek i na dzisiejszem Podolu.

Odkrycia te doprowadziły do wniosku, że w kraju, leżącym pomiędzy dwoma wyżej wzmiankowanemi miejscowościami, muszą być gdzieś ukryte stacye starokamienne, a poszukiwania prof. Antonowicza w pieczarach kijowskich, ujawniające pobyt w nich człowieka w czasie przejściowym, — między okresem starokamiennym a nowokamiennym, — utwierdziły w tem przekonaniu.

Upłynęło jednak lat 19 od czasu pierwszego zjazdu archeologów w Kijowie, a trzeciego z rzędu w państwie rosyjskiem, gdy w mieście tem, przy ulicy Kiryłowskiej, w części miasta, Padołem zwanej, obsunięcie się pagórka gliniastego ukazało niezbite dowody współistnienia w tych stronach człowieka i mamuta. Stacya paleolityczna czyli starokamienna została więc znaleziona w obrębie samego Kijowa.

Los dalszych poszukiwań w tem miejscu opowiedział zjazdowi p. Armaszewski w odczycie p. t. „O stacyi człowieka okresu paleolitycznego przy ul. Kiryłowskiej". Rozkopując spodek tej miejscowości, stwierdzono nawarstwienia następujące: najprzód był tu löss grubości pięciu sążni, dalej sążniowa warstwa glinki żółto-brunatnej, następnie szary i zielonkawy, miejscami gliniasty piasek grubości trzysążniowej, wreszcie, na samym spodzie, — ił niebieskawy.

Wśród piasku szarego, na głębokości 8 sążni od powierzchni, leżały kości mamuta, krzemienne okrzoski, węgiel drzewny, kawałki drzewa i kości, częścią zwęglone, oraz kamienie eratyczne i granit, które również zostawały niegdyś pod działaniem ognia. Z początku przedmioty te znajdowano pojedyńczo, w krótce jednak ukazała się cała ich warstwa. Z drugiej strony pagórka taką samą warstwę kulturalną znaleziono nieco płyciej. Tu wyrobów, pozostawionych przez człowieka, było jeszcze więcej, mniej za to kości mamuta, które w tem miejscu leżały grupami pojedyńczemi. Następne poszukiwania przy rozkopaniu całego wzgórza miały miejsce w roku zeszłym pod kierownictwem p. Chwojki i wykazały, że cała stacya pokrywała obszar 700 sążni kwadratowych, a warstwa kulturalna

u brzegów miała grubość 2 — 5 centymetrów, po środku zaś do 40. Pewność, że znalezione tu przedmioty zostały przyniesione niegdyś przez człowieka, udawadnia się własnościami warstwy kulturalnej, która nie mogła się utworzyć skutkiem zaniesienia tych przedmiotów siłą wody, gdyż najprzód sprzeciwia się temu sama ilość kości mamutowych, a powtóre, przedmioty te posiadają rozmaity ciężar gatunkowy i takież własności fizyczne, widocznie zaś nie podlegały mechanicznemu działaniu wody, któraby je w razie przeciwnym wygładziła. Mamutowe szczęki, zęby trzonowe, przednie, kły, części przednie i tylne zwierzęcia musiały należeć co najmniej do 50 osobników różnego wieku. Niektóre z tych kości połamała najwyraźniej ręka. Narzędzi krzemiennych znaleziono w głębszej warstwie kulturalnej około 200 sztuk, wykonanych dość grubo, po części z wapienia krzemiennego. Najciekawsze, a najrzadsze w swoim rodzaju, były jednak narzędzia z kłów mamutowych, zaokrąglone z jednego końca, a z drugiego podczyszczane w ten sposób, by końce te służyły za rękojeści.—Dalsze poszukiwania wykazały, że obie warstwy kulturalne, głębsza i płytsza, nic z sobą wspólnego nie miały, że druga była znacznie późniejszą, ponieważ znalezione w niej narzędzia w liczbie 3000 są poprawniejsze. Na jednem też miejscu znalazła się kupa krzemieni z kilkuset sztuk, położonych tu widocznie w celu, by z nich następnie wyrobić narzędzia. Pomiędzy nimi były nucleusy.—Prócz mamutowych warstwa wierzchnia zawierała kości niedźwiedzia jaskiniowego, szczęki hyeny i kota kopalnego.

Formacye geologiczne, które zawierały te wykopaliska, należą bezwarunkowo do okresu polodowcowego i dowodzą, że w obrębie dzisiejszego Kijowa człowiek zaczął przebywać w początkach tegoż okresu, nie długo po ustąpieniu lodowców, t. j. w czasach klimatu zimnego, sprzyjającego mamutowi. Uwzględniając niezwykłą głębię, w której znajdowały się stacye, wyżej opisane, należy przypuszczać, że są one najdawniejsze z tych, które do tej pory zostały odkryte w obrębie państwa rosyjskiego. Referent przypuszcza nawet, że, obliczając najskromniej, upłynęło prawdopodobnie nie mniej 20,000 lat od czasu, jak te stacye istnieją.

W odpowiedzi na odczyt powyższy prof. Anuczin zauważył, że szczegóły, tu przytoczone, mogą służyć za źródło całego szeregu pytań, a nawet wątpliwości, gdyż, naprzykład, obok kości mamuta nie znaleziono narzędzi do zabijania tych zwierząt. Autor odczytu przypuszczał na końcu, że, być może, mamuty zaginęły w tych stronach wcześniej, niż nastąpiła chwila, w której człowiek założył

tu swą stacyę, znajdowane zaś kości zwierząt zaginionych mógł znosić na to miejsce dla wyrobu narzędzi.

W pewnym związku z odczytem powyższym zostawał następny, wygłoszony przez prof. Pokrowskiego „O wykopaliskach p. Chwojki w pow. Kijowskim.” U wierzchu tego samego wzgórza, na którym została odszukana stacya starokamienna, poprzednio opisana, znaleziono ślady stacyi nowokamiennej. Następnie odkryto tu doły, w których niegdyś mieszkał człowiek. Dyametr ich wynosił około 5 arszyn., na spodzie zaś leżały przedmioty rozmaite, a w liczbie ich ułamki naczyń glinianych, po części zdobionych. Wkrótce potem znaleziono pod Trypolem, o kilkadziesiąt wiorst od Kijowa, w pobliżu Dniepru, takie same ułamki, które podały myśl nowych poszukiwać. Dzięki temu wystawa starożytności w kijowskiem muzeum miejskiem mieściła podczas zjazdu znaczną liczbę okazów kultury, zupełnie do tej pory w państwie rosyjskiem nie spotykanej.

Charakterystyczne cechy tych wykopalisk są następujące: w głębi 20 — 30 centymetrów pod powierzchnią ziemi znajdują się niewielkie płaszczyzny, zrobione z kilku warstw mocno wypalonej gliny. W jednym wszakże wypadku rozmiary płaszczyzny były dość duże, gdyż wynosiły 40 arszynów długości przy 22 szerokości. Kawałki tej gliny wypalonej zachowały wielokrotne ślady wtłaczania w nią prętów lub kijów, niektóre zaś płaszczyzny—ślady zabarwienia na kolor czerwony, żółty, szary i t. d. Barwa ta powstała skutkiem wielokrotnego powlekania grubą warstwą ziemi kolorowej.

Na płaszczyznach i wokoło nich znaleziono wiele naczyń glinianych i rozmaitych innych przedmiotów i narzędzi. Czasami leżały one w rodzaju nisz.—Zdarzało się też natrafić na kupy kamieni, ułożonych w piramidę, pod którą była jama, sięgająca aż do twardego podglebia. Autor odczytu wraz z samym badaczem stacyi trypolskiej dzieli ceramikę trypolską na dwa typy, stosownie do cech ornamentacyjnych, a wnioskując z nich o dwu rodzajach kultury, oznacza je literami A i B. Pierwszą charakteryzuje ceramika, zdobiona przeważnie wtłaczanemi równolegle liniami falistemi, na powierzchni naczyń okrągłych, dzwonkowatych, mających kształt gruszki, *binoklów* i w. i. Te ostatnie są najbardziej zagadkowe, wyglądają, jak dwa cylindry, u końców rozszerzone, bezdenne, a połączone prawie zawsze parzysto. Kulturę B cechują wyroby garncarskie, do których bywają przylepione główki zwierzęce, roboty grubej, wszakże naśladujące wyraźnie głowę byczą. Wyróżniają się tu również całkowite figurki gliniane, kształtów przeważnie kobie

cych. Narzędzia są krzemienne, kamienne lub kościane, czasami zaś wśród zabytków kultury A trafiają się i siekierki miedziane. Noże krzemienne bywają kształtu sierpa; znalazca przypuszcza, że w istocie służyły do sprzętu zbóż.

Bardzo cennym dodatkiem do szczegółów powyższych były uwagi jednego z członków rosyjskiej komisyi archeologicznej w Konstantynopolu, że taka sama kultura, jaką znaleziono pod Trypolem, bywa znajdowaną w Galicyi i na półwyspie Bałkańskim, oraz że szła ona, jak można przypuścić, od południa na północ i północo-wschód. Wszakże inni twierdzili, że zbyt mało jest danych ku temu, by niewątpliwy kierunek, w jakim się ta kultura posuwała, można już określić; co najwyżej da się zaznaczyć granice jej rozwoju.

Skoro potrąciliśmy o okres nowokamienny, wydaje nam się odpowiedniem pomieszczenie tu odczytu prof. Antonowicza „O wieku kamienia na Wołyniu". Przypominamy początki badań w tej mierze, podjęte przed laty przez pp. Radzimińskiego i Glogera. Znacznie dalej posunął się prelegent, gdy skończył poszukiwania w ziemi Drewlańskiej: pomniki okresu neolitycznego na Wołyniu zastał on głównie w dwu miejscowościach, a mianowicie: w dorzeczu rzeki Uszy i Horynia—przedmioty pojedyńcze i t. zw. przęślice, w przeróżnych fazach ich wyrobu, zaś nad Horyniem i jego dopływami—około 40 stacyi i rękodzielni z krzemieniami przeważnie gładzonymi. W tychże okolicach znajdują się grodziska starożytne, okrągłe lub owalne, otoczone wałami, wśród których znajdowano stacye z okresu kamienia. Grodziska te różnią się wydatnie od grodzisk późniejszych, z czasów wielkoksiążęcych, co wszystko każe wnioskować, że mamy do czynienia z takiemi, które ludność miejscowa budowała jeszcze wówczas, gdy wcale metalów nie używała lub bardzo mało. Mogiły wołyńskie tegoż okresu zawierają dwa typy grzebalne: autor nazywa jeden *czystym*, drugi *kurhanowym*. Typ pierwszy przedstawia jamę w kształcie prostokąta, wykopaną w glebie, obstawioną płytami z kamienia i nakrytą również płytą. Całość tworzy skrzynkę, w której zazwyczaj znajduje się kilka naczyń glinianych, zawierających węgiel, kości spalone i gładzone narzędzia krzemienne. Natrafić na groby tego rodzaju nader trudno, i następuje to w sposób przypadkowy, gdyż one żadnych znaków ani nasypów nad sobą nie mają. Szkielety w nich najczęściej leżą bokiem, w położeniu zgiętem, aczkolwiek oprócz szkieletów znajdujemy i ciałopalenie, jak również formy przejściowe od grzebania do ciałopalenia, czyli kości nadwęglone. Prof. Anto-

nowicz przedstawił w swoim odczycie fakta ścisłe, unikając domysłów, jako badacz doświadczony, który oczekuje, aż się dla wniosków zwiększy zasób materyału. Wszakże, jak zwykle po każdym odczycie ważniejszym, — a bez zaprzeczenia do rzędu takich należał obecny, miały miejsce zapytania i uwagi. Pomiędzy niemi nie bez znaczenia był pogląd prof. Samokwasowa, że Wołyniacy w okresie kamienia musieli już znać grodowy tryb życia i w ten sposób jednoczyli swoje słabe siły—lato zaś przepędzali na stacyach,—grodziska zaś przypominają te, które robią dzisiejsi Kamczadali. Prof. Anuczin przypuszczał, że przodkowie wołyńscy trudnili się rolnictwem nawet już w czasach tak bardzo odległych.

Nie porzucając okresu kamienia, wspomnimy o wzmiankach p. Żytyńskiego dotyczących „Wykopalisk w dorzeczu Styru", jako o przyczynku do prac dawniejszych kilku archeologów. Autor wymienił kilka miejscowości, o których wiedział, że się w nich znalazły przedmioty z okresu kamienia, lub gdzie je sam odszukał, na zakończenie zaś porównał pewne znane mu toporki z opisanymi przez Erazma Majewskiego z nad Bugu, a będące do tej pory w archeologii przedmiotem nieznanym.

Teraz na chwilę wróćmy znów do Kijowszczyzny, by usłyszeć wnioski p. Brandenberga — „O tubylcach ziemi kijowskiej". Sposób, w jaki kwestyę o starodawnem zasiedleniu ziemi kijowskiej postawił autor, zdaje się nie wytrzymywać krytyki gdyż się sprzeciwia poważnym danym archeologii i antropologii przedhistorycznej, dotyczącej tego kraju. P. Brandenburg słusznie widzi tubylców w tej ludności, która grzebała umarłych pod kurhanami w położeniu skurczonem, czyli tak samo, jak i na dalszem południu ku morzu Czarnemu i ku zachodowi Europy. Niesłusznie jednak przypuszcza, że, ponieważ w wielu takich kurhanach znajduje się już bronz, a nawet czasami żelazo, przeto one wszystkie należą do okresu takiego, w którym—dzięki stosunkom kolonistów greckich ze Scytami, a tych ostatnich z ludami Cymeryjskimi—wszedł do tego kraju użytek metalów. Położenie skurczone dawano umarłym nadzwyczaj długo; wszak najdawniejsze jaskinie francuskie, do okresu wczesnego kamienia należące, zawierają szkielety zgięte. Otoż i w kijowszczyźnie zwyczaj ten prawdopodobnie — a bardzo wiele faktów za tem przemawia — rozpoczął się znacznie dawniej, niż użytek metalu, mógł się zaś przechować podczas nader krótkiego okresu bronzu, w razach zaś wyjątkowych pozostać aż do żelaza. P. Brandenburg, który w tubylcach kijowskich widzi resztki Cymmerów, odepchnię-

tych przez Scytów z nad morza Czarnego, nie uwzględnia jednak widocznie tego, cośmy wyżej przeciw wnioskom jego przytoczyli, i dość absolutnie przypuszcza, że pierwsi mieszkańcy ziemi kijowskiej żyli mniej więcej zaledwie 2,000 lat temu.

Odczyt ten, który skądinąd zawierał szczegóły bardzo ciekawe, zwłaszcza rysunki, przedstawiające różne formy skurczenia szkieletów, wywołał jednak ze względu na ostateczne wnioski autora protesty wielu słuchaczy, a nawet uwagę prof. Antonowicza, że w wielu kurhanach, badanych przez niego osobiście, a zawierających szkielety skurczone, metalu wcale nie było.

W związku z kwestyą starożytności szkieletów i położenia ich zgiętego pozostaje inna, niejednokrotnie już rozbierana, a zajmująca ogół archeologów ze względu na to, że we wszystkich niemal krajach Europy przedstawia materyał obfity do mniemań i sporów. Jest nią zabarwienie kości. Poruszana niejednokrotnie podczas zjazdów archeologicznych i w literaturze naukowej została ona podjęta na ostatnim zjeździe kijowskim przez prof. Kułakowskiego, który wychodził z tego założenia, że, aczkolwiek ostatnimi czasy zaczęto powszechnie przyznawać, iż farbowano zwłoki zaraz po śmierci, wszakże prof. Niederle w swem ostatniem dziele porusza dawną teoryę, według której nie zwłoki całkowite, lecz kości po uprzedniem zdjęciu z nich ciała, poddawano farbowaniu.

Zbijając to przypuszczenie uczonego Czecha, prof. Kułakowski przypomniał dawniejsze argumenty prof. Antonowicza i hr. Bobryńskiego, dotyczące tej materyi, oraz dodał swoje, oparte na poszukiwaniach w Krymie, gdzie opisane przez niego warunki otoczenia szkieletów farbowanych dowodzą, iż zabarwiano nie kości, lecz zwłoki całkowite. Farba, nawarstwiona grubo na ciałach, przenikała przez części miękkie i osiadała na kościach. Zwyczaj ten w Krymie istniał w czasie przejściowym od okresu kamienia do bronzu; na Kaukazie jednak zdarzają się szkielety, również zabarwione, lecz pochodzące z czasów znacznie późniejszych, gdyż przy nich prof. Wiesiołowski znajdował złoto i srebro.

Do tak późnego względnie okresu przechowany zwyczaj był może przeżytkiem obyczajów jeszcze dawniejszych. Prawdopodobieństwo takiego wniosku widzi autor w przeżytkach zwyczajów okresu kamienia i bronzu, przechowanych pod postacią pewnych rytuałów rzymskich, którymi możnaby objaśnić samą myśl, kierującą farbowaniem zwłok. Wedle tego rytuału, naprzykład, wieprze ofiarne były zabijane tylko nożami krzemiennymi, kapłon „flamen dialis" nie miał prawa używać brzytwy żelaznej, lecz tylko mie-

dzianej; nie wolno było przynosić oręża żelaznego do świątyni „Dea Dia", a przy pewnych obrzędach używano wyłącznie naczyń glinianych. Zwyczaje te historycy rzymscy odnosili do czasów pierwotnych państwa, a Pliniusz świadczy, że w tychże czasach, przy pewnych uroczystościach, twarz głównego boga rzymskiego Jowisza powlekano farbą czerwoną. Ten sam Pliniusz opowiada również, jak na 400 lat przed Chrystusem wracający z wojny wodzowie farbowali twarze przed tryumfem, później zaś dodawano farby czerwonej do maści, któremi ich smarowano przed ucztą.

W ten sposób farba ta towarzyszy u Rzymian rozmaitym rytuałom, jako jeden z pierwiastków kultu, występującego tu najwidoczniej, jako przeżytek, a świadectwo Pliniusza jest tak dalece wiarogodne, że zasługuje na głębsze badania, które, być może, wykażą, iż farbowanie zwłok miało również charakter religijny u ludu, nam nieznanego, niegdyś zamieszkałego na znacznej przestrzeni tutejszego terytoryum.

Z powodu odczytu tego obecny prof. Focht zauważył, że według pojęć pogańskich, wszelkiego rodzaju ofiary i inne objawy czci bóstwom dążyły do zadośćuczynienia takim mniemanym potrzebom bogów, jakie uważano u ludzi. Bóstwa te posiadały ciało (bałwany), mieszkania (świątynie), dostawały pożywienie (ofiary), odzież (peplos Ateny) i t. d., a chociaż z rozwojem kultury zmieniały się formy zewnętrzne obrzędów, wszakże niektóre, uświęcone zwyczajem dawnym, pozostały jeszcze wówczas, gdy po dokończonej ewolucyi pojęć religijnych przestały być zrozumiałe. Używają więc różu i bielidła dla upiększenia cery, przodkowie Rzymian sądzili, że tego samego wymagają i bogowie, a chociaż następnie zmienili pojęcia swe w tej mierze, wszakże farba czerwona, ulubiona przez ludy pierwotne, nie przestała być używaną podczas pewnych obrzędów kultu.

Po tem, bądź co bądź, odstąpieniu od przedmiotu zasadniczego, członkowie zjazdu wrócili do kwestyi głównej; niektórzy uznawali, że czas jej zdecydowania jeszcze nie nadszedł, lecz inni, a w ich liczbie prof. Antonowicz, twierdzili, że farbą pokrywano bezwarunkowo nie szkielety, lecz zwłoki umarłych, gdyż inaczej kości nie mogłyby być ułożone w sposób, tak odpowiadający ich układowi naturalnemu, w jakim zastajemy je zwykle.

Skończyliśmy z odczytami w okresie kamienia w Kijowszczyźnie i na Wołyniu. Zanim przejdziemy na Podole, czas podnieść

znaczenie mapy archeologicznej, którą zjazdowi przedstawił prof. Antonowicz.

Czytelników „Światowita" zapoznaliśmy z jego mapą archeologiczną gub. Kijowskiej. Obecnie widzieliśmy świeżo opracowaną—gub. Wołyńskiej. Zdając z niej sprawę, potrącimy o te tylko szczegóły, które dotyczą okresu kamienia, aczkolwiek zawiera ona wiele innych, lecz dotyczących okresów późniejszych, przeto do wzmianki w tem miejscu sprawozdania naszego nieodpowiednich.

Na mapie oznaczono około 300 miejscowości, gdzie znaleziono stacye i rękodzielnie wyrobów kamiennych. Głównie znajdują się one tam, gdzie przeważa położenie wyniosłe, a zatem na północnym zachodzie od punktu środkowego Wołynia i ku południowemu zachodowi, na stokach Karpat. Cmentarzysk obszernych w miejscowościach tych niema, lecz są niewielkie pojedyńcze kurhany, a także wiele grodzisk okrągłych i owalnych, umieszczonych na wysokich brzegach rzek. Grodziska takie zalicza autor mapy do najdawniejszych w tym kraju, przeciwstawiając je późniejszym o kształtach nieprawidłowych. Następnie idą groby skrzynkowe, najczęściej bez wszelkich nasypów; wszakże kilkakrotnie znaleziono je w kurhanach. Groby skrzynkowe i szkieletowe mapa odróżnia od ciałopalnych. Zdaniem prof. Antonowicza, ostatnie mogą być dawniejsze, gdyż czasami zawierają bursztyn; wszakże, powiada, możliwe i to, że każdy z dwu typów pozostawiła narodowość odmienna.

Groby skrzynkowe z okresu kamienia znaleziono do tej pory przeważnie w pow. Ostrogskim, a w małej liczbie w Owruckim, Zwiahelskim, Łuckim, Zasławskim i Krzemienieckim. Kurhany okresu tego spotykamy na mapie przeważnie w Krzemienieckim, kilka zaś w Owruckim, Zwiahelskim i Włodzimierskim, czyli zarówno grobów skrzynkowych, jak i kurhanów kamiennych, najwięcej ku Podolu Galicyjskiemu, na stokach Karpat. Owruckie wszakże, chociaż ich mniej, zasługują, zdaniem naszem, na wielką uwagę najprzód dlatego, że mogą stanowić do pewnego stopnia grupę odrębną od tamtych, a powtóre, że prawdopodobnie, jako zbliżone do grobów skrzynkowych, znajdowanych na Polesiu w powiecie Radomyskim gub. Kijowskiej, muszą być z nimi w związku plemiennym.

Groby skrzynkowe na Wołyniu używane były w okresie żelaza, jak to pokazuje mapa. Lecz tego przedmiotu, jako nie poruszanego przez prof. Antonowicza przy jej objaśnieniu, i my dotykać nie możemy.

Oprócz mapy Wołynia, podolską wystawił ks. Siecióski i udzielił zjazdowi szczegółów następujących: znaczono na niej mniej więcej 3000 kurhanów, 316 grodzisk i 60 siedlisk. Pierwsze przeważają ku południowemu wschodowi czyli bliżej stepów, drugich, przeciwnie, najmniej ku stepom, a najwięcej w stronach Lityna, Bracławia i Winnicy, czyli u górnego brzegu Bohu, oraz w okolicach Kamieńca i Uszycy, czyli ku Podolu Galicyjskiemu, w dorzeczu środkowem Dniestru i jego dopływów. Miejscowości, gdzie się znajdują jaskinie naturalne ze śladami pobytu w nich człowieka, mapa oznacza 58, w których liczbie 7, gdzie były świątynie chrześciańskie lub monastery. Wałów podłużnych oznaczono trzy: pierwszy na południowym zachodzie od rzeki Zbrucza, wzdłuż granicy Austryackiej, ku Dniestrowi i dalej, dwa zaś w okolicach Bałty. Miejscowości, na których znaleziono wyroby kamienne, znajdują się przeważnie ku południowemu zachodowi, gdzie również, między Kamieńcem a Studziennicą, znaleziono stacyę paleolityczną, o której wspomnieliśmy wyżej, zdając sprawę z odczytu o stacyi staro-kamiennej w Kijowie. Bronzu znajdują na Podolu niewiele.

Typy grodzisk tamtejszych są rozmaite: owalne, półokrągłe, podkowiaste i kształtów bardziej złożonych. Pierwsze przeważają w dorzeczach Dniestru i Bohu czyli, prawdę mówiąc, są one rozłożone po całem górnem Podolu; podkowiaste w okolicach Kamieńca i Uszycy, a te, których kształty bardziej złączone, otoczone wałami koncentrycznymi, znajdują się również koło Uszycy i ku Latyczowu. Na zakończenie objaśnień mapy Podolskiej ks. Sieciński wskazał na dwa grodziska w pobliżu Uszycy, o których przypuszcza, że mają oznaczać miejscowości zwane u Ptolomeusza Klepidą i Wiwantowari.

Opis mapy Podolskiej potrzebny był nam najprzód dlatego, by uwydatnić zasługi jej autora, a powtóre, że się on wiąże do pewnego stopnia z nader ciekawym odczytem p. Puławskiego. Literatura polska wydaje w obecnej chwili tak mało prac archeologicznych, zastęp uczonych naszych w tym zakresie tak zmalał, że nieobeznanym z historyą nauki wydawaćby się mogło, żeśmy zawsze na polu starożytnictwa pracowali tak leniwie, jak obecnie. To też odczyt młodego archeologa witamy nie tylko dlatego, że nas obznajmił z dokonanemi już poszukiwaniami autora na Podolu, lecz i dlatego, że go uważamy jako zapowiedź przyszłych.

Dotychczasowe poszukiwania p. Puławskiego w zachodniej części Podola ograniczały się przestrzenią pomiędzy Smotryczem, Żwańczykiem i tak zwanym „Wałem Trajana", gdzie

znalazł ślady siedlisk nadbrzeżnych, grodziska i dwa rodzaje mogił: kurhany z nasypami ziemnymi, należące do okresu neolitu, i z kamiennymi, które odnieść należy do czasów późniejszych. Siedliska przedhistoryczne znajdują się u wszystkich dopływów Smotrycza. Nie są one wprawdzie okolone wałami, lecz łatwo je rozpoznać potem, że zawierają mnóstwo ułamków od naczyń dokładnie zrobionych i nader charakterystycznych. Są to resztki wielkich garnków z gliny czerwonej, prawie tak twardych, jak terrakotowe, zdobionych główkami o kształtach ludzkich lub zwierzęcych, przeważnie byczych, dość prostego wyrobu. Inne zdobione są rysunkami falistymi, zachodzącymi czasem i do wnętrza naczyń. Jest to typ podobny do znanych w archeologii garnków ze stacyi horodnickiej nad Dniestrem. Kształty lepiej zachowanych przypominają greckie, wszakże autor przypuszcza, że są wyrobu miejscowego. W liczbie znajdowanych są tam podwójne, tak zwane bliźnięce, nie zbyt jednak podobne do wyżej wzmiankowanych w referacie o stacyi neolitycznej pod Trypolem, prędzej zaś do horodnickich. Wreszcie w liczbie okazów glinianych, znajdują się na stacyach podolskich naczynia bez uszek, z otworami w ściankach dla zawieszania. Wśród stacyi tych grobów narazie nie znaleziono, lecz, poszukując dokładniej, natrafiono na szkielety, ułożone ciasno rzędami, głowami przeważnie ku zachodowi, wyciągnięte równo i z rękami skrzyżowanemi na biodrach.

Prócz siedlisk właściwych, znajdują się tam stacye, wyglądające tak, jak gdyby miały służyć chwilowo. Autor widzi w nich typ dawniejszy, resztek glinianych bowiem jest tu bardzo niewiele, wyrób ich gruby, z gliny, do której domieszano granit tłuczony. Charakterystyczną stronę tych stacyi stanowią toporki i młotki typu neolitycznego. Grodziska, zwiedzane przez p. Puławskiego, odpowiadają opisanym w odczycie ks. Sicińskiego, lecz ze względu na przedmioty okresów, bardziej od kamiennego ku nam zbliżonych, autor zalicza je do rzędu późniejszych. Są to zapewne resztki grodów, zniszczonych przez Mongołów, a zbadanie ich tem jest ważniejsze, że dzieje Podola przed najściem mongolskiem są mało znane.

Co się zaś tyczy typu grzebalnego w grobach kamiennych nad Smotryczem, odpowiada on znalezionemu przez Ossowskiego w Galicyi wschodniej. Nad grobami tymi usypisk niema, i tylko czasami kamienie, wystające nad ziemią, wskazują ich miejsca. Wewnątrz są one kształtu prostokąta, mniej więcej prawidłowego, ze ścianami, wyłożonemi kamieniami, wielkimi u końców, a mniejszymi po środku. Szkielety są zawsze skurczone, z głową, spoczywającą na

płycie kamiennej, a przy nich czasami okrzesywane noże krzemienne. Włościanie powiadają, że dawniej grobów takich znajdowano daleko więcej, niż obecnie, gdyż płyty kamienne usunięto przy uprawie pól. Sam autor znalazł tylko jedną skrzynkę, dawniej już poruszaną, pod kurhanem, usypanym znacznie później, niż budowa grobu samego.

Do rzędu neolitycznych należą również kurhany z czarnoziemu, sięgające wysokości dwumetrowej. W ich wnętrzu doły grobowe kształtu czworograniastego umieszczone są niżej powierzchni ziemi, bywają nawet kopane w glinie dyluwialnej. Znajdują się one pod Kamieńcem, Winnicą i Płoskirowem. Szkielety bywają w nich zabarwione, te zaś, które autor sam znalazł, są wyraźnie długogłowe; przy nich mieściły się narzędzia krzemienne odbijane, jak np. skrobaczki, dłuta typu dawniejszego, a w jednym wypadku piękne ostrze krzemienne od dzidy.

Ponieważ reszta odczytu p. Puławskiego dotyczyła mogił późniejszych, nie chcąc więc naruszać porządku, w jakim układamy to sprawozdanie, wrócimy do niego w chwili odpowiedniej. Obecnie, nim skończymy z okresem kamienia, musimy uczynić wzmiankę o zabytkach archeologicznych w gub. Chersońskiej. Kurhany, które p. Ewarnicki badał tam ostatnimi czasy, były przeważnie scytyjskie, a więc zaliczone do okresu żelaza. O nich powiemy również w swoim czasie. Wszakże pod wsią Michajłowo-Apostołowo zawartość kilku kurhanów nakazuje uważać je za neolityczne. Przeważnie leżały pod nimi w jamach, niżej powierzchni ziemi, szkielety skurczone, pojedyńczo, w położeniach rozmaitych, częścią całkowicie, częścią tylko u kończyn, zabarwiane farbą mineralną. Kurhany takie, o ile wiemy, nie są rzadkością w tych stronach.

Zupełnie inne okolice na krótko przed zjazdem badał p. Bielaszewski. Archeolog ten dotychczas poświęcał czas swój przeważnie poszukiwaniom stacyi przedhistorycznych nad brzegami rzek. Jemu też zawdzięczamy wiele szczegółów, dawniej w czasopismach ogłoszonych, o stacyach z nad Dniepru i dopływów tej rzeki. Obecnie znalazł się nad Bugiem, którego brzegi zwiedził od Włodawy do Brześcia Litewskiego. Okazały się tu przeważnie zabytki okresu nowo-kamiennego wśród stacyi, których naliczył przeszło trzydzieści. Zabytki te występują pod postacią wyrobów kamiennych, krzemiennych i glinianych — znalezione zaś w trzech wypadkach urny całopalne p. Bielaszewski zalicza do okresów późniejszych.

Kraj, nad Bugiem leżący, wymaga poszukiwań bardziej dokładnych, zwłaszcza strony chełmskie, gdzie do tej pory pod tym względem zrobiono nadzwyczaj mało.

II.

Materyał archeologiczny nie miałby znaczenia naukowego, gdyby zeń nie wyprowadzano wniosków o kulturze przedhistorycznej krajów, skąd pochodzi. Zestawienie pojedyńczych danych umożliwia uogólnienia, objaśniające stan rzeczy na przestrzeniach większych, a częstokroć i stosunki między plemionami lub narodami. To też archeologia ma cel o wiele donioślejszy nad proste wykazywanie szczegółów i charakterystyki wykopalisk pojedyńczych: jest nią historya kultury przeddziejowej czyli takiej, o jakiej źródła historyczne nic powiedzieć nie mogą lub bardzo niewiele. W tem powaga i dostojeństwo nauki naszej.

Wnioski ogólne lub projekty do nich o stanie kultury stają się czynnikiem coraz poważniejszym. Na zjeździe Kijowskim poruszano kilkakrotnie kwestye tego rodzaju, a ponieważ chodziło w nich przeważnie o stan kultury najdawniejszej, przeto, kończąc rzecz o wieku kamienia, sądzimy, że na tem miejscu sprawozdania naszego streścić odczyty odnośne będzie najodpowiedniej.

Wiadomo, jak wielkie znaczenie wśród zabytków starożytności posiadają wyroby z gliny. Częstokroć są one jedynem źródłem, wskazującem na okres tej kultury, która je zostawiła; są nicią Aryadny w labiryncie wieków, wskazującą drogę, skąd i którędy przedostawały się pewne wpływy, jakiemi drogami plemiona i ludy kroczyły, by zająć swe ostateczne lub tylko chwilowe siedziby. Uczeni oddawna, zwłaszcza, gdy idzie o kulturę wieków kamienia, wyznaczyli garncarstwu miejsce pierwszorzędne i dążą do ostatecznego podziału na grupy, charakteryzujące bądź rozwój ogólny ludzkości, bądź pewne jego objawy.

Znakomite pod tym względem prace coraz częściej dają się napotykać w czasopismach i rocznikach towarzystw zagranicznych, a wielką zasługę między innymi położył badacz niemiecki Klopffleisch swym podziałem ceramiki neolitycznej na grupy, z uwzględnieniem czasu i miejsca wyrobów garncarskich. Znaczenie archeologiczne ceramiki podniesione zostało na zjeździe Kijowskim w kilku odczytach. „O konieczności ustanowienia nazw i ułożenia systemu opisowego dla ceramiki przedhistorycznej" mówił p. Ho-

rodcew. Zasadniczy swój pogląd na przedmiot odczytu oparł autor na tem, że przedewszystkiem resztki wyrobów glinianych są zabytkami najliczniejszymi bytu przeddziejowego narodów, dalej, że się one przechowują w głębi ziemi lepiej od innych i zachowują najodporniej wobec reakcyi chemicznych, wreszcie podatność materyału do wcielania zdolności artystycznych człowieka i przybierania kształtów decyduje o ułamkach garncarskich, jako o mianowniku starożytności przedmiotu, o wiele dokładniejszym, niż inne, a zarazem udzielającym wskazówek co do stanu kultury, która je wydała, jej zależności od wyższych wpływów na niższe,— wszystko to ułatwia śledzenie postępu w okresie przeddziejowym, a zarazem wszystko to może postawić naukę o ceramice przedhistorycznej na stopniu innych nauk lub „dyscyplin" w rodzaju numizmatyki, sfragistyki, heraldyki i t. p.

By jednak do celu dojść, trzeba ustanowić odpowiednią nomenklaturę i system opisowy, które umożliwią klasyfikacyę tego materyału archeologicznego, oszczędzając w każdym danym wypadku uciekania się do szczegółowego opisu przedmiotu znalezionego. Taka nomenklatura i taki system opisowy winny ułatwić badaczowi szybkie i dokładne charakteryzowanie okazów, nie tylko zawartych w zbiorach już ułożonych, lecz i znajdowanych doraźnie na polu lub świeżo wydobytych z ziemi. W tym celu należy opracować tablice, których podział odpowiadałby odnośnej, a krótkimi wyrazy oznaczonej terminologii, przyczem ilość terminów powinna odpowiadać rozmaitości cech, które rękodzielnik przedhistoryczny nadawał bądź zewnętrznemu wyglądowi wyrobu, bądź wewnętrznemu jego składowi. Do takich należą: 1) rodzaj gliny, użytej do wyrobu, 2) stopień wypalania, 3) kształt ogólny naczyń i ich profile, wreszcie 4) ornamentacya.

W wyborze terminologii trzeba trzymać się, o ile można, nazw, utartych w literaturze lub w mowie potocznej, a do nazw przyjętych dodawać nowe nie inaczej, jak tylko w razie konieczności racyonalnej, wymieniając synonimy, jeśli się takie znajdą.

Trzymając się zasad powyższych, usystematyzowanie materyału ceramicznego odbędzie się w ten sposób, jak się odbyło w naukach przyrodniczych, gdzie odróżniano gatunki z podziałem ich na rodzaje, gatunki i t. p. — Prelegent przedstawił na końcu projekt własny podziału ornamentacyi ceramicznej, proponując osiem rodzajów i 26 gatunków. Znaczenie ceramiki, poruszone w odczycie poprzednim, uwydatnił jeszcze bardziej prof. uniwersytetu odeskiego von Stern w oddziale zabytków i sztuki, mówiąc o wykopaliskach

ceramicznych w koloniach Czarnomorskich. Dzięki temu doniosłość poglądów zasadniczych o klasyfikacyi i momenklaturze ceramicznej w archeologii, mających na celu ustalenie faktów historycznych zapomocą tej nauki, można było uznać zaraz na zjeździe, przy rozpatrywaniu kwestyi o ceramice znajdowanej tam, gdzie ona jedyna—może opowiedzieć o rozwoju starożytnej kultury ówczesnej.

Dziejom kolonizacyi wybrzeży północnych morza Czarnego przez osiedleńców greckich nie zbywa wprawdzie na źródłach pisanych, historycznych. Są one wszakże niedokładne, — a nie wystarczają i wówczas, gdy dla ich dopełnienia zwracamy się do napisów i monet.

Materyałem, jeszcze niezużytkowanym przez historyków, są wyroby garncarstwa, wydobywane na terytoryach kolonii greckich, rozpatrywane do tej pory tylko, jako dzieła sztuki.

Wnioski autora o dziejach kultury kolonii tych, wyprowadzone na podstawie wyrobów ceramicznych, dopełniają dane, zawarte w literaturze historycznej.

Wśród wykopalisk Olbii znaleziono naczynia, które, według badań, pochodzą z Miletu. Milet od stulecia VIII do VI założył 80 kolonii wraz z faktoryami, co mu przyszło dość łatwo, ponieważ w okresie największego rozwoju swego liczył 100,000 mieszkańców. Na stulecie V przypada zanik Miletu, a szala przewagi politycznej przechyla się ku Atenom. Przemawiają za tem i wykopaliska garncarskie, ponieważ między wazami starożytnemi, znalezionemi wśród dawnej Olbii i Pentykapei, miejsce nader poważne zajmują te, na których figury są malowane czarno. Wyrabiano je w okresie początków współzawodnictwa Aten z Miletem. Wówczas Pizystrates ateński zawiązuje stosunki z koloniami czarnomorskiemi, które trwają czas jakiś, o czem świadczą wazy z figurami czerwonemi w stylu najstarożytniejszym i bardzo surowym, znajdowane nader wprawdzie rzadko u wybrzeży północnych m. Czarnego.

W okresie następnym kolonie tamtejsze nie musiały mieć wcale stosunków z Atenami, ponieważ brak tu zupełny waz z figurami czerwonemi w stylu rozwoju najwyższego ceramiki ateńskiej. Ateny wolą bowiem wywozić wyroby swe do Sycylii, lecz, gdy rynek ten utraciły, zwracają się napowrót do miejsca zbytu dawnego, i dlatego na wybrzeżach m. Czarnego znajdujemy znów wiele waz ateńskich z końca V i IV stulecia.

Wkrótce jednak następuje upadek Aten. Wazy z figurami czerwonemi przestają być wyrabiane, i oto w mogiłach kolonistów czarnomorskich stulecia III przeważają wazy typu megarskiego,

prawdopodobnie wyrabiane na miejscu. Byłoby to naturalnem, gdyż po upadku zakładów ateńskich inne greckie, a nawet azyatyckie, nie mogły nastarczyć wyrobów na potrzeby kolonistów. Wazy miejscowe są utrzymane najzupełniej w stylu greckim, lecz techniczna ich strona znacznie słabsza, niż w greckich. W każdym razie świadczą one o tem, że w stuleciu III kultura grecka była rozpowszechniona wśród kolonii i że te ostatnie zostawały w stosunkach z metropoliami. W stuleciu II musiały się zawiązać stosunki z Italią i Rzymem; nie były one zapewne bezpośrednie, w każdym jednak razie znajdujemy tu uszka od amfor typu italskiego i ceramikę apulijską. Dopiero późniejsze nieco czasy przynoszą stosunki ścisłe z Rzymem, trwające do upadku państwa zachodniego. Wyrazem ich są liczne wazy czerwone typu aretyjskiego, które mogły być również wyrabiane i w samych koloniach. O stosunkach tych ostatnich z Aleksandryą upewniają wazy polewane, zdobione rzeźbą wypukłą.

Wieki średnie nie omieszkały zostawić koloniom swoich wyrobów garncarskich, i nad m. Czarnem znajdujemy bizantyjskie, arabskie i włoskie z tych czasów; a chociaż materyał ten o wiele trudniej przestudyować od materyału „antique", wszakże trzeba go zbadać, gdyż oświetli on stosunki mieszkańców czarnomorskich z obcokrajowcami w okresie, najmniej do tej pory znanym. Na skutek odczytu tego zjazd postanowił starać się o pozwolenie przystąpienia niezwłocznego do poszukiwań w Olbii.

Ale badanie garncarskich zabytków archeologicznych w zestawieniu z pewnym typem grzebalnym wydało dla świata słowiańskiego i dla nauki rezultaty, nieskończenie ważniejsze od tych, które osiągnięto przy poszukiwaniach nad m. Czarnem. Zjazdowi kijowskiemu zakomunikował o nich prof. Niederle z Pragi w odczycie „O czasie przesiedlenia Słowian z północy przez Karpaty do Węgier". Uczony czeski należy do tej grupy historyków, którzy za kolebkę Słowian uważa kraje, zawarte między Wisłą, Dnieprem środkowym i Karpatami. Są pod tym względem, jak wiadomo, zdania inne, które nie zdołały wszakże zachwiać teoryi, wyżej podanej. I tak na postawie opowiadań Ptolomeusza cała szkoła historyczna, przeważnie z Niemców złożona, twierdzi, że Słowianie w dorzeczu Dunaju ukazali się już po narodzinach Chrystusa Pana i zajęli ziemie, zasiedlone uprzednio przez ludy germańskie i inne. Uczeni słowiańscy z Szafarzykiem na czele dowodzą jednak o wiele wcześniejszego przybycia Słowian do Węgier i nad Dunaj, opierając się na danych historycznych, a właściwie językoznawczych, które wska-

zują, że pewne, nawet liczne nazwy miejscowości węgierskich są pochodzenia słowiańskiego. Tak „Pelso" pochodzić ma od „Pleso", „Tscerna" od „Czerna", „Bustricius" od „Bystryca", „Bersovia" od „Brasowa" i t. p. Profesor Niederle przypomniał więc we wstępie odczytu dowodzenia Szafarzyka, zastrzegając się, że, chociaż wbrew krytykom uważa je za dostateczny dowód bez porównania dłuższego pobytu Słowian na ziemi węgierskiej, niżby tego pragnęli Niemcy, niemniej przyznaje, iż obok najpierwszych osiedleńców słowiańskich mogły tam mieszkać inne ludy.

Teraz pytanie, skąd Słowianie do Węgier przybyli, rozwiązuje się zdaniem Niederlego przez fakt, że w ziemi słowackiej znajdują się takie same cmentarzyska z popielnicami, jak i w innych krajach bezwarunkowo słowiańskich, a prócz tego same popielnice tamtejsze należą do typu łużycko-szląskiego, który z Łużacyi lub Szląska dostał się przez Karpaty zachodnie do kraju, zamieszkałego przez dzisiejszych Słowaków. Uczony czeski twierdzi, że typ garncarski popielnic słowackich jest ten sam, jaki u Słowian zachodnich używany był jeszcze przed narodzeniem Chrystusa Pana, co wskazuje zarówno na czas przesiedlenia, jak i na pochodzenie Słowaków, bądź z za Morawy, bądź z za północnego stoku Karpat zachodnich. Słowacy są więc czeskiego pochodzenia. Nie wiemy, dlaczego teorya Niederlego wywołała dość poważne spory. Pewne zarzuty wydały nam się bądź wcale nieuzasadnionymi, bądź wcale luźnie dołączonymi do treści odczytu. To, naprzykład, że autor nie uwzględnił danych lingwistycznych, dowodzących, jak dalece narody jedne od od drugich zapożyczają nazw, wyglądało zbyt ogólnikowo, to zaś, co usłyszeliśmy o przypuszczalnem przejściu Słowian przez Karpaty wówczas, gdy Trakowie już swą narodowość zagubili — ponieważ w ich słowniku niema wyrazów słowiańskich — nic a nic nie zbija dowodzeń Niederlego. Mogli przecie ci ostatni siedzieć tak daleko od przodków dzisiejszych Słowaków, że stosunki między nimi niekoniecznie musiały być dość częste, by jedni udzielali nazw drugmi. Następnie, uwaga jednego z obecnych, że autor odczytu nie przedstawił danych etnologicznych, zdaniem naszem, najprzód była również nazbyt ogólnikową; powtóre możemy zapytać samego oponenta o to, co, gdy rzecz idzie o ludach na kilkanaście, jeśli nie dwadzieścia, wieków, przed nami żyjących, uważa za dane etnologiczne. Chyba ma na myśli cechy antropologiczne w znaczeniu ścisłem czyli dotyczące ustroju szkieletów, zwłaszcza głowy, i przedmioty, do użytku służące. Ale prof. Niederle nie mógł dostarczyć takiego materyału, gdyż mówił o cmentarzyskach całopalnych, które, jak

wiadomo, zawierają nie kości, lecz popioły, przedmioty, do użytku służące, popieleją również lub się stapiają przy całopaleniu. Jedyną więc rzecz, mogącą objaśnić pochodzenie etniczne przodków słowackich, popielnice, Niederle dostarczył i oparł właśnie na nich dowodzenie, nie gardząc przy tem, jak widzieliśmy, danemi historycznemi. Wszakże, jeśli oponent miał jakie wątpliwości co do cech etnologicznych Słowaków dzisiejszych, jeśli Słowian, zamieszkałych w Węgrzech północnych nie wywodzi Stąd, zkąd autor, to wielka szkoda, że sam nie wystąpił z własnymi pod tym względem poglądami, gdyż dyskusya nad nimi dla kwestyi, podniesionej przez Niederlego, mogłaby być decydująca w tym lub owym kierunku. Możeby ją obaliła zupełnie?!...

Pomimo jednak wyżej przytoczone i inne zarzuty, pogląd profesora praskiego został przyjęty przez przeważającą liczbę słuchaczy, w których liczbie członek komisyi archeologicznej w Konstantynopolu podniósł doniosłość metody Niederlego. Zasługuje ona na uznanie zwłaszcza, gdy idzie o dzieje Słowiańszczyzny pierwotnej, tak bardzo zagmatwanej przez historyków łacińskich i bizantyjskich, z czego Niemcy nie omieszkali korzystać, ciągnąc za sobą i słowiańskich mężów nauki, którzy powtarzali wierutne bajki.

Kwestye tego rodzaju, jak stosunek wzajemny plemion, narodowości lub ras na wszystkich zebraniach archeologicznych występują prawie zawsze. Archeologia stara się bowiem sprawdzić wnioski, oparte na domysłach, na kombinacyach etniczno-geograficznych, na podaniach, zapisanych przez naiwnych historyków, a częstokroć i na uprzedzeniach, które wypływają z poczucia wyższości plemiennej, graniczącego z zarozumiałością lub pychą. Odczyt Niederlego był wyrazem protestu w imię nauki przeciw teoryom pierworodztwa Germanów przed Słowianami; jeden z następujących po nim — próbą ustanowienia początków rasy aryjskiej, inaczej indogermańską zwanej. Uczynił ją p. Pagodin w odczycie „O stosunku plemienia indo-europejskiego do Finnów."

Plemię to, jako całość etniczna, stanowi, zdaniem autora, gałąź plemienia fińskiego. Rozmieszczenie geograficzne pojedyńczych narodów aryjskich wskazuje, że punktem, z którego się rozeszły, były Karpaty, zaś tożsamość cech germańskich, celtyckich, starosławiańskich i t. p. z jednej strony, jak również zagadkowych tubylców syberyjskich (din-lin u historyków chińskich) i dawnych Permiaków (Budynów herodotowych) z drugiej poręcza, że między jedną a drugą grupą istniała jedność rasowa. Wszystkie te ludy zamieszkiwały

obszar olbrzymi od wschodu syberyjskiego do gór Karpackich; za cechy zaś ich wspólne autor podaje kolor włosów rudawy, oko niebieskie i wzrost wysoki; przytem poszukiwania w głębiach ziemi dowodzić mają, że ludzie, którzy w czasach przedhistorycznych mieszkali na południu dzisiejszego państwa rosyjskiego i w Węgrzech, mieli czaszki długie, chociaż czystość typu zaciera się tem bardziej, im dalej od Karpat ku południowi, wschodowi i zachodowi.

Wszystko to, zdaniem p. Pagodina, przemawia za tem, że plemiona indo-germańskie są blizko spokrewnione z fińskiemi.

My tu zwrócimy uwagę, że zasadniczy kolor włosów u ludów indo-germańskich bynajmniej rudawym nie był. O ile wiemy, ową wielką, piękną rasą ludzi, bardzo długo uwijających się po Europie i Afryce północnej, w okresie prawdopodobnie końcowym kamienia lub początkowym bronzu, antropologowie nazwali „wysokimi blondynami o niebieskiem oku", inną zaś rasę, która przed tamtą zajmowała prawdopodobnie większą część Europy, poczytują oni za fińską i przypuszczają, że w istocie była rudowłosa. Następnie, co do pigmentu nie możemy się zgodzić, by niebieski był cechą powszechną oczu fińskich. Prawda, że i indogermanie dzisiejsi nie wszyscy mają oczy niebieskie, lecz w takim razie kwestya, czy w istocie Finnowie i Aryowie byli z początku oczu niebieskich, pozostaje sporną, historycy zaś chińscy mogli mówić o pewnej tylko grupie, lepiej im znanej, i uważali ją za rudawą. Rasa blondynów przechowuje dłużej swą czystość, niżby się zdawać mogło, jeśli nie następuje mieszanie jej z rasą ciemną. Dowodzą tego Ainosi japońscy. Nie dość jest również uwzględniać barwy i wzrost, trzeba przytem zwrócić uwagę na różnice osteologiczne, te zaś między Finnami a Aryami obecnie są zbyt wydatne, by na nich można było jakiekolwiek dowodzenie o tożsamości przedhistorycznej opierać. Autor poczytuje rzecz tę jednak za ustanowioną, a wychodząc z założenia powyższego, już konsekwentnie wypowiada dalej swe przypuszczenia o podziale jednej rasy pierwotnej na dwie wielkie, dzisiejsze grupy. W jaki to jednak sposób nastąpiło, powiada, nie mamy wskazówek żadnych, ponieważ brak nam punktu wyjścia takiego, jakim dla dziejów kultury plemion aryjskich jest kres jedności indogermańskiej, zapadły z chwilą podziału języka aryjskiego na grupy odrębne. Tu językowe różnice wśród rozlicznych grup wskazują na pewne stopnie kultury — tam różnic pierwotnych językowych nie znamy i dlatego o kulturalnych mówić nie możemy. Dodaje wprawdzie autor, że na podstawie danych językowych wyprowadzać wniosków

tych nie możemy, dla tego, że do tej pory nie mamy jeszcze odpowiedniej metody, widać jednak, że nie traci nadziei, by z czasem metoda taka mogła być wypracowana, a to tem bardziej, iż widzi blizkie pokrewieństwo ducha języków indogermańskich z jednej, a fińskich z drugiej strony. Jest nim łączenie przyrostka z pierwiastkiem, zmiany głosek przy odmianie wyrazów i t. d. Przyznając, że dokumentalnego znaczenia, przy obecnym stanie nauki, pokrewieństwo to językowe nie posiada, szuka dowodów jedności starodawnej obu grup rasowych w zoologii i powiada, że cechy rasowe mają swe źródło w anomaliach, które, gdy się powtarzają skutkiem krzyżowania między krewnymi, nabierają trwałości w plemieniu, ze związków tych powstałem. Ponieważ zaś pomiędzy Finnami a Indogermanami nie było, jak wciąż chce autor, różnic rasowych, przeto przypuszczać można, że się ostatni oddzielili od pierwszych wówczas jeszcze, gdy dobór naturalny między krewnymi nie był koniecznością. Tej ulegają plemiona łowieckie, zmuszone skutkiem trybu życia mieszkać w odosobnieniu, grupami niewielkiemi, złożonemi częstokroć z jednej tylko rodziny, na podobieństwo Weddasów cejlońskich; przypuszczać więc należy, że najpierwsi indogermanie nie byli grupą łowiecką, i że od Finnów odpadło całe plemię, nie jedna tylko rodzina, i posuwało się stopniowo ku podkarpaciu. Autor odczytu nie znalazł oponentów na razie, ponieważ sposób postawienia kwestyi był taki, że, by ją skutecznie krytykować, wymagał zastanowienia, czy zasada dowodzeń autora miała w istocie jaką racyonalną podstawę, czy też była tylko wynikiem autosugestyi.

Nie przypuszczamy, by autor mógł na razie przekonać tych, którzy są obeznani z najnowszą teoryą pochodzeuia indogermanów od pierwotnego, długogłowego europejczyka, rasy neanderthalską zwanej, przekształcony następnie pod wpływem warunków klimatycznych i kulturalnych.

Gdyby było, jak autor dowodzi, gdyby zachodziło owo blizkie pokrewieństwo między Finnami a Indo-europejczykami, to mogło ono nastąpić nie dlatego, że obie te grupy pierwotnie były fińskie, lecz dla tego, że obie mogą pochodzić od jednego pratypu, wszakże ani fińskiego, ani też indo-europejskiego, lecz tego, który przywykliśmy neanderthalskim nazywać. Bo i gdzież są dowody, że protoplastą Finnów był długogłowiec taki, jak ten, którego szczątki odszukano bądź w Cannstadt, bądź gdzieindziej? Czy go znaleziono w Azyi? Finnowie zbyt *przeważnie* są krótkogłowi, by o ich bezwzględnej długogłowości pierwotnej mówić można. Skąd ta krót-

kogłowość, w jaki sposób powstały jej cechy, całkiem odmienne od cech krótkogłowości europejskiej, czy jest ona wynikiem mocnej domieszki rasy mongolskiej, czy też była taką w swej czystości pierwotnej, dziś jeszcze wyrokować niepodobna, a dopóki się ta rzecz nie zdecyduje, kwestya, podniesiona przez p. Pagodina, pozostać musi w zawieszeniu.

III.

Pozostają nam do rozpatrzenia szczegóły, dotyczące najnowszych poszukiwań archeologicznych z okresów metalu, a zakomunikowanych zjazdowi.

Okresu bronzu nie poruszano wcale. W promieniu archeologicznym kijowskim wyrobów bronzowych nigdy wiele nie znajdowano; wątpiono więc dość długo, czy w istocie istniał tu kiedyś okres ten w swem należytem znaczeniu. Ostatecznie, niedowiarki przyszli do przekonania, że było wprawdzie inaczej, lecz nader krótko. Nawet większość przedmiotów bronzowych z okresu tego musiała być przywieziona skąd inąd. Na zjeździe obecnym jeden tylko p. Puławski wspomniał pobieżnie w odczycie o kilku pięknych przedmiotach bronzowych, znalezionych na Podolu.

Za to już początki okresu żelaza, a dalej jego rozwój — dostarczyły treści do kilku odczytów.

Trzymając się porządku chronologicznego starożytności, zaczniemy od przemówienia p. Milukowa, członka komisyi archeologicznej w Konstantynopolu, o pewnem wykopalisku w Macedonii, dotyczącem t. z. kultury hallsztadzkiej.

Przed laty pięćdziesięciu odkryto w Styryi, pod m. Hallsztadt, cmentarzysko z mnóstwem przedmiotów bronzowych, glinianych i nieco żelaznych, o typach, które do owej pory nie były znane. Pozostały tu one z tych czasów, gdy po przekwicie kultury bronzu, zaczęła swe panowanie kultura żelaza. Przedmioty bronzowe były częścią takie, jakie są znajdowane wśród wykopalisk okresu czysto bronzowego, częścią inne, lecz pozostałe skutkiem rozwinięcia form dawniejszych. Takiemi były fibuły pewnych, do tej pory nieznanych, kształtów, naczynia bronzowe i gliniane t. zw. „Situle" czyli wiaderka ozdobne rzeźbą wypukłą, naczynia o kształtach ptasich i wiele innych. Z czasem na przedmioty takie w ilościach większych natrafiono nie tylko w Styryi, i okazało się, że obszar, na którym one były w użyciu, nie dość, że obejmował całe dorzecze środkowego

Dunaju, z prawej zwłaszcza strony, lecz sięgał krańców południowo-zachodnich półwyspu Bałkańskiego, części północnych i środkowych Włoch, zwłaszcza posiadłości weneckich nad Adryatykiem, Karyntyi i ziemi sąsiednich. Znajdowano je nawet na wyspach greckich. W Niemczech północnych i ziemiach zachodnio-słowiańskich trafiały się one rzadziej i w takiej ilości, która dowodziła, że nie były wyrabiane na miejscu, lecz przywożone temi samemi drogami, któremi szedł handel bursztynem.

W krajach Alpejsko-Dunajskich typy hallsztadzkie są najmniej pomieszane z innymi; na półwyspie Bałkańskim i na ziemiach włoskich wraz z przedmiotami kultury tej dostrzegać się dają mocne wpływy wschodnio-południowe czyli azyatyckie, nawet egipskie. Stąd wnioskować należy, że tak zwana kultura hallsztadzka powstała gdzieś w pobliżu Dunaju środkowego i Alp.

Ostatecznie zgodzono się, że ludem, który ją zapoczątkował i udzielił innym dla dalszego rozwoju, był dość zagadkowego pochodzenia naród Illiryjski, który w czasach nadzwyczaj dawnych, gdyż przed ukazaniem się ludów greckich i północno-italskich na miejscach ostatecznego ich osadnictwa, siedział w części północno-zachodniej półwyspu Bałkańskiego. Czy kultura, ze względu na pierwsze jej wykopaliska przezwana hallsztadzką, była samoistną u Illirów, czy też pierwszy użytek żelaza dostał się do nich za pośrednictwem ludów, zamieszkałych nad morzem Czarnem, czyli przez t. zw. Scytów, zachodzą do tej pory zdania różne.

Faktem jest tylko, że w swej formie pierwotnej udzieliła się ta nowa w Europie kultura Grekom i Italikom, którzy ją na swój sposób, ale i pod wpływem wschodniej, rozwinęli, a wyrobom, z jej początków powstałym, umieli nadać pierwszorzędne artystyczne znaczenie. Weszła więc, jako pierwiastek do sztuki greckiej i włoskiej, specyalnie zaś etruskiej.

Wykopaliska hallsztadzkie z jednej strony i zbliżonych doń typów, znajdowanych w Bośnii, a wśród wysp greckich z drugiej, kazały przypuszczać, że gdzieś powinnyby się znaleźć kształty pierwotne okazów kultury hallsztadzkiej. Obecnie dzięki wykopalisku pod Patelą w Macedonii archeologia zdaje się być w posiadaniu jeżeli nie tych prototypów, to przynajmniej czegoś, bardziej do nich zbliżonego, niż istotne hallsztadzkie.

Było tam cmentarzysko wyłącznie z grobami skrzynkowymi wyjątkowo tylko całopalnymi i prawie zawsze zawierającymi szkieletów więcej, niż po jednym. Sposób ugrupowania grobów dowodził, że grupy te musiały być układane dla całych rodzin. Typ

przedmiotów metalowych wskazuje, że należał do początków okresu żelaza w Europie, do tej kultury, którą znaleziono pod Hallsztadt, czyli takiej, której początki sięgają trzynastu lub piętnastu stuleci przed naszą erą. Ceramika różni się wszakże wybitnie od hallsztadzkiej, a zbliża do śródmorskiej, lecz w sposób taki, jak gdyby jej okazy były prostotypami, które tu mogły się przechować dłużej, jako w miejscowości, leżącej na uboczu od wszelkich handlowych i strategicznych traktów. W ten sposób samo cmentarzysko, choć może sięga nie dalej, jak siódmego lub ósmego stulecia ery pogańskiej, uważać jednak należy pod względem doniosłości archeologicznej, jako równoważne ze znacznie starszymi. Typ kraniologiczny szkieletów patelskich nie został jeszcze zbadany, sprawia jednak wrażenie takie, jak gdyby był przeważnie krótkogłowym, do retyjskiego zbliżonym.

Kultura, im dawniej, tem była prostszą, tem jednostajniejszą, a czem dalej posuwała się w latach, tem bardziej urozmaicała swe formy. Daje się to już zauważyć w stopniu bardzo widocznym jeszcze w okresie kamienia gładzonego, lecz dopiero użytek metalu posunął ją bardzo naprzód i urozmaicił jej formy. Stąd i typy grzebalne urozmaiciły się tak dalece, że terminologia archeologiczna nadała im pewne nazwy specyalne, jakich przykład mamy w nazwie „hallsztadzka". Tak samo rzecz się ma i ze scytyjską, rozpowszechnioną przeważnie na północ od morza Czarnego na stepach, lecz znajdowaną sporadycznie nawet w lasach poleskich. Na zjazdach dawniejszych mawiano wiele o Scytach i ich formach pogrzebowych, a chociaż przedmiot ten, o ile dotyczy samej genezy Scytów oraz tego, które ludy za scytyjskie poczytywać należy, nie został wyczerpany, wszakże odnośne typy grzebalne są już doskonale zbadane.

Na zjeździe kijowskim w jednym tylko odczycie dotknięto przedmiotu tego. Pod Chersoniem w miejscowości Michajłowo-Apostołowo, o której już raz mówiliśmy wyżej, rozkopał p. Ewarnicki trzy kurhany z katakumbami, wykopanemi zwyczajem scytyjskim w podglebiu, które zawierały przedmioty pochodzenia niewątpliwie scytyjskiego. Są to blachy złote, częścią srebrne lub bronzowe, z figurami dzików, jeleni, lwów śpiących i zajęcy, wędzidła żelazne, amfory greckie, bronzowy, jedyny w swoim rodzaju pod względem kształtów, kocieł z głowami byczemi i palmetami. Po rogach katakumb były nisze, urządzone tak, że cała architektura podziemna odpowiadała zwykłym scytyjskim formom grzebalnym, gdzie główny szkielet, zapewne pański, składano po środku, a naokoło

niego zabijane na grobie sługi, w takiem oddaleniu do umarłego, by wyrażało stosunek ich do niego za życia.

Skorośmy zaszli tak daleko na południe, posuńmy się jeszcze dalej i posłuchajmy odczytu D-ra Hegera „O pewnych obcych formach kultury przeddziejowej na Kaukazie" — a uczyńmy to tem skwapliwiej, że Kaukaz długo był poczytywany za drogę, którędy nasi przodkowie aryjscy przybyli do Europy, że w nim w istocie znajduje się wiele rzeczy takich, które albo były nad Dnieprem naśladowane, albo tu udzielone, wreszcie, że pierwiastki kultury kaukaskiej w pewnych jej formach odnajdują się wśród pierwiastków wyżej wzmiankowanej, a tak ważnej kultury hallsztadzkiej. I tu, i tam musiały one przedostać się z Azyi zachodniej.

W dziewiątym dziesiątku stulecia bieżącego rozkopano w Osetyi, pod aułem Kobań i stacyą Kazbek, kilka cmentarzysk. Znaleziono w nich przedmioty, znamionujące pewną specyalną kulturę, która tu trwać musiała kilkanaście wieków, od czasów pierwocin użytku żelaza do bizantyjskich. By mieć pojęcie o tych kształtach specyalnych miejscowych, trzeba widzieć je przynajmniej na rysunku. Są to toporki bronzowe, kindżały, zbroje, szpile, fibuły, figury zwierzęce i t. d. oraz broń, lecz ta ostatnia tylko w grobach najmniej dawnych; w najdawniejszych wcale jej niema i nie tylko siecznej, lecz dzid lub strzał, ani tarcz, ani hełmów. Naród więc, który 3,000 lat temu mieszkał w dzisiejszej Osetyi, nie był wojowniczym.

Autor odczytu, bardzo dokładnie obeznany z przedmiotami kaukaskimi powiada, że najdawniejsza kultura tamtejsza swemi cechami zasadniczemi wiąże się ze śródmorską, jak tego dowodzą między innymi fibuły łukowate. Byli nawet badacze, którzy upatrywali pewną jej analogię z najdawniejszym okresem homerycznym, o ile go znamy z wykopalisk Schliemanna. Współrzędnie jednak trafiają się tu formy, całkowicie obce kulturze śródmorskiej, naprzykład siekiery miedziane, wygięte, grubo zarysowane, a podobne do rosyjskich wschodnio-północnych i syberyjskich. To samo dotyczy okrągłych zwierciadeł metalowych z rączkami, jak się zdaje, pochodzenia chińskiego. Obecność kształtów tego rodzaju wskazuje na dawne stosunki Kaukazu z północą i na wpływy, jakie stamtąd, a pośrednio i z Chin, dostawały się w te strony.

Opuszczając początki okresu żelaza, a przechodząc do czasów już historycznych, musimy wzmiankować o pewnych typach archeologicznych, przechowanych, jako przeżytki, nie zaś, jako przedmioty do użytku codziennego służące, u narodów, których dzieje i obyczaje są dobrze znane z historyi. W odczycie o szkieletach farbowanych

mieliśmy już raz do czynienia z tego rodzaju przeżytkami. Prof. Wiesiełowski opowiedział o innych. Na Kaukazie zdarzyło mu się znaleźć toporki kamienne w grobach rycerzy rzymskich, — wśród uzbrojenia całkiem metalowego; hr. Uwarow znalazł do złotego naszyjnika przyczepiony krzemyk w złotej oprawie; w kurhanach scytyjskich, a więc w takich, gdzie się znajduje broń sieczna, wyrabiana tylko z żelaza, zdarzało się hr. Bobryńskiemu trafić na toporki bronzowe bardzo misternej roboty. Otóż wszystkie te przedmioty do żadnej potrzeby wojennej ani do żadnego celu, w którym siła fizyczna odgrywa rolę przodującą, nie mogły być używane. Hr. Bobryński znaczenie tych toporków bronzowych tłómaczy tem, że były prawdopodobnie znakami władzy; co zaś do kamiennych i do owego krzemyka, zawieszonego przy ozdobie szyi, prof. Wiesiełowski wyraził zdanie, że były amuletami. Znajdowane na polu, wówczas, gdy pamięć o ich istotnem przeznaczeniu w okresie kamienia już zaginęła, mogły być poczytywane za spadłe z nieba, jako dar bogów i stawały się przedmiotem kultu religijnego. Z naszej strony przypominamy to, co Wolański przytoczył o kulcie boga Thora w Skandynawii. Gdy grzmiało, kapłani jego uderzali młotami kamiennymi, a lud strzelał z łuków do chmur. Jeszcze niezbyt dawno wieśniacy mniemali, że nożyki i dłutka krzemienne, znajdowane na polach, są to piorunowe strzałki. Rzymianie zostawiali ciała i rynsztunek wojowników, umarłych na Kaukazie, tam-że na miejscu, gdy Kolchida była pod ich panowaniem; lecz i pojedyncze różne przedmioty, zwłaszcza pieniądze szły od Rzymu drogą handlu lub rabunku; dlatego też znajdują je znacznie dalej, niż sięgały granice tego państwa w czasach rozciągłości największej; przytem w pewnych miejscowościach monety ze stemplem imperatorów lub żon ich bywają znajdywane częściej, niż gdzieindziej. Do takich należy dorzecze Rosi, zajmujące zaledwo kika powiatów gub. Kijowskiej. Jako prawidło ogólne, przyjmuje p. Laskoroński, że w środkowem dorzeczu Dniepru monety rzymskie znaleźć można przeważnie w tych miejscowościach, które pod względem ekonomicznym i strategicznym nadawały się najbardziej do zasiedlenia. Otóż pokazuje się, że brzegi Rosi i jej dopływów musiały być w tej mierze wyjątkowo dogodne, co jest naturalne, ponieważ rzeka ta, źródłami swemi sięgając źródeł Bohu i Teterowa, stanowiła łącznik pomiędzy dorzeczem Bohu i Dniepru; ponieważ zaś monety te noszą piętna z II i III stulecia, przeto przypuszczamy, że w tym czasie dorzecze Rosi było bardzo gęsto zaludnione.

Jak ważną rolę kierunek wód odgrywał przy wyborze siedlisk w czasach dawnych, nie potrzebujemy dowodzić, lecz przytoczymy przykład, zapożyczony z odczytu prof. Sizowa „O długich kurhanach w gub. Smoleńskiej", gdzie, jak i w innych ziemiach słowiańskich, znajduje się wiele kurhanów kształtu półkulistego niezbyt dawnych, bo pozostałych po Słowianach pogańskich. Oprócz nich w Smoleńszczyźnie są kurhany podługowate, zawsze sypane nad rzekami, w kierunku prostopadłym do brzegów. Są one całopalne, przedmiotów zatem dostarczają niewiele, lecz to, co się w nich znajduje, dowodzi najprzód, że są starsze od miejscowych słowiańskich, a następnie, że ich zawartość w niczem niepodobna do tego, co się zwykle znajduje w kurhanach typu słowiańskiego. Najistotniejszą cechą przedmiotów tych są ozdoby emaliowane i paciorki kolorowe z masy specyalnej. Typy te odnieść należy do czasów wędrówki Gotów, próbujących osiąść w dzisiejszej Smoleńszczyźnie; że się to im nie udało, wiemy z historyi, której wypadki wkrótce potem zastają ich gdzieindziej. Widocznie w Smoleńszczyźnie bawili krótko, gdyż mogił podługowatych niewiele; wszakże, ponieważ są rozmieszczone grupami, przeto wskazują na zamiary osadnictwa stałego. Dla dziejów ziemi słowiańskiej wykopaliska miejscowe, dające się odróżnić od słowiańskich, są nader ważne. Dziś jeszcze całej ich doniosłości ocenić nie można, bo jest ich zamało, wszakże to, co się znajduje do tej pory, wskazuje, o ile wcześniej lub później te lub inne strony były zamieszkane przez dzisiejszą ludność, jak również, o ile i w jakim czasie obcokrajowcy z nią się mieszali.

Mówimy tak dlatego, że zarówno Łużyce, Czechy i Morawy, dzielnice zaboru pruskiego, jak i ziemie Słowian naddnieprzańskich, ostatnimi czasy zostały zbadane nadzwyczaj starannie i z naukową sumiennością. Zjazdowi archeologicznemu w Kijowie lat temu dwadzieścia pięć przedstawiono zaledwie jedną pracę o wykopaliskach słowiańskich, lecz wkrótce całe setki kurhanów drewlańskich, dregowickich, krywickich i innych zbadano, a prace o tem ogłoszono w wydawnictwach specyalnych i w czasopismach. Przyszła wreszcie kolej na Wołyń, którym wyłącznie zajęli się pp. Antonowicz, Bielaszewski, pani Mielnikowa i częścią p. Luba-Radzimiński.

Na zjeździe ostatnim usłyszeliśmy sprawozdanie z poszukiwań w powiatach Krzemienieckim, Łuckim, Dubieńskim i Rówieńskim. Okazało się, że w pierwszym pogańskich mogił słowiańskich i cmentarzysk nader mało, w Łuckim i Dubieńskim—najwięcej. Kurhany te, jak i inne tutejsze słowiańskie, są nader ubogie w zawartość. Kształtu kopulastego, przeważnie obwiedzione rowcza-

kiem dla odprowadzenia wilgoci, nie wyższe przeciętnie nad dwa metry — zawierają w nasypach, częstokroć warstwami zupełnie oddzielnemi, resztki węgli, garnków i kości zwierzęcych, świadczące, że nad mogiłami temi odprawiano tryzny wielokrotne, w różnych odstępach czasu, dosypując mogiłę za każdym razem. Przy szkieletach, z boków, znajdują się resztki brewien, deski u spodu, a nad niemi bywają budowle drewniane, na kształt dachu spiętrzone. Oryginalną cechą, wszakże nie tylko na Wołyniu — bo ta sama jest powszechną w ziemi drewlańskiej — stanowią gwoździe, którymi otoczone są szkielety, rysunkiem linii oznaczające kontury ciała. Broń trafia się tylko wyjątkowo, przypuszczają nawet niektórzy, iż w takich wypadkach ma się do czynienia nie z mogiłą krajowca, lecz przybysza. Rzadkiemi są również tkaniny i skóra oraz wyroby gliniane, zato częste nożyki, ozdoby srebrne i bronzowe, pierścionki spiralne, takież ujęcia do włosów kobiecych i zauszniki, guziki i spinki, rzadko kiedy paciorki bronzowe. Czasami, również, jak u Drewlan, trafiają się obręcze żelazne do wiader, lub wiaderka same; w jednym wypadku znaleziono dwie wagi — uważać je tu zapewne można za kram kupiecki. Tak skromne dodatki pogrzebowe, ścisły prawie brak wszelkiej broni, ubóstwo w metalach szlachetnych — gdyż ozdoby srebrne, choć częste, lecz są niewielkie, a złote trafiają się wyjątkowo — świadczą o trybie życia Wołyniaków, spokojnym, domowym i odosobnionym w dobie, poprzedzającej nową wiarę w tych stronach. Całopalenie bardzo tu rzadkie, a jeśli się zdarza, to najczęściej nie całkowite, lecz zaledwo doprowadzone do zwęglenia powierzchownego. Upatrywać w tem można pewnego rytuału, gdyż na drzewie — a więc na środkach rozprowadzenia ognia tak silnego, jak tego wymaga całopalenie — w żadnym razie tu nie zbywało. Pani Mielnikowa zauważyła przytem, że całopalenie, połowiczne na Wołyniu zdarza się przeważnie u zwłok kobiecych, podczas gdy dalej ku wschodowi, u Dregowiczów, bywa na odwrót.

Szkielety wołyńskie, jak i drewlańskie, grzebano najczęściej na siedemdziesiąt kilka centymetrów w ziemi, prawie zawsze pojedyńczo, na wznak i z rękami, ułożonemi w sposób rozmaity. Pomiary antropologiczne wykazały, że wzrost przeciętny męski równał się 1,69 metra, kobiecy 1,58 metra; czaszki, według prof. Antonowicza, przeciętnie są subdolichocephaliczne (76,5) z wahaniami od dolichocephalii (72) do subdolichocephalii (83). Najszczegółowiej jednak czaszki wołyńskie były badane przez prof. Pokrowskiego z seryi 59, dostarczonej przez panią Mielnikową, z czego wypada, że wśród ostatnich są jeszcze bardziej długogłowe, gdyż dla mężczyzn wska-

źnik przeciętny główny wynosi 74,39, a dla kobiet 74,7, przytem czaszki te nie są wysokie i mają czoła wązkie, twarze dość krótkie, łuki brwiowe mocno rozwinięte, z czem doskonale idzie w parze szeroki otwór nosowy i niewielkie, nizkie orbity jego.

Według klasyfikacyi prof. Sergi główną formą czaszek tych byłaby „Ellipsoides" ze skłonnością ku „Pentagonoides", a przeważnie „Ellipsoides isopericampilos." Prócz tego można tu znaleźć „Ellips. cuneatus" i „embolicus." Z przodu więc czaszki te są owalne lub owalno-pentagonalne, z boku nizko-łukowate, przyczem wygięte jednakowo w obie strony.

Skoro weszliśmy w kombinacye antropologiczne, któremi zwykle zakończają się wszelkie sprawozdania, dotyczące wykopalisk z grobów szkieletowych, nadmienimy nieco dalej o uwagach, wywołanych odczytem prof. Knauera, dotyczącym wykopalisk w pow. Akermańskim w Besarabii. Sam odczyt udzielił szczegółów ciekawych o typie grzebalnym t. zw. „koczowników". W okolicach Akermanu trafiają się kurhany rozmaite. Na stepach tych siedzieli Scytowie, a przed nimi inne jakieś ludy, o których mgliste tylko doszły do nas wieści. Pierwotna zawartość, a nawet ugrupowanie kurhanów, pozostałych po jednych i drugich, bywały częstokroć naruszane skutkiem dodatków późniejszych. W wypadku obecnym daje się to widzieć jasno i oczywiście. Zwykle kurhany tamtejsze wznoszą się pojedyńczo, wszakże prof. Knauer natrafił na grupę taką: z jednej strony był wielki kurhan, stojący osobno; ku północy, w pewnem oddaleniu—inny mniejszy, a obok trzeci. Między dwoma ostatnimi ciągnął się wał, oddzielający je od kurhanu czwartego. Rozkopano dwa połączone owym wałem, sam wał i kurhan wielki. W pierwszym nie znaleziono żadnych śladów ludzkiego pogrzebu, tylko głowę konia po środku, w następnym szkielet ludzki z przedmiotami bronzowymi małej wagi. Po prawej i lewej stronie szkieletu tego leżały dwa dziecinne, a u głowy garnek, w samym zaś wale odkopano znów szkielet ludzki siedzący, pod którym były kości końskie. Wzajemne to ugrupowanie obu kurhanów i wału oraz charakter wykopaliska prof. Knauer przypisuje temu, że w jednym z nich została pogrzebana osoba główna z dziećmi, w sąsiednim koń jej, a w wale sługa na koniu. Wszakże wykopalisko to nie było jedyne w kurhanie, ponieważ pod niem znaleziono jeszcze kilka szkieletów w podglebiu, a jeszcze niżej w jamie, nakrytej płytą kamienną, szkielet farbowany, przy którym przedmiotów nie było wcale. W kurhanie wreszcie wielkim, u góry, leżało trzy szkielety większe i dwa dziecinne, bezpośrednio u głowy jednego z pierwszych

czaszka i nogi końskie, a naokoło nóż żelazny, strzemię, strzały, resztki kołczanu, pierścień złoty, krzesiwo i kilka drobnych przedmiotów. Obok szkieletów dziecinnych były garnki i kamień. Tyle w warstwie wierzchniej kurhanu, lecz niżej, w podglebiu, znowu był dół ze szkieletem farbowanym, bez głowy, nakryty wielkiemi płytami kamiennemi, nieco dalej jeszcze jeden szkielet farbowany z pomalowanym kamieniem na kolanach i kawałkiem noża krzemiennego, a tuż obok szkielet dziecięcy z kawałkami farby, garnkiem i dwoma pierścieniami bronzowymi. Takich szkieletów znaleziono jeszcze kilka w końcu przeciwległym tegoż kurhanu. Charakterystyczną cechą dołów grobowych w kurhanie tym było to, że wewnątrz powleczono je wapnem czy też gliną białą. W kurhanie wielkim napotykamy więc trzy typy grzebalne, należące do czasów bardzo rozmaitych. Najniższy odnieść należy do okresu kamienia, następny jest scytyjski, a trzeci, najbardziej ku środkowi kurhanu położony, uważany przez prof. Knauera, jako typ, pozostały z czasów wielkiej wędrówki narodów, jest typem grzebalnym koczowniczym. Dowodzą tego strzemiona żelazne (nie bronzowe), strzały i kołczan.

Kurhan ten okazuje najlepiej, jak dalece ludy koczownicze korzystały z kurhanów, które zastały na stepach. Na szczęście proces grzebania odbył się w tym wypadku w kurhanie rozmiarów większych, i typ pogrzebowy koczowniczy nie zmieszał się z typami innymi, tak, że go z łatwością można było odróżnić.

Naturalnie, że ze względu na rozmaitość ludów koczowniczych określenie ogólnego ich typu antropologicznego jest niemożliwe, wszakże ciekawych pod tym względem wskazówek udzielił znowu prof. Pokrowski o czterech czaszkach, pochodzących z kurhanów takich, w których grzebalny typ koczowniczy nie ulega wątpliwości. Są to brachicephale wyraźni, o czołach nizkich, wązkich, twarzach krótkich, kościach nadoczowych i podoczowych mocno wydatnych. Od głów słowiańskich różnią się wybitnie, przyczem otwory nosowe mają węższe, niż u Słowian, a typ najzupełniej „ortognatae." Najbardziej charakterystyczną jest forma ogólna tych czaszek, gdyż wedle podziału prof. Sergi należą do t. zw. „trapezoides". Co to za koczownicy? obecnie powiedzieć trudno; wszakże jeden z antropologów węgierskich, przepatrując na zjeździe czaszki, przedstawione przez prof. Pokrowskiego, znalazł w nich wielkie podobieństwo do czaszek węgierskich. Rzecz ta wcale nas nie zadziwia po tem, co wiemy o pokrewieństwie Węgrów z ludami fińsko-mongolskimi Azyi środkowej. A ludy te zaważyły tak dalece w dziejach państwa ro-

syjskiego, że cechy ich rasowe ujawniają się wybitnie do tej pory w ustroju fizycznym wielu jej mieszkańców. Temu pytaniu poświęcił odczyt swój prof. Sikorski. Znajdując często wśród Rosyan indywidua, u których przechowały się cechy mongolskie, przestudyował je dokładnie w dwu wypadkach. Uwłosienie znalazł tu zupełnie równe, powieki wierzchnie, zachodzące na dolne w ten sposób, że je krzyżowały całkowicie, kolor naskórka żółtawy, zarost nie na całej twarzy, jak to bywa u ludów t. zw. rasy kaukaskiej, lecz tylko na podbródku, przecięcie oczu zwężone, — słowem wszystkie cechy, które kazały uważać dwa te osobniki za przedstawicieli najczystszej rasy mongolskiej. Nader charakterystycznym był tu jeszcze jeden szczegół, że proces patologiczny podczas ich choroby różnił się od takiegoż procesu w wypadkach takiej samej choroby u subjektów, należących do rasy kaukaskiej. Fakty te mają swe źródło w krzyżowaniach ras, jako skutku wielokrotnych napadów na Rosyę, dokonywanych przez koczowników azyatyckich. Śledząc prawa, na mocy których jedna rasa przekazuje cechy swe drugiej, prof. Sikorski zauważył, że u potomków dwu indywiduów rasowo od siebie różnych, jeśli jednym z nich był osobnik mongolski a drugim kaukaski, zawsze następuje przewaga typu bądź w jedną, bądź w drugą stronę; w tych zaś wyjątkowych wypadkach, gdy podwójne cechy rasowe zostają w równowadze, następuje zwyrodnienie. Na potwierdzenie wywodów swoich autor przedstawił liczny szereg odbitek fotograficznych.

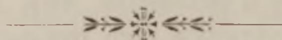
Skończyliśmy wreszcie z przedmiotem, który najbardziej zajął uwagę naszą na zjeździe Kijowskim. Uważaliśmy za właściwe podać ten, tak obfity materyał czytelnikom naszym, nie skracając sprawozdań w urzędowych „Wiadomościach zjazdu XI", i na nich oparliśmy wyciąg ten przeważnie z prac działu I.

Bezwątpienia, że w innych działach traktowano kwestye nadzwyczaj ważne, lecz te, jako nie wchodzące w zakres przedmiotu naszego, musieliśmy pominąć.

Ksawery Chamiec.

O znaczeniu ekonomicznem

KOLEI KALISKIEJ.



Budowa drogi żelaznej, mającej przeciąć gubernię Kaliską i jednocześnie złączyć Kalisz z siecią dróg żelaznych Europy, jest już w zasadzie zdecydowaną i niedługo już będzie rozpoczętą. Tym sposobem, nowa a silna arterya pobudzi do szybszej pulsacyi ekonomicznej cały okrąg, który naturalną siłą rzeczy ciążyć musi ku nowej linii, a przedewszystkiem serce tego okręgu — m. Kalisz. Pociągi kolejowe zastąpią tysiące dotychczasowych wozów, poruszanych niedołężną siłą zwierząt, by przenieść wytwórczość surową i obrobioną do miejsc dalszej obróbki albo do miejsc zbytu.

Kalisz więc, który dotychczas miał ze światem jedynie połączenie szosowe, który nie miał nawet komunikacyi wodnej, wkrótce już znajdzie się w wielekroć lepszych warunkach ekonomicznych. Z tego względu nie od rzeczy będzie odświeżyć sobie w pamięci dzieje miasta, które, pomimo niekorzystnych warunków ekonomicznych, wyrosło na główne miasto znacznego okręgu.

Kalisz, jedna z najdawniejszych osad polskich, niegdyś stolica województwa, a obecnie gubernii, położony jest w dolinie rzeki Prosny, pod 51° 45' szerokości północnej i 35° 45' 8" długości wschodniej. Cezary Biernacki pisze: „Kiedy Kalisz powstał, tego ani

z kronik, ani ze starodawnych akt miejscowych żadną miarą dociec nie można". Mieszko Stary funduje w Kaliszu kościół św. Pawła, w którym pochowano prochy fundatora; kościół jednak przestał już istnieć w w. XV-ym. Po podziale kraju pomiędzy synów Krzywoustego Kalisz stał się stolicą książąt i otrzymał od nich liczne przywileje. Książę kaliski, Bolesław Pobożny, nadaje w r. 1264 Żydom, wypieranym z Niemiec, ważne przywileje i swobody. W przywileju, nadanym w r. 1298 przez Władysława Łokietka, znajduje się już wzmianka o starym i nowym Kaliszu. Kazimierz Wielki opasał Kalisz murem obronnym. Trakt handlowy wrocławsko-toruński szedł na Kalisz, który też przystąpił do związku hanzeatyckiego; od XIII-go wieku rządzi się już prawem magdeburskiem. Od czasów króla Aleksandra datuje się wyzuwanie stanu miejskiego z przywilejów, co powoduje stopniowy upadek miasta. Wojny szwedzkie w w. XVII-ym i XVIII-ym zadają Kaliszowi cios stanowczy. Za Augusta III-go, a szczególniej za Stanisława Augusta, przedsięwzięto środki ku podźwignięciu Kalisza. Reskryptem króla z dnia 23 listopada 1778 r. ustanowiono dla miast i miasteczek województwa Kaliskiego Komisyę Dobrego Porządku (Boni Ordinis). Komisya ta zasiadała w trzech kadencyach, a mianowicie: w r. 1780, 1783 i 1787. Na posiedzeniach, jak to widać ze zbioru dawnych ustaw Kalisza, wydanego przez Adama Chodyńskiego, spisano i rozpatrzono fundusze miasta, przysługujące mu przywileje, starano się o podniesienie dobrobytu, o dźwignięcie handlu i przemysłu i wogóle o wzrost ekonomiczny miasta. Ruch ten ku lepszemu wstrzymany został przez wielki pożar w r. 1793. Rząd pruski opiekował się troskliwie Kaliszem, co wpłynęło na jego rozrost. Epoka księstwa warszawskiego przeszła dla Kalisza bez znaczenia. Za czasów królestwa kongresowego, pod wpływem umiejętnych zarządzeń ministra, prezydującego w b. Komisyi Rządowej przychodów i skarbu, księcia Ksawerego Druckiego-Lubeckiego, w miastach królestwa rozwija się życie przemysłowe i handlowe. W Kaliszu powstaje wielka fabryka sukna. Zarządzenia znów b. Banku Polskiego, budowa dróg szosowych z Kalisza do Kutna i do Łodzi, ulepszone zatem komunikacye, ożywiały ruch handlowy i przemysłowy. Tak więc od r. 1815 widzimy ciągły wzrost Kalisza.

Władze państwowe oddawna już, przynajmniej od lat trzydziestu, poruszały i roztrząsały sprawę połączenia Kalisza z siecią dróg żelaznych. Bez tego udogodnienia Kalisz, położony zaledwie o kilka wiorst od granicy zachodniej, za ktorą tuż znajdują się liczne rozgałęzienia dróg żelaznych niemieckich, — ciążyć musi pod

względem ekonomicznym więcej ku zachodowi, niż ku wschodowi. Połączenie Kalisza z drogami żelaznemi królestwa najczęściej projektowano za pośrednictwem Łodzi, a kierunek taki dla linii Kaliskiej uważamy za najracyonalniejszy. Kolej przecinać będzie ważny okrąg, położony pomiędzy Łodzią a Kaliszem, a więc będzie przechodziła przez takie ogniska przemysłu, jak Łask, Pabianice, Zduńska-Wola i Opatówek oraz Sieradz, mający korzystne warunki rozwoju dzięki spławności Warty. Oprócz tego, przedłużenie linii Kaliskiej do granicy zachodniej tworzy w Skalmierzycach nowy punkt tranzytowy pomiędzy Niemcami a państwem rosyjskiem. Ten punkt tranzytowy nie leży wprawdzie na kierunku głównym dróg żelaznych, jednakże może odgrywać ważną rolę ekonomiczną.

Wskazawszy w ogólnym zarysie kierunek linii Kaliskiej, a mianowicie oddziału: Łódź-Kalisz, — przedstawimy teraz już szczegółowiej kierunek, który wybrały ostatecznie władze państwowe.

Kolej Warszawsko-Kaliska będzie szerokotorową; tym sposobem wagon, naładowany np. w Kaliszu, będzie mógł dojść, bez potrzeby przeładowywania, aż do najdalszego punktu kolei Syberyjskiej i naodwrót. Długość nowej kolei wynosić będzie wiorst 239, a mianowicie z Warszawy do Łowicza 72, z Łowicza do Łodzi 52, z Łodzi do Skalmierzyc, t. j. do punktu pogranicznego za Kaliszem,— 115. Kierunek nowej kolei ma być następujący: wychodząc z dworca warszawskiego kolei Wiedeńskiej, tor kolejowy biedz będzie po lewej stronie toru tejże kolei. Pod przystankiem Włochy tor kaliski przetnie kolej wiedeńską i biegnąć już będzie z prawej strony tej kolei, przejdzie przez Błonie, Sochaczew; doszedłszy do Łowicza, przetnie ponownie drogę wiedeńską, by przez Stryków i Zgierz dojść do Łodzi. Z tego punktu rozchodzić się mają dwie odnogi: jedna do Koluszek wzdłuż toru wązkiego drogi Fabryczno-Łódzkiej, druga zaś prowadzić ma na Pabianice, Łask, Zduńską-Wolę, Sieradz, Błaszki, Opatówek, Kalisz do Skalmierzyc.

Kolej kaliska ze względu na swoje położenie geograficzne podzieloną być może na trzy oddziały, różniące się stosunkami ekonomicznymi oraz wpływem, jaki na spodziewany ruch towarowy wywierać musi na tych oddziałach dotychczasowa droga wiedeńska. Oddziały te są: Warszawa-Łowicz, Łowicz-Łódź i Łódź-Skalmierzyce. Oddział z Warszawy do Łowicza zajmuje miejsce pośrednie pomiędzy drogą wiedeńską a Wisłą, posiadającą most dopiero pod Płockiem. Miejscowość to zamożna, gęsto zaludniona, z wysoką kulturą ziemi i kilkoma cukrowniami, ale oddawna przyzwyczajona

do posługiwania się drogą wiedeńską; można przypuszczać, że ruch własny będzie tutaj bardzo nieznaczny. Oddział ten jednak, jako mający na początku swoim Warszawę, przejmować musi pewną ilość ruchu z pozostałych oddziałów drogi kaliskiej, a nawet użytym być może do skierowania nań pewnej części rozwijającego się stale ruchu towarowego pomiędzy Warszawą a Skierniewicami. Oddział środkowy kolei kaliskiej, t. j. z Łowicza do Łodzi i z odnogą do Koluszek, biegnący także w niezbyt znacznej odległości od drogi wiedeńskiej, przechodzi przez mniej bogate i mało przemysłowe miejscowości powiatów: brzezińskiego i łódzkiego; posiada on jednak m. Zgierz ze znacznie rozwiniętym przemysłem, a dotykając Łodzi i znajdując się w pośrodku linii kaliskiej, powinien mieć ruch dostateczny, mający wszakże więcej charakter ruchu tranzytowego, aniżeli ruchu własnego, miejscowego. Nakoniec oddział trzeci, od Łodzi do Skalmierzyc, przebiega na przestrzeni 84 wiorst w granicach guberni Kaliskiej, nie posiadającej dotychczas wcale drogi żelaznej. Teraz, dzięki kolei, przedewszystkiem cały okrąg przemysłowy łódzki otrzyma nowy impuls, który udzielić się powinien i Sieradzowi, korzystającemu już z siły rzeki spławnej, Warty. Zbudowanie oddziału kolei z Łodzi do Skalmierzyc ułatwi dostawę bawełny, dowożonej bądź z gub. wewnętrznych, bądź z zagranicy, a przez dowóz węgli kamiennych wpłynie na zniżenie ceny opału, dotychczas ciągle drożejącego, z powodu że lasy w gub. Kaliskiej zajmują już tylko 15% ogólnej przestrzeni. Tym sposobem, na tym ostatnim oddziale kolei kaliskiej, obejmującym powiaty: łaski, sieradzki, turecki, kaliski, wieluński, a w części: kolski i koniński, o przestrzeni 7600 wiorst □, zaludnieniu 700,000 mieszkańców (nie licząc Łodzi), spodziewać się należy ożywienia i wzrostu ruchu towarowego własnego i tranzytowego, a stąd i znacznego wogóle ruchu osobowego. Ten ruch wpłynie najsilniej na rozwinięcie się tego punktu pogranicznego, w którym, oczywiście, załatwiane będą w przyszłości formalności celne tak względem pasażerów, jak względem przewożonych towarów, w którym odbywać się będzie przeładunek towarów z toru szerokiego miejscowego na tor wązki, zagraniczny i naodwrót. Byłoby do życzenia, aby wszystkie te czynności załatwiane były wyłącznie w Kaliszu, aby zatem nie był on pominiętym przy ostatecznem decydowaniu tej sprawy, która z technicznego punktu widzenia wymaga jedynie kilkowiorstowego przedłużenia szyn toru wązkiego, a mianowicie doprowadzenia ich ze Skalmierzyc do Kalisza.

Przystępujemy do szczegółowego rozpoznania jakości i ilości tych ciężarów, które przewożone być powinny drogą kaliską.

Z b o ż e. W ośmiu powiatach, położonych w okręgu kolei kaliskiej, a mianowicie w łęczyckim, łaskim, sieradzkim, wieluńskim, kaliskim, tureckim, konińskim i kolskim, zasiano w r. 1896 ziarna prawie 600,000 czetwerti i kartofli prawie 1,000,000 czet.; zebrano zaś ziarna przeszło 3,000,000 czet. i kartofli blisko 6,000,000 czet. Przyjmując, że jeden człowiek spożywa rocznie 1,5 czetw. zboża w ziarnie i 2,5 czetw. kartofli, że w wyszczególnionych ośmiu powiatach, znajdowało się blizko 1,000,000 ludności, że dla zasiewów, na wyżywienie inwentarza i do gorzelni potrzeba było około 800,000 czetw. zboża w ziarnie i blizko 3,000,000 czetwerti kartofli, i zamieniając miarę objętości na pudy, otrzymamy, że produkcya ośmiu powiatów przewyższała potrzeby spożycia o 14,000,000 pudów. Rok 1896, z którego posiadamy dane, nazwać można jednak zaledwie średnim pod względem urodzaju; w latach zatem urodzajniejszych produkcya, przeznaczona do wywozu po za obręb tych powiatów, przewyższać musi znacznie nadprodukcyę z r. 1896. Z drugiej strony, powiaty pograniczne, wywożące osią swoje nadprodukcye do sąsiednich Prus, zapewne i po zbudowaniu kolei, tą samą, co i dotychczas, drogą, nadmiar zboża usuwać będą; a zatem wnosić można, że z nadmiaru całkowitego 14,000,000 pudów, nie więcej nad 10,000,000 pudów rocznie będzie przewożone nową drogą żel. Średni przebieg tego zboża na nowej drodze wynosić może zaledwie 60 wiorst, co zresztą trudno ściślej określić, ponieważ w miarę większego albo mniejszego dowozu zboża z gubernii cesarstwa do tak ważnego punktu spożywczego, jakim jest np. Łódź, tenże punkt zaopatrywać się będzie, naodwrót, w mniejszą lub większą ilość zboża, pochodzącego z gub. kaliskiej. Mówiąc o przewidywanym ruchu zbożowym na nowej kolei, nie możemy pominąć i tego faktu, że okrąg tej kolei, mając sam rolę w kulturze i produkując nadmiar zboża, niewątpliwie, mimo to, otrzymywać będzie mniej lub więcej znaczne transporty zbożowe, jak: mąkę, kaszę, makuchy, otręby, a nawet i ziarno z innych dróg żelaznych. Opierając się na danych statystycznych, odnoszących się do okręgów, zbliżonych pod względem kultury i produkcyi do gub. kaliskiej, wnosić możemy, że stacye kolei kaliskiej otrzymywać będą corocznie przeszło 1,000,000 pudów zboża, pochodzącego z dalszych okolic państwa, ze średnim przebiegiem, podobnie jak zboże miejscowe, około 60 wiorst.

S p i r y t u s. W okręgu kolei kaliskiej wyrabiać się ma rocznie około 260,000 wiader spirytusu. Z tej ilości Skarb nabywa corocznie około 150,000 wiader; pozostałe zaś 110,000 w. wysyła się, corocznie za granicę—do Hamburga, Szczecina i t. p. Ta ostatnia

ilość przewożona będzie w całości drogą żelazną; z ilości zaś, przeznaczonej na sprzedaż wewnątrz kraju, znaczna część zostanie także zdaną bezwarunkowo drodze żelaznej dla przewozu. Spodziewać się więc można, że droga kaliska otrzyma do przewozu około 120,000 pudów spirytusu z przebiegiem średnim około 50 wiorst.

Drzewo i materyały budowlane drzewne. Wspominaliśmy już, że w okręgu kolei kaliskiej przestrzenie zalesione stanowią zaledwie około 15% ogólnej przestrzeni gruntów. Tak mała ilość lasów przy prawidłowej gospodarce wydaje ilość drzewa, wystarczającą zaledwie na własne potrzeby. Z tego względu nie tylko zakłady przemysłowe, ale i wsie nawet w pogranicznych powiatach korzystają już obecnie z opału węglem kamiennym zagranicznym, szląskim. Z tego powodu trudno przypuszczać, aby nowa kolej przewoziła drzewo opałowe; przewóz zaś materyałów drzewnych, budowlanych nie przeniesie zapewne 600,000 pudów rocznie z przebiegiem średnim około 60 wiorst.

Buraki. Niewątpliwą jest rzeczą, że po zbudowaniu nowej drogi żelaznej istniejące w okręgu cukrownie sprowadzać będą buraki ze znaczniejszych odległości, niż jak to obecnie ma miejsce. Nie jest też wykluczonem powstawanie nowych cukrowni. Gdyby nawet przypuszczenie to nie urzeczywistniło się, to przybliżone obliczenia wskazują, że istniejące obecnie cukrownie wywołają coroczny przewóz około 1,000,000 pudów buraków. Średni przebieg tych transportów wynosić będzie jednak nie więcej nad 30 wiorst.

Cegła i kamienie polne. Budowa kolei wywoła rozwój istniejących cegielni. Rozwój ten, naturalnie, będzie zależał od ogólnego rozwoju przemysłu. Co do tego ostatniego niemożliwe są na teraz jakiekolwiek przewidywania. W każdym razie przybliżone obliczenia wskazują, że nowa kolej otrzymywać będzie corocznie około 5,000,000 pudów cegły i kamieni do przewiezienia na niewielkich, średnich przestrzeniach.

Bydło, konie i trzoda chlewna. Wiadomo, że wywóz bydła rogatego do Niemiec jest obstawiony ustawicznemi trudnościami; ściśle mówiąc, wywóz bydła do Niemiec jest wzbronionym. Taki stan rzeczy nie zachęca wcale hodowców do produkcyi bydła w ilościach większych nad najbliższe potrzeby i dlatego o poważniejszym wywozie bydła z gub. kaliskiej, niema na teraz mowy. Hodowla jednak koni i trzody chlewnej mając zapewniony wielki zbyt bądź do Niemiec, bądź do okręgu przemysłowego łódzkiego, bardzo jest ożywioną, a szczególniej w powiatach pogranicznych. Spodziewać się należy, że droga żelazna pobudzi producentów do

rozwoju hodowli bydła, a przedewszystkiem koni i trzody chlewnej; na teraz jednak przewidywać można, że roczny przewóz bydła rogatego i koni na drodze kaliskiej nie dojdzie do 6,000 sztuk; trzody zaś chlewnej — wyniesie około 35,000 sztuk ze średnim przebiegiem 37 wiorst na oddziale: Warszawa—Łowicz, — 26 wiorst na oddziale: Łowicz—Łódź i 65 wiorst na oddziale: Łódź—Skalmierzyce.

Drób. Hodowla drobiu i wogóle ptastwa domowego bardzo jest rozwiniętą i w większych, i w mniejszych majątkach gub. kaliskiej, ponieważ produkcya ta znajduje chętny pokup i w Łodzi i za granicą. Nie ulega wątpliwości, że droga żelazna ściągnie do siebie wszystkie te transporty. Brak nam w tym względzie danych statystycznych, wszakże przybliżone obliczenia wykazały, że droga kaliska otrzyma corocznie około 300,000 sztuk gęsi do przewozu na przestrzeni średniej około 60 wiorst.

Sól. Cała gubernia kaliska otrzymuje teraz sól wyłącznie z Inowrocławia. Przez Wieruszów, Skalmierzyce i inne punkty pograniczne wwozi się corocznie około 450 wagonów soli pruskiej. Próby przewozu soli donieckiej, a nawet i ciechocińskiej nie były pomyślne z powodu drogiego przewozu końmi w granicach gub. kaliskiej. Czyniono starania, aby sól doniecką przewozić drogą tranzytową na Aleksandrów i Sosnowiec, przez Prusy, lecz starania te nie osiągnęły zezwolenia władz państwowych. Otworzenie drogi żelaznej w gub. kaliskiej wyprze sól zagraniczną. Według obliczeń, dokonanych w r. 1878 przez p. Jana Blocha, spożycie soli średnio na człowieka w Rosyi wynosi 23,6 funta rocznie. Wielkość tego spożycia nieznacznej uległa zapewne zmianie w czasie obecnym, że zaś zaludnienie okręgu Łódź—Skalmierzyce wynosi 700,000 ludzi, spodziewać się więc należy, że przewóz soli na drodze żelaznej w granicach gub. kaliskiej przewyższy 400,000 pudów rocznie z przebiegiem średnim do 60 wiorst.

Cukier. Produkcya cukru czterech fabryk w gub. kaliskiej pokrywa całkowicie miejscowe potrzeby. Z tego względu można przewidywać, że ruch cukru na drodze kaliskiej ograniczy się głównie do tych jedynie ilości, które stopniowo pod wpływem tańszego frachtu i różnych udogodnień odpadną od istniejącego tu oddawna przewozu cukru końmi.

Nafta. Przypuszczając, że przeciętne zużycie nafty w okręgu kolei kaliskiej będzie takie samo, jak w sąsiednim okręgu odnogi aleksandrowskiej kolei wiedeńskiej, — otrzymamy, że kolej kaliska będzie miała do przewozu około 270,000 pud. nafty corocznie z przebiegiem średnim 68 wiorst.

Wapno i kamień wapienny. W okręgu kolei kaliskiej niema pieców do wypalania wapna, ani wogóle łomów kamieni wapiennych. Wapno więc, niezbędne dla potrzeb budowlanych i przemysłowych (fabryki cukru), dostarczane będzie drogą żelazną z punktów dalszych. Przewóz tego produktu przewiduje się na oddziale: Warszawa—Łowicz w ilości około 360,000 pud. rocznie z przebiegiem średnim 37 w.; na oddziale: Łowicz—Łódź — około 180.000 pud. rocznie z przebiegiem średnim 26 w. i na oddziale: Łódź—Skalmierzyce — około 570,000 pud. rocznie z przebiegiem średnim 68 wiorst. Co do przewozu kamienia wapiennego, przybliżone obliczenia wykazały, że przewóz roczny na oddziale: Warszawa—Łowicz dosięgnie 164,000 pud. z przebiegiem średnim 46 wiorst; na oddziałe: Łowicz—Łódź dojdzie do 65,000 pud. rocznie z przebiegiem średnim 26 w. i na oddziale: Łódź—Skalmierzyce 300,000 pud. rocznie z przebiegiem średnim 80 wiorst.

Cement. Gubernia kaliska zaopatrywaną była dotychczas przeważnie w cement zagraniczny, w nieznacznych wogóle ilościach. Po otworzeniu drogi żelaznej średni przewóz cementu powinien wyrównać średniemu przewozowi na odnodze aleksandrowskiej. Z tych przypuszczeń wynika, że oddział: Warszawa—Łowicz otrzyma rocznie około 250,000 pud. cementu z przebiegiem średnim 37 w.; oddział: Łowicz—Łódź 110,000 pud. z przebiegiem średnim 26 w. i oddział: Łódź—Skalmierzyce 410,000 pud. z przebiegiem średnim 66 wiorst.

Rudy, glina ogniotrwała i kamienie budowlane. Ponieważ w okręgu kolei kaliskiej niema zakładów, wytapiających żelazo, przeto przewóz rudy żelaznej na teraz nie przewiduje się wcale; przewóz zaś gliny ogniotrwałej i kamieni budowlanych może mieć miejsce w ilościach nieznacznych, dla potrzeb miejscowych i w ruchu miejscowym.

Żelazo surowe. W okręgu oddziału: Łódź—Skalmierzyce znajdujemy fabryki wyrobów z żelaza, a mianowicie: w Kole i w Kaliszu, na oddziale więc kolei kaliskiej z Łodzi do Skalmierzyc spodziewanym jest przewóz żelaza surowego w ilościach około 120,000 pud. rocznie z przebiegiem średnim 90 wiorst.

Żelazo w sztabach. Z powodu drożyzny dowozu osią większa część gub. kaliskiej otrzymuje dotychczas żelazo z zagranicy. Jedynie tylko miejscowości, położone na wschód od linii idealnej: Koło—Sieradz, mają żelazo, dostarczane z fabryk okręgu kieleckiego i dąbrowskiego. Kalisz i jego okolica potrzebują rocznie około 240,000 pud., tę więc już ilość na pewno otrzyma droga że-

lazna, a nadto te ilości żelaza, które obecnie przewożą się osią do Koła i Sieradza. Tym sposobem całkowita ilość żelaza w sztabach, przewożona na oddziale: Łódź -Skalmierzyce, wyniesie około 560,000 pud. rocznie z przebiegiem średnim 90 wiorst.

Nawozy sztuczne. Intensywne gospodarstwo rolne, prowadzone w majątkach ziemskich gub. kaliskiej, wymaga znacznych ilości nawozów sztucznych, które dotychczas dla braku dogodnych komunikacyi sprowadzano wyłącznie z zagranicy. Stosownie do zebranych wiadomości, przez różne punkty pograniczne gub. kaliskiej sprowadzano dotychczas corocznie około 240,000 pud. nawozów sztucznych. Taka sama prawie ilość nawozów sztucznych dla okolic, położonych w pobliżu istniejących dróg żelaznych, a mianowicie do stacyi: Pniewo, Kutno, Łódź i Piotrków, dowożoną jest też corocznie. Wnosić można, że obiedwie te ilości nawozów sztucznych pozyskane zostaną dla drogi żelaznej. Z uwagi jednak, że takich nawozów, jak: saletra chilijska, guano i żużle Thomas'a, nie produkują dotychczas fabryki krajowe, — ruch wyszczególnionych tu nawozów otrzyma kierunek od Skalmierzyc, t. j. od granicy do wnętrza kraju; ruch zaś nawozów, produkowanych w Warszawie i Łowiczu, jak: superfosfaty, kość, gips i inne, otrzyma kierunek odwrotny od wnętrza kraju ku granicy. Wogóle spodziewać się można, że ogólna ilość nawozów sztucznych, przewożona na oddziale: Łódź—Skalmierzyce, dojdzie do 500,000 pud. rocznie z przebiegiem około 58 w. Ruch ciężarów tych na pozostałych dwu oddziałach kolei kaliskiej powinien być zbliżony do średniego ruchu tych ciężarów na drodze wiedeńskiej.

Len. Miejscowości, należące do okręgu kolei kaliskiej, produkują dostateczną ilość lnu dla potrzeb drobnego przemysłu wiejskiego. Z powodu braku w tymże okręgu fabryk, zajmujących się przędzeniem lnu, produkt ten dowożony nie będzie z okolic dalszych i dlatego przewóz lnu na drodze kaliskiej nie jest przewidywany.

Bawełna. W okręgach oddziałów: Warszawa—Łowicz i Łowicz—Łódź drogi kaliskiej niema przędzalni bawełny; uwzględnimy więc prawdopodobny ruch bawełny wyłącznie na oddziale: Łódź—Skalmierzyce. Wprawdzie w Ozórkowie i w Turku są przędzalnie bawełny, fabryki te jednak otrzymują oddawna bawełnę surową zagraniczną drogą na Gdańsk i Włocławek, ze st. Ostrowy, skąd bawełna przewozi się końmi, przez Łęczycę do Ozórkowa i do innych miejscowości, a nawet i do Łodzi. Co się tycze oddziału: Łódź—Skalmierzyce, to na oddziale tym znajduje się ważny punkt przemysłowy: Zduńska-Wola. Do tamtejszych przę-

dzalni bawełny, jak również do przędzalni w Łodzi i Pabianicach, sprowadzane są obecnie znaczne transporty bawełny surowej zagranicznej, dochodzącej kolejami pruskiemi do różnych punktów pogranicznych, a stąd końmi do fabryk. W ten sposób Łódź otrzymuje bawełnę taniej, niżby to miało miejsce przy przewozie drogą żel. na Sosnowiec, albo na Aleksandrów. Łódź otrzymuje np. z Wieruszowa około 300 wagonów bawełny rocznie. Te wszystkie transporty bawełny przejdą w Skalmierzycach na drogę kaliską, a wynosić one będą około 300,000 pud. rocznie z przebiegiem średnim około 95 w.

W e ł n a. Fabryki sukna w Kaliszu, Opatówku i Łodzi używają do fabrykacyi wyłącznie wełny cienkiej, której produkcya w okręgu oddziałów: Łowicz—Łódź i Łódź—Skalmierzyce nie jest dostateczna. Część pewną wełny cienkiej, z okolic najbliższych fabryki sukna otrzymują i otrzymywać będą wprost końmi. Pozostałą ilość, zakupioną bądź z produkcyi w okręgu oddziałów drogi kaliskiej, bądź na jarmarku w Warszawie, — otrzymywać będą odtąd fabryki za pośrednictwem drogi żel. Na oddziale: Warszawa—Łowicz spodziewany jest przewóz 22,000 pud. rocznie z przebiegiem średnim 37 w.; na oddziale: Łowicz—Łódź — 14,000 pud. rocznie z przebiegiem średnim 25 w. i na oddziale: Łódź—Skalmierzyc 30,000 pud. z przebiegiem średnim 85 w.

W ę g i e l k a m i e n n y. Z całego szeregu spraw ekonomicznych, związanych z eksploatacyą drogi kaliskiej, najważniejszą jest sprawa dostarczenia odpowiedniej ilości węgli kamiennych, krajowych, niezbędnych dla potrzeb zakładów przemysłowych oraz na opał dla mieszkańców gub. kaliskiej. Widzieliśmy już, jak małą przestrzeń lasów posiada gubernia kaliska. Racyonalne gospodarstwo leśne nie może zatem pokryć wymagań ludności i przemysłu.

Wiadomo, że całkowita ilość krajowego węgla kamiennego pochodzi z zagłębia Dąbrowsko-Sosnowieckiego, znajdującego się w południowo-zachodnim zakątku powiatu Będzińskiego, przeciętego dwiema kolejami: Warszawsko-Wiedeńską i Iwangrodzko-Dąbrowską. Węgiel krajowy najlepszych nawet marek nie daje się koksować i nie jest odpowiednim do otrzymywania gazu oświetlającego; przeto w tych przypadkach, w których własności węgla krajowego nie są odpowiednie, uciekać się musimy do węgla zagranicznego, nie wytwarzającego w tym względzie węglowi krajowemu szkodliwej konkurencyi. Nad węglem krajowym węgiel doniecki ma przewagę na 25% pod względem siły cieplikowej. Pod względ-

dem konkurencyjnym najgroźniejszym jednak i, jak dotychczas, jedynym przeciwnikiem węgla krajowego nie jest węgiel doniecki, zadaleko od nas znajdujący się i mający zapewniony stały zbyt na całą wydobywaną produkcyę w swym okręgu najbliższym, lecz węgiel szląski. Zbadanie porównawcze wartości cieplikowej, kosztów produkcyi na miejscu, kosztów przewozowych, celnych i innych dodatkowych da nam wskazówki, które wyjaśnią, czy możliwem będzie obsługiwanie przemysłu i mieszkańców gub. kaliskiej węglem krajowym w tych wszystkich wypadkach, w których jego własności cieplikowe i inne są w zupełności wystarczającemi.

Dotychczas dla potrzeb Kalisza i okolicy przewożono corocznie przez Skalmierzyce i przez Pleszewo około 7,500 do 8,700 wagonów 610-cio pudowych węgla kam. szląskiego. Węgiel szląski obsługuje więc nie tylko Kalisz i najbliższe fabryki, jak np. fabrykę sukna w Opatówku i cukrownię w Zbiersku, ale nawet, przewożony końmi po drogach szosowych, wychodzących z Kalisza, dochodzi z jednej strony do Turku i Koła, a z drugiej do Błaszek i Sieradza. Sądzić należy, że głównem zadaniem drogi kaliskiej powinnoby być usunięcie tej anomalii. Zobaczmy.

Możliwość zaopatrzenia w węgiel kamienny całkowitego okręgu oddziału: Łódź—Skalmierzyce kolei kaliskiej, zależną być musi od następujących czterech czynników:

a) od ogólnej wydajności węgla w zagłębiu Dąbrowsko-Sosnowieckim wobec stałego, a bardzo znacznego corocznego wzrostu zużycia węgla;

b) od ceny węgla krajowego na miejscu produkcyi w porównaniu z ceną węgla szląskiego również na miejscu produkcyi;

c) od wysokości opłaty celnej i różnych opłat, ustanowionych przy załatwianiu formalności, towarzyszących przejściu węgla przez granicę, i

d) od kosztu przewozu węgla krajowego do różnych stacyi kolei kaliskiej w porównaniu z kosztami przewozu węgla zagranicznego przy pośrednictwie dróg żelaznych pruskich.

Rozpoznajmy bliżej te cztery czynniki:

a) co do ogólnej wydajności krajowych kopalń węgla, praca inżyniera Kondratowicza wykazuje, że produkcya zagłębia dąbrowsko-sosnowieckiego wzrasta corocznie. Produkcya ta, wynosząca np. w r. 1872 zaledwie 11,5 miliona pudów, zatrudniająca 1,345 robotników i 18 maszyn parowych o sile 710 koni parowych, — podniosła się po upływie lat dziesięciu, t. j. w r. 1882, do 84 przeszło milionów pud. przy 6,443 robotnikach i 97 maszynach parowych

o sile 5,496 koni. Po upływie następnych lat dziesięciu, t. j. w r. 1892, mamy już prawie 176 milionów pud. węgla, 11,302 robotników, 191 maszyn parowych o sile 16,143 koni. Rok 1896, ostatni w obliczeniach p. Kondratowicza, wykazuje przeszło 223,5 milionów pud. produkcyi z liczbą 13,452 robotników, 320 maszyn o sile 19,877 koni. O ile wiadomo, ten sam olbrzymi postęp wykazuje rok 1897 i 1898, a zapewne i ubiegły 1899. Czy stanęliśmy już jednak u kresu? Czy produkcya lat ostatnich była już owocem maksymalnego wysiłku? Nic nas nie upoważnia do odpowiedzi twierdzącej. Owszem, uważając rozwój dotychczasowy za normalny, spodziewamy się, że w dobrze zrozumianym własnym interesie właścicieli kopalń węgla i zgodnie z rozwojem potrzeb ekonomicznych siła produkcyjna kopalń krajowych nie zatrzyma się, lecz i nadal wzrastać będzie. W pomoc dotychczasowej produkcyi przychodziła jeszcze ta część dowozu węgla szląskiego, która dowożoną była nie dlatego, że węgiel krajowy nie posiada, jak wiemy, pewnych własności fizycznych i chemicznych, lecz dlatego, że koszt dostawy węgla szląskiego wypadał niżej w niektórych wypadkach od kosztu dostawy węgla krajowego. Byłoby więc do życzenia, aby produkcya własna krajowa pokrywać mogła te wszystkie potrzeby krajowe, które nie wymagają węgla o specyalnych własnościach. Dowóz węgla szląskiego, wynoszący w r. 1883 przeszło 30 milionów pud., pod wpływem wzrostu opłaty celnej zaczął zmniejszać się tak znacznie, że w r. 1892 wynosił już tylko nieco więcej nad 5 milionów pud. Zawarcie konwencyi handlowej z Niemcami w r. 1894, zmniejszające o 50% opłatę celną, odbiło się zaraz bardzo wyraźnie na wzroście przywozu węgla szląskiego. W r. 1896 przywóz węgla szląskiego przewyższa 13 milionów pud., a w r. 1897 przez sam tylko punkt pograniczny sosnowiecki przewieziono więcej, niż 17,5 miliona pud. Z tego zestawienia widzimy, że zwiększenie produkcyi krajowej jeszcze o 2 do 5% dawałoby już i ten węgiel, który zastępowany jest obecnie przez węgiel szląski;

b) co do ceny węgla krajowego i szląskiego na miejscu produkcyi, to zbadanie porównawcze cen węgla szląskiego i krajowego w kopalniach należy do kwestyi bardziej złożonych. Węgle, wydobywane z kopalni, dzielą się stosownie do długości średnicy pojedyńczych odłamków na kilka gatunków. Na Szląsku liczba ich w niektórych kopalniach dochodzi do jedenastu. Wobec tego zastanowimy się tylko nad cenami węgli grubych. Stosunek cen węgla innych gatunków powinien wyrównywać stosunkowi, jaki wypadnie dla cen węgli grubych. Nieznaczne różnice w wartościach

krajowe i szląskie posiadały te same własności fizyczne i chemiczne, a przedewszystkiem cieplikowe, to jakakolwiek jeszcze poprawka w naszym rachunku nie byłaby potrzebną. Tak jednak nie jest. Studya specyalne okazały, że siła cieplikowa węgli szląskich jest prawie ściśle o 10% wyższą od siły cieplikowej węgli krajowych. Wobec tego objawu porównywać musimy koszt wagonu na miejscu węgli szląskich o własnościach przeciętnych wagi 610 pud., czyli 10,000 kilogr., z kosztem wagonu na miejscu węgli krajowych również o własnościach przeciętnych, wagi 671 pud., czyli 11,000 kilogr. Przechodząc teraz do wynalezienia kosztu wspomnianych dwu wagonów węgla, zwrócić musimy jeszcze uwagę na tę okoliczność, że podczas gdy kopalnie krajowe ustanawiają jedną, stałą cenę na każdy gatunek węgla, kopalnie szląskie przeciwnie ustanawiają specyalne, niższe ceny na każdy gatunek węgla przeznaczonego do wywozu zagranicę. Jeżeli zatem przyjmiemy tę niższą cenę dla węgla szląskiego, to otrzymamy (przy zamianie marek niemieckich na ruble, po kursie przeciętnym: 1 marka = 46,25 kop.), że w r. np. 1897 koszt średni 11,000 kilogr. węgla grubego krajowego, był wyższym od kosztu średniego 10,000 kilogr. węgla grubego szląskiego o 3 rub. 45 kop;

c) co do wydatków na cło i na formalności na granicy, powstrzymywać mające napływ węgla zagranicznego, to te wynoszą ogółem 9 rub. 85 kop. od wagonu z ładunkiem 10,000 kilogr., czyli 610 pud. węgla zagranicznego. Wydatek ten ma naturalnie wpływ dodatni przy ustanawianiu opłaty konkurencyjnej dla przewozu węgli krajowych;

d) przystępujemy w końcu do zapoznania się z czynnikiem czwartym, t. j. z kosztami przewozu węgli kamiennych do różnych punktów kolei kaliskiej przy pośrednictwie dróg miejscowych i zagranicznych. Taryfa przewozowa na przestrzeni dróg pruskich od kopalni na Szląsku do Skalmierzyc niepomiernie jest wysoką, z powodu, że odnoga kolejowa prywatna z Ostrowa do granicy w Skalmierzycach, długości przeszło 16 kil., pobiera 12 marek od wagonu z ładunkiem 10,000 kilogr. węgla, gdy tymczasem za przestrzeń przeszło 190 kil. od kopalni do Ostrowa drogi rządowe pruskie pobierają wraz z opłatami dodatkowemi niecałe 52 marek od takiegoż wagonu. Te względnie wysokie opłaty przewozowe stanowiłyby czynnik ujemny dla konkurencyi węgla szląskiego z krajowym; przewidywać jednak należy, że z chwilą otworzenia drogi kaliskiej odnoga prywatna pruska z Ostrowa do Skalmierzyc zostanie

upaństwowioną, wskutek czego opłata przewozowa od węgli z kopalni na Szląsku przez Ostrów do Skalmierzyc według jednej dotychczasowej zasady za całą przestrzeń obliczona, — poważnej ulegnie obniżce.

Mając już te dane, spojrzeć musimy na mapę, by zastanowić się nad kierunkiem przewozu węgli krajowych na linię kaliską. Najkrótszym kierunkiem będzie tu, oczywiście, kierunek drogi wiedeńskiej, przez Koluszki i Łódź; przewóz ten jednak wymaga bardzo kosztownego przeładunku, odbywanego prawdopodobnie w Koluszkach, do wagonów szerokich. Mamy jeszcze i drugi kierunek, nie wymagający przeładunku, a mianowicie: z Sosnowca drogi iwangrodzko-dąbrowskiej przez Skarżysko-Koluszki-Łódź. Kierunek ten jednak wymaga przedewszystkiem znacznego zwiększenia taboru i wogóle zwiększenia siły przewozowej na drodze iwangrodzko-dąbrowskiej. Gdyby wymaganiu temu stało się zadosyć, co ze względu na przejście drogi tej pod administracyę rządową bardzo ułatwionem zostało, to znów kierunek na Skarżysko, jako dłuższy o 111 wiorst, musiałby zadawalniać się bardzo obniżoną, zasadniczą opłatą przewozową, ponieważ ogólna opłata przewozowa musiałaby tu być zawsze w zależności od opłaty na kierunku krótszym, drogą warszawsko-wiedeńską, — opłaty, zwiększonej tylko o jednorazowy koszt przeładunku. Widzimy więc, że na przestrzeniach dróg krajowych znajdują się dwa kierunki, współubiegające się o zdobycie transportów węgli, przeznaczonych na drogę kaliską. Kierunek krótszy, przez drogę wiedeńską z przymusowym jednorazowym przeładunkiem będzie musiał liczyć się wyłącznie z kierunkiem zagranicznym: stosownie zatem do stacyi przeznaczenia, bliższej lub dalszej od granicy, Skalmierzyc, zmuszony będzie więcej albo mniej obniżyć opłatę. W okolicach st. Sieradz obiedwie opłaty t. j. zagraniczna i krajowa wypadają już wyrównane, czyli przewóz do stacyi przed Sieradzem będzie mógł odbywać się na podstawie taryf normalnych. Kierunek dłuższy, na Skarżysko, wygrywający tylko wydatek przeładunkowy, zmuszony będzie, jak wspominaliśmy, ponieść bardzo znaczny, bo wielomilionowy, jednorazowy wydatek na wzmocnienie siły przewozowej, a następnie zgodzić się na obniżkę, dochodzącą do 50%, czyli do połowy opłaty zasadniczej, która wypadła dla kierunku krótszego, a to we wszelkich relacyach i nie stosując w żadnej kombinacyi swojej taryfy normalnej.

Przybliżone obliczenia wskazują, że oddział: Warszawa-Łowicz drogi kaliskiej otrzyma rocznie około 1,400,000 pud. węgla z przebiegiem średnim 37 wiorst; oddział: Łowicz-Łódź żadnych prawie

przewozów węgla mieć nie będzie, i nakoniec, oddział trzeci: Łódź-Skalmierzyce otrzyma rocznie około 10,000,000 pud. węgla z przebiegiem średnim 90 wiorst.

Dla wyczerpania tak ważnej sprawy, jak zaopatrzanie w węgiel całego okręgu kolei kaliskiej, wypada tu nadmienić jeszcze, że połączenie kolejowe Częstochowy z Sieradzem np. dałoby możność przewozu węgla krajowego na kolej kaliską kierunkiem najkrótszym, a zatem i najtańszym, co podniosłoby tembardziej dobrobyt ogólny ekonomiczny nietylko w okręgu kolei kaliskiej, lecz nadto i w martwym obecnie okręgu przyszłej kolei z Częstochowy do Sieradza.

Towary tranzytowe. Wspominaliśmy już, że kierunek linii kaliskiej nie znajduje się na tak zwanym szlaku magistralnym, prowadzącym z zachodu na wschód. Linia kaliska więc dla ruchu międzynarodowego, tak towarowego, jak i osobowego, większej wagi mieć nie będzie; punkty zaś graniczne drogi wiedeńskiej: Sosnowiec i Aleksandrów, utrzymają dotychczasowe swe znaczenie przy wymianie towarów i przewozie pasażerów w komunikacyach bezpośrednich międzynarodowych. Linia kaliska dla ruchu jedynie z Wrocławiem i Saksonią a Warszawą stanowić będzie kierunek najkrótszy; ale wymiana towarów pomiędzy tymi punktami nie ma wcale ożywionego charakteru, — wspominamy więc tu o tym niewielkim, spodziewanym ruchu tranzytowym tylko dla całości obrazu.

Pozostaje nam jeszcze wspomnieć o spodziewanym ruchu miejscowym, pasażerskim na kolei kaliskiej. Ruch ten, co do ilości, związanym jest z ilością ruchu towarowego, jako będący prostem następstwem tego ostatniego. Bywa inaczej, ale tylko na kolejach, zbudowanych wyłącznie dla pewnych potrzeb ruchu osobowego. Kolej kaliska przerzynać będzie kraj gęsto zaludniony i ekonomicznie już teraz bogaty. Przewidywany ruch normalny, towarowy, jak powyżej wykazaliśmy, przyniesie stosowne dochody; pasażerowie zaś, wzorując się np. na danych z drogi wiedeńskiej, przyniosą nowej drodze przynajmniej $^1/_5$ tego dochodu, jaki przyniesie ogół towarów.

Z powyższego treściwego wyszczególnienia ciężarów, których przewóz odtąd zwrócić się powinien na kolej kaliską, widzimy, że okrąg tej kolei dla braku tak dogodnego, jak droga żelazna, środka komunikacyjnego, zmuszonym jest załatwiać bardzo wiele potrzeb ekonomicznych zagranicą. Sprowadza się stamtąd: węgle, nawozy,

żelazo, cement, sól i t. d., produkujące się albo wydobywane na miejscu, w kraju. Z drugiej strony, gdy już i teraz gubernia kaliska wysyła za granicę: zboże, spirytus, konie, trzodę chlewną, drób i t. p., z chwilą przeto otworzenia kolei wytwórczość wielu przedsiębiorstw przemysłowych, krajowych powiększyć się musi, aby zadość uczynić zwiększonemu naturalnemu zapotrzebowaniu. Możemy zatem słusznie twierdzić, że znaczenie ekonomiczne kolei kaliskiej będzie dla stosunków miejscowych ze wszech miar dodatnie.

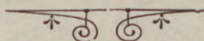
Dominik Wretowski.



„ŻYDZI“

Obraz dramatyczny, osnuty na tle prześladowań Żydów

w połowie XIV wieku.



„Wielka zaraza morowa, rozszerzywszy śmiertelność w całem Królestwie Polskiem, nie tylko Polskę, ale i Węgry, Czechy, Danię, Francyę, Niemcy i wszystkie niemal kraje chrześcijańskie i barbarzyńskie srodze spustoszyła. A gdy niektórzy domyślali się, że takową klęskę zrządzili Żydzi przez zatrucie powietrza jakimś zabójczym jadem, w wielu miejscach mordowano ich, palono, wieszano; niektórzy bojąc się dostać w ręce chrześcijan, sami siebie, swoje żony, synów, córki i krewnych zabijali; w kilku tylko prowincyach, gdzie z łakomstwa dla pieniędzy dano się im okupić, ocaleli“.

Długosz, tom III, str. 216 i 217. Wyd. A. Przeździecki.

Rozniosły się też wieści, że król Grenady, mszcząc się za klęski, doznane od chrześcijan, namówił Żydów i trędowatych, którzy za sprawą dyabła mór i trzęsienie ziemi sprowadzili. Krwawe wyroki wyszły na podejrzanych, zapłonęły stosy, na których tysiące ofiar padło. W samem miasteczku Chinau jednego dnia 160 Żydów spłonęło. Mężczyźni i kobiety niejednokrotnie z uśmiechem i pieśnią wesołą sami się w ogień rzucali, matki mordowały dzieci własne, nie chcąc żeby je chrzczono. (Michelet. Hist. de France. Livre V. ch. 5). Od południowych krańców Europy szły tłumy Żydów, dążąc z pod miecza pod miecz, ze stosów na stosy. Przekroczywszy granice Węgier, wstąpiły do Polski, gdzie gościnność i opiekę znalazły. Tę chwilę prześladowaaia i wstąpienia na ziemię Piastów opiewa niniejszy poemat. Ezechiel jest przedstawicielem idealnej strony

narodu, wierzącym w zwycięstwo cnoty i prawdy. Roboam, złamany cierpieniem i przewrotnością świata, widzi tylko moc brutalną pięściowej siły, przeciw której podstęp i zdrada, poparte złotym kruszcem, walczyć są w stanie. Roboam zwycięża, zwycięstwo idei Ezechiela — w przyszłości.

DZIEŃ PIERWSZY.

NAD WISŁĄ.

Noc. — Las — w głębi połyskują fale Wisły. -- Gdzieniegdzie płoną ogniska — a koło nich tłumy Żydów: mężczyzn, niewiast i dzieci. Jedni siedzą z załamanemi rozpacznie rękami, inni stoją, szepcąc modlitwy, tu i tam płacz słychać lub jęk krótki. Pod rozłożystymi konarami dębu, z lutnią u nóg, siedzi wsparta o dłoń Estera, na kurhanie, w środku tłumu, ojciec jej, Ezechiel, przewodnik ludu, — niżej Jonatan, z brwią zmarszczoną i czołem schylonem; koło niego o twarzy wstrętnej Roboam, z założoną prawą ręką za pasem, okiem nienawiści patrzący na Ezechiela. Szelest wiatru miesza się z płaczem tłumu.

Ezechiel. Dość jęków, płaczu i łkań!..
Po należną łaski dań
Nie od dziś wygnańcze głosy,
Krwawe łzy, lamentu wrzaski,
Przez chmury i sine powietrze
Do Boga drą się w niebiosy.
Kogo zechce Pan — to zetrze
I przemieni tego w pył —
A wichr te pyły poniesie
Przez morza i pustyń piaski...
I zaginie ślad, gdzie był —
Na Jehowy zawołanie
Ziemia stanie, słońce stanie,
Trąb powietrznych zabrzmią chóry,
Ruszą gwiazdy, jak upiory,
I rozprysną w tysiąc brył.
Kogo zechce Pan — to zwali,
Kogo zechce — to podniesie;
Wyprowadzi z głębin fali

Nowe światła i kolory,
I nieznanej woni kwiaty —
Milion nowych gwiazd zapali
I zbuduje nowe światy! — —
...Jutro — staniemy u celu.

Głosy. Dokąd wiedziesz, Ezechielu?

Roboam. Ja zaś pytam: dokąd gnasz
Słów swych biczem i — tłum w szale
Idzie, patrząc w twoją twarz...
Umęczony — !

Ezechiel. Dalej!...

Roboam (z przekąsem). Dalej! —

Jonatan. Na lud ten spójrz, proroku!
Na połamane ich ręce,
Nie łzy, lecz krew w ich oku
I nie wesela rumieńce
Legł smętny u stóp kurhanu,
Jak upiór grobu — krwawy..
Nie tknął językiem strawy,
Ust nie nachylił do dzbanu.
Czy lud ten dzisiaj wytrzyma
Nowe pociski burz?...
Słuchaj! on wyje, że niema
Na niebie Boga już!

Głosy. Jehowo — gdzież Ty, Jehowo?!

Ezechiel. Przeklęty, kto bluźni Panu,
Nie Izraela to twór!

Głos I. A głód?

Głos 2. A śmierć?

Głos 3. A mór?

Roboam. A twoje obietnic słowo?

Jonatan. Lud mówił, patrząc na ciebie:
Ty arka nasza, ty droga!...
I wierzył w Boga na niebie
I szukał na ziemi Boga.
Przechodził morza i góry,
Proroctwem słów twych spowity,
Na ziemi spotkał — tortury,

Powiały pustką błękity.
Czyliś ty w księgach nie czytał
O mękach swojego ludu?
Czy tobie dziś już nieznane
Serca, boleścią zszarpane,
I wiara wielka w moc cudu,
Gdy każdy nowy kraj witał? —
Mamże przypomnieć te dzieje,
Jak gnał nas przez rózgi Pan?
Mam żar ci przytknąć do ran,
Aż pierś twa bólem nabrzmieje,
Skroń strachu opłynie potem,
I wiary runie dom —
Serce uderzy, jak grom,
I pęknie z łoskotem?...
Więc, jeśli siłę masz,
Stań mi tu twarzą w twarz —
Słuchaj łamiących słów,
Czyś gotów?

Estera (wstaje szybko). Zamilknij!..

Ezechiel. Mów!

(Estera siada, zasłaniając twarz szatą).

Jonatan. Patrz na te zbolałe tłumy,
Wejdź w serca, bólem stargane —
Przepatrz nieszczęściem zbłąkane,
Rozbite męką rozumy —
A kląć nie będziesz, gdy w stropy
Niebios bluźnierstwem uderzy,
Gdy Boga rzuci pod stopy,
A w Belzebuba uwierzy!

Z łez rubinami na oczach,
Z ran niezgojonym koralem,
Opuścił on Jeruzalem,
Opuścił arkę przymierza,
Grób Abrahama i Sary,
Opuścił wszystko—prócz wiary.
I długo błądził w omroczach,
Aż ujrzał Tagu wybrzeża.

Lat wiele żył w tej krainie,
Przeszłych bólów niepamiętny —
Cierpiący dawniej i smętny,
Teraz uśmiechem słoneczny,
Cichy dzień jutra nakryślał,
O łzach zapomniał i myślał,
Budując Panu świątynie,
Że tu odnalazł raj wieczny.
Wtem straszliwe nawałnice
Z gór Pirenejskich powiały —
Pękły mieczów półksiężyce,
Przyszedł mór, i śmierć, i trwoga,
A wichrowe huragany
Wnętrzności ziemi targały...
Bój zagrzmiał, jakby szatany
Waliły w niebie tron Boga.

Kto mór ten przyniósł?... Kto kazał
Uderzyć wichrom w pierś ziemi? —
Ten, co przed laty dawnemi
Krwią Chrystusową się zmazał.
Ten lud, co, niby opoka,
Przy Abrahama stał wierze,
Ten twór ohydny, to zwierzę.
Ten tłum, na sercu kaleki,
Który nie uznał przed wieki
Galilejskiego proroka—
Tak!—Żyd był winien! —On w stropy
Niebios truciznę wyzionął;
On w jedną swoją pierś wchłonął
Całe powietrze Europy, —
Więc jęknął głucho miecz kata — —
Ponad głowami naszemi
Śmierć płaszcz rozwiała szeroki...
I wyszły krwawe wyroki
Z oblicza zetrzeć nas świata! —

I znowu hańbą okryty,
Z dawno zapomnianym żalem,
Z przekleństwa wieczystem piętnem,
Z sercem skrwawionem i smętnem,

W łachmanach nędzy żebraczej,
Szedł lud ten z krzykiem rozpaczy —
... Tak mścił się Ten, przez nas zabity
Na górze za Jeruzalem! —

Czy ty pamiętasz to słońce,
To niebo, po którem łuny,
Jak złote węże drgające,
Niby Lewiatana skrzydła,
Niby upiorne straszydła,
Sunęły z chmurzysk taborem,
Z płonących naszych ciał stosów?...
O! dla mnie było upiorem,
Ubranym w krwawe całuny,
To wielkie, to jasne słońce!

Czyś już zapomniał tych głosów
Przerażające lamenty?...
Ten krzyk okropny, przeklęty,
Co leciał z wiatru falami
Z ciał, pękających w płomieniu?..
O! krwawy obraz tej męki,
Krzyk tych boleści, i jęki,
I zgrzyt, męczeństwem wydarty,
Ja w swojej piersi kołyszę...
I widzę ten obraz i słyszę
Krzyk ten! —

A tam — nad nami,
Na krwawem niebios sklepieniu,
Trzema ramiony rozparty
Stał krzyż!...

Jam myślał, że zlecą
Straszne anioły mściciele
Niszczących pożarów falą —
I wielkie ognie rozniecą
I gromy wielkimi spalą
Te ludy!...

Głos Żyda. Ja straciłem Rachelę!

Głos Żydówki. Ja tam widziałam krew Judy!

(W tłumach jęki i łkania).

Jonatan. Znów lud ten... Nie! — To upiory
Czerwone, jak zbrodni sny! —
Szedł, płacząc straszną żałobą,
Szedł, jak za gwiazdą, za tobą,
Pełen męczeńskiej pokory,
Bo gwiazdą byłeś mu — ty!

Jak rzeki wydęte fale
Wichrowych skrzydeł pociskiem —
Z gromu szelestem i błyskiem,
Boleścią krwawy i pjany,
Szedł na wybrzeża Sekwany,
Bo ty kazałeś iść dalej.

Gdzie ty nas wiodłeś?... My chcieli
We łzach się własnych rozpłynąć,
Utonąć w krwi własnej topieli —
Nie, jak szatani—przeklęci,
Lecz czyści, biali i święci,
Na ustach z imieniem Jehowy
Pod miecz dać serca i głowy,
W proch się zamienić — i zginąć.
Bo zrozpaczona ta rzesza,
Zwątpiwszy o mocy cudu,
Chciała pierś cisnąć na noże —
Bo długim wężem za sobą
Widziała ognie płonące,
Słyszała jęków tysiące
I krew szumiącą, jak morze...
Aleś ty stanął wśród ludu,
Jak slup ognisty Mojżesza,
Proroczą szatą okryty — —
Pierś nie rozpękła ci żalem
Ani nabrzmiała żałobą —
Kazałeś — lud szedł za tobą...
... Tak mścił się Ten, przez nas zabity
Na górze za Jeruzalem!

Gdzie Elba toczy nurt złoty,
Gdzie Ren Jordanem się wyda —
Gdzie z krzów, okrytych zielenią,
Brylantem spada sok winny, —
Wierząc, że losy się zmienią,
Że świat powita go inny,
Tułacze rozbił namioty,
Zaśpiewał psalmy Dawida
I pokłon uczynił Panu
Za życia skończone trudy —
I myślał, że znalazł tam ludy
Białe, jak śniegi Libanu.
I cóż?... Kat ręką zbrodniczą
Z ciał naszych usypał kurhany...
I patrz!... Te nasze łachmany,
Na synagog zgliszczach zdarte,
Patrzą, jak rany otwarte,
O naszem męczeństwie krzyczą!
Tam — pośród więziennych ścienic
Kleszcze pęt i tortur koła
Gniotły pierś tego narodu...
A krwawe piętna na czoła?
A codzienny zgrzyt szubienic?
A mór — z głodu?...
A dzisiaj skąd nas los goni,
Ten prześladowca bez końca? —
Gdzie Bóg?.. Czy w chmurach ukryty
Zbył się potęgi? czy strzały
Piorunów jego stępiały,
Że nie grzmi, jak dawniej grzmiał?...
Słuchaj! echami rozbity
W powietrzu jeszcze krzyk dzwoni
Wymordowanych tysiąca.
Ziemia Arpadów bogata,
Kochanka słońca,
Cud świata,
Prochom pobitych ciał
Nie dała nawet mogiły...
Jęki zginęły w przestrzeni,
Po ziemi rozwiał wiatr pyły,

Tylko na bruku stolicy,
Niby w wielkiej łzawicy,
Krew się koralem czerwieni.
A myśmy naprzód szli
Z ufnością, proroku, w ciebie — —
Po nowych wiar pogrzebie,
Po nowem wylaniu krwi —
Z modlitwą na ustach, łzą w oku,
Z sercem, jak marmur, białem—
Szliśmy za tobą, proroku,
Męczeńskiem ścieląc się ciałem.
I cały przeszliśmy świat,
I świat zaleliśmy cały.
Co z łez tych, mąk i strat,
Co z serc, rozdartych w kawały?
Gdzie twoje słowa są wieszcze,
Że błyśnie twarzą nam Bóg? —
Krwi naszej mało ci jeszcze?
Chcesz nowych próbować dróg?
I dzisiaj... O! nie marszcz brwi,
By na nas cisnąć przekleństwem,
Ty byłeś naszem męczeństwem
I morzem naszej krwi — —
Tyś wzbronił piersi rozdzierać
I rzucać serca o głazy...
Raz jeden my chcieli umierać,
Ty nam kazałeś dwa razy!

Tłum. Śmierci! śmierci...

Ezechiel (do tłumu). Z czyjej piersi
Padł strasznego krzyk pragnienia?
Ja słyszałem hyen wycia,
Gdy w potworny kłąb się ścieśnią —
Słuch mój tonął w lwów poryku,
Ale przy tym śmierci krzyku
Wrzask zwierzęcy byłby pieśnią!
Życia! — wołam — życia! życia!..

Tłum. Rabbi! Rabbi!...

Ezechiel. Na bezdroża,

W nieprzejrzany mrok zwątpienia
Wiodą was prorocy źli!...
Kto rozdzielił fale morza,
Byście suchą stopą szli,
Wyciągnięci w długi sznur?.
Czy słyszeliście głos z chmur
Na Synai, który grzmiał,
Gdy przed Panem Mojżesz stał,
Zapatrzony w boską twarz,
Głos ten: „Jam jest Pan Bóg wasz?..."
Kto przed wami szedł i walił
Hukiem trąb mury Jerycha,
I Chanaan oddał pola
Pod waszych pługów żelaza?...
A Babilońska niewola?
A Faraonów zaraza?
A pierworodnych śmierć cicha?...
Bóg ojce wasze ocalił,
I teraz On cud uczyni:
Jak Daniela z lwiej jaskini,
On was wydrze losów fali.
Wierzcie, wierzcie w moc Jehowy —
Miłosierny On i wielki!
On liczy każdej kropelki
Krwi serdecznej uderzenie —
Każda łza, każde westchnienie,
Które wam się marnem wyda,
Na jego zaważą szali.

Głos 1. Nie wstanie Gedeon nowy!

Głos 2. Skruszył się miecz Dawida!

Ezechiel (wznosząc ręce w niebo). Jehowo! czy za cierpienie
Długich lat — za łzy, co płyną,
Za ciągłe rany i blizny
Tym, co nie mają ojczyzny,
Będzie nagrodą jedyną
Zwątpienie?...
Mężowie! z ust waszych strąćcie
Słowa rozpaczy szkaradne —

Może tam gdzieś w piersiach leżą
Serca milczące, co wierzą
I pójdą naprzód w spokoju —
Wy cichego wiary zdroju
Dźwiękiem trwożnych słów nie mąćcie!

Wstań! wstań z prochu, ludu boży,
Niech cię nowy znój nie trwoży,
Niech niemęski wstręt ofiary
Nie zabija w jutro wiary
I potrzebnych sił nie słabi — —

Tłum. Ratuj, Rabbi! ratuj, Rabbi!

Ezechiel. Jeśli gdzieś, na krańcu ziemi,
Nie znalazłszy portu -- stanę...
Jeślim gnał was naprzód, precz,
I obłąkał tak bez celu,
Lepszej doli niosąc wieści —
Jeśli nowy grom boleści
Nową ranę zada wam:
Miecz nadstawcie — na ten miecz
Ja uderzę piersią sam! —
Znak to będzie, Izraelu,
Że się spełnił los — —
Pójdziesz wtedy w ślady moje
Na śmiertelny stos;
Rzucisz głazem w pierś proroka,
Co tu trzymał straż — —
Niechaj z ciosów tych — opoka
Spojrzy Bogu w twarz.
Lecz, dopóki nocy czarnej,
W której niema gwiazd promienia,
Cień nie pada; póki tchnienia
Piersiom stanie, póki bicia
Sercom stanie; chciejcie życia,
Nie żałujcie krwi ofiarnej! —

(Zwraca się do jednego z Żydów).

Judo! daj mi miecz swój w ręce....

(Bierze miecz i przebija dłoń sobie).

Ot, widzicie — trysła krew!..
Ja was moją krwią tą święcę
I odganiam niebios gniew.
Mocą, daną mi od Pana,
Precz odpędzam czarną noc — —
Łzy stężałe, krew przelana
Nową sercom dadzą moc,
Mesyasz blizki... odkupienia
Blizki... blizki czas — —

Głosy. Rabbi! wierzym w moc natchnienia —
Idziem — prowadź nas!

Ezechiel. Przebiegliśmy świat półkolem,
Kres już drogi niedaleki...
Ludu biedny, zmruż powieki,
Śpij, zmęczony wieków bolem!.
Z promieniami jutrzni złotej
Wielki hymn zanucim Panu,
Nowy wdziejem strój i do tej
Rzeki, do jej fal wydętych
Wstąpim z pieśnią, jak do świętych
Naszych wód Jordanu!..

Roboam. Gdzie nas wiedziesz, Ezechielu,
Prowadzony gwiazdą złą?

Ezechiel. (Wskazuje w dal). Kędy błyszczy gród Wawelu,
Gniazdo Piastów! —

Jonatan. A tam — co? —
Może nowych pragnień głód,
Powtórzony dawny ból?..

Ezechiel. Może jaki wielki cud —
Może jaki wielki król!..

Jonatan. A gdy się ten lud zatrzyma
Nad świeżymi męczarń ślady? —
Jeśli anioł nieszczęść blady,
Nie dający piersiom tchu,
Nagle twarz uchyli z cienia,
Krzycząc głosem przerażenia:
„Nie opuszczę was i tu!”,
Gdy ten krzyk: „nadziei niema!”
W straszne echo się rozszerzy,

Wichrem wzleci, w twarz uderzy —
Gdy kamieniem cię przewali
Obraz tortur, znany już —
Gdy nie będzie dróg iść dalej,
To co wtedy?...

Estera. (Powstając). Pierś na nóż!

Ezechiel. Ale tylko mężnie, dumnie
Pierś otwierać, kłaść się w trumnie —

Estera. Lecz nim przyjdzie serc rozbicie,
Chwytać życie, wierzyć w życie!

Jonatan. Znów się łudzić i bez końca
W łono głazów czołem bić...
W noc iść ciemną —

Ezechiel. Dojść do słońca —

Roboam. Wylać resztę krwi —

Estera. I żyć!

Roboam. Niebywałe wieścisz dziwa
I porządek zmieniasz praw;
Wszak umarły nie ożywa,
Nie mówimy Piekłu: zbaw!

(Do ludu).

Idźcie, męką nieugięci,
I weselny nućcie śpiew —
Idźcie czyści, biali, święci,
Jak cheruby z górnych stref;
Choć się wzmaga sił omdlałość,
Biją zewsząd gromy burz:
Wierzcie w cnotę i serc białość
I zwycięstwo wzniosłych dusz!
Ale złudzeń czas przeciecze —
Jutro — zguby zagrzmi dzwon.

(W tłumach szmer.)

Ezechiel (do Estery). Uderz w lutnię!

Roboam (do ludu). Ostrzcie miecze —
Jedną macie noc — na skon!

Estera (schodzi ze wzgórza. Do Roboama). Kruku czarny! a skąd [ty
Wiesz o przyszłej dnia kolei?..

Czy prorocze jakieś sny,
Nieowite w blask nadziei,
Nawiedziły cię w godzinie,
Gdy modlitwą świętych słów
W niebo biegłeś?!. Skąd wiesz?.. mów!
Kłamstwo z ust twych płynie.
...Milczysz?.. Tyś nie boży mąż,
Co upadłe dźwiga duchy,
Mocą woli rwie łańcuchy
I przoduje ludom wciąż.
Zły proroku — stań tu sam!
Niech słów twoich błyskawica
Ciemne olśni nam rozumy —
Bierz chorągiew, prowadź tłumy
I wskaż, w jakiej nieba stronie
Złota gwiazda przewodnica
Nad nieznaną drogą płonie —
Wskaż ją nam!

Roboam. Miałem siłę!.. Lecz on zwiódł
Te niesforne tłumy. Lud
Poszedł za nim. Krwi ofiara
Nie przyniosła nic mu w zysku
Oprócz zguby i ucisku...
Z drogocennych pereł czara
Dana była do wypicia
Śmierci — lecz nie życia.
Miałem siłę!.. Nie w serc dumie,
Nie w gołębiej skrytą duszy —
Ale w lisim tym rozumie,
Co się czołga, pełza, siada,
Później wstaje i napada
I potęgę lwią w proch kruszy.
Miałem siłę — i to pewną,
Której ostra stal jest krewną,
Bo się gnie — wypręża — zwija,
Męczy — łamie... i zabija!
Taką siłę wąż posiada,
Co otwarte wciąż ma oczy,
Wyostrzony zdradą słuch —
Co po piersi traw się toczy
Cicho, jak podstępu duch. .

Lecz tych wszystkich sił koroną,
Co, tryumfem jaśniejąca,
Ma odkrytą wiecznie twarz —
Jedna jest — czy ty ją znasz?
Ona ziemską zmienia bryłę,
Przed potęgą jej świat — pył! —
Pytam: znaszże ty tę siłę
Wszystkich sił?
Wydało ją ziemi łono,
Otoczyło blaskiem słońca...
Zanią kupisz cześć u świata,
Miłość ludzi, choć pozorną —
Zmienisz pyszną twarz w pokorną,
Władzę Boga ma — i kata!
Kłam zasieje, zedrze wstyd,
Granitowe skruszy skały —
Z tą potęgą tylko — Żyd
Świat zdobędzie cały.
Ją posiadłszy, zgniotę pychę,
Prawom ludzkim dam obrożę —
Na sumienia sędziów liche
Niezerwane pęta włożę.
I do rodzin wejdę skrycie
I zamącę spokój dusz,
I w pierś wśliznę się, jak nóż,
Badać żywe krwi tam bicie.
Przez talizman ten zdobyty
Tysiąc naraz serc zahaczę —
Wstyd niewieści, srom ukryty,
Wpółzrodzoną myśl zobaczę.
Bez złud żadnych i omamień
Ujrzę wtedy kwietną błoń —
Jak wam miękki będzie kamień,
Aksamitną każda dłoń.
I niedawno przygnieciony
Hardą stopą, czerw' ohydny:
Jak dąb, stanę pyszny, widny
I monarsze zajmę trony.
Oto siła wszechmogąca,
Która wszystko w proch roztrąca...
A ofiary chce nie z krwi —

Tylko z dumy, z błahej czci —
Która woła: „Serce wraz
Przemień...”

Estera. W głaz!

Roboam. Nie w otwarty, spiesz się bój —
Ale —

Estera. Truj!

Roboam. Czy wiesz, co to?

Estera. Szatan — duch wichrzyciel... złoto!

Roboam. A! z człowieka Boga czyni,
Jak żar, pali, — tnie, jak miecz — —
Cóż mi, białych serc władczyni,
Powiesz?

Estera. Precz!

(Mierzą się wzrokiem. Roboam, nie mogąc wytrzymać spojrzeń Estery, cofa się i kryje się w tłum).

Ezechiel (do Estery). Zwyciężył wzrok twój jasny... Na dziś
Być możesz o lud swój spokojną.
Lecz znam go dobrze! — To ryś,
Co, gdy się w skoku pomyli,
W zapędzie swoim zna miarę,
I, patrząc, jak łup ucieka,
Wraca na miejsce — i czeka,
By potem z siłą podwójną
Na nową skoczyć ofiarę.
To gad, co żrący jad wciska
W krople miodowe, na szali
Ważąc moc jego, — to żmija,
Co skrycie karku nadyma,
Nim skoczy, truje oczyma
I pierwej wejrzeniem pali,
Oślepi, do trwogi zmusi —
Potem pierścienie rozwija,
Misterne węzły zaciska
I dusi!...
Dziś lud mój gotów kamieniem
W pierś moją rzucić, żem zwalił
Straszne bożyszcze Baala;
Żem błoto wymiótł, co wala,

I jednem zagasił tchnieniem
Tlejące śmiecie, co cuchnie,
Lecz w jasny płomień nie buchnie,
A drzewo cedrowe zapalił;
Żem kazał spoistym wieńcem
Iść w ognie stosów ohydne —
Żem zmusił czoło bezwstydne
Jasnym zapłonąć rumieńcem.

Patrz! czysta, piękna — jak cichy
Sen im osłonił źrenice...
O, módl się! niech robak lichy,
Co pełza nędznie, w kał włazi,
Na tronie serc ich nie siada —
Módl się!... niech raczej śmierć blada
Snem bez przebudzeń porazi! —

(Odchodzi na bok, szepcąc modlitwy. Księżyc podnosi się, oświetlając łagodnie postać modlącej się Estery).

Modlitwa Estery. Boże Abrahamów, Izaaków, Jakubów!
Wysłuchaj mojej modlitwy, przyjm ofiarę ślubów
Z młodości i pragnień serca. Jadła ni napoju
Nie dotknę, póki z czoła ich nie zetrę znoju,
Póki piersi tych biednych, może pełne grzechu,
Nie wydadzą westchnienia lekkiego oddechu.
Jak gołębica, co chce moc wichrów przesilić,
Odparta — walkę wznawia, nie przestając kwilić —
Tak głos słaby nieść będę w nieba, burzą grzmiące,
Aż Cię znużę kwileniem, i pokażesz słońce.
Zeszlij męża wielkiego, co, Tobą natchniony,
Tych śpiących ojcowskiemi utuli ramiony —
Zeszlij męża takiego! — Ja mu róż kobierce
Podścielę; — zechce serca — ja mu oddam serce;
Rozkaże proch z nóg zmiatać — służebnica licha,
Ja czołem proch zamiotę pokorna i cicha.
Jeżeli troski wielkie skronie mu obarczą,
Na siebie ciężar wezmę: puklerzem i tarczą
Stanę się i zcałuję ból łzawem spojrzeniem,
Pomocą będę jemu i jego natchnieniem.
A w chwilach gniewu, jeśli nieprzytomny prawie
Na kogo cios wymierzy — ja barki nadstawię

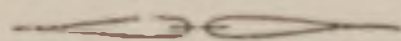
I przyjmę raz na siebie i twarz mu pokażę
Szczęśliwą i spokojną... I ja się odważę
Stanąć przed nim, gdy z jego ust wyrok wypadnie
Śmierci i krwi — i zmuszę, że on się pokładnie
Na pierś moją i cichą myśl wyczyta z czoła,
I znowu dobrych marzeń zawezwie anioła.
Zbaw lud mój!.. Gdy z Twej woli w pierś mu rzucą noże,
Daj moc wytrwania — i bądź błogosławion, Boże!
Jeśli ciosów dotkliwych nie będzie znieść w stanie,
To śmierć mu ześlij — i bądź błogosławion, Panie!
A jeżeli go ręka wielkich nieszczęść zmoże,
I ma cierpieć — wciąż cierpieć!.. Ojców moich, Boże!
Odgoń tę myśl odemnie, bo dusza w obłędzie
Uderzy w jęk rozpaczy, w krzyk — i nie posiędzie
Nieba Twego, choć w prochu zatarza się czołem,
I... gdy stanie przed Tobą — nie stanie aniołem! —

(*d. c. n.*)

Kazimierz Gliński.



RUCH ARTYSTYCZNY.



Dalszy ciąg impresyonizmu w malarstwie. — Krzykliwość kolorytu. — Rysunek stylizowany. — Chełmoński oraz pp. Pankiewicz, Weiss, Fałat, Malczewski, Włodzimierz Tetmajer, Mehoffer, Wyspiański, Axentowicz, Ślewiński, Stanisławski. Wystawa szkiców i portretów p. Wyczółkowskiego.

A więc „precz z rzeczą samą w sobie — precz z realizmem w sztuce! Nie o drzewo, nie o kamień, nie o wodę, nie o człowieka w obrazie chodzi, ale o wrażenie, jakiego artysta na widok tego człowieka, tej wody, tego kamienia, tego drzewa w danej chwili i w danych warunkach doznał. Bryły i kształty nie są godne uwiecznienia na płótnie. Malarz, szanujący indywidualność swoją i swoją rękę, będzie odtąd utrwalał w sztuce wrażenia ulotne swej duszy i objawe przelotne wszechistnienia". Tak brzmi paragraf francuskiego kodeksu impresyonistycznego — i malarze nasi poddali mu się niewolniczo.

Możnaby napisać traktat cały na temat, czy „malarstwo polskie, jako szkoła, jako odłam jednorodny wielkiego pnia sztuki swojskiej, istnieje?" To pewna, iż na indywidualnościach potężnych lub wyraźnych nie zbywa nam wcale. Przedewszystkiem Matejko — twórca postaci i wskrzesiciel dusz, poeta epicki przeszłości;

następnie Grottger — poeta bólu i grozy, indywidualny w wyrazie, ogólnikowy w kształtach; tuż obok niego Maksymilian Gierymski — poeta krajobrazu polskiego i liryk w kolorycie; dalej Rodakowski — malarz brył, ożywionych wyrazem, portrecista skończony w rysunku i w modelacyi barw; dalej Kossak — gawędziarz szlachecki i ilustrator obyczajów; potem Brandt — ilustrator rapsodów rycerskich; potem Siemiradzki — epigon pseudo-klasyków, wyhodowanych w akademii na wzorach starożytnych; dalej Chełmoński — obserwator genialny życia i charakteru zwierząt; wreszcie Aleksander Gierymski — kolorysta prawdziwy, wielbiciel zapalony barwności obrazów i plastyki przedmiotów. Lecz co oni mają z sobą wspólnego? Czy technikę, czy formę, czy może wyraz lub nastrój obrazu? Żadnej cechy wspólnej — żadnej łączności duchowej. Każdy za siebie, każdy na swoją rękę, każdy z innej szkoły, z pod innego znaku! Tak — ale ci przynajmniej są jednostkami w poezyi i czemś w swojej sztuce; to zaś, co malarze dzisiejsi, tak zwani urzędowo impresyoniści czy moderniści, chcą przekazać potomności, nie jest ani poezyą, ani sztuką. Twórczość ich z jednej strony nie ma nic wspólnego z kulturą swojską, z drugiej zaś jest ona zaprzeczeniem tradycyi sztuki na zachodzie. Nie stanowią oni ani dalszego ciągu z malarzami, którzy dali początek sztuce polskiej, ani ogniwa naturalnego w łańcuchu ewolucyi artystycznej na gruncie kultury europejskiej. I, jeżeli tamci byli przedstawicielami przygodnymi sztuki, która u nas nistąd nizowąd rozkrzewiła się bujnie, acz powierzchownie, to ci są c o m m i s - v o y a g e u r s'ami mody, która zrodziła się na gruncie paryskim, tak plennym w ziarno sztuki i w chwasty dziwactwa.

Przed dwudziestu mniej więcej laty powstała tam całkiem nowa sztuka. Wymyślili ją dekoratorowie, malarze szyldów, a zapoczątkował jakiś fabrykant zapałek szwedzkich. Na oddzielnych słupach, na ścianach domów, na murach i na parkanach umieszczono afisze olbrzymich rozmiarów, malowane trzema barwami surowemi — czerwoną, zieloną i fioletową — które, wzajem się dopełniając, tworzyły koloryt niezmiernie jaskrawy. Dodać przytem należy, iż na takim afiszu, jeżeli kobieta była czerwona, to tło miało barwę zieloną, a jeżeli tło było czerwone, to kobieta miała cerę twarzy fioletową, a szatę zieloną i t. d. Nic przykrzejszego dla oka nad ten koloryt dziki, jaskrawy, krzyczący. To też dzienniki i publiczność wytworna oburzyły się zrazu; lecz kupcy i przemysłowcy nie posiadali się z radości, gdyż głosy oburzenia stanowiły tylko dla nich reklamę pożądaną. Afisze, dzięki połączeniu barbarzyńskiemu

barw, spełniały zadanie swoje znakomicie: widać je było zdaleka. Wkrótce oczy publiczności przyzwyczaiły się do harmonii rozdźwięcznej kolorytu; krytycy i dziennikarze machnęli ręką i... koloryt barbarzyński afiszów przeszedł z ulicy do salonów sztuki — wprost przeciwnie, niż było dawniej, kiedy to sztuka z świątyń i pałaców przechodziła do sklepów galanteryjnych i na ulicę.

Lecz na takiem tle nie można umieszczać postaci, odtworzonych w kształtach rzeczywistych. Koloryt fałszywy nie godziłby się z rysunkiem, wzorowanym na naturze. Przypominałoby to nazbyt ilustracye z książek, kolorowane naiwnie przez dzieci. Stąd początek rysunku stylizowanego, wzorowanego na sztuce japońskiej, w której kształty postaci ludzkich, zwierzęcych i roślinnych ujęte są w linie fantastyczne i posiadają tylko jakiś jeden rys szczególny ruchu czy układu, jakieś jedno znamię charakteru czy usposobienia jakąś pierwocinę typu — stąd potwory wyobraźni zamiast obrazów rzeczywistości, stąd alegorye i symbole, mające w obrazach zastąpić pospolitość rzekomą malarstwa realistycznego.

Jeżeli chodzi o głębię i rozległość pomysłów, to — w stosunku do jakiegoś Shakespeare'a, Michała-Anioła, czy Beethoven'a — utwory dzisiejsze są płodami maniaków, wydymających ziarnko piasku do rozmiarów globu ziemskiego; jeżeli chodzi o subtelność wyrazu, to — w stosunku do jakiegoś Leonarda da Vinci, jakiegoś Byrona czy Chopina — utwory dzisiejsze są płodami neurasteników, utożsamiających ból zęba z wszechbólem ludzkości: w jednym portrecie Leonarda da Vinci, w jednej pieśni Byrona, w jednym nokturnie Chopina mieści się więcej smutku i marzeń, cierpień i radości, niż w całej produkcyi nowoczesnej, z której, mimo jęki szlochania, krzyki i wycia rozpaczne, gdyby je ścisnąć mocno, nie pociekłaby może ani jedna łza szczera.

Jeżeli chodzi o formę, to — w porównaniu z twórcami dawniejszymi, stosującymi konwencyonalne środki techniczne do nastroju dzieł — płody dzisiejsze są w najlepszym razie arcydziełami sztuki wirtuozowskiej, cackami artystycznemi, figlami zręcznie cyzelowanemi, nie zaś postaciami żywemi ducha czy duszy artystów.

Perła powstaje z fizycznego cierpienia mięczaka. Niezawodnie artyści dzisiejsi, tak samo, jak i dawniejsi, cierpią bądź fizycznie, bądź moralnie; płody ich jednak nie są perłami sztuki: zadużo w nich ambicyi wygórowanej, ubiegania się o znamię szczególne oryginalności, a zamało szczerości wyrazu, wylewu samorzutnego uczucia.

Słuchając tej muzyki, opartej na przykrych dla ucha kombinacyach tonów i harmonii; czytając te poematy, błahe w treści, a sztuczne w formie; patrząc na te obrazy, dziwaczne w rysunku i kolorze, pozbawione prawdopodobieństwa obserwacyi, a zawiłe w kompozycyi, doznaje się wrażenia, jakgdyby sztuka nie kwiatem cywilizacyi, nie rozkoszą ducha, nie wzmysłowieniem jakiegoś piękna idealnego być miała, lecz odzwierciadleniem brzydoty, krzykiem nerwów, podrażnionych boleśnie, koroną cierniową życia moralnego. Ale bo też dzieła dzisiejsze, jeżeli w dodatku drobiazgi dziełami nazwać się godzi, poczęte są raczej w mózgu chorym, niż w sercu, krwią ociekającem, raczej w przystępie halucynacyi, wywołanej podnietą sztuczną, niż w stanie natchnienia samorzutnego.

To, co malarze krakowscy, przybrawszy sobie Chełmońskiego na prezesa honorowego, wystawiają w Krakowie i Warszawie, nie jest ani sztuką, ani malarstwem. Wprawdzie w katalogu trzeciej wystawy tak zwanej „S z t u k i" wymieniono osiemdziesiąt tytułów, lecz na wystawie, poza czwórką bałagulską Chełmońskiego, która, jak się wyrwała z „Salonu paryskiego" przed dwudziestu laty, tak do dziś oblatuje bezskutecznie, choć z hałasem, wszystkie stolice świata i nie może nigdzie utknąć na stałe, niepodobna było dopatrzyć się obrazów, jako tako interesujących. Mniejsza już o rozmiary płócien, boć sztuki nie mierzy się na łokcie kwadratowe, lecz te wszystkie malowidła to szkice karykatur i karykatury szkiców, w których widać bądź kilka kresek, splątanych w kształcie figur ludzkich, bądź kilka kleksów kolorowych, przypominających barwy roślin i kwiatów. Dobre to w pracowni, jako notatka pomysłu czy obserwacyi; lecz na wystawie publicznej śmieszy tylko lub razi. Nikt nie jest obowiązany domyślać się obrazu w bohomazie podmalowanym ani kompozycyi skończonej w szkicu odręcznym, a malarze dzisiejsi dzielą się z publicznością swojemi i m p r e s y a m i , lecz ich nie tłómaczą. Symbolizm czy impresyonizm nowoczesny to ćwiekopismo, które, gdyby rzecz warta była zachodu, odczytywaćby należało z kluczem objaśniającym znaki w ręku. A przytem nowoczesność tej sztuki polega na łataninie sposobów: znak zapytania w treści, japońszczyzna w układzie postaci na jednym planie, neo-bizantynizm w rysunku sztywnym, bo zakrzepłym w ruchu, i neo-gotyzm w ukolorowaniu surowem płaszczyzn.

Kto jak kto, lecz Chełmoński, jakkolwiek daje swoje obrazy na wystawę „S z t u k i", do tej grupy malarzów nie należy. Ma on s w o j ą technikę, s w ó j punkt widzenia, s w ó j sposób odczuwania natury, s w o j ą indywidualność.... Jest to talent tak nie-

zwykły i tak wielostronny przy swojej indywidualności czysto polskiej, iż należy mu się odrębne miejsce w sztuce, a więc i w krytyce sprawozdawczej.

Jeżeli chodzi o mistrzostwo techniki, lecz niezależnie od indywidualności artysty, to jedyną rzeczą, godną nazwy obrazu, na „Trzeciej wystawie Sztuki", był „Portret" p. Józefa Pankiewicza. Co prawda na jednem i tem samem płótnie portret matki jest traktowany tecznicznie inaczej, jak portret dziecka, tam niby Tycyan, odczuwający najdelikatniejsze odcienie barwy złotej na płaszczyźnie gładkiej, tu zaś niby Aleksander Gierymski, doprowadzający światłocieniem bryłowatość ciała do krańców wypukłości łudzącej, tam przygotowanie tonu na palecie, tu zaś wmalowywanie farby w farbę na płótnie. Bądź jak bądź, jednak czuć w tem rękę malarza, władającego pędzlem po wirtuozowsku, który potrafi skryć szwy roboty w jednej przynajmniej postaci. Niema w tem obrazu, gdyż każda figura żyje dla siebie i mówi za siebie, lecz obie żyją i obie mówią. A przytem p. Pankiewicz ma poczucie koloru. Wprawdzie obraz cały nie jest utrzymany w tonie jednolitym danego oświetlenia, lecz obie figury, każda na swój sposób, dobrze odstają od tła— i to dzięki modelacyi odcieni koloru, nie zaś jaskrawości niebywałej farb.

Jeżeli chodzi o indywidualność artysty, lecz niezależnie od techniki, to jedyną osobistością, wyróżniającą się z pośród otoczenia, jest p. Wojciech Weiss. Wystawił on trzy malowidła, traktowane szkicowo, bo na tem polega g e n i u s z m o d e r n i z m u, lecz świadczące wymownie o talencie młodego artysty. Są to istotne studya, w których czuć, iż artysta bądź czegoś szuka dokoła siebie, bądź coś z siebie chce wyłonić.

I te dwa portrety — mężczyzny i niewiasty — na jednem płótnie, nie zgrupowane w liniach kompozycyi, szare w kolorze, nie modelowane w tonie, płaskie i krzywe w kształtach, lecz opromienione wyrazem indywidualnym twarzy, a drgające życiem wewnętrznem,— i to „studyum" kobiety młodej, z pod której powiek przymkniętych przeziera spojrzenie lubieżne,— i ten obrazek, licho skomponowany, a zatytułowany: „Pokusa", w którym młoda dziewczyna naga, z piersiami zbyt wydatnie kulistemi, układa wargi do szeptu miłosnego, czy też do pocałunku namiętnego, a chłopiec-chudziątko, pacholę nagie, oburącz zasłania sobie uszy — to objaw temperamentu artystycznego p. Weissa. Ma on poczucie rysunku, ześrodkowującego się w wyrazie twarzy, ma poczucie życia, tętniącego pod powłoką zewnętrzną rzeczy, ma poczucie koloru i miąższości

ciała nagiego. Zamało w tem powściągliwości artystycznej, a zadużo folgi temperamentu, szukającego ujścia w przesadzie linii pokręconych i w nadmiarze barwności, to prawda; lecz jest to jedyny objaw talentu indywidualnego, który się uzewnętrznia nie w środkach i sposobach sztuki wirtuozowskiej, lecz w wyrazie uczucia. Widocznie p. Weiss szuka sobie drogi. Pytanie tylko, czy ją znajdzie w tem otoczeniu, jakie przedstawia obecnie krakowska szkoła sztuk pięknych, która, o dziwo, wbrew zasadzie powszechnej, na całym świecie stosowanej, zamiast być twierdzą tradycyi i dogmatów estetycznych, jest przystanią dziwactw, zwanych szumnie nowymi prądami, i.... mody. A jednak dobrzeby było, aby p. Weiss drogę sobie znalazł. Życzyć mu tego należy, choćby z uwagi na poczucie wyrazu, jakie już posiada; — wyrazu bowiem w sztuce nie osięga się bezdusznem jedynie naśladownictwem czy to natury, czy to cudzych środków technicznych, czy też maniery z drugiej ręki: na to potrzeba mieć talent, potrzeba mieć duszę. Lecz talent bez szkoły, bez kultury—to tylko o s o b l i w o ś ć w sztuce.

Pan Fałat, obecny dyrektor krakowskiej szkoły sztuk pięknych, akwarelista, ilustrator scen myśliwskich, rysownik zręczny, lecz ogólnikowy, i kolorysta suchy, dał kilka w i d o c z k ó w, malowanych farbami wodnemi Nie interesujące to w treści, niedbałe w rysunku a brudne w kolorze. Jedynie drobny szkic olejny p. t. „Widok górski” dobrze świadczy o oku malarza. Stopniowanie farb – zielonej i niebieskiej — utrzymane jest w tonie; kolorytowi ogólnemu, mimo przeciwieństwo barw, nie zbywa na harmonii, a perspektywie powietrznej na przejrzystości i głębokości. Szkoda tylko, iż ta notatka z natury nie pozostała w pracowni artysty, jako materyał do obrazu skończonego.

Pan Jacek Malczewski, profesor krakowskiej szkoły sztuk pięknych, którego obrazy dawniejsze odznaczały się więcej pomysłowością przedmiotu, niż zaletami malarskiemi, nie zyskawszy obecnie nic na technice, zabija widzowi ćwieka w głowę zagadkami psychologicznemi. Dawniej były to jakieś wizye poetyczne lub fantastyczne, jakieś ilustracye charakterystyczne dramatów literacko interesujących. A dziś?

Jego „Żółta lilia” przedstawia wnętrze pracowni malarskiej, odpowiednio godłami udekorowanej. Malarz wątły, pozbawiony miąższości, malowany powierzchownie, bez modelacyi tonu, płaski, z oczami zamkniętemi, leży na wznak, jakby rozpięty na szczeblach schodków malarskich, oparty głową o krawędź stołu. Ponad nim, na poziomie górnego szczebla, ciągnie się leniwie, ru-

chem kocim postać rzekomo fantastyczna, a w gruncie rzeczy pospolita, zlepiona z kawałków. Sfinks nie sfinks, gryf nie gryf, symbol nie symbol — postać ta to nie płód wyobraźni, szukającej kształtów w świecie nadzmysłowym, lecz zlepek mechaniczny ciała kobiecego do pasa, tułowia tygrysicy od pasa i skrzydeł ptasich na ramionach, a wszystko odtworzone i traktowane r e a l i s t y c z n i e. Ani śladu w tem jakiegoś szału wyobraźni, jakiego porywu fantazyi. Wszystko odrysowane dokładnie, choć twardo z modelki i modelów zwierzęcych i wszystko wykolorowane sumiennie, jak w atlasach zoologicznych. Głowa kobiety, dobrze modelowana, z twarzą czerwoną, znamionującą zdrowie fizyczne, lecz pospolicie zmysłową i gminną w wyrazie, zwrócona jest wprost na widza, jak księżyc w pełni. Natomiast tułów tygrysicy czy pantery, bo trudno oznaczyć gatunek tego drapieżnika, ciągnie się bokiem. Ma ona pazury tak ostre i tak silnie podgięte, że przez to samo już nie mogłaby chodzić po ziemi. A przytem, co za proporcya kształtów! Toć, gdyby ta postać dziwaczna, stanąwszy odrazu na czterech łapach, chciała zbliżyć się do owego malarza, prawdopodobnie ofiary swojej zmysłowości, to musiałaby po drodze wykonać kilka śmiesznych skoków kangura, gdyż zad jej, wraz z łapami, jest co najmniej dwa razy wyższy, niż przód. Szczęściem, ani chodzić, ani łazić ona nie potrzebuje. Zaopatrzona w parę skrzydeł wielkich, metalicznie połyskliwych, pewnie papuzich, bo odznaczających się mieszaniną koloru zielonego i niebieskiego, może w danym razie.... fruwać. Oto co się nazywa fantazya bez fantazyi!

A „Żółte lilie?" — Są... są... To pęczek kwiecia, zatknięty w kufel gliniany na stołku z boku. I na tem koniec szarady filozoficzno-zoologiczno-botanicznej. Dawniej mawiało się o takich płodach wyobraźni: „ni pies, ni wydra — zielone". Dziś sentencyę trzebaby rozszerzyć: „ni kobieta, ni papuga, coś nakształt tygrysicy — żółta lilia".

Pan Włodzimierz Tetmajer umiłował nie tyle naturę, ile życie wiejskie. Nie jest to poeta krajobrazu, lecz ilustrator etnografii. Ani śladu w tem sielankowości, uspasabiającej widza do marzeń poetycznych. Chłopi są grubi i brudni — kobiety brzydkie i niezdarne. Nie zbywa im na charakterystyce dosadnej rysów, na znakach szczególnych, ani też na żywości ruchów — to prawda; lecz nie interesują oni, jako typy. A przytem każdy obraz p. Tetmajera razi kolorem fałszywym w tonie. Nazywa się to traktowaniem impresyonistycznem efektów świetlnych. Zapewne — ta

barwa granatowa cieniów, leżących lub plączących się pod nogami „Żeńców”, jak płachty ciężkie, ma swoje usprawiedliwienie w przeciwstawności złotego blasku słońca, i na takie malowanie cieniów w pełni światła, bez zachowania wartości względnej tonów, możnaby się zgodzić. Lecz skąd powstaje fiolet kolorytu przy oświetleniu sztucznem w obrazie, przedstawiającym wnętrze chaty? Scena śpiewania „kantyczek” pod względem charakterystyki wyrazów i ruchów jest wyborna. Czuć tu obserwatora bystrego, który chwyta w lot rysy i znamiona indywidualne osobników, widzi, jak ci ludzie siedzą, stoją, myślą, żyją, śpiewają, i doskonale to rysunkiem oddaje. Lecz obraz w kolorze jest na wskroś fałszywy. Takiego tonu fioletowego, przy świetle lampki czy świecy, otrzymać nie można. Zresztą rozkład światła w izbie, wskutek wzajemnego na siebie oddziaływania refleksów, jest inny, jak w szczerem polu, gdzie światło słoneczne rozpierzcha się po całem przestworzu i po całej powierzchni. Widać, iż p. Tetmajer *z zasady* tylko, aby wywołać wrażenia barwności niezwykłej, *przeniebieszcza* obrazy. Słowem jest to rysownik wyborny, indywidualizujący wyraz i ruch, lecz kolorysta słaby, zadawalający się efektami, uznanymi za dobre, bo modne, a nie odczuwający barw miejscowych przedmiotu popod tonem ogólnym światła.

Pan Józef Mehoffer posiada talent upotworniania przedmiotów. Jego typy są ideałami brzydoty w kształtach i wyrazie, a rysunek jest tak gruby i ogólnikowy, iż o podobieństwie osób portretowanych przesądzać niepodobna. Przypomina to nieco naiwność malarzy średniowiecznych, zdobiących szyby okien kościelnych postaciami, na poły fantazyjnemi, na poły realistycznemi, których kontur obwiedziony jest nadto listwą ołowianą. Dobre to w jakimś wieku XIII i na szybach okien kościelnych, jako transparenty barwne, lecz śmieszne w końcu wieku XIX-go, kiedy sztuka posługuje się efektami światłocienia, a widz przygląda się obrazom w salonie zblizka.

Pan Wyspiański hołduje modzie stylizowania przedmiotów. Według przepisu nowego, ludzie, zwierzęta, drzewa, rośliny, kwiaty nie mają swoich kształtów indywidualnych, lecz jakąś cechę szczególną, która daje początek owalowi, zygzakowi litery *S*, symbolowi nieskończoności ∞, i t. p. Przytem kwiaty stylizowane — przeważnie kosaćce (*Iris*) i lotusy — podobne są do kobiet, a kobiety stylizowane podobne są do kwiatów: wyborna to ozdoba na flakoniki od perfum, na pudełka od pudru, na mydełka pachnące, jako sztuka stosowana do przemysłu drobnego, lecz w obrazach samo-

istnych, a zwłaszcza w dekoracyi ścian kościelnych śmieszy formą kaligraficzno-esową linii. Dodać należy, iż p. Wyspiański w taki właśnie sposób zeszpecił wnętrze kościoła Franciszkanów w Krakowie.

Pan Axentowicz zręcznie rysuje postaci kobiece i dosadnie zaznacza figlarność w oczach dziewcząt przedwcześnie dojrzałych. Wszystkie jednak twarze są zmanierowane w rysunku. Osobliwość polega na wydłużeniu głowy i przyklepaniu włosów na skroniach, co rysom nadaje znamię jakiejś naiwności sztucznej i skromności pretensyonalnej, a oczom wyraz żaru lub melancholii. Malarze angielscy — wielbiciele, jak i cały naród, wszelkich osobliwości — przeszczepili tę *naiwność* ze sztuki włoskiej na grunt mody i wytworzyli tendencyjnie u siebie *prerafaelityzm*. U nas ten sposób patrzenia na naturę nazwaćby należało *chorobą angielską*, tem słuszniej, że malarze nasi zapożyczają się nie u mistrzów włoskich z przed czterech stuleci, lecz u ich naśladowców angielskich.

Pan Władysław Ślewiński uprawia sztukę rysowania gwoździem i malowania kielnią. Mistrzowie dawniejsi, nie mówiąc nawet o Leonardzie da Vincim, doprowadzali linie do powiewności szczególniej, a kolor do miękkości nadzwyczajnej. Patrząc na ich obrazy, trudno uchwycić, gdzie się krzyżują krawędzie płaszczyzn i jak farby przechodzą jedne w drugie. Malarze dzisiejsi, a przedewszystkiem p. Władysław Ślewiński, nie troszczą się o krawędź idealną przedmiotów i o miękkość tonu w odcieniach. To też „Bretonki" p. Ślewińskiego odstręczają szpetnością rysów, jakby zresztą obwiedzionych drutem, a „krajobrazy bretońskie" rażą chropowatością farb, jakby umyślnie użytych na surowo. Niema w tem ani prawdy, ani piękna. Przypomina to pierwociny sztuki dekoracyjnej na ścianach chałup chłopskich.

O panu Janie Stanisławskim, również profesorze krakowskiej szkoły sztuk pięknych, tyle tylko powiedzieć można, iż żywcem przylepia płatki jaskrawe kwiatów na płótnie, naśladując w tem na małą skalę impresyonistę francuskiego, Manet'a. Barwy są żywe, lecz obrazom zbywa na głębokości tła, na perspektywie powietrznej, a krajobrazy czy *widoczki* kwietników, bez perspektywy powietrznej, są tylko ekranami przyjemnie lub dziwacznie ukolorowanymi.

Inny profesor krakowskiej szkoły sztuk pięknych, p. Leon Wyczółkowski, urządził osobną wystawę swoich szkiców, studyów, obrazów i portretów. Nic tak nie szkodzi sztuce, jak wirtuozostwo środków. Pan Wyczółkowski jest wirtuozem w swej sztuce, i to wirtuozem jednostronnym. Nie chodzi mu nigdy, ani o kompozycyę, któraby przedstawiała rzecz jasno, ani o barwność obrazu,

z po za której przezierałoby uczucie artysty, ani o charakterystykę linii, któreby uzewnętrzniały jakiś wyraz, ani o światłocień, w którymby przedmioty nabierały wypukłości odpowiedniej, — lecz chodzi mu, bądź o jakis efekt przelotny oświetlenia, jeżeli mowa o kolorze, bądź też o rzutkość ręki, jeżeli chodzi o scharakteryzowanie rysunkiem jakiegoś znaku szczególnego, czy jakiejś cechy wybitnej przedmiotu.

Pan Wyczółkowski jest więcej kolorystą niż rysownikiem: zaledwie w dwóch czy trzech portretach, czuć wyraz indywidualny twarzy; reszta kilkanaście okazów, to malowidła bezduszne.

Wszystko w naturze, nie zależnie od bryłowatości, ma swój kształt i swój wyraz. Lecz kształt i wyraz można oddać tylko rysunkiem. „Moim Ichmościom zdaje się — mawiał Maurycy Latour (1704 — 1746), malarz nadworny Ludwika XV i pani de Pompadour — że chwytam tylko rysy ich twarzy; ja tymczasem zgłębiam ich dusze, jakkolwiek o tem nie wiedzą, i zabieram je w całości.” Nie znaczy to bynajmniej, iż malarz ma być psychologiem z zawodu. Tycyan, po za swoją sztuką był dość ograniczony, a Leonard da Vinci, malując „Giociondę” myślał tylko o *modelowaniu* głowy. Co więcej! Wielki ten artysta, a zarazem wielki uczony i myśliciel, nie dopuszczał zgoła literatury do malarstwa. Jego „przepis” na robienie portretów w „Traktacie o malarstwie” brzmi wyraźnie: „Nie robić na twarzy muszkułów zbyt wydatnych i zakończonych twardo; przytem światła powinny zanikać nieznacznie i rozwiewać się w cieniach miękkich i miłych, gdyż od tego zależy wdzięk i piękność twarzy”. A jednak żaden malarz nie zaklął tyle duszy, tyle wyrazu indywidualnego w twarzy, co Leonard da Vinci. Jego „Gioconda” to pomnik psychologii, przed którym można stać godzinami całemi i myśleć, nie zastanawiając się wcale ani nad pięknością kolorytu, ani nad wdziękiem rysunku. Również fachowo na sztukę portretowania zapatrywał się Jan Antoni Houdon (1741—1828), znakomity rzeźbiarz francuski, który przekazał potomności wizerunki Molière’a i Voltaire’a. Gdy popiersie Molière’a ukazało się na wystawie, jakiś krytyk-panegirysta napisał (r. 1778) w *Journal de Paris*: „Widzi się odrazu oko bystre, geniusz filozofa obserwatora: tak powinien wyglądać ojciec komedyi. To też każdy woła: to Molière!” Pochwała ta rozgniewała Houdon’a. „Pozwalam sobie odpowiedzieć — napisał zaraz nazajutrz — iż modelując popiersie Molière’a, starałem się tylko sportretować Molière’a: to był mój cel jedyny. Jeżeli każdy może go poznać, to to mi pochlebia i dowodzi, iż dobrze skopiowałem modele, jakie miałem przed oczyma. Nie

chciałem jednak robić i nie robiłem zgoła portretu *ojca komedyi*, którego cechy jakoby przedstawia według Pana figura przezemnie wystawiona. Jeżeli po jego oczach, po jego wyrazie, ktoś poznaje, że on to właśnie stworzył „Świętoszka", „Mizantropa" czy „Kobiety uczone", to przyznam się Panu, że mi to w głowie nawet nie postało! Pochwały zatem, co do podobieństwa i wykończenia portretu, przyjmuję; lecz pochwał, co do intencyi, przypisywanych mi przez Pana, przyjąć nie mogę".

Z wyjątkiem Maurycego Latour'a, żaden zatem z wielkich portrecistów nie myślał o duszy osób portretowanych; a jednak żaden z malarzy dziesiejszych, nie może się mierzyć z mistrzami dawniejszymi na subtelność wyrazu, na podkład psychologii obok podobieństwa fizycznego czyli prawdy przedmiotowej, i wykończenia technicznego czyli wirtuozostwa w środkach.

Przedewszystkiem mistrzowie dawniejsi dbali o prawdę przedmiotową, szanowali naturę. Przystosowując ją w przyborach do mody, czyli stylizując w duchu epoki, nie przeinaczali jej w kształtach indywidualnych. Portrety z owych czasów są dokumentami historycznymi. Pouczająca jest przygoda z portretem Anny Kliwijskiej Holbein'a. Henryk VIII nie znał osobiście przyszłej swej żony i polecił (r. 1539) Holbeinowi „zdjąć z niej konterfekt". Holbein, namówiony w widokach politycznych przez Tomasza Cromwella, kanclerza państwa, pozwolił sobie wyszlachetnić postać „flamandki" i dodać wdzięku jej rysom. Henryk, zobaczywszy małżonkę w naturze, był tak zgorszony, iż natychmiast podał się o rozwód z tą, jak mówił w duchu Shakespeare'a, „wielką kobyłą flamandzką". Unieważnienie małżeństwa nastąpiło też niespełna w pół roku. Cromwell przypłacił je głową. Lecz w obec tego, iż polityka znieprawiła jednego z najwiarogodniejszych świadków epoki, czyż można dziwić się nawet, że „konterfekt" Anny Kliwijskiej, znajdujący się obecnie w Louvrze, nie odznacza się ani tą pewnością ręki w rysunku, ani tą dosadnością i żywością wyrazu, jakie cechują inne portrety Holbein'a? I w sztuce nie można frymarczyć sumieniem....

Portret powinien być przedewszystkiem podobny. Nie mniej jednak ciało i dusza, zwłaszcza w portrecie, stanowią całość niepodzielną. Charakter człowieka, znamię duszy, przejawia się nietylko w rysach ogólnych, w owalu głowy i w cerze twarzy, ale nadto w natężeniu spojrzenia, w zmarszczkach skóry, w ruchu brwi, w fałdzie warg, w dołkach na policzkach. Dość przeinaczyć na włos zarys konturu, podkreślić lub pominąć jakąś odrębność nieuchwytną formy,

przesadzić lub przeoczyć jakieś znamię drobne w rysach, aby wyraz twarzy zmienił się zupełnie, aby charakter uwidocznił się lub zniknął, aby dusza ujawniła się lub cofnęła w głąb. Ta strona sztuki — to indywidualizowanie drobiazgowe formy, to modelowanie subtelne brył, to podkreślanie staranne znamion — stanowi właśnie istotę zawodu portrecisty, niezależnie od dociekań psychologicznych obserwatora. Houdon, obdarzony okiem bystrem od natury i ręką nerwową, nie troszcząc się zgoła o podkład psychologiczny, przekazał potomności wizerunki charakterystyczne, wiecznie mówiące, wyraziste, ujawniające duszę. Inni portreciści, od Antonella z Mesyny do Tycyana i Rafaela, od Velasquez'a do Goya'i, i od Dürer'a i Holbein'a do Franciszka Hals'a, Van Dyck'a i Rembrandt'a, od Clouet'a do David'a i Ingres'a, od Rodakowskiego do Bonnat'a i Lembach'a byli też spowiednikami duszy i świadkami faktów — tem uczciwszymi, iż do badań swoich nie wnosili dążności jakichś, tem wiarogodniejszymi, iż, ograniczając się rolą swego zawodu, swej sztuki, mówili prawdę, zeznawali szczerze i sumiennie.

Inaczej portreciści dzisiejsi, jak Whistler angielski, który w osobach portretowanych widzi tylko swoją duszę mroczną i harmonię barw, jak Besnard, francuz, dla którego osoba portretowana jest tylko szczegółem tła ogólnego, barwą dopełniającą kolorytu, jak wszyscy wreszcie impresyoniści z drugiej ręki — naśladowcy kolorytu bądź tajemniczo-mglistego, jak u Whistler'a, bądź jaskrawo-wysilonego jak u Besnard'a.

Pan Wyczółkowski rysuje tak niedbale, iż głowy nie mają formy należytej, i tak twardo, iż na skroniach i policzkach widać „początek i zakończenie każdego muszkułu", jak gdyby na przekór „przepisom" Leonarda da Vinci. Tak samo rzecz się ma i z oczyma, które najczęściej nie znajdują się na jednym poziomie, a jeszcze gorzej z rękoma, które są przyczepione byle jako do tułowia. A przytem ani jedna głowa nie przedstawia się wypukle. To nie bryły, mające swoją miąższość, ale płaszczyzny, obrzeżone konturem chwiejnym, a złożone z innych płaszczyzn, równie jak płaszczyzna ogólna pośpiesznie, szkicowo, nakreślonych. Pod powierzchnią kolorową skóry nie czuć kości twardych, nie czuć ciała miękkiego, nie czuć krwi tętniącej życiem. Ani jeden portret nie wyłania się z tła, nie odstaje od ściany; ale bo też p. Wyczółkowski, zamiast modelować farby w światłocieniu, rozpina je płatkami na płaszczyźnie. Dwa obrazki przedstawiające: jeden dziewczynę w chustce niebieskiej, drugi dziewczynę w chustce żółtej, to studya, a raczej notatki tak zwanych barw miejscowych: chustki niebieskiej lub żółtej, koszuli

szarej, spódnicy czerwonej, zapaski wzorzystej — lecz bez uwzględnienia harmonii kolorów, tonu obrazu w pełni światła. Zarówno zblizka, jak zdaleka, widać tylko płatki kolorowe, doskonale odpowiadające płatkom kolorowym w rzeczywistości—i nic więcej. O jakiejś bryłowatości ciała, o jakiejś charakterystyce typu czy gatunku, o jakiejś subtelności wyrazu, mowy tu nawet niema. Co najwyżej, u dziewczyny w chustce niebieskiej, po za płatkami barwnemi chustki, koszuli i spódnicy, zauważyć można nogi, ale nogi tak nieproporcyonalnie wielkie, prawdziwie sążniste, iż należałoby je dać raczej na... wystawę osobliwości. Natomiast głowa wraz z twarzą przyjemnie pucołowatą, dość miękko modelowaną od strony światła, a puszczoną niedbale od strony cienia, giną dla oka zupełnie. To nie studyum „dzieweczki" lecz notatka szmatków kolorowych, płótna zgrzebnego, wełny farbowanej i perkalików drukowanych. Dodać przytem należy, iż obie dziewczyny są tak krzywo i chwiejnie rysowane, jak gdyby przedmioty w naturze pozbawione były nietylko bryłowatości ale i kształtów indywidualnych. Forma w malarstwie obowiązuje, gdyż i w naturze istnieje; lecz p. Wyczółkowski ją lekceważy. Nie można się temu dziwić, z uwagi, iż p. Wyczółkowski rysownikiem nie jest.

Lecz kto nie jest rysownikiem, ten, choćby nawet posiadał dar szczególny obserwacyi, dar odgadywania charakteru człowieka z drobnych rysów i z drobnych znamion twarzy, nie zdoła nigdy zakląć w portrecie duszy, życia, wyrazu. Pod farbą bowiem tętni serce dramaturga lub liryka, w rysunku zaś drga oko psychologa. Wzrok p. Wyczółkowskiego nie sięga po za powłokę zewnętrzną przedmiotu...

Dziwnym zbiegiem okoliczności, a może zresztą i całkiem naturalnie, w jednym zaledwie portrecie, z ogólnej liczby kilkunastu, osoba portretowana p. Jan Bloch, ma swój wyraz. Jak wszędzie, tak i tu, portret malowany jest *na* głowę, z pominięciem reszty ciała, karku, ramion, rąk, tułowia. Lecz tu przynajmniej głowa przedstawia się jako bryła, odstająca nieco od tła i złożona z powierzchni kulistych. Wynik to nie tyle rysunku, ile modelacyi starannej farb w światłocieniu. Stosunek wartości względnych tonu utrzymany jest w mierze, tak, że strona jasna nie przeważa pod względem natężenia barw strony ciemnej i obie wzajem się dopełniają, tworząc całość wypukłą i dobrze zharmonizowaną w kolorze. A przytem twarz nie jest zakrzepła w liniach: rysy drgają ruchem nerwowym a tętno życia przejawia się w spojrzeniu głębokiem, w ustach lekko przymkniętych, w fałdach skóry miękko przecinających się na policzkach. To też czuć, iż w tej głowie, jakaś myśl pracuje, i że ta

myśl właśnie nadaje całej twarzy wyraz smutku łagodnego, czy melancholii nieuchwytnej. Ze wszystkich portretów ten jedynie jest rysowany dokładnie, i dla tego w nim p. Bloch ma wyraz, *swój* wyraz indywidualny, niezależnie od indywidualności zmanierowanej p. Wyczółkowskiego.

Inne głowy — a p. Wyczółkowski maluje tylko głowy, pozostawiając resztę ciała *opustą* — pozbawione są bryłowatości, leżą płasko na płótnie jak winietki przylepione do ściany.

Potret Sienkiewicza jest tak twardo i tak krzywo rysowany, iż niewiadomo z jakiego punktu nań patrzeć, aby zrozumieć, dlaczego jedno oko się świeci, jak szklane, a drugie, matowe, ucieka w głąb. Co zaś do wyrazu, zresztą skostniałego w rysach, to jest on taki jakiś przykry, iż miałoby się ochotę zagabnąć twórcę „Trylogii": „Co panu dolega?"

W innych portretach p. Wyczółkowski uwydatnił bądź jakiś efekt przelotny oświetlenia, bądź jakąś cechę szczególną charakterystyki zewnętrznej. Portret pani D. to obok uśmiechu wymuszonego, blask oczu jasno niebieskich z punktami świetlnemi w źrenicach, które patrzą ciekawie lecz są umieszczone krzywo. Portret panny Wandy K. to winietka na porcelanie, przeróżowana w kolorze; Juliusz Kossak to karykatura charakterystyki, uwydatniającej tylko nozdrza namiętnie rozwarte, obok karykatury koloru, gdyż lewy policzek w cieniu, naznaczony barwą fioletowo-granatową, zgoła nie modelowaną, ucieka w głąb, jak gdyby należał do innej osoby. Dwa portrety własne samego p. Wyczółkowskiego, to dwa studya kolorystyczne, świadczące wymownie o wszystkich naraz zaletach i wadach artysty. Jeden portret, mniejszy rozmiarami, to studyum bryły. Na pierwszy rzut oka wydaje się, iż głowa modelowana jest doskonale, a wartość tonu wytrzymana w światłocieniu. Bryła odstaje od tła; co więcej! zdaje się, iż głowa znajduje się *przed* płótnem. To figielek rysowniczy. Jedno ramie przyparte jest do ramy, a drugie zachodzi głęboko w tło: stąd efekt wypukłości niebywałej. Wypukłość doskonałą przedmiotu osiągnąć można tylko modelowaniem płaszczyzn kulistych, zarówno od strony światła, jak i od strony cienia. Głowa w portrecie p. Wyczółkowskiego modelowana jest powierzchownie. Mniejsza już, iż cała twarzy jest przebrązowana w kolorze, lecz skóra ma taką samą miąższość i taki sam połysk na czole, jak i na fałdach policzków, przyczem w bryle czoła nie czuć kości; na skroni znajduje się żyła nabrzmiała krwią, doskonale uwydatniona w tonie,

lecz skroń nie jest oddzielona od czoła krawędzią; nos leży niejako profilem na policzku, nie odstaje od tła; oczy, rysowane twardo i snać rozszerzone nadmiernie, gdyż w spojrzeniu czuć wysiłek, chęć przeszycia okiem powierzchni lustra, w które patrzą. A teraz co do koloru samego. Obrazek cały przedstawia się barwnie, ale niepokoi oko widza. I nic dziwnego, barwność płaszczyzn pojedyńczych nie jest zharmonizowana w tonie ogólnym. Kolor zielonkawy twarzy w cieniu doskonale odstaje od zieleni tła; lecz w stosunku do brązu ciepłego twarzy w świetle jest zbyt zimny: nadaje to policzkowi lewemu cechę chorobliwą, prawie trupią, gdy tymczasem policzek prawy drga życiem. Widocznie p. Wyczółkowski czuje dobrze natężenie i odcień barwności kolorów miejscowych, lecz harmonia tonu ogólnego, wywołana refleksami wzajemnemi kolorów i perspektywą powietrzną, wymyka mu się z pod uwagi. W jego portrecie nie widzi się całości, lecz części składowe: naprzód policzek prawy, przebrązowany, potem żyłę na skroni, nadmiernie uwydatnioną, dalej policzek lewy, przezielonkowany, następnie cień na czole, ciepły i głęboki, wreszcie czapkę fantazyjną miękką, z miękkim daszkiem, może sukienną, może aksamitną, ale zieloną i miękko malowaną — i ta zielona czapka właśnie to najwydatniejszy i najlepszy szczegół obrazu.

Ale bo też p. Wyczółkowski jest wirtuozem oka, które chwyta w naturze efekty niezwykłe, i wirtuozem ręki, która, posłuszna oku, przenosi szybko z palety na płótno tony żywe, lecz jaskrawo skombinowane. Najlepszym tego dowodem drugi jego portret, malowany w pełni światła, przy zachodzącem słońcu, z blaskiem wprost na twarz i w oczy. Jest to sztuczka wirtuozowska, polegająca na przeciwstawieniu barwy pomarańczowo-żółtej, jaskrawej w świetle, kolorowi niebieskiemu, przebłękitnionemu, zacierającemu się w cieniu. Takie oświetlenie, co prawda, zdarza się niekiedy w naturze i, jako przelotne, bawi: utrwalone jednak w obrazie dziwi tylko, i nic więcej. Zresztą w całym tym portrecie po za sztuczką wirtouzowską wydostania z palety efektu światła silnego i gorącego na krawędzi cienia, co p. Wyczółkowskiemu udało się przewybornie, niema nic godnego uwagi. Głowa nie przedstawia się wypukle, w twarzy nie czuć rysów, tułów puszczony jest niedbale i leży płasko na tle zielonem, surowo zielonem, krajobrazu; rękawy wiszą, jak w sklepie u krawca na manekinie z drutu: pod ich wiotkimi fałdami nie czuć rąk. Wszystko rysowane bądź ogólnikowo, bądź karykaturalnie w jakimś jednym szczególe i malo-

wane szkicowo na efekt pojedyńczy światła. Pan Wyczółkowski jest niezawodnie kolorystą, odczuwającym żywo barwy miejscowe przedmiotów; lecz zbywa mu na poczuciu względnych temu wartości nawet w jednym i tym samym kolorze: ton fioletu po stronie jasnej, a więc ciepłej, mało się tu różni od tonu fioletu po stronie ciemnej, a więc zimnej, i stąd bryła w naturze nie staje się bryłą w obrazie, gdyż farby nie są odpowiednio modelowane w światłocieniu. A przytem dziwna rzecz. I w tym portrecie jak w tamtym, po za efektem silnego światła na połowie twarzy i w oku, najlepszą część obrazu stanowi znów nakrycie głowy: biały kapelusz filcowy. Ten filc biały jest malowany tak miękko, i modelowany tak subtelnie w odcieniach tonu złotego w świetle ciepłem, a błękitnawego w cieniu, przepojonym refleksami zimnemi nieba i zieleni krajobrazu, że możnaby go wziąć w rękę. Lecz cały obraz to wysiłek wirtuozostwa, który niepokoi nadużyciem siły. W pierwszej chwili widz jest zachwycony śmiałością i zręcznością akrobaty, który, stojąc na jednej nodze, dokonywa ręką w górze jakiejś sztuki żonglerskiej. Wkrótce jednak nuży się jednostronnością wrażenia i woła: „Dosyć! Dosyć! Nie podobna patrzeć tak długo na wysiłek mięśni!"

Pan Wyczółkowski jest u nas typowym przedstawicielem impresyonizmu powierzchownego, utrwalającego efekty przelotne światła i dziwactwa natury. Jego portrety nie są dokumentami historyi, lecz okazami mody, panującej w technice: moda przejdzie, i portrety stracą całą swoją wartość! Pozbawione wypukłości należytej, formy odpowiedniej i wyrazu indywidualnego, za lat kilka nie będą interesowały nikogo. Całe szczęście, iż są malowane pastelami, a pastele w malarstwie mają to samo znaczenie i tę samą trwałość, co konfitury w sztuce kulinarnej. Ani w tem prawdy, ani w tem piękna — ani w tem liryzmu, ani w tem fantazyi! Cała oryginalność to wybryk oświetlenia — ognie sztuczne w barwach jaskrawych.

Antoni Sygietyński.



Rozbiory i Sprawozdania.

Karnowicz. Cesarzewicz Konstanty Pawłowicz. Petersburg, 1899 (po rosyjsku).

Praca p. Karnowicza drukowana była w „Russkoj Starinie" w r. 1877, a następnie p. Suworin po śmierci autora postanowił ją wydać oddzielnie i zakomunikował generałowi Szilderowi do ocenienia i uzupełnienia. Generał Szilder napisał krótki wstęp do niej, w którym nadmienia, że studyum Karnowicza jest jedynem, jakie literatura rosyjska posiada o Cesarzewiczu Konstantym Pawłowiczu. Powtórne zatem wydanie jest ze wszech miar na dobie; a prócz przedmowy generał Szilder uważał za stosowne poczynić niektóre objaśnienia i poprawki, których autor zrobić już nie zdołał. W ten sposób ukazała się nowa książka, bardzo ciekawa i budząca niezwykłe zainteresowanie nie tylko w rosyjskiej, ale i polskiej literaturze. Przedewszystkiem, jeżeli Rosyanie mieli jedno studyum Karnowicza, nasza literatura nie miała żadnej biograficznej pracy, obejmującej żywot naczelnego wodza wojsk polskich. O Cesarzewiczu wytworzyła się u nas legenda, urozmaicona przez dawnych wiarusów wojskowych, posiadaliśmy przytem dużo wzmianek, rozproszonych po pamiętnikach, ale studyum, zapoznającego nas z ży-

ciem Cesarzewicza, nie posiadaliśmy wcale. Przytem wzmianki w pamiętnikach naszych lub w pracach, noszących charakter napół historyczny (Mierosławski, Barzykowski), były przesiąknięte niechęcią i nosiły piętno namiętnego rozdrażnienia, nie mogły więc wzbudzać zupełnego zaufania w historyku i służyć za wyłączną podstawę do sprawiedliwego sądu.

Dotychczasowy niedostatek usuwa zupełnie praca Karnowicza, i, jeżeli jeszcze przeczytamy dzieło generała Szildera, panowaniu i życiu Cesarza Aleksandra I poświęcone, dowiemy się o życiu i działalności Cesarzewicza tylu ciekawych szczegółów, że pogląd nasz na niego, jako na postać historyczną, związaną z naszemi dziejami, będzie mógł uwolnić się od mgły legendowych baśni. Dzieło generała Szildera mógł czytelnik polski poznać ogólnie z obszernego sprawozdania, jakie się ukazało w „Kraju". Studyum Karnowicza nie zwróciło dotychczas uwagi naszej prasy; nie od rzeczy więc będzie podanie choćby treściwej o niem wiadomości.

Opisując dziecięce lata Cesarzewicza, Karnowicz zebrał prawdziwe bogactwo szczegółów niezmiernie charakterystycznych, Babka Katarzyna II przeznaczyła wnukowi tron bizantyjskich cesarzy i kazała go wcześnie bardzo uczyć po grecku, otaczając towarzystwem greckiem. Już u kołyski cesarzewicza cała atmosfera była grecka, począwszy od mamki Greczynki, która się zwała Helena... Ten ogólny nastrój przerwał chwilowo Potemkin, radząc Cesarzowej, aby późniejszego cesarzewicza wprowadzić na tron szwedzki. Katarzyna II odrzuciła jednak radę słowami: nie sądzono być Konstantemu na północy; jeżeli nie może być na południu, to niech zostanie, gdzie obecnie pozostaje; Konstanty nie jest jednego zakonu ze Szwedami. W wyobraźni swej widziała więc Cesarzowa w dalszym ciągu wnuka na tronie bizantyjskim i przepowiadała chętnie otaczającym, że po usunięciu głównych przeszkód będzie mógł Konstanty w ciągu lat trzydziestu przyjechać z Sewastopola do Carogrodu. W 1792 r. powstała nawet myśl zbrojnej interwencyi, podtrzymującej powstanie Greków, które miało być w tym celu wywołanem. W tymże czasie przybyła do Petersburga deputacya grecka, którą przyjmował czternastoletni Cesarzewicz przemową grecką. Nie brakło nawet w owym czasie medali, poezyi i strojów, obliczonych na podtrzymanie sympatyi greckich Wszystko to z czasem zniknęło. Pozostał tylko na długi czas Cesarzewiczowi generał Kuruta, Grek z pochodzenia, któremu W. X. Konstanty stale wymyślał po grecku, aby reszta otoczenia nie mogła słów zrozumieć.

Katarzyna II, polegając na swem rozległem doświadczeniu życiowem, postanowiła sama kierować wychowaniem i wykształceniem swych wnuków z wyszukaną troskliwością i starannością. Wcześnie usunęła babka nadzór żeński, wykonywany przez Zofię Benkendorf, i w końcu 1783 r. mianowała Sołtykowa głównym opiekunem swych wnuków. Pedagogiem, który bezpośrednio nauczał i wychowywał obu wnuków, był Laharpe, Szwajcar rodem, posiadający wiele przymiotów i będący mężem niepośledniego umysłu i serca. Laharpe nie był z postępów obu cesarskich wnuków równo zadowolonym: starszy Aleksander pod każdym względem przeważał w pracy i rozwoju nad Konstantym. Ale i młodszemu cesarskiemu wnukowi nie odmawiał on wielu przymiotów. Przedewszystkiem przyznawał on Konstantemu dobre serce i widoczną przenikliwość oraz bystrość umysłu. Ale systematycznej nauce Cesarzewicza stała na przeszkodzie nadzwyczajna ruchliwość organizmu, połączona z nieustającem roztargnieniem. Niejednokrotnie młody cesarzewicz przysłuchiwał się lekcyi, skacząc lub przeskakując jakieś przedmioty, tak, że nauczyciel był w nieustającej obawie, aby jego uczeń oknem nie wyskoczył i nie pokaleczył się zamiast nauczyć się czegokolwiek. Cesarzewicza zajmowała od lat dziecięcych wojskowość, ale i w tym kierunku nie dał się namówić do czytania poważniejszych prac. Usilne namowy generała Osten-Sackena, który kierował jego wykształceniem wojskowem, wywoływały niekiedy zajścia prawdziwie humorystyczne. I tak np., gdy razu pewnego generał zapytywał ucznia, dlaczego nie chce czytać książek, cesarzewicz odpowiedział mu otwarcie, że od czasu, jak dostrzegł, że Osten-Sacken od czytania książek głupieje, nabrał wstrętu do kształcenia się w taki sposób.

Dla Laharpa groźniejszem jednak było to, że w Konstantym rozwijała się stosunkowo szybko zapalczywość i niepohamowana gwałtowność. Cesarzowa Katarzyna była stanowczo za środkami wychowawczymi łagodnymi, które na wnuku nie robiły wrażenia. Laharpe zaś został stanowczo zniechęcony uporem swego ucznia i w roku 1795 został od swych trudnych obowiązków uwolnionym. W tymże roku skończył Cesarzewicz Konstanty lat szesnaście i Katarzyna II poczęła dla niego szukać żony. Właśnie w tym czasie Cesarzowa miała najwięcej ze swoim wnukiem kłopotu Robił on jej bardzo niemiłe niespodzianki wtedy, gdy przyjmowała. w gościnie w Petersburgu króla szwedzkiego, Gustawa IV, i nareszcie zmuszona kazała wsadzić go do aresztu. Pokazało się, iż

środek ten poskutkował znakomicie, albowiem Cesarzewicz się uspokoił i począł więcej zwracać na siebie uwagi. Książe Zubow miał wtedy widoczny wpływ na Cesarzewicza i nie omieszkał mitygować jego wybuchów; wówczas to Katarzyna II powzięła myśl szybkiego ożenienia swego wnuka, nie zważając na jego wiek bardzo młody. Bourboni neapolitańscy życzyli sobie wydać jedną z księżniczek krwi za Cesarzewicza, ale układy nie doszły do skutku; mimo to jedna z księżniczek Sasko-Koburskich została wybrana przez Imperatorową, i małżeństwo wnuka zostało uskutecznionem.

Cesarz Paweł zamianował Konstantego inspektorem kawaleryi i uwolnił Konstantego Czartoryskiego od obowiązków jego adjutanta. Do tej pory Cesarzewicz zajmował się wyłącznie frontową i garnizonową służbą, rozpowszechniając takie poglądy, że kaprys dowódcy może zrobić z podwładnego zupełnego sługę, który winien wszystko wypełniać z ślepem posłuszeństwem. Niespodzianie Cesarzewicz zapragnął się wyrwać z monotonnego życia w Petersburgu i wziąć udział w wyprawie Suworowa do Włoch. Cesarz Paweł był zadowolonym, iż posiadał syna z takiemi poczuciami i, nie dając mu żadnej określonej komendy, pozwolił mu towarzyszyć Suworowowi w charakterze ochotnika. W drodze do Włoch Konstanty zatrzymał się w Mitawie i odwiedził tamże bawiącego Ludwika XVIII; Bourbon wskazał na wiszący u niego portret cesarza Pawła i wyrzekł: oto mój dobroczyńca. W Wiedniu cesarz austryacki proponował Konstantemu udanie się nad Ren i wstąpienie do armii, znajdującej się pod komendą arcyksięcia Józefa, Cesarzewicz odpowiedział jednak odmownie, oświadczając, iż we wszystkiem zależny jest od woli Cesarza, swego ojca.

Udział Cesarzewicza we włoskiej kampanii opisanym został w raportach samego Suworowa i jest niezmiernie interesującym. W bitwie pod Bassigniano generał Rosemberg dał się Cesarzewiczowi wciągnąć do walki wbrew instrukcyom naczelnego wodza. Suworow nie puścił tego płazem Konstantemu i niby do otoczenia w jego obecności wyraźnie przemawiał, żeby mu się w przyszłości nie mieszano do takich rzeczy, i do samego Cesarzewicza odezwał się, wyrażając niezadowolenie. W bitwie pod Novi Konstanty dowodził awangardą i wywiązał się dzielnie z włożonego nań zadania. Skutkiem przedstawienia Suworowa otrzymał Cesarzewicz order Jana Jerozolimskiego z brylantami, który udzielano jedynie za wojenną zasługę. W r. 1799, gdy wojska rosyjskie uczyniły wyprawę do Szwajcaryi, Konstanty znajdował się zawsze w awangardzie

i w trudnych pochodach górskich szedł cały czas piechotą. Niedaleko S-t. Gothardu dwa razy wojska rosyjskie poniosły porażkę od Francuzów. Cesarzewicz znajdował się zawsze w awangardzie i z niezachwianem męstwem prowadził żołnierzy do boju. Tam to Suworow przyparty był przez Massenę w tak natarczywy sposób, że jenerałowi francuskiemu zdawało się, że weźmie słynnego feldmarszałka rosyjskiego wraz z Cesarzewiczem do niewoli. Istotnie położenie wojsk rosyjskich musiało być rozpaczliwe, kiedy na radzie wojennej, na której był przytomnym Konstanty, Suworow, zwracając się do obecnych, zawołał: ratujcie, na Boga, ojczyznę i Cesarza, ratujcie jego syna, tu obecnego, przy tych słowach padł do nóg Cesarzewiczowi, zalewając się łzami. Cesarzewicz, uspokoiwszy wodza, podał plan przebicia się przez wojska nieprzyjacielskie i podążenia ku Glaris, wbrew oficerom armii austryackiej, którzy się na radzie znajdowali. Plan ów został przyjętym przez Suworowa i wykonany przez Konstantego z niewypowiedzianem męstwem. Stanąwszy wśród wojsk, Cesarzewicz oświadczył im, iż są otoczeni ze wszech stron przez nieprzyjaciela, ale, ponieważ jest to dzień urodzin Cesarza, przeto należy go uczcić zwycięstwem, i, mówiąc to, stanął w przodowej linii wojennej, a jego adjutant, pułkownik Lang, został śmiertelnie raniony.

Dzięki niesłychanemu męstwu żołnierzy i oficerów Suworow zdołał się wydobyć zwycięsko z ostatecznej matni, a Cesarz Paweł w nagrodę za zasługi wojenne Konstantego nadał mu tytuł Cesarzewicza, pisząc w liście: Bohaterze! przybywaj spożyć z nami owoce twych trudów. Wiadomość o śmierci swego ojca przyjął Konstanty z niezmiernem wzruszeniem, upewniając, że nigdy nie przyjmie korony, gdyby ta kiedykolwiek przypaść mu miała. Następnie Konstanty przyjmował czynny udział w bitwie pod Austerlitz i odważnie nacierał na czele jazdy na piechotę i jazdę francuską. Znajdując się w Tylży przed zawarciem pokoju, Cesarzewicz był za zgodą z Francuzami i na radzie wojennej, gdy Budberg upewniał, że Polacy ruszą się przeciw Francuzom, Cesarzewicz poparł Adama Czartoryskiego, utrzymującego, że zjawienie się Bonapartego w dawnych prowincyach polskich będzie hasłem ogólnego powstania przeciw Rosyi.

W 1812 r. Cesarzewicz znajdował się jedynie przy szturmie Smoleńska i odjechał, mocno niezadowolony z kunktatorskiego sposobu prowadzenia wojny przez Barclaya de Tolly. Za dwudniowy bój Drezdeński otrzymał Konstanty za waleczność szpadę brylantową. W bitwie pod Lipskiem zdobył sobie order Ś-tego Jerzego

2 klasy, a w 1814 r. pod Fère-Champenoisre wykonał jeden z najświetniejszych ataków kawaleryjskich. Zaraz po utworzeniu Królestwa Polskiego cesarzewicz został mianowany naczelnym wodzem wojsk polskich, i odtąd książka Karnowicza zawiera do naszej historyi nadzwyczaj dużo ciekawych szczegółów. Sposobem przykładu podamy niektóre fakta, ażeby wykazać, jak jest bogatą treść powyższego biograficznego studyum. Tak np. w r. 1829 chciał cesarz Mikołaj, ażeby wojska polskie uczestniczyły razem z rosyjskiemi w kampanii tureckiej. Między armiami wyrobiłaby się wojenna drużba, i między społeczeństwami nastąpiłoby niewątpliwie serdeczniejsze zbliżenie. Cesarzewicz jednak był temu najzupełniej przeciwny, i to nie ze względów politycznych, ale czysto z doktrynersko-wojskowych powodów. Armię, podług zdania cesarzewicza, demoralizowała wojna, a utrzymywała w dyscyplinie musztra i parada. Dlatego to Cesarzewicz czynił wszelkie zabiegi, ażeby wojsko polskie pozostało w Królestwie, i tym sposobem mimowoli przyczynił się do rewolucyi w 1830 r.

W 1831 r. cesarzewicz raz tylko uderzył na wojsko polskie pod Kałuszynem i, odparłszy je, zajął miasto. Dybicza nie lubił i naigrawać się zwykł z jego niepociesznej postaci. Śmierć Dybicza opowiada Karnowicz inaczej, jak inni historycy rosyjscy i polscy. Dybicz przed śmiercią otrzymał dymisyę i odczuł ją tak głęboko, że możliwem jest przypuszczenie, że się otruł. Leżąc na śmiertelnem łożu podniósł się z trudem na wezgłowiu i wyrzekł: oto macie moje uwolnienie! dając tem poznać, iż nie przeżyje podobnego upokorzenia. Prócz tego studyum Karnowicza opisuje szczegółowo śmierć Konstantego i podaje nam dużo faktów do charakterystyki księżny Łowickiej, którą najlepiej określił Cesarz Aleksander I, nazywając ją aniołem łagodności i dobroci. Studyum Karnowicza przyda się w wielu razach naszym historykom, a usterek w niem znaleźliśmy niewiele, i to dotyczących drobniejszych szczegółów. *A. R.*

W i n c e n t y K o s i a k i e w i c z: „Hallali!“ powieść, Warszawa, 1899, str. 311

„Jeżeli na polowaniu jeleń zostanie osaczony przez psy i myśliwych w taki sposób, że już niema dla niego ratunku ani nadziei, wtedy strzelcy grają na rogach specyalne hasło, k r z y k t r y u m f u i r o z p a c z y — a granie to nazywa się h a l l a l i”... — tak czytelnika poucza w rozmowie z siostrą bohater nowej powieści Kosiakiewicza, literat Eustachy, który owo hasło obiera za tytuł swojego

utworu, mającego zapewnić mu powodzenie i sławę. Jeleniem osaczonym nie jest w danym razie niezbędnie sam Eustachy, gdyż ostatecznie umyka on cało i zdrowo przed obławą życia, a nawet unosi z jego gąszczów na utorowaną drogę przyszłości coś w rodzaju świeżej i wonnej gałązki szczęścia, pod postacią ładnej i zacnej Anusi, która go pokochała wpierw, nim został wielkim człowiekiem z dziennika „Biegun". Pieśń „zwycięstwa i rozpaczy" wygrywać tu ma społeczeństwo każdemu w ogólności talentowi, zjawiającemu się na dziennikarskich bagnach tegoczesnego piśmiennictwa. Wyłaniającemu się już z wyrobniczego tłumu i nicości Eustachemu ogłasza to wyraźnie starszy i doświadczeńszy od niego literat Runicki:

— Tak, tak, — opowiada na jednym z rautów redaktorskich — pożyjesz pan, to zobaczysz, jak to jest. Nie będzie tu panu błogo, nie. Tu jest ziemia obiecana dla wszelkiej mierności. Jak tylko masz talent, to zaraz po łbie, po łbie—i aż do skutku. Każdy chciałby uczynić dokoła siebie pustynię, aby sam na niej był widoczny i duży... Redaktorzy? Alboż oni dbają o cokolwiek? Nawet o własny interes nie dbają. Talent, nie talent — im wszystko jedno. Szpalty zapycha się czemkolwiek: trocinami i kłakami, tłómaczeniami. Są wyrobnicy, którzy po trzysta i czterysta rubli wypiszą w miesiącu, a ludzie talentu zaczepić się o co nie mają. Nikomu nie leży na sercu talent, nikomu... Wydawcy? Alboż u nas są wydawcy! To sklepikarze, panie, sklepikarze. Literat dla nich to koń żydowski. Niech zdechnie, byle dobiegł do stacyi... Krytycy? Alboż my mamy krytyków! Jest kilku panów, którzy się trzymają wiernie mądrości, nakazującej ręce myć rękę, a nodze wspierać nogę, i tym jest dobrze, hm! względnie dobrze. A reszta — niech zdycha. Dobrą rzecz napisałeś, złą rzecz napisałeś, wcaleś nic nie napisał, — wszystko jedno. Nikt o dobro literatury nie dba... A ta publiczność nasza, ta publiczność! Czarna rozpacz ogarnia człowieka, jak patrzy na tę masę bierną, która niczego nie chce, o nic nie dba i wszystko pozwala w siebie wmówić. Jak dziecko nową zabawkę, tak łapie z zachwytem książkę nieznanego autora, bawi się przez rok, dwa nowem nazwiskiem, a potem — wszystko w kąt, na śmiecie. Marny to zawód być u nas literatem: zawód bez przyszłości. Odrazu stajesz na jakimś stołeczku i nic nie wiesz, że nie pójdziesz wyżej, że reszta życia to wolny i długi upadek bez ratunku... Wspomnisz pan moje słowa"...

Powieść o losach Eustachego urywa się w okresie pierwszych jego tryumfów, i nie wiemy, czy przepowiednia Runickiego sprawdzi

się na nim w przyszłości, czy nie. Ale gdyby istotnie tak się stać miało, nie widać z założeń, ażeby wina za to spaść miała przeważnie na krytykę, wydawców lub publiczność. Powszechnie stwierdzony i od wczesnej młodości Kraszewskiego znany proces między „światem i poetą" nie przedstawia się u Kosiakiewicza zbyt ponuro. Nie istnieje właściwie żaden zatarg między zapalającą się w Eustachym gwiazdą literacką a otaczającemi ją i już poprzednio na niebie polskiem gorejącemi lub dogasającemi światełkami. Jeden ze starszych kolegów rwącego się do nieśmiertelności młodzieńca, Julian Drewnowski, mówi mu wprawdzie po odczytaniu rękopismu „Hallali" — to nie jest ani złe, ani dobre, — to jest n i c... Ale za to druga z ustalonych powag, Wieńkowicz, wspiera, zachęca Eustachego, dzielnie przyczyniając się do uświadomienia w nim mglistego przeczucia czy przeświadczenia, że „ma talent". Bez wielkich też zachodów, walk lub kłopotów przychodzi uznanie ze strony redaktora „Bieguna", koła wydawniczego i czytelników, — tych czytelników najbliższych, najbardziej drogich, którzy bezpośrednio się ocierają o domową, prywatną egzystencyę Eustachego. Nadto sam Drewnowski, uraczywszy się nieco w jakiejś jadłodajni, otwiera przed Eustachym głąb swej duszy i tak się spowiada językiem doraźnie rozwiązanym: „Dobra powieść, mówisz, dobra powieść... Co to jest dobra powieść? Kto mi powie? Kto mi da miarę, wagę, formułę?... Dobra powieść! Po czem to widać?... Ty myślisz, że mnie to nie męczy?... Zobacz, proszę, co ja pracy włożyłem, zobacz... Przestudyowałem filozofię, przestudyowałem psychologię, wszystkie socyologiczne nauki poznałem, wszystkie teorye estetyczne wykułem, przepisałem... A historya literatury? a estetyka! Wszystko, wszystko... I patrz, ja nigdy nie wiem, co jest dobre, i o ile lub co jest złe... Chodzę niby po tratwach, które płyną, a pod któremi niema gruntu, tylko woda bieżąca... i gdzie nogę postawię, tam się tratwa ugina, chwieje... Słuchaj, — ty wiesz, co jest złe, a co jest dobre? co ma w sobie warunki życia, a co nie?... Ty to czujesz?... Ale dlaczego ty czujesz raz tak, drugi raz inaczej, raz to, drugi raz tamto?... Powiedz mi... Nie powiesz mi, nikt mi nie powie!... Ja już tylko jedno chciałbym wiedzieć: czy są tacy, co mają słuszność, czy też wszyscy tak, jak ja, na chybił trafił"...

Na odwrotną stronę medalu, niezbyt, jak widzimy, dla poetów i romansopisarzy złowrogiego w zasadniczym swym tonie, składa się kilka motywów i scen, stanowiących prawdziwą ozdobę powieści Kosiakiewicza. Do takich przedewszystkim należy prześliczny obrazek publiczności b i e ż ą c e j, tej, co swój głód umysłowy zaspakaja

po cukierniach i kawiarniach, przerzucając czasopisma naprędce, przed lub po wypiciu szklanki czekolady. Obserwuje ją Eustachy po ukazaniu się pierwszego swego odcinka. Zaraz na wstępie spostrzegł jakiegoś staruszka, który czytał trzecią stronicę „Bieguna", — czytał pilnie, uważnie, kwadrans, półgodziny, trzy kwadranse; nareszcie przewrócił trzecią stronicę, przejrzał pobieżnie ogłoszenia, potem pobieżnie również przejrzał pierwszą stronicę i odłożył... Numer dostał się niebawem do rąk studenta. Student od pierwszej strony zaczął szybko przebiegać artykuł wstępny, potem nagle przełożył stronę, począł przeglądać wiadomości miejskie, następnie nagłym znów zwrotem przeszedł do strony trzeciej, przeczytał jeden czy dwa telegramy, potem znowu wrócił do strony drugiej, znalazł tam coś w ostatniej szpalcie na dole, przeczytal to z widocznem skupieniem i nagle rzucił pismo na marmurową płytę stolika. Ktoś inny zaraz wziął „Bieguna". Ten zaczął od pierwszej strony, również przejrzał na niej wszystkie tytuły i przeczytał pierwsze wiersze wszystkich artykułów. Potem zatrzymał wzrok na odcinku i po chwili zaczął go czytać. Przeczytał szpaltę (na jego twarzy Eustachy nie mógł odczytać literalnie żadnego wrażenia) — i przewrócił stronę... Eustachy wstał. Zanadto go drażnili ci cukierniani czytelnicy gazet. Zapłacił za herbatę i wyszedł.

Starannie, z niemałym nakładem humoru i kunsztu, z dokładną znajomością rzeczy odmalowany też został stosunek literata do jego rodziny ubogiej, a raczej wydobywającej się z ubóstwa wszystkimi pazurami skąpstwa i dbałości o kawałek chleba, zdobywany zabiegami praktycznymi, — stosunek mniej, niż oziębły, do ojca, kutwy i łgarza, właściciela małej kamieniczki na Gołębiej ulicy — do brata Antoniego, litośnie spoglądającego z wyżyn stałej swej posady kolejowej na wytarte łokcie i nie dające się honoraryami wyłatać podeszwy współpracowników „Bieguna", — wreszcie stosunek do matki, kobiety dobrej i serdecznej, lecz wszelkie nadzieje Eustachego pokrywającej milczeniem lekceważącem lub gorszym jeszcze od lekceważenia uśmiechem litości. Zaznaczmy, że nawzajem, ona jedna — matka — odrazu i najszczerzej uwierzyła w geniusz i wielką przyszłość syna, skoro Eustachy, otrzymawszy nareszcie z redakcyi zaliczkę na powieść, sprawił sobie nowy garnitur, a dla niej kupił nowe ciepłe okrycie syberynowe...

Omylilibyśmy się grubo, przypuszczając, że ironia Kosiakiewicza rozprasza się na drobiazgi, lubuje się w zewnętrznych wyłącznie połyskach cierpkiego dowcipu, w rodzaju wytkniętego powyżej garnituru lub syberynowego okrycia. Słodki żart z goryczy życia płynie

u niego łożyskiem o wiele niekiedy głębszem i pilnie kryje się pod powierzchnią rzeczy i wypadków. Zmierzmy tę głębokość w losach sympatycznego, dzielnego, rozumnego Wieńkowicza, sterującego łodzią nie tylko literackich, ale i miłosnych przeznaczeń Eustachego. On to z kilku empirycznych wskazówek odkrył, dlaczego Henryeta tak dumnie i chłodno odpycha niewolnicze nadskakiwanie rozkochanego młodzieńca, on z oczu swego pupila zdarł ślepotę na wdzięki i skarby duszy Anny, on wszystko zdołał przewidzieć, wszystkiemu w porę najszczęśliwiej przyjść z odsieczą w skutek nieporównanej swej znajomości serca niewieściego... Bo też — powiadał nieraz do Eustachego — nic nad ten serdeczny mechanizm prostszego... Byleś umiał cierpliwie, oględnie, metodycznie sprężynkę nakręcić, — odkręci się ci ona najpunktualniej w chwili, miejscu i sposobie przewidzianym, pożądanym. I rzeczywiście, teorya o jeden włos nie zawiodła Eustachego. Niestety — haniebnie natomiast zdradziła ona samego mistrza — Wieńkowicza: jego Aurelka tak się mu pewnego dnia — już przygotowanego i obliczonego zawczasu, odkręciła nawspak, naodlew, że biedny mechanik schudł, zżółkł i pozieleniał w ciągu jednego niespełna tygodnia...

Złośliwym bywa Kosiakiewicz, bardzo złośliwym. W „Hallali" jednakże okazał i trochę także współczucia dla swych towarzyszów broni. Nie zrobił ich ani ostatnimi szubrawcami, ani skończonymi idyotami. A można się było czegoś podobnego obawiać po kilku najświeższych próbach poruszenia stagnacyjnych i mętnych wód naszego dziennikarstwa, — przez Dygasińskiego np. („w Piórze") lub Gruszeckiego, (w „Szachrajach"). Względne umiarkowanie, z jakiem autor „Hallali" traktuje nasz światek literacki, wywiera tem milsze wrażenie, że artystycznej stronie powieści należy się zupełne uznanie. Nie wyszafował tu autor talentu na rzeczy błahe, drobne, zewnętrznie błyskotliwe, puste w gruncie, — takie np., jak w „Niebezpiecznym człowieku", który w swoim czasie niejednemu recenzentowi dużo popsuł humoru i kazał na chwilę wątpić o poważnych zamierzeniach pisarza, niegdyś całkowicie wolnego od posądzeń o jakikolwiek dyletantyzm krasomówczy. ***

Maryan Gawalewicz: „Znak zapytania" (Kartka z dziejów młodego serca). Warszawa, 1900. Skład główny w księgarni J. Fiszera, str. 300.

Ostatni utwór powieściowy Gawalewicza ma formę pamiętnika, z którego treści zarówno, jak z tytułu, wynurza się bardzo wyraźnie zagadnienie życiowe. Czy niem jest, zobaczymy.

Młody i świeży, szczęśliwy z posiadania lat dwudziestu trzech, „kudłatej czupryny i iskrzących się oczu”, z ustami, uśmiechającemi się podobno nawet we śnie, z głową „pełną iluzyi”, swobodnych myśli, wiośnianych rojeń, młodzieńczych wrażeń, Sewerek Włodowski po ukończeniu konserwatoryum muzycznego, z rozmachem pędzi w świat, do Włoch, by pracować samodzielnie, rozżarzyć i rozdmuchać w sobie iskry swych zdolności, talentu, a może—geniuszu! Chopin lub Moniuszko! We Włoszech czar przyrody oszołomił biednego młodzieńca do tego stopnia, że upojony widokiem zaledwie okruchy czasu poświęca — nie pracy — lecz rozumowaniom, dość błahym zresztą. Dowiadujemy się, że samotność naszego bohatera długo nie potrwa: brat jego z narzeczoną, jej matką i wujem odbywają podróż po godnych widzenia zakątkach na południu Europy i już zapowiedzieli swój przyjazd do Włoch. Sewerek (tak go autor nazywa) niezmiernie jest ciekawy ujrzeć swoją przyszłą bratowę; znał ją dawniej, tę Dziutkę Rajecką, która zaledwie przed rokiem opuściła pensyę. Już tutaj może domyśli się czytelnik, iż ta „Dziutka” wpłynie na zmianę losu naszego posiadacza „iluzyi”, swobodnych myśli i wiośnianych rojeń. Rzeczywiście, Dziutka przyjechała, a w Sewerka — jak grom z jasnego nieba — uderza fatalna, ślepa, nie znająca swych granic, nie szczędząca swych ofiar potęga miłości! „Dziutka” (właściwe imię jej Jadwiga) jest ideałem młodego dziewczęcia. „Gibka i zręczna, jak sarna, podobno jeździ konno, jak huzar, pływa jak szczupak, gimnastykuje się i ramiona ma muskularne, jak tęgi chłopak”... Taka, gdy pokocha, to już całą potęgą nieskalanej młodzieńczej miłości; nikt i nic w niczem nie odważy się jej sprzeciwić... Lecz Dziutka ma już narzeczonego, pana Karola Włodowskiego, zacnego i uczonego prawnika. Choć starszy od niej i nie bardzo się jej podoba, dała mu słowo, bo... „mama sobie życzyła”... Ze smutkiem dowiaduje się czytelnik, że to młode, świeże, niezepsute dziewczę własna matka zaprowadziła na targ... Z jakich powodów? Nie była ubogą, wreszcie jeszcze młoda?... Autor tak chce.

Dalsze powikłanie jest proste: Jadwiga pokochała młodszego brata, czego nie zauważył poważny pan Karol. Niebezpieczeństwo nie grozi mu jednakże, bo narzeczona, choć nieświadomie przyrzekła swą rękę, już się nie cofnie. Cóż pozostaje Sewerowi? Oto—znak zapytania.

Młodzieniec, wiedząc, że brat jego kocha narzeczoną aż do szaleństwa i że z chwilą jej utraty może stracić i cel z przed oczu, ustępuje. Złamany i zgnębiony po tem piewszem cierpieniu idzie za kratę

klasztorną szukać pocieszenia i — zapomnienia zarazem... Mimowoli nasuwa się uwaga: albo Sewer jest jeszcze dzieckiem, nie znającem życia i jego dróg (czuł to i autor: str. 297), albo jest figurą nienaturalną. A może — jedno i drugie. Bo, gdyby był dojrzalszym, natychmiast w pierwszych dniach obcowania z narzeczoną brata byłby uświadomił sobie swe położenie: ujrzałby niewątpliwie, że grozi mu utrata spokoju i równowagi, dotychczas posiadanej,—miłość. I uciekłby przed nią, jak to uczynił — po niewczasie. Rozważny i z silną wolą, mając szlachetne poglądy, nie zbliżałby się zbytnio do Jadwigi. Ale Sewer to figurka sztuczna, a w dodatku mazgajowata, bo gdy mu pierwszą spotkaną „Dziutkę" sprzątnięto, nie widzi przed sobą nic, krom furty klasztornej, by po pięciu latach, kiedy ukochana bratowa jego umarła, napisać: „Nie upadajmy pod krzyżem". A ty zaliż nie upadłeś w pierwszej zaraz chwili pod drobną siłą miłosnego niepowodzenia, które w twych oczach młodzieńczych zagładą ci się być zdawało? czyż nie uciekłeś od społeczeństwa, od pracy? — i ty mówisz o cierpieniach? ty, muzyk, marzący o sławie Chopina, porzuciłeś wszystko, bo kochałeś żonę swego brata?... Ty byłeś dzieckiem, któremu dobra ręka winna była wskazać zagony rodzinne, często nieuprawne; wskazać ci na swej ziemi bohaterów groby, którzy nie upadli pod krzyżem, pod prawdziwym krzyżem cierpień, bo wiedzieli, że życie to nie przechadzka po Palanzy... A dalej, gdybyś umiał porównać wiedzę, bogactwo i postęp tych ludów zachodnich i twego z cierpieniem po stracie ukochanej, szukałbyś zapomnienia w pracy... Gdybyś był talentem, taką skargą zagrzmiałbyś potężną, że dźwięki tego uczucia, tej miłości biednej dobywałyby ze strun dusz ludzkich najsubtelniejsze tony... „Ja milion, bo za miliony kocham i cierpię"... — jakże drobne, jak małe i blade twoje cierpienie w porównaniu z temi słowami... I gdzie tu znak zapytania?

Nie — „Znak zapytania" może być tylko „Kartką z dziejów młodego serca". Do zagadnień, któreby rozwiązywać należało, nie może być zaliczony w tem świetle i w takich warunkach, w jakich autor rzecz przedstawił.

Większą zwróciłem uwagę na motywy utworu, mniejsze miejsce wyznaczywszy artystycznemu jego wykonaniu.

Wykonanie wogóle słabe. Pierwsza część pamiętnika (aż do wybuchów rozpaczy bohatera), ta, w której młodzian czyni spostrzeżenia, sprawia wrażenie czegoś niedokończonego; pełno (rażąco nawet) tu wyrazów: „jakiś", „czegoś", „jakby" — wogóle nieokreślonych, które o niczem nie mogą czytelnika przekonać. Opisy natury

i otoczenia, są jak gdyby „opisami z podróży”, traktowanymi po dziennikarsku. Druga część (jak ją pozwoliłem sobie nazwać), w której duszą młodzieńca targa rozpacz, góruje nad pierwszą; opisy tych cierpień bohatera są więcej zajmujące i piękniejsze.

Szkoda, że autor nie wykreślił takich galicyzmów, jak: „robić tualetę”, „ranny deshabil” — również w budowie zdań, naprzykł. „ja, który wcale nie jestem mądry i tak ciężko uczony, abym wiedział, że”... (str. 64) i. i., że pominę „zaglądnąć”, „kładnąć”, „uwidziło mi się” i kilka nieestetycznych porównań.

L. Rutkowski.

K. Twardowski. „Psychologia wobec fizyologii i filozofii. Lwów, 1897, str. 30.

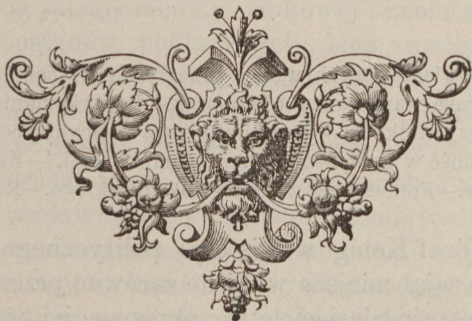
Niewielka rozprawka ta potrąca o zagadnienie stosunku psychologii do nauk przyrodniczych z jednej strony, do filozoficznych — z drugiej. Po treściwym przeglądzie historycznym stosunków psychologii do obu tych dziedzin oraz po krytycznym przeglądzie metod psychologii introspekcyjnej, empirycznej i eksperymentalnej—autor rozwija pogląd współczesny na stosunek psychologii do nauk filozoficznych. Filozofia dzisiejsza coraz bardziej dąży do tego, aby oprzeć się na psychologii. Dawniej psychologia zależała od metafizyki, dziś wytwarza się stosunek odwrotny. Teorya poznania bardzo wiele zawdzięcza psychologii. Wobec tego autor uważa określenia filozofii, które nie wciągają psychologii w jej zakres, za zbyt ciasne. Do takich należą określenia Wundt'a („umiejętność ogólna, która ujmuje wyniki nauk specyalnych w całość, wolną od sprzeczności”) lub Struvego („nauka, badająca ogólne zasady wiedzy, podmiotowe i przedmiotowe w celu wyjaśnienia szczegółowych objawów bytu” i t. d.). Filozofia zresztą nie jest pojedyńczą nauką, ale całym systematem wiedzy.

Trzy okoliczności zdaniem autora przyczyniły się do nienaturalnego oddzielenia psychologii od nauk filozoficznych: 1-o, Pomieszanie pojęcia ogólności z filozoficznością, wskutek czego wydawało się, że psychologia, jako nauka specyalna, nie może należeć do filozofii; 2-o, Zmiana poglądów na stosunek psychologii do metafizyki, niezależnie pierwszej od drugiej, nie zrywa wszakże między niemi związku, który dziś przybiera stosunek odwro-

tny, t. j. zależność poglądów metafizycznych od danych psychologii; 3-o, Trzecią przyczyną — czysto zewnętrzną — jest niemożność objęcia przez jednego wykładającego wszystkich nauk filozoficznych, a wskutek tego oddzielenie katedr psychologii od filozofii.

Niewielka ta rozprawka jest bardzo na czasie wobec zainteresowania się zagadnieniami psychologicznemi, i pragnęlibyśmy jej szerszego rozpowszechnienia: dałaby ona wiele do myślenia czytelnikom, których zainteresowanie w tym kierunku karmią u nas zbyt często bałamutnemi popularyzacyami.

Wł. M. Kozłowski.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Józef Kenig i stanowisko żywych wobec umarłych.—Wspomnienia.—Wojna francusko-pruska.—Prasa warszawska i Bismarck.—Politykomania Keniga. — Ewolucya wypadków i czytelników. — Kompilatorowte i encyklopedyści. — Brak samowiedzy i oryginalność w pracy.—Życie sprawami obcemi. — Zalety Keniga.—Kradzieże literackie.—Konieczność związku towarzyskiego.—Prawda i anegdoty.

Zmarły Józef Kenig w historyi politycznego dziennikarstwa warszawskiego zajął miejsce wybitne zarówno przez wyjątkowo płodny i długi, bo sześćdziesięcioletni, okres swojej pracy, jak i przez właściwości rozumowania i pisania, przez zakres rozstrząsanych tematów, przez kierunek i charakter, jaki nadał nie tylko dziennikom, których był redaktorem, lecz i innym.

Według mego zdania, życie i postępowanie, działanie i rozumowanie ludzi, którzy w dziedzinie pojęć lub interesów, w sferze praktycznej lub w sferze umysłowej zajmowali jakieś stanowiska regulujące lub kierujące i pełnili pewne wyższe funkcye publiczne, to życie i działanie powinno być ocenione, przynajmniej zaś rozważone, z możliwą bezstronnością dla wyciągnięcia pewnych wniosków dla zapisania do książki rachunków społecznych jego aktywów i pasywów. Rachunek taki, niewłaściwy w dniu choroby lub w dniu pogrzebu, jest, według mego przekonania, konieczny później, kiedy już przebrzmią nekrologi i prawda dopomina się o swoje.

Śmierć jest rzeczą świętą; nikną albo niknąć wobec niej powinny te namiętności, przesądy i zawiści, któremi, niestety, to biedne życie nasze jest tak napełnione i przepełnione; w tym wielkim przełomie, jakim jest śmierć, zamiast pochlebstwa czy nienawiści, któremi świat przeważnie otacza żywych, niech zabiorą głos słuszność i sprawiedliwość, które jesteśmy winni zmarłym. Mniemam, że nasze pochlebstwa i nasze panegiryki ich nie dochodzą, i, jeśli wsłuchują się w głosy tej ziemi, to chyba po to, ażeby posłyszeć wołanie o dobro, prawdę i piękno, których wyznawcami byli lub być pragnęli w lepszych chwilach swojej pielgrzymki doczesnej.

Z tego punktu zapatrywania, z punktu słuszności i prawdy, bez fałszów konwencyonalnych, rozważmy działalność i właściwości dziennikarskie Józefa Keniga.

Niełatwe są odrazu do ujęcia główne rysy umysłowe i moralne publicysty i dziennikarza, który pisał niemal codziennie przez pół wieku z górą o bieżących sprawach politycznych i teatralnych, angielskich i francuskich, niemieckich i włoskich, hiszpańskich i tureckich, amerykańskich i azyatyckich. Przytem pisał i rozumował o nich nie według jakiejś metody naukowej i społecznej, lub choćby ustawnych poglądów politycznych, lecz według zmiennych i chwiejnych prądów dnia, według sztuki liczenia się z okolicznościami. Bynajmniej nie mówię, że Kenig nie posiadał przekonań. Lecz dziennikarz polski nie zawsze, właściwie nawet bardzo rzadko, te przekonania wyraża. Pochodzi to z wielorakich: i z zasadniczych, i technicznych, i wydawniczych względów. Zmarły Józef Kenig np. należał, jeśli nie przekonaniami, to upodobaniami i poczuciami do starej szkoły liberalnej, do ludzi 1848 r.; okoliczności i przeznaczenie sprawiły wszakże, iż w ciągu swego sześćdziesięcioletniego zawodu dziennikarskiego pisywał i pracował w dziennikach zachowawczych, albo ultra-zachowawczych i ultra-montańskich, oddanych rozmaitym praktykom, których zmarły w głębi duszy zapewne nie podzielał.

Jest to wielkiem nieszczęściem dla umysłu niepodległego, dla sumienia czujnego i prawego, jeśli zawierać musi wiekuiście pakt z okolicznościami zewnętrznemi. Są zaś ludzie, nawet całe pokolenia ludzi, którzy nie wypowiadają nigdy właściwych sobie cech umysłowych i psychologicznych, których dusza nie znajduje swego wyrazu i temperament — zaspokojenia.

Kenig należał swojemi wspomnieniami i tradycyami, stanowiskiem, z jakiego patrzał na rzeczy, i układem inteligencyi do minionego pokolenia. Zdaje mi się, że nie zdawał już sobie dokładnie

sprawy z ruchu, który wszczął się u nas przed trzydziestu kilku laty i przeszedł do historyi pod nazwą pozytywnego, ani z późniejszego prądu demokratyczno-ludowego, ani nareszcie z tych przeobrażeń moralnych i estetycznych, jakim podlega twórczość polska w ostatnich latach.

Całą jego energię i całą inteligencyę pochłaniały sprawy i interesy polityki europejskiej. I tutaj właśnie nie mogło być porozumienia i zrozumienia między Kenigem a młodszą i najmłodszą generacyą. Zmieniły się bowiem nie tylko poglądy, lecz i technika życia, nie tylko układ wyobrażeń, lecz i układ godzin każdego dnia, punkt ciężkości interesów społecznych przeniósł się na wewnątrz i dokonaną została dość radykalna ewolucya uczuć i pojęć.

Namiętni niegdyś czytelnicy świetnych artykułów politycznych Keniga w „Gazecie Warszawskiej" wymarli albo niewielu ich zostało, nowi zaś na miejsce dawnych już nie przybywali, ponieważ naturalnym i nieuchronnym biegiem rzeczy osłabło wśród publiczności polskiej zamiłowanie do zagranicznej polityki europejskiej. Stanowczy przełom pod tym względem wywarli nie tylko pozytywiści warszawscy ze swym programem pracy organicznej, lecz i rok 1870—71 z Sedanem, Metzem i kapitulacyą Paryża, z fatalnym łoskotem zapadającej się w przepaść Francyi napoleońskiej, z upadkiem idei i wierzeń, połączonych z legendą napoleońską.

Wtedy właśnie czytywano artykuły i „Ostatnie wiadomości" Keniga z głębokiem zajęciem i gorącem przejęciem. Pamiętam te czasy, stosunkowo już dziś tak odległe; pamiętam, kiedy, jako ośmioletni chłopiec, czytywałem babce mojej na wsi w Kaliskiem „Gazetę Warszawską" z depeszami i wiadomościami z placu boju, z artykułami i rozumowaniami Keniga. Pamiętam te smutne i gwałtowne wstrząśnienia, które wywołały wreszcie bitwę pod Wissemburgiem, Wörth, Spiehern i Gravelotte, tę długą mimo tego nadzieję w wygraną Francyi, której osłabić nie mogły klęski, następujące jedna za drugą w całym szeregu. Na tem ponurem i złowieszczem tle zajaśniały rzadko tylko meteorycznym blaskiem bohaterskie wysiłki Francuzów, jak atak na bagnety pod Gravelotte lub szarża kirysyerów, rzuconych przez Mac-Mahona na bataliony pruskie pod Reichshoffen. Później fatalny marsz tego Mac-Mahona w zastawioną sieć pruską pod Sedan, kapitulacya Napoleona III, a w pięć tygodni później haniebne oddanie Prusakom Metzu przez Bazain'a. Później znów detronizacya Bonapartych, ogłoszenie Rzeczypospolitej, rząd obrony narodowej, improwizowane armie ze świeżo powo-

łanych rekrutów, wyjazd balonem Gambetty z oblężonego Paryża do Tours i niezmordowane, podziwu godne wysiłki tego człowieka słowa i czynu, tego wielkiego patryoty francuskiego w mieszczańskiem i karlejącem społeczeństwie, mówcy, dyktatora i organizatora, pragnącego zatrzymać nad przepaścią zdruzgotany wóz z fortuną narodową. Później jeszcze zgiełk, wojna domowa, płomienie Paryża i krwawe egzekucye podczas komuny, pokój frankfurcki i kontrybucya pięciu miliardów franków, a nad tem wszystkiem, nad tem morzem krwi, ognia i łez wzniesiona tryumfalnie brutalna pięść Bismarcka, powszechna sankcya jego systemu, który panuje jeszcze wtedy, kiedy jego twórca stracił urząd i władzę i śpi spokojnie w swojem mauzoleum, z pośmiertną sławą, strzeżoną przez Prusy zwycięskie, rosnące wciąż na trofeach rabunku, wzbudzające bojaźń w Europie, gdzie filozofowie pruscy, jak Hartman, czynią z rozboju i gwałtu zasadę historyi.

Sprawę Francyi odczuwaliśmy wtedy gorąco, jak sprawę własną. Kenig też, jak przypuszczam, stał u zenitu swojej poczytności między r. 1859, podczas wojny włoskiej, a 1871, pogromem Francyi. Jego jasne, jędrne i wytrawne artykuły, wzorowane na dobrych publicystach angielskich i francuskich, pisane polszczyzną czystą i przejrzystą, były i później, naturalnie, ozdobą „Gazety Warszawskiej", jak „Słowa", w którem Kenig pisywał w ostatnich dziesięciu latach swego życia. Lecz, jak wyżej powiedziałem, nowe prądy wzięły górę w społeczeństwie, uwaga — i bardzo słusznie — zwróciła się do rzeczy i prac wewnętrznych, rzucono się do czytania książek przyrodniczych i filozoficznych, do roztrząsania zagadnień społecznych i ekonomicznych, do pracy „organicznej", do dobrobytu, do samopomocy. Potem znów przyszła epoka, którąbym nazwał „ludomańską", z odpowiednią powieścią tendencyjną, z podkładem demokratycznym i etnograficznym.

Kenig stał na uboczu od tych prądów może obojętny, może im obcy. W każdym razie nie połączył się z nimi: wymagałoby to przeistoczenia, podczas kiedy on zapewne widział swoje przeznaczenie w zawodzie dziennikarza, uprawiającego czystą politykę, rozprawiającego codziennie z zamiłowaniem o parlamencie angielskim, o samorządzie irlandzkim, o humanizmie politycznym Gladston'a, o odwetowej idei Gambetty, o głośnych w swoim czasie prawach Ferry'ego, nadewszystko zaś o biegłości i przebiegłości politycznej Bismarcka, z jego kulturkampfem i lekceważeniem konstytucyi, o wielkich i łatwych zwycięstwach żelaznego kanclerza na polu dy-

plomacyi, odnoszonych nad przeciwnikami, którzy nie dorównywali mu ani cynizmem, ani przewrotnością, ani bezwzględnością.

Za mojej pamięci Kenig najwięcej poświęcał czasu i miejsca Bismarckowi i Gambecie. Przypuszczam, że powstałoby grubych kilkanaście tomów z tego, co o jednym i drugim napisał; Gambetta był przedmiotem jego serdecznej sympatyi, Bismarck zaś obawy i podziwu.

Zauważę nawiasowo, że dziennikarstwo europejskie w ogólności, w szczególności nasze, wyrażając codziennie wobec Bismarcka obawę, pomieszaną z podziwem, wytworzyło w tłumach ten zabobonny niemal kult dla jego rozumu, potęgi i wszechmocy i przyczyniło się tym sposobem do obniżenia etycznej skali całej epoki z jednej, świadomości politycznej z drugiej strony.

W galeryi sławnych ludzi wszystkich czasów Bismarck zajmie miejsce znaczne, lecz nie zaszczytne. W rodzinie, której ojcem intelektualnym jest Machiavel, zasiądzie Bismarck obok swoich braci po duchu. Zdaje się on mieć niektóre rysy wspólne może z Cromwell'em, może z Richelieu, chociaż nie posiadał ani bohaterstwa i silnej wiary religijnej pierwszego, ani klasycznych rysów kardynała XVII w. Był tylko ponury, jak Cromwell, konsekwentny, jak Richelieu. Ale zresztą Prusak aż do szpiku kości, z ruchów i temperamentu, języka i stylu, Bismarck był nieodrodnym bratem pierwszych elektorów i Fryderyka II. Zuchwały i arogancki ze słabszymi, przebiegły i uniżony z silnymi Bismarck stał się wzorem i ideałem swojej rasy bez tradycyi i litości, z hasłem: „siła przed prawem", tej hordy barbarzyńskiej pomimo kultury.

Styl jego czynów i dźwięk jego słów znamionowały raczej znakomitego polityka, niż wielkiego człowieka, raczej potężny i niezłamany rozsądek praktyczny, niż inteligencyę rozległą i szlachetną. Bez drgnienia wspaniałomyślności w sercu był największym wśród parweniuszów parweniuszowskiego wieku. Ale bałwochwalczemu światu imponował swoją pięścią, zuchwalstwem i arogancyą.

Otóż ten Bismarck, którego każdy krok i każdy ruch, łysinę i postawę, mundur i buldoga opisywały codziennie gazety, i to niezliczoną liczbę razy, musiał w oczach czytającej gawiedzi wyrość na olbrzyma, na antychrysta i bestyę apokaliptyczną, na potężnego, niezbadanego i niezwyciężonego rządcę losów Europy i świata. — Siła, znaczenie i urok spoczywa nie tylko w człowieku, lecz przeważnie w opinii, jaka o tej sile wytwarza się, w bliższem i dalszem otoczeniu. Na szczyty nie zawsze wznoszono się poświęceniem, zapar-

ciem się siebie, umiłowaniem prawdy, talentem lub geniuszem; wznoszono się i egoizmem, próżnością i przebiegłością, często zbrodnią. Stąd widzimy tam tylu głupców i łotrów, którzy imponują naiwnym lub spodlonym tłumom.

Dla karyery i sławy Bismarcka stało się bardzo dobrze, że się urodził w epoce panowania tłumu, w okresie człowieka przeciętnego, nareszcie w okresie nadzwyczajnego rozkwitu dziennikarstwa, będącego przedewszystkiem wyobrazicielem poczuć i pojęć człowieka przeciętnego. Imponował też nadzwyczajnie tłumowi kultem siły, który głosił i wyznawał, butą i zaciętością, które go cechowały, lekceważeniem idealizmu, praw moralnych i i historycznych, tego, co już było albo dopiero ma być, tego, co dalekie, niemateryalne i niedoścignione. Roztropni i przedajni sofiści, posługujący się wymową, jak hetery swoimi wdziękami, nie stanęli nigdy w antagonizmie ze zwodzonym i zwodniczym tłumem, który zmusił do wychylenia czary z trucizną wyznawcę prawdy Sokratesa; cyniczny i brutalny Bismarck posiadał więcej wśród tłumów zwolenników i czcicieli, niż cnotliwy i czysty Marek Aureliusz.

Dziennikarstwo z jakąś niepojętą, bezmyślnością rozpowszechniało kult Bismarcka. Jak zaś zaraźliwą jest ta atmosfera, jak przebywanie w okręgu prądów i wrażeń chwili, gdzie żadne kryteryum nie ma czasu do ustalenia się, ponieważ następujące wiadomości wypychają te, co przyszły przed chwilą — odbija się nawet na umysłach rozsądnych i przenikliwych — niech posłuży za dowód Kenig, który przez dwadzieścia lat z górą codziennie lub prawie codziennie komentował mowy i słowa Bismarcka, zapełniając dobrą połowę dziennika jego osobą.

Oczywiście, że nie podaję bynajmniej Keniga za zwolennika Bismarcka. Chcę tylko powiedzieć, że rozpolitykowane dziennikarstwo warszawskie, zapełniające swoje szpalty materyałem politycznym, czerpanym z rozmaitych, dobrych i złych źródeł, rozpisując się do nieskończoności i do znudzenia o żelaznym kanclerzu, otoczyło tym sposobem jego osobę i jego system, bez żadnej uprzedniej tendencyi, nimbem i grozą. Zasłaniało przed czytelnikami inne zjawiska. Nie było dziennikarstwa w Europie, przeznaczającego tyle miejsca na politykę zagraniczną, co nasze.

— Cóż innego miał w danych okolicznościach robić Kenig, jako dziennikarz polityczny?!—zauważycie zapewne.

Najpierw miał istotnie coś innego do czynienia z większym bez porównania dla społeczeństwa pożytkiem. Talent Keniga posiadał skalę dość rozległą: widzieliśmy w nim publicystę i estetyka, kryty-

ka i w części moralistę, był obdarzony jasną myślą i jędrnem piórem, i, według mnie przynajmniej, trudno się oprzeć żalowi, że te cenne kwalifikacye rozsądku i inteligencyi pochłonęły i wyczerpały całkowicie artykuły o bieżących kwestyach politycznych, czerpane z drugiej ręki, kiedy Kenig, gdyby się był oddał choć dorywczo pracom samoistnym, mógł śmiało kusić się o poruszanie zagadnień z zakresu sztuki i literatury, krytyki i poezyi, nadewszystko zaś umiejętności politycznych. W innym narodzie i w innych warunkach byłoby to chyba dziwnym unikatem, że publicysta wybitnego talentu, z obywatelską świadomością w sumieniu i polityczną konstrukcyą w głowie, który przeżył kilka okresów historycznych i patrzał na radykalne przeobrażenia wewnętrzne swego społeczeństwa, nie zostawił ani jednego wyczerpującego studyum o swojem otoczeniu, któreby dla potomności zostało świadectwem epoki, trwalszym śladem po umyśle, pisarzu i człowieku, po treści jego rozumu i uczuciach jego serca.

Panegiryzm jest wstrętny nie tylko wobec żywych, lecz i umarłych. Nie zgadza on się ani z duchem prawdziwego chrystyanizmu, ani z sumieniem, ani z niepodległością umysłu, tak drogą każdemu myślącemu lnb myśleć próbującemu człowiekowi, ani nareszcie z dobrem ogółu, który o tyle posiada rękojmię rozwoju i istnienia, o ile żyje prawdą.

Przy ocenianiu zatem lub wspominaniu osobistości, które się pracą, inteligencyą lub uczuciem wzniosły nad poziom przeciętny, należy rozważyć zawsze, czy ta praca wydała odpowiednie owoce, czy inteligencya została dobrze skierowaną i wyzyskaną? Panegiryści, palący kadzidła przed żywymi i umarłymi, głupi lub fałszywi wielbiciele, powtarzający za panią matką pacierz, są najgorszymi wrogami rozwoju społecznego; swoim brakiem krytycyzmu i brakiem odwagi cywilnej utrwalają ogół we wszystkich jego błędach i przesądach, w ciasnocie jego uczuć, rutynie jego nawyknień i zwyczajów.

Józef Kenig, pomimo pilności i płodności, pomimo umiejętności asymilowania aż do późnego wieku żywotnych pierwiastków publicystyki zachodnio-europejskiej, nie uniknął całkowicie tego złego przeznaczenia, które ciąży nad większością umysłów polskich. Na czem to przeznaczenie polega? Odpowiedziałbym krótko: za wiele kompilujemy, za mało pracujemy, za mało wydobywamy treści z głębi własnej samowiedzy, z pokładów naszego sumienia i umysłu. Samoistna zaś i oryginalna tylko praca staje się prawdziwem, a nie pożyczanem, bogactwem narodu. Dzięki oryginalnej tylko pracy

lub twórczości wnosimy pożyteczny lub wzniosły składnik do zbiorowej skarbnicy, do powszechnego ducha ludzkości. Zapewne też jesteśmy najwrażliwszą, lecz i najpowierzchowniejszą, rasą w Europie.

W dziedzinie umysłowej pracy i twórczości, w nauce, sztuce i literaturze posiadamy błyskotliwych, a nawet utalentowanych encyklopedystów; mniej za to bez porównania specyalistów, specyalistów nie tylko w zwykłem, lecz i w przenośnem znaczeniu wyrazu. Czyż wśród naszych powieściopisarzy i nowelistów wielu mamy takich, którzyby podobnie, jak ich koledzy francuscy i angielscy, odbywali mozolne studya nad stosunkami lub całemi warstwami społecznemi, nad epoką kapitalistyczną, pełną kontrastów socyalnych, z jej bankami i giełdami, przemysłem parowym i handlem wszechświatowym z jednej, a człowiekiem współczesnym z drugiej strony, opanowanym znów przez trudną do rozwiązania sprzeczność wewnętrzną, polegającą na antagonizmie fatalnym między jego delikatną i subtelną budową psychiczną, między dręczącą newrozą a idealistycznymi i humanistycznymi podrywami ducha? Czyż wśród naszych estetyków i krytyków wielu mamy takich, coby bez oglądania się na sądy i przesądy zagraniczne, zwłaszcza francuskie, posiadali zdanie niepodległe, zrodzone w sercu wraźliwem i wykształcone w umyśle śmiałym i analitycznym, wówczas zwłaszcza, kiedy wypadnie określić i kwalifikować jakie wielkie zjawisko inteligencyi północnej, np. skandynawskiej, z którą przecież więcej, niż Francuzi, powinniśmy mieć cech wspólnych? Któż za to nie wie, że mamy i takich, co podobnie, jak ich duchowi przodkowie w brzasku ery romantycznej, o których pisał Mickiewicz w rozprawie „O krytykach i recenzentach warszawskich", wyświeciliby z kraju i z miasta myśliciela, artystę i poetę, nie zapisanego do rejestru firmowego przez odpowiednich estetyków francuskich, zsyłających światło i pomoc, naukę i natchnienie kolegom w Warszawie?

Dla rozkwitu inteligencyi polskiej, zarówno jak i dla publicystyki i dziennikarstwa polskiego, niebezpiecznym jest ten charakter encyklopedyczny i powierzchowny lub błyskotliwy i pożyczony. Jest to także albo przekleństwem, albo przyrodzoną wadą naszych temperamentów, że już to idziemy ślepo za cywilizacyą zachodnią z bezmyślnym dla niej zachwytem i stwierdzamy sarkazm Słowackiego o „pawiu narodów", już to niezdolni jesteśmy do wyzwolenia się z pęt swojskiej parafiańszczyzny i wynosimy ją za to, że swojska.

Sądzę, że życie i praca tak niepospolitego dziennikarza, jak Józef Kenig, mogą i powinny służyć nie tylko do czczych i banalnych nekrologów, lecz i do analizy, ewentualnie do nauki i pożytku. Był to człowiek z sądem wytrawnym, z doświadczeniem wielkiem i różnorodnem, z niepospolitym talentem pisarskim, z sumieniem odpornem i niezależnem, i pomimo tych zalet umysłu i charakteru nie mógł, nie miał czasu czy sposobności do skrystalizowania oryginalnych cech swojej inteligencyi w jakiejś większej pracy, do wykształcenia grupy publicystów, rozbierających zagadnienia dnia i czasu, do pozostawienia spuścizny odpowiedniej. Te dary natury i właściwości temperamentu pisarskiego rozpuściły się i zniknęły w nieskończonym szeregu rozpraw i artykułów o polityce zagranicznej, po większej części dla społeczeństwa obojętnych. Bo uprzytomnijmy sobie, że czytelników Kenigowi istotnie ubywało.

Nastało nowe pokolenie, z innemi nawyknieniami, z innym podziałem godzin dnia. Artykuły Keniga były czytywane przeważnie i namiętnie przez dawnych urzędników, przez szlachtę wiejską zanikającego typu, przez ludzi, którzy posiadali wiele czasu do rozstrząsania długich artykułów i zawartych w nich komentarzy i przypuszczenia o zagranicznej polityce i dyplomatycznych kampaniach wielkich państw europejskich. Technika życia nowoczesnego sprawia, że oprócz emerytów co raz mniej jest ludzi, którzyby mogli oddawać się przy czarnej kawie czytywaniu kilkusetwierszowych artykułów dziennikarskich o sprawach odległych, nie pozostających w widocznym związku z interesami i uczuciami społeczeństwa. Ludzie, politycznie wykształceni, czytują książki i miesięczniki z pracami i rozprawami fachowemi i oryginalnemi, w dziennikach zaś szukają artykułów krótszych i treściwych, informujących szybko, zręcznie i dokładnie o stanie rzeczy w danej chwili. Szara masa czytelników tem mniej ma ochoty i pociągu do nieskończonych dysertacyi politycznych.

I nie mogę oprzeć się żalowi, że Kenig w połowie przynajmniej zmarnował swój jędrny talent, swoją niepowszednią siłę wysłowienia z głęboką rozwagą i rozległe oczytanie. „Gazeta Warszawska” — o ile ją pamiętam z czasów Keniga — obok świetnego działu politycznego uderza częstokroć pustką w dziale społecznym, literackim i krajowym. Redakcya uległa politykomanii. Sprawy wewnętrzne, przeważnie wprawdzie drobne i powszednie, lecz nie mniej ważne, zeszły na ostatni plan wobec uprzywilejowanej poli-

tyki. Był czas (obecnie jest nieco lepiej), że rutyna, lenistwo i zaniedbanie się dzienników warszawskich w rzeczach krajowych zasługiwały na potępienie. Okoliczności nie wszystko tłómaczą. Gazety warszawskie wogóle smutny przedstawiały widok: zapełnione przedrukami z pism zagranicznych, bez wyboru i krytyki, milczały o najważniejszych sprawach własnego kraju. Łatwo rozpościerała się w nich tandeta i bezmyślność, bo dla umysłów krytycznych i głębszych nie było pola do pracy.

Jak dalece Kenig uległ tej manii politycznej, niech posłuży za dowód, że, według opowiadań świadków ostatnich miesięcy jego życia, zwycięstwa Boerów nad Anglikami przyprawiały go o ciężkie umartwienia i nawet złorzeczenia. Albowiem zmarły był zapalonym anglomanem, i klęski, zadawane przez Boerów jego ulubieńcom przez tych „gburów i chamów" — jak podobno mawiał — skróciły mu życie. Tak piszą osoby z codziennego otoczenia Keniga. Jest to w każdym razie dowód wielkiego wżycia się, że tak powiem, wielkiego zespolenia się z narodem obcym i odległym, który może nam wprawdzie imponować swoją historyą i swoją potęgą, swoją cywilizacyą i swojemi instytucyami, swoim charakterem, duszą narodową i niezłamaną konsekwencyą, lecz który, zdaje się, nad nieszczęściami drugich łez nie wylewał.

Rozumiem i to, że ktoś w tryumfie Anglii widzi dogmat cywilizacyi, lecz sami Anglicy w swoim niezachwianym zmyśle praktycznym zadziwiliby się z pewnością, usłyszawszy, iż niepowodzenia ich przyśpieszyć mogą komuś śmierć w Warszawie. Tylko my wydajemy takich oryginałów.

W „Lalce" Prusa jest stary subjekt, nazwiskiem Rzecki, cały pogrążony w legendzie napoleońskiej i mocno wierzący, że odrodzenie świata sprowadzi przyszły Napoleon. Prus stworzył tę postać z wielkim darem poezyi i prawdy, natchnął ją duszą czystą, wzniosłą i bohaterską. Rzecki to typ romantyka, umiejącego walczyć i umierać za swoją, jak i cudzą, byle była dobrą, sprawę.

Co do Afryki południowej, to zważmy, że nie rozgrywa się tam sprawa, którąby pod względem moralnym nazwać można wielką i świętą. Właściwie jest tu zatarg dwu sprzecznych interesów na gruncie obu im obcym, pierwotnym mieszkańcom wydartym. Pojmujemy, że czyjaś sympatya znajduje się po stronie Boerów, jako słabszych, stawiających opór bohaterski silniejszym, lecz sympatya nie jest jeszcze dostatecznym tytułem do orzekania o słuszności.

Zobaczmy teraz pokrótce, jakie nam dobre tradycye i wspomnienia zostawia Kenig po sobie, w czemby go naśladować należało, co w nim podnieść i uznać trzeba było?

Kenig w dwu głównie uprawianych kierunkach, to jest w publicystyce i krytyce teatralnej, celował trafnością i sumiennością zdania. Pisząc o sprawach zagranicznych, przytaczał on zawsze źródło, z którego czerpał, nie machał szablicą papierową na wszystkie strony, lecz ostrożnie motywował swoje sądy i nie podawał zdań cudzych za swoje; jego język i styl odznaczał się niezwykłemi zaletami, bo Kenig posiadał zalety starszej szkoły dziennikarskiej, w której żyły tradycye literackie. W swoim czasie, przed kilkudziesięciu laty, był on pionierem rozwoju dziennikarskiego na naszym gruncie, ponieważ wprowadził artykuły wstępne i rozwinął samodzielną krytykę teatralną. Nie zacieśniając się w kółka upodobań i interesów jednostronnych, umiał wchłaniać prądy myśli nowożytnej. Kenig był właściwie liberalnym konserwatystą. Nie wysługiwał się przytem możnym, ani arystokracyi i plutokracyi, ani zuchwałym dorobkiewiczom i bankierom, ani zidyociałym pół-pankom i pseudo-pankom, ani aroganckim, tłuszczem nalanym filistrom. Ze wszystkich rodzajów lokajstwa najwstrętniejsze jest lokajstwo dziennikarskie.

Kenig był umiarkowanym i ciążył ku temu, co nazywają „złotą średziną". Zresztą, nie uczestnicząc oddawna w walce o wewnętrzne programy społeczne, wpatrzony w politykę europejską, mógł on z łatwością zachować to, co nazywamy równowagą umysłu. Bądź co bądź, był pisarzem niezależnym, który się nie sprzedał, nie wysługiwał. Był zaś podobno czas, kiedy go chciano kupić i dobrze zapłacić.

Tę bezinteresowność zmarłego uznać należy. Nie zawsze cnota bywa oblubienicą dziennikarza. Żalimy się na świat i jego ustrój dopóty, dopóki jesteśmy jego ofiarami, lecz z chwilą, kiedy się udało zawrzeć z nim korzystny dla nas kompromis, wstępujemy do stronnictwa faktów dokonanych i z brzegu tego nowego terytoryum odpychamy łódkę, która nas wiozła do krainy szlachetnych aspiracyi. Wówczas dawne wyznania, pożądania i pragnienia, dawne uczucia i współczucia otrzymują nazwę marzeń i błędów; teraz zaś dopiero jesteśmy w sferze rzeczywistości i jasnem okiem widzimy rzeczy. Pozujemy i aż do znudzenia udajemy mądrych! Solidaryzujemy się z tem, co jest, i kładziemy pieczęć na tak zwanych niedowarzonych plonach minionej młodości.

Powiedziałem wyżej, że Kenig nie podawał zdań cudzych za swoje. Jest to bardzo godne zaznaczenia i uznania w tych czasach. Żyjemy bowiem w epoce rozpasanych i wszelkich skrupułów pozbawionych kradzieży literackich i dziennikarskich. Dochodzi częstokroć do tego, że, biorąc do ręki książkę lub dziennik, czytając powieść, studyum lub artykuł, nie jesteś pewny, czy myśli i argumenty, czy całe okresy i całe karty stanowią własność tego, kto pod nimi podpisany, czy też zostały skradzione umarłemu lub żyjącemu, swojemu lub obcemu pisarzowi i myślicielowi.

Jest to jedna z najbrzydszych stron współczesnego życia umysłowego i współczesnego dziennikarstwa. Zdawałoby się, że każdy człowiek uczciwy, każdy, z poczuciem godności i poczuciem wstydu, autor i artysta winien poczytywać sobie za wielką ujmę okradać innych z ich myśli i z talentu tem więcej, iż pokrzywdzony, o ile się o tem dowie, ma większe prawo pogardzania tym, co rabuje jego ideę lub pracę, niż tym, co mu wyciąga sakiewkę z kieszeni. Pospolitego złodzieja rozmaite bowiem pobudki pchają do występku: już to głód, już to nieświadomość normalna, już to długie życie w nędzy i poniżeniu, już to pogarda społeczna, która go czyni obojętnym na wszystko, na karę i hańbę, podczas kiedy złodziej literacki dobija się o zasługę i uznanie ogółu, o sławę i zaszczyty, o honory i honorarya.

Technika i pośpieszna robota dziennikarska tłómaczą to często, że jedne pisma korzystają z wiadomości i informacyi, zawartych w drugich, bez przytoczenia źródła, skąd poczerpnięte zostały; stanowi to niejako wzajemną wymianę usług; zresztą informacye, wiadomości, niekiedy i artykuły sprawozdawcze nie mają w sobie piętna indywidualności, powstają one z odruchu myśli, jako echo wypadków zewnętrznych.

Wręcz przeciwnie powstaje utwór wyobraźni i serca, każde studyum, każdy artykuł oryginalny: są one cząstką, i to częstokroć najlepszą cząstką duszy tego, kto je napisał; są niepodzielną własnością jego umysłu, serca i wyobraźni, jego poglądu na życie, jego trudów i wysiłków, jego bólu i natchnienia, jego ciężkich doświadczeń i bolesnych procesów psychicznych. Duch ludzki nie wydaje płodów swoich na świat bez walki: ażeby rodzić owoce, ażeby rozdzierać ciemności ziemi błyskawicami poezyi i rozumu, trzeba było w prostej machinie elektrycznej, zwanej inteligencyą, dostarczyć materyału w postaci własnych łez i cierpień. Serce, które nie cierpiało i nie płakało łzami uczuć gorących i delikatnych; dusza, która nie marzyła, nie nurzała się w smutkach głębokich

i nie kochała powszechności; nareszcie umysł, który nie był w komunikacyi z sercem czującem i współczującem, który nie doznawał wielkich wstąśnień i nie posiadał rozległej perspektywy dziejów i świata, nie potrafią wytworzyć pisarza godnego tej nazwy, choćby sprytem, błyskotliwością i paradoksalnością górował nad swojem otoczeniem, nad swoją epoką. Zniknie, nic nie rozświeciwszy i nikogo nie rozgrzawszy.

Kradzież literacka jest jedną z najgorszych form kradzieży. Wyobraźcie sobie, że wasze myśli i zdania, całe ustępy z waszych studyów i książek, wasze artykuły, że to wszystko, pisane często krwią własnego serca, zobaczycie po tygodniu, po miesiącu, po roku lub po kilku latach zrabowane bezczelnie co do słowa lub niezdarnie tu i owdzie przekręcone i wydrukowane albo bez podpisu, albo z podpisem kogoś innego?! A jednak fakty takie powtarzają się, należą już niemal do zwyczajów i mało lub żadnego nie wywołują zgorszenia.

Otóż pamiętam, że Kenig zawsze lub prawie zawsze przytaczał źródło, z którego czerpał, że nie podawał zdań i poglądów cudzych za swoje. Przytaczał więc gazety angielskie, francuskie i niemieckie, *Times* i *Daily News*, *Temps* i *Journal des Débats*, *Kölnische Zeitung* i *Schlesische Zeitung*. Co tu mówić o zagranicznych, kiedy my dziś nie robimy sobie żadnej ceremonii ze swoimi autorami!

Ponieważ czasy klasycyzmu pisarskiego, w których wyznawano przesąd, że do pisania potrzebną jest umiejętność myślenia, utonęły w mgle minionych wieków, więc upusty niebieskie z atramentem się otwarły, i ludzie piszą, przepisują i kompilują bez końca. I to pojąć łatwo. Lecz jest przecież prosty sposób pogodzenia tego z wymaganiami najpospolitszej uczciwości, polegający na przytoczeniu źródła lub nazwiska autora i na pomieszczeniu cytat z niego w cudzysłowie. Nieuchronnym, niestety, biegiem rzeczy wyczerpujemy się, kurczy się wyobraźnia i drętwieją nerwy, słabnie napięcie wrażliwości i giętkość dyalektyki, przyćmiewa się blask wysłowienia, zapożyczać się musimy u innych. Zapożyczajmy się wszakże uczciwie, nie bądźmy bezkarnymi rabusiami najświętszych dóbr duszy i umysłu ludzkiego. Niech o tem zwłaszcza pamiętają te dzienniki galicyjskie, które system rabunku względem tutejszych autorów uprawiają. Wymaga tego sumienność i przyzwoitość, etyka i kultura epoki.

Długie życie Keniga, nieustanna jego aż do zgonu pracowitość i rześwość umysłu w połączeniu z pogodą usposobienia nastręczają

także do rozwagi pytanie, co tych ludzi starszej generacyi na siłach trzymało, co im łagodziło brzemię starości i co sprawia, że tylu młodszych i szlachetnych albo tragicznie i zawcześnie schodzi do grobu, albo zamyka się i gorzknieje?

Ażeby na to pytanie jako tako odpowiedzieć, należałoby potrącić o cały świat zjawisk moralnych i psychologicznych, wyłożyć szereg powikłanych przyczyn. Nie mogąc się kusić tutaj o to, dotknę tylko kwestyi z jednego punktu widzenia.

Są w obecnym okresie cywilizacyi typy i osobniki, zanadto niezadowolone z siebie samych; człowiek, zbyt niezadowolony z siebie, nie może być szczęśliwym, niekiedy nie może być dobrym. Ażeby być wytrwale dobrym, trzeba kochać ludzi; niezadowolenie zaś z siebie samych prowadzi do mizantropii; ażeby być szczęśliwym, trzeba właśnie zadowolnić siebie i innych.

Unikajmy więc tego groźnego stanu psychicznego. Jeżeli sami w sobie, w swoich postanowieniach i ich wykonywaniu, nie znajdziemy dostatecznej siły do wydobycia się z objęć tej zmory, trzymającej ducha w złowrogim ucisku, to mało kto i mało co pomódz już nam może. Całe nadzieje w energii moralnej, w rozszerzaniu zakresu życia. Pogłębianie przepaści, którą kopiemy pod sobą, analizując się samotnie, jest fatalną i niezdrową robotą. Oddalamy się i odwykamy wtedy od świata; powiększając wegetacyę psychologiczną, czynimy się coraz więcej obcymi towarzyszom życia i współludziom, od których jednak bezustannie czegoś żądać i wymagać musimy. Zamiana zdań, czynów, uczuć i przyjaźni staje się coraz trudniejszą.

Stara maksyma, że człowiek jest zwierzęciem towarzyskiem, bywa prawdą. Samotność sama dla siebie nie może być celem. Jako środek do skupienia ducha, do skrystalizowania inteligencyi, do zebrania i usystematyzowania nabytej obserwacyi, samotność jest konieczną; przynosi ona zbawcze skutki, ilekroć schronimy się pod jej opiekę, zmęczeni gwarem lub czczością stosunków świata. Jeżeli jednak uczynimy z niej cel życia — to najczęściej bywa on chybiony. Rozwój myśli, religii i moralności, wymaga, jako koniecznego warunku, samotności; ani religia, ani inny kult nie mogą rozpiąć skrzydeł wśród banalnego gwaru społecznego.

Nie nadstawiając wszakże ucha na ten gwar, nie odczuwając duszy tłumu, tracić możemy powoli związek ze światem; gdybyśmy nawet potrafili zbliżyć się do doskonałości, to pozostanie ona obcą innym. I złoto, ażeby się stało monetą obiegową, potrzebuje przymieszki mniej szlachetnych kruszców.

Nie traćmy więc całkowicie połączenia ze światem i otoczeniem, jeżeli chcemy uniknąć niezadowolenia z siebie samych, a do tego niezadowolenia prowadzi przeświadczenie, że nasze idee i nasze życie są bezowocne lub nie owocują w tym stopniu, w jakimby mogły. Zachowajmy uwielbienie dla natchnień samotnych, dla swobodnego rozkwitu duszy, dla niepodległości dojrzewającego samodzielnie umysłu, nie zapominając wszakże, iż jesteśmy dziećmi tej ziemi, zależnemi od jej nieprzełamanych warunków. Jako tacy, pamiętajmy, że, lekceważąc prawa moralne, które nam każą cieszyć się, śmiać i płakać łzami ludzkiemi i współdziałać ze sprawami, które w odosobnieniu wydają się pospolitemi, otrzymujemy w konsekwencyi gnębiące niezadowolenie z siebie samych, jako odwet za niezachowanie praw związku towarzyskiego.

Wyszedłszy z zapatrywania, że panegiryzm jest upakarzający zarówno wobec żywych, jak i umarłych, dotknąłem kilku dobrych i mniej dobrych stron publicznej działalności Keniga. Rozważyłem przytem pobieżnie niektóre ujemne zjawiska naszego życia umysłowego, kulturalnego, literacko-dziennikarskiego i moralnego. Zaznaczyłem nareszcie, co mi się w zmarłym publicyście wydało godnem uznania, co go pochlebnie i słusznie wyróżniało wśród jego sfery, wśród jej nałogów i zwyczajów.

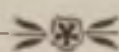
Nie kusiłem się wcale o charakteryzującą sylwetkę Keniga, ponieważ, mojem zdaniem, sześćdziesięcioletnia jego praca na arenie dziennikarskiej, zbyt rozproszona, nie pozwala się ująć plastycznie i nie skrystalizowała się w ustalone cechy samoistnej inteligencyi. Produkcya umysłowa zanadto była zależną od faktów dalekich, od materyałów, z drugiej czerpanych ręki, i dlatego przywaliła swoim ciężarem oryginalny polot pisarza i umysłu.

Pisałem zatem nie tyle o pisarzu i jego talencie, ile z powodu pisarza na tle okoliczności miejsca i czasu. Nie wiem, czy uczyniłem dobrze; wiem, że uczyniłem szczerze. Sądzę wszakże, że każdy rozbiór krytyczny, do prawdy dążący, ma wyższość nad anegdotami, banalnemi i pospolitemi, które, pomimo obliczenia na pochlebstwo, ośmieszałyby nieboszczyka, gdyby były istotnie prawdziwe „Panie Boże, strzeż mię od przyjaciół" — musimy sobie nieraz powtarzać.

Tylko prawdą poprawić lub uszanować możemy żywych i uczcić zmarłych.

Bolesław Lutomski.

Bibliografia.



1. A. Czasopisma. **Biblioteka Warszawska** (zeszyt marcowy): Henryka Konica „Rzut oka na ustawę z roku 1807“, Jana Blocha „Walka w Afryce południowej, uwagi i wnioski teoretyczne“, S. Kramsztyka „Bez węgla“, Henryka Boguskiego „Słowacki i prelekcye Mickiewicza“, Stanisława Koszutskiego „Przemysł w Królestwie Polskiem. III. Przetwory zwierzęce. IV. Przemysł chemiczny. V. Przetwory kruszcowe i ziemne. VI. Cały przemysł“, Maryi Konopnickiej „Król Mistral (poezya)“, Maryana Gawalewicza „Józef Kenig, wspomnienie pośmiertne“.

= 2 zeszyt **Ludu** z r. b., organu Towarzystwa ludoznawczego, zawiera następujące artykuły: Jan Witort: „Filozofia pierwotna“ (Animizm), Bron. Gustawicz „O ludzie Podduklańskim w ogólności, a Iwoniczanach w szczególności“, Józef Schnaider „Z kraju Huculów“, Bron. Kryczyński: „Śpiewy hailkowe z Podhorzec“, Dr. St. Eliasz-Radzikowski „Styl zakopiański“. Rozmaitości przez d-ra F. Krćeka, M. Rybowskiego, d-ra St. Eliasza Radzikowskiego, M. Rawicza-Witanowskiego i Józefa z nad Wiszenki.

= **Prace filologiczne**, tom V zesz. 3; H. Łopaciński „Przyczynki do nowego słownika języka polskiego“, St. Dobrzycki „Z dziejów średniowiecznego piśmiennictwa polskiego: I. Pieśń, przypisywana bł. Wład. z Gielniowa, II. Fragment z życia N. Maryi P.“, Sprawozdania i wiadomości bibliograficzne przez St. Dobrzyckiego i A. A. Kryńskiego, Warszawa, 1899.

= **Przegląd Powszechny** (kwiecień): ks. Jan Pawelski „Dwa Zmartwychwstania (Tołstoj i Ibsen)“, Maurycy Straszewski „O filozofii i filozoficznych naukach“, Antoni Mazanowski „Młoda Polska w powieści i poezyi“, ks. St. Załęski „Nawrócenie się królewicza Fryderyka Augusta“.

= **Przewodnik Naukowy i Literacki** (marzec): Dr. Bronisław Łoziński „Agenor hr. Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859), D. Zaleski „Korespondencya J. B. Zaleskiego“, Wojciech Dzieduszycki „Historya malarstwa na Północy i w Hiszpanii“, ks. Jan Sygański „Nowy Sącz w epoce Wazów“, J. Snitko „Zarys pojęć o narodzie“, J. Horoszkiewicz „Pamiętnik o stroju narodo-

wym Rplitej w Polsce", X. „Wojna grecko-turecka w 1897 r.", P. Władysław Dropiowski „Hugona Kołłątaja Pamiętnik fizyczno-moralny, szkic historyczno-krytyczny".

= **Sprawozdań komisyi fizyograficznej** Akademii Umiejętności w Krakowie tom XXXIV, obejmujący pogląd na czynności, dokonane w ciągu roku 1898, oraz materyały do fizyografii krajowej, zawiera prace prof. dr. Karlińskiego, dr. Wierzbowskiego, prof. Kolbenheyera, L. Niezabitowskiego, J. Trzebińskiego, J. Snieżka, Fr. Schillego, dr. Lembergera, J. Paczoskiego, dr. Klemensiewicza, Fr. Kamieńskiego, Al. Nowickiego, M. Łuszczkiewicza, T. Rudowskiego, J. M. Promińskiego.

= **Wisły** tomu XIV zesz. I (stycz.—luty 1900) zawiera: Seweryna Udzieli „Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego", Leona Wasilewskiego „Z dziejów zachodniej granicy etnograficznej słowiańskiej, E. Majewskiego „Rodzina kruków (Corvinae)", Józefa Radziukinasa „Dzuki", Jana Fr. Magiery „Wierzenia ludowe w okolicy Sułkowic", St. Czuprynowskiego „Biłgorajanie i sitarstwo", R. Lilienthalowej „Zaręczyny i wesele żydowskie", Z. A. K, „Tabaka i tytuń", H. Łopacińskiego „Dwa przysłowia starożytne", H. Sarnowskiej „Piosnki śpiewane w Gostyńskiem na okrężnem", Maryana Kucza „Gregoryanki".

= Od kwietnia r. b. zacznie wychodzić tygodnik, poświęcony nauce i potrzebom życia, p. t. **Ekonomista**, pod kierunkiem Zenona Pietkiewicza, przy współudziale dr. Stanisława Bukowieckiego, Stanisława Chełchowskiego, Zygmunta Herynga, d-ra Stanisława Kłobukowskiego, Zygmunta Kotarskiego, Władysława Rawicza, Adolfa Suligowskiego, Stefana Woyzbuna, Adama Zakrzewskiego (prenumerata roczna na miejscu rb. 6).

B. F i l o z o f i a. **Biblioteka neo-scholastyczna**, zawierająca dzieła D. Merciera i E. De Wulfa (cena rs. 12), Warszawa, 1900.

= **Lange Antoni.** Studya i wrażenia, Warszawa, 1900.

= **Morawski W. ks.** Wieczory nad Lemanem, Warszawa, 1900.

= **Polak J. dr.** Nauka o szczęśliwości, Warszawa, 1900.

C. S o c y o l o g i a. **Balicki Zygmunt dr.** Parlamentaryzm, zarys socyologiczny, tom I (Wiedza i życie, II, 1), Lwów — Warszawa, 1900.

= **W naszych sprawach,** II: Szkice w kwestyach ekonomiczno-społecznych, napisali pp. Stan. Bukowiecki, Wład. Grabski, Zdzisław Korsak, Ant. Potocki, Jerzy Ryx, Jul. Waliszewski i Henryk Radziszewski, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Załęski Witold.** Królestwo Polskie pod względem statystycznym, część I: Ludność, rolnictwo, górnictwo i finanse, Warszawa, 1900.

D. H i s t o r y a. **Bieliński Józef.** Uniwersytet Wileński, 1579 — 1831, tom I i II, Kraków, 1899—1900.

= **Chodyński Stanisław ks.** Szkoła katedralna włocławska, szkic historyczny, na podstawie akt kapitulnych skreślony, Włocławek, 1900.

= **Dubiecki Maryan.** Kudak, twierdza kresowa i jej okolice, wydanie nowe, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Dzieje Powszechne ilustrowane,** zeszyt 301—310, Wiedeń, s. a.

= **Friedberg Jan.** Pospolite ruszenie w Wielkopolsce w drugiej połowie XV wieku, Lwów, 1900.

= **Gryf.** Administracya polityczna w Galicyi w świetle prawdy, rzecz poświęcona J. Ex. Namiestnikowi hr. Leonowi Pinińskiemu, Lwów, 1900

= **Jabłonowski Aleksander.** Akademia kijowsko-mohilańska, zarys historyczny na tle rozwoju ogólnego cywilizacyi zachodniej na Rusi, Kraków, 1899—1900.

= **Karbowiak A. dr. prof.** Szkoły dyecezyi chełmińskiej w wiekach średnich. Kraków, 1899.

= **Karbowiak A. dr. prof.** Brak nauczycieli w szkołach średnich, Kraków, 1900.

= **Siemiradzki Józef.** Polacy za morzem, Lwów, 1900.

= **Szkoła** główna warszawska, 1862—1869, tom I: Wydział filologiczno-historyczny, Kraków, 1900

= **Szczerbatow ks.** Rządy księcia Paskiewicza w Królestwie Polskiem, (1832—1847), Warszawa, 1900.

E. L i t e r a t u r a. **Brueckner Al.** Apokryfy średniowieczne, część I, Kraków, 1900.

= **Chmielowski Piotr.** Historya literatury polskiej, z przedmową Bron. Chlebowskiego (z ilustracyami), tom IV (dla prenumeratorów Biblioteki dzieł wyborowych), Warszawa, 1900.

= **Waliszewski K.** Histoire des literatures: Literature russe, Paris, 1900.

= **Waszyński Stefan dr.** Adam Mickiewicz, jego historyozoficzne i społeczne poglądy, Poznań, 1900.

= **Wierzbowski Teodor.** Materyały do dziejów piśmiennictwa polskiego i biografii pisarzów polskich, tom I: 1398—1600, Warszawa, 1900.

= **Zaleski Józef Bohdan.** Korespondencya, wydał Dyonizy Zaleski, tom I, Lwów, 1900.

F. B e l e t r y s t y k a. **Bardzka N.** Utopista, powieść współczesna, Warszawa, 1900.

= **Chleboradzki Antoni.** Na kurpiowskim szlaku, powieść historyczna z XVII wieku (dodatek do „Gazety Polskiej", Warszawa, 1900.

= **Gliński Kazimierz.** Wybór poezyi, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Jahołkowska—Koszutska L. (Lasota).** Z teki wrażeń, Warszawa, 1900.

= **Krasiński Z.** Pisma, tom I (dodatek do „Kuryera Codziennego), Warszawa, 1900.

= **Przybyszewski Stanisław.** In diesem Erdenthal der Thränen, Berlin, 1900.

= **Tołstoj Leon.** Zmartwychwstanie, przekład L. Stempowskiego, Warszawa, 1900.

= **Wasilewski Edmund.** Poezye (Biblioteka powszechna № 297 — 300), Złoczów, 1900.

= **Werytus Antoni.** Szukaj żyda, obrazek z życia, Warszawa, 1900.

= **Wróblewski Kazimierz.** Skargi Jeremiego, szkic literacki, Lwów, 1900.

= **Zagórski Włodzimierz (Chochlik).** Humoreski (Bibl. Dzieł Wybor., № 127), Warszawa, 1900.

G. M a t e m a t y k a i p r z y r o d o z n a w s t w o. **Błażek Bolesław.** Znużenie w szkole, przyczynek do psychologii doświadczalnej, Lwów, 1899.

= **Hellpern M.** Pogadanki o tajemnicach przyrody. część I: Wstępne wiadomości o świecie, wydanie 2-gie, dopełnione. Warszawa, 1900.

= **Löwl Ferdynand dr.** Zarys nauki o skałach dla turystów i samouków, tłóm. z niem. Zygmunt Weyberg, Warszawa, 1900.

= **Sempołowski A. dr.** Wyniki prac i doświadczeń, wykonanych od 1 lipca 1898 do 1 lipca 1899 r. przez Stacyę doświadczalną w Sobieszynie, Warszawa, 1900.

= **Skrzyńska Kazimiera.** Świat niewidzialny czyli świat widziany przez mikroskop, z 80 rycinami w tekście (wydawnictwo popularne), Warszawa — Kraków, 1900.

= **Stella-Sawicki Jan dr.** Poznaj sam siebie, szkice fizyologiczne, z 16 rycinami (wydawnictwo popularne), Warszawa—Kraków, 1900.

H. Sztuki piękne. **Cerchowie-Kopera.** Pomniki Krakowa Maksymiliana i Stanisława Cerchów, z tekstem d-ra Feliksa Kopery, zeszyt I, Kraków—Warszawa, 1900.

= **Ruskin John.** Gałązka dzikiej oliwy, cztery odczyty: o pracy, handlu, wojnie i przyszłości Anglii, przełożył Wojciech Szukiewicz, z przedmową Juliana Ochorowicza (Biblioteka dzieł wyborowych, № 126), Warszawa, 1900.

= **Ruskin John.** O prawdziwej kobiecie, przełożył J. Jankowski, Warszawa, 1900.

= **Włochy,** zbiór 2,000 artystycznych zdjęć włoskich widoków, typów ludowych oraz włoskich skarbów sztuki, pod redakcyą Michała Rollego, zeszyt I, Wenecya, Warszawa—Lwów, s. a.

J. Różne. **Bolcewicz B.** Katalog monet polskich i z Polską styczność mających od czasów najdawniejszych do roku 1795, Warszawa, 1900.

= **Godlewski M. ks.** Pójdźcie do mnie, dziatki, książeczka do nabożeństwa dla dziatek katolickich, Warszawa, 1900.

= **Sprawozdanie** rachunkowe warszawskiego towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego za rok 1899, Warszawa, 1900.

= **Sprawozdanie** z działalności Towarzystwa Kolonii Letnich w m. Warszawie za rok 1899, Warszawa, 1900.

2. Filozofia. **Bettex F.** Natur und Gesetz, 4 Aufl., Bielefeld, 1900.

= **Folkmar Daniel.** Leçons d'anthropologie philosophique, ses applications à la morale positive, Paris, 1900.

= **Kedney J. Steinfort.** Problems in ethics; or, grounds for a code of rules for moral conduct, New-York, 1900.

= **Margerison T. E.** Psychology and education, London, 1900.

= **Panizza M.** Nuova teoria fisiologica delle conoscenza, Roma, 1900.

= **Riehls Alois.** Giordano Bruno, zur Erinnerung an den 17. II. 1600, 2 Aufl., Leipzig, 1900.

= **Stein Heinrich s.** Giordano Bruno, Gedanken über seine Lehre und sein Leben, Berlin, 1900.

C. Socyologia. **Kostanecki Antoni von.** Der wirtschaftliche Werth vom Standpunkt der geschichtlichen Forschung, Versuch einer Morphologie des wirtschaftlichen Werthes, Berlin, 1900.

= **Old Gentleman (A. W. Amfiteatrow).** Stolicznaja bezdna, etiudy, listki, tipy i kartinki, 1892—1899, Petersburg, 1900.

Reder A. von. Ueber die wahren Ursachen des Verlustes v. Oeterreichs Stellung in Deutschland, Zürich, 1900.

= **Skworcow A. I.** Ekonomiczeskija osnowy ziemledielja, 10 lekcij, Petersburg, 1900.

= **Sombart Werner.** Sozialismus und soziale Bewegung im 19 Jahrh., nebst 2 Anh.: 1. Chronik der sozialen Bewegungen von 1750—1899; 2. Führer durch die sozialistische Litteratur, 3 Aufl., Jena, 1900.

C. Historya. **Michelet J.** Du 18 Brumaire à Waterloo, Paris, 1900,

D. Literatura. **Bogdanowicz L. A.** John Ruskin, „apostoł religii krasoty", Moskwa, 1900.

= **Bonaventura Arc.** La poesia neolatina in Italia dal sec. XIV al presente. Città di Castello, 1900.

= **Holmes Edmond.** What is poetry?, London, 1900.

= **Holz Arno.** Revolution der Lyrik, Berlin, 1900.

= **Moskal M.** Wozrożdienje ili upadok?, kriticzeskij etiud po powodu romana gr. L. N. Tołstogo „Woskresienje", Moskwa, 1900.

= **Suchier Herm.** u. **Adf. Birch-Hirschfeld.** Geschichte der französichen Litteratur von den ältesten Zeiten bis zur Gegenwart. 1. u. 2. Lfg., Leipzig, 1900.

= **Szepielewicz L.** „Faust" Goethe, opyt charakteristiki, Petersburg, 1900.

= **Wwedenskij A. I.** Obszczestwiennoje samosoznanje w russkoj literaturie, Petersburg, 1900.

= **Zielinskij W.** Russkaja kriticzeskaja literatura o proizwiedienjach L. N. Tołstogo, Moskwa, 1900.

E. Beletrystyka. **Hauptman Gerhard**. Schluck und Jau, (Spiel zu Scherz und Schimpf m. 5 Unterbrechungen), Berlin, 1900.

—h.—

---

3. Przekłady z polskiego. Dziennik włoski „Caffaro" rozpoczął w lutowych felietonach druk „Rodziny Połanieckich" **H. Sienkiewicza**, „Kijewlanin" zaś zamieścił przekład noweli „Na Olimpie".

Zagrzebski „Vienac" przyniósł w zesz. 1—2 tłómaczenie noweli **E. Orzeszkowej** p. n. „Karyery" pióra Józefa Maticy i ballady **A. Mickiewicza** „Ucieczka".

Popularnie napisana rzecz **Erazma Majewskiego** p. n. „Doktór Muchołapski" ukazała się w przekładzie rosyjskim A. Domańskiej p. t. „Doktor Muchołowkin" w Petersburgu. Z innych przekładów książkowych notujemy szereg powieści **E. Orzeszkowej**, wydanych staraniem „Russkiej Myśli": dotąd wyszły następujące: „Iskry" (tłóm. I. Enbułajewa), „Juljanka" (W. M. Ławrow), „Miełancholiki" i „Powiesti i razskazy"; **H. Sienkiewicza** zaś wydano „Quo vadis" i „Pójdźmy za nim" w 2-giej edycyi. Nakoniec zaznaczamy przekł. pracy prof. **H. Nusbauma** p. t. „Socialnaja rol żenszczyny" (Petersburg).

Powieść **E. Orzszkeowej** „Australczycy" wyszła w niemieckim przekładzie w Wiedniu.

4. Udział Polaków w obcych literaturach. **Dr. J. Łęgowski** zamieścił w zesz. 3-cim (z r. 1899) czasopisma „Baltische Studien" piękną rozprawę p. n. „Die Slovinzen im Kreise Stolp." (str. 137—158).

5. O rzeczach polskich. Piękne studyum o H. Sienkiewiczu napotykamy w №№ 36 i nast. pisma **Birżewyja Wiedomosti.** Autorem jego jest p. M. Dubiński.

Zeitschrift des historischen Vereins für die Prov. Posen przynosi w zesz. 3—4 (z 1899 r.) szereg prac, tyczących się nas bezpośrednio: T. Staesche. „Kleinstadtbilder aus Rakwitz und Graetz in den letzten Jahrzehnten des polnischen

Reichs"; J. Kothe. „Das Bauernhaus in der Provinz Posen", O. Heinemann „Die Bündnisse zwischen Polen und Pommern von 1348 und 1466", P. Pietsch, „Die Dornhover Hexenverbrennung vom Jahre 1775" i „Kalischer Universal vom 10 März 1790 zur Heranziehung ausländischer Kolonisten und Polen".

Czasopismo gdańskie **Zeitschrift des Westpreussischen Geschichtsvereines** przynosi w zeszycie 39-tym parę prac o rzeczach polskich, a mianowicie: H. Freytag „Zwei Danziger Armenordnungen des XVI Jahrhunderts", dr. F. R. Arnold, „Drei politische Lieder aus der Zeit des polnischen Erbfolgekrieges" i obszerne sprawozdanie z dzieła P. Boyégo o Leszczyńskim p. n. „Ein neues Werk ueber Stanislaus Leszczyński" pióra P. Simsona.

Zeszyt 5-ty (z 1899 r.) czasopisma czeskiego **Narodopisny věstnik českoslovansky** zamieścił nader szczegółową recenzyę dzieła M. Federowskiego p. t. „Lud białoruski".

Wydawnictwo **Zapyski naukowoho towarystwa im. T. Szewczenka** (Lwów) zawierają w tomie 33-cim recenzye „Ateneum", „Biblioteki Warszawskiej", „Przewodnika nauk. i literat.", „Kwartalnika historycznego" i „Ludu" z r. 1898, a nadto „Rozpraw Akad. Umiej. w Krakowie" wydz. hist.-filoz. t. XXXVI. Toż samo wydawnictwo zamieściło w tomie 34-tym następujące oceny rzeczy polskich: d-ra A. Prohaski „W czasach husyckich", A. Lewickiego „Przymierze Zygmunta, w. ks. litewskiego, z królem rzymskim Albrechtem II". P. Dąbkowskiego „Zemsta, okup i pokora na Rusi halickiej w XV w.", „Sprawozdań komisyi do badań historyi sztuki w Polsce", Wł. Abrahama „Sprawozdanie z poszukiwań w archiwach i bibliotekach rzymskich w l. 1896 — 1898", St. Schnür-Pepłowskiego „Cudzoziemcy w Galicyi", Z. Strzetelskiej, Grynbergowej „Staromiejskie", J. A. Baygera „Powiat trembowelski", Br. Sokalskiego „Opis powiatu sokalskiego" i „Rozpraw Ak. Umiej. w Krakowie" t. XXXVII.

Mittheilungen der litauischen litterarischen Gesellschaft przynoszą w zesz. 22 (z 1899) i 23-cim dwie prace E. Woltera „Zur Geschichte des litauischen Hexenwesens" i „Beschreibung der handschriftlichen Abtheilung der Wilnaer öffentichen Bibliothek".

St. Zdziarski.



Дозволено Цензурою. Варшава, 31 Марта 1900.

Wydawcy: ***Wł. Spasowicz*** i ***St. Łag'ne***
Redaktor: ***Ignacy Chrzanowski.***



ś. p.

STOSŁAW ŁAGUNA

b. profesor Uniwersytetu

na katedrze prawa polskiego w Petersburgu,

długoletni kierownik „Ateneum”,

członek Akademii Umiejętności w Krakowie

zmarł dnia 28 Kwietnia r. 1900.

Cześć Jego pamięci!